

Julian
Rathbone

**Niebezpieczne
gry**




AMBER

Julian
Rathbone

**Niebezpieczne
gry**

Przekład
Jacek Makojnik


AMBER

Tytuł oryginału
DANGEROUS GAMES

Ilustracja na okładce
STEVE CRISP

Redakcja merytoryczna
BARBARA STAHL

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
WIESŁAWA PARTYKA

Copyright © 1991 by Julian Rathbone

For the Polish edition
Copyright © 1997 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7169-257-9

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.
00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 1997. Wydanie I
Druk: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy Pozkał w Inowrocławiu

PROLOG

Biurowy wyłożone było jasną dębową boazerią, na tle której połyskiwały w złoconych ramach dziewiętnastowieczne obrazy przedstawiające z pełnym realizmem sceny batalistyczne. Meble — duże i solidne — sprawiały wrażenie starych i ciężkich, jednak tak naprawdę były nowoczesne i funkcjonalne: bardzo wygodne — czarne, obite skórą — krzesła, olbrzymie biurko i grube dywany. Oświetlenie — z wyjątkiem lampy na biurku — dyskretne i jasne. Wysokie skrzydło okna na parterze — z aksamitnymi zasłonami w kolorze starego złota, harmonizującymi z boazerią — wychodziło na jedną z najszerszych ulic między Bond Street a Grosvenor Square. Na środku biurka stała niewielka dziewiętnastowieczna figurka z brązu, przedstawiająca ostatnie chwile wilka zaatakowanego przez irlandzkiego wilczarza.

Przez lata wartość rynkowa wilczarza poszła znacznie w górę. Podobnie zresztą jak i jego właściciela, pułkownika Finchleya-Camdena, którego sama tylko, legalnie prowadzona, firma ochroniarska — uwzględniająca specyficzne wymagania każdego klienta — przynosiła dochód mogący usprawiedliwić w oczach urzędu podatkowego niezwykle wysoki poziom życia pułkownika: piękną posiadłość w Cotswolds, pochodzącą z czasów Jakuba I, wyścigowy jacht w Cowes oraz drugi w Ajaccio, wygodny, przystosowany do rejsów turystycznych, trzy konie wyścigowe...

Sam pułkownik właśnie skończył pięćdziesiątkę. Był okazem zdrowia i symbolem człowieka sukcesu. Wysoki i dobrze zbudowany, zaczynał wprawdzie już odrobinę tyć, ale jego sylwetka nadal zachowywała właściwe proporcje. Jego włosy, może trochę rzadsze niż kiedyś, ciągle jeszcze tworzyły srebrzystą, karbowaną grzywę, wijącą się jak ozdobny ornament okalający brzegi srebrnej tacy, na której sekretarka wykladała przychodzącą korespondencję. Nie nosił się, jak dawniej, po wojskowemu — jego garnitur był skrojony bez zarzutu, ale marynarka z odrobinę obniżonym stanem i dłuższymi niż normalnie połami oraz zwężające się ku dołowi spodnie

przywodziły na myśl dawne czasy, gdy majątni panowie w średnim wieku zachowywali się z werwą i wigorem. Jedynym widocznym ustępstwem ze strony pułkownika wobec *fugaces anni* były okulary o szklach w kształcie półksiężyców i w złotych oprawkach, którymi bawił się częściej, niż zdawał sobie z tego sprawę.

— A więc wpadłeś w kanał? — spytał opierając się wygodnie i obracając okulary między palcem wskazującym a kciukiem. — Jest bardzo źle?

Jego wyniosłe, swobodne zachowanie było jak gorzka pigułka dla siedzącego przed nim młodego mężczyzny. Jeżeli jednak miał dostać to, po co przyszedł, musiał ją przełknąć bez sprzeciwu.

— Nie jest dobrze, wujku — odpowiedział.

— Wiem, że Sam Dorf zwolnił cię z pracy... Ale niech spróbuję odgadnąć, co zrobicie... Handlowałeś miedzią za cudze pieniądze... Nie powiodło ci się i wpadłeś w tarapaty... Aby odzyskać pozycję, „pożyczyłeś” pewną sumę, ale tym razem się nie udało... Cóż, życie to nie bajka — a już na pewno nie dla drobnego handlarza na Giełdzie Metali Kolorowych.

To miało rozdrażnić młodego. I rzeczywiście rozdrażniło.

— Jeśli wuj wiedział, to po co pytał?

— Drogi chłopcze. Chciałem się po prostu upewnić, że jest tak źle, jak myślałem. No i jest... Więc czego chcesz?

— Pracy.

— To dobrze. Obawiałem się, że przyszedłeś po pożyczkę. Na jakiej podstawie sądzisz, że mógłbym mieć dla ciebie pracę?

Zanim jednak siostrzeniec zdążył odpowiedzieć, rozległ się delikatny dźwięk brzęczyka. Pułkownik niedbale pstryknął w przycisk. Rozległ się głos sekretarki — cichy, ale dobrze słyszalny:

— Dzwoni pan Herz z Zurychu. Łączę przez biały telefon.

Pułkownik sięgnął po białą słuchawkę.

— Heinrich? Jak się masz? Miło cię znów słyszeć. Tak. Dobrze. Zaraz. Dobrze, zaraz do ciebie zadzwonię.

Odłożył białą słuchawkę, podniósł czerwoną i ułożył palce na guziczkach aparatu.

— Jeżeli prosisz mnie o to, o co myślę, że prosisz, powinieneś raczej rozmawiać z panem Herzem.

Zaczął wybierać numer. To skłoniło młodszego mężczyznę do uważnego wsłuchiwania się. Odgłos stepującej muchy: 010 — wyjście na linię międzynarodową, 41 — Szwajcaria, 1 — Zurych. Następných czterech cyfr był całkowicie pewien, dwóch ostatnich — prawie pewien. Ale to mu już w zupełności wystarczyło.

— Heinrich — odezwał się pułkownik. — Przemyślałem dokładnie twoją propozycję. Muszę ci powiedzieć, że w chwili obecnej cała ta sprawa ma... wymiary — chyba to jest właściwe słowo — co do których nie jestem do końca przekonany.

Pan Herz z Zurychu miał do powiedzenia wiele rzeczy, których pułkownik

nie bardzo chciał słuchać. Zakrywając mikrofon dłonią, zwrócił się więc do siostrzeńca.

— Mam pewną robotę, którą mógłbyś się zająć: ochroną emira... Heinrich, mimo wszystko nie jestem pewien, czy przyjmę twą propozycję. Oczywiście przemyślę ją jeszcze dokładnie. Daj mi, powiedzmy, tydzień. Zastanowię się i dam ci znać... No to na razie. Trzymaj się.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się przez mikrofon do sekretarki:

— Gwendolyn, przez najbliższe dwa tygodnie nie ma mnie dla pana Herza.

Wyłączył przycisk, oparł się wygodnie i znów zaczął bawić się okularami.

— Nigdy w życiu nie tknąłbym tej roboty. Na czym to ja stanąłem? Aha, więc emir Kamaru potrzebuje ochrony w czasie podróży swym samolotem do Hamburga. Pojutrze...

— Nie mam zamiaru być niczym gorylem. A już na pewno nie jakiegoś brudnego Araba...

— On płaci znacznie lepiej niż inni. Zresztą ma powody. Dwa ważne powody. Po pierwsze, fundamentaliści wydali na niego wyrok, i temu, kto zdoła go wykonać, obiecują hurysy w wiecznym raju. To więcej niż ja jestem w stanie zapewnić tym, którzy pracują dla mnie, hmmm... Po drugie, emir ma dalekiego kuzyna, który przebywa nielegalnie w Anglii. Trzeba go stąd zabrać, zanim ci z Wapping go namierzą...

— Ale ja nie chcę być gorylem. Mogę pracować dla drugiej strony, która, jak sądzę, zapłaci jeszcze lepiej. Potrafię to robić. Jestem ekspertem.

— Oczywiście, chłopcze. Problem tylko w tym, że te twoje wyjątkowe umiejętności są odnotowane w urzędowych rejestrach. I tyle. Dla mnie są więc nieprzydatne. Nie dla Wilczarza. No cóż... Prywatny DC9 emira stoi na lotnisku w Luton...

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Północne Niemcy, autostrada, zmierzch, burza. Pasma drogi, prowadzącej na południe, skręca nieznacznie w kierunku zachodnim. Oślepiający błysk żółtego światła, odbijającego się od mokrej nawierzchni — gwiazdny miecz, którym wymachuje księżę Ninja. Kobieta zmrużyła oczy, opuściła osłonę przeciwstłoneczną i zacisnęła dłonie na kierownicy w chwili, gdy potężne kontenerowe volvo przejechało z rykiem klaksonów środkowym pasem. Pęd powietrza aż szarpnął jej kempingowym volkswagenem rocznik 1975, oleista woda chlusnęła na naklejony z boku napis *Greenpeace*, a bryzgi błota rozmazały się po szybie.

— Gnojek!

Po chwili jednak Kobieta uśmiechnęła się, rozkoszując dramaturgią sytuacji — ruchem na drodze i burzą. Poszperała w pojemniku z kasetami, wyjęła jedną i — nawet nie rzuciwszy na nią okiem — włożyła do odtwarzacza. Podkręciła głośność. Brm, b-brm, b-b-brm, brm... Fantazja *Wędrowiec* Schuberta, grana płomiennie przez Boleta. Kobieta podśpiewywała niczym walkiria, zdecydowana, że nie pozwoli popsuć sobie pierwszego dnia wakacji.

Światła na wiaduktach, wielkie znaki drogowe lśniące jak ekrany kinowe na tle czarnych chmur. Zjazd na lotnisko w Hanowerze. Po prawej widziela wieżę kontrolną, terminal i rzędy świateł na pasie startowym, zbiegające się aż na horyzoncie. Magazyny, hangary i warsztaty wyłaniały się zza wysokiego ogrodzenia, zwieńczonego drutem kolczastym. A za nimi, po obu stronach, wysokie, ciemne sosny. Autostrada stała się rzeką światła płynącą przez las.

Chmury burzowe nadciągały z północy, jak wilki krążące w poszukiwaniu żeru. Błysnęło, jednak grzmot nie zdołał przedrzeć się przez hałas silników pędzących pojazdów. Z chmur wynurzył się DC9, przechylił się i skierował tak, aby tor jego lotu przeciął autostradę mniej więcej kilometr dalej na zachód.

„Chyba leci zbyt nisko” — pomyślała.
Brrm, b-b-brrm, b-b-brrm, brrm.

Cranmer wyjrzał przez zalane deszczem okno, zerknął na zegarek, a następnie na tablicę zawieszoną powyżej zasłony znajdującej się pięć rzędów przed nim. Świecił się napis ostrzegawczy: *Zapiąć pasy. Nie palić.* Jednak za tartanową zasłoną nikt się tym nie przejmował. Cranmer słyszał rozmowy w nie znanym mu języku i śmiech pasażerów, którzy nie zwracając uwagi na polecenie, kręcili się po odgradzonej części samolotu. Cranmer wzruszył ramionami — instruowanie emira, jak ma się zachowywać, nie wchodziło w zakres obowiązków obstawy. Zapiął swój pas.

Tylne części DC9 nie została przerobiona po zakupieniu go przez emira — zwykle, proste siedzenia, ciasnota typowa dla *economy class*, nawet wystrój z czasów British Caledonian. Przód natomiast zmieniono w luksusową kabinę. Czarne skórzane fotele, stoliki wyściełane na obrzeżach czarną skórą, wymyślne klosze ze szkła weneckiego, srebrne kurki dozujące lodowatą wodę, sorbet cytrynowy oraz maślanekę.

Podczas tej podróży przednia część samolotu była zatłoczona: emir, jego trzy żony, siedmioro dzieci i pięciu doradców. Przez cały lot z Luton do Hamburga trzech mali chłopcy robili, co im tylko przyszło do głów, nie wyłączając bieżaniny po całym pokładzie podczas szalejącej burzy, gdy przelatywali nad wybrzeżem Morza Północnego.

Rozległ się komunikat kapitana, że lądowanie za dziesięć minut. Jednak nie w Hamburgu, gdzie potężna burza zalała pas startowy, ale w Hanowerze. Dla Cranmera oznaczało to długą podróż — na przednim siedzeniu pierwszej z wynajętych dla nich limuzyn — aż do hotelu „Ramada Renaissance”, gdzie miał przekazać emira pod opiekę swemu niemieckiemu zmiennikowi, a następnie pierwszym lotem — w *club-class* — wrócić do Anglii.

Samolot przechylił się na bok. Za oknem ukazał się las sosnowy, przecięty linią świateł autostrady — po jednej jej stronie wiły się leniwie białe przednie, po drugiej — czerwone tylne. Cranmer pomyślał, że za chwilę nad nimi przeleca.

Po drugiej stronie wąskiego przejścia jedyny oprócz Cranmera człowiek, przebywający w tej części samolotu, poruszył się nagle. Schował różaniec — od samego początku podróży odmawiał modlitwy do Allaha — podrapał się pod pachami i spojrzał w stronę Cranmera. Szara, lśniąca od potu twarz, spłaszczony nos, blizny po ospie... Nielegalny. Ciekawe, czy martwił się o swoje dokumenty? Czy miał przygotowany plan, dający szansę powodzenia nie tylko w Hamburgu, ale także w Hanowerze?

— Już lądujemy?

W jego oddechu czuć było kwaśny odór surowego czosnku. W otwartych ustach załśniło złoto.

— Tak, za jakieś pięć minut.

Nielegalny przekreślił się na swym fotelu, a następnie wstał odwracając się plecami do Cranmera. Sięgnął do schowka na bagaż podręczny, znajdującego się nad jego miejscem, przez chwilę walczył z zamkiem, aż w końcu udało mu się go otworzyć. Cranmer poczuł nagle coś zupełnie innego niż zapach czosnku. Nielegalny spojrział przez ramię.

— Mam prezent dla emira. Emir jest wielkim i dobrym człowiekiem, prawdziwym ojcem narodu. Muszę wykorzystać tę chwilę i okazać mu swą wdzięczność.

Wyciągnął kwadratową, owiniętą srebrzystym papierem paczkę z purpurową nalepką i złotym napisem: *Stodycze. Mille fenilles z miodem i migdałami*. Przebywał w Londynie nielegalnie i gdyby prasa się o tym dowiedziała, na pewno zrobiłaby z tego sensację, gdyż był kuzynem emira. Ten zaś nie chciał go dłużej trzymać w Wielkiej Brytanii, bo nie był mu już tam potrzebny.

Cranmer wcisnął pięćset funtów urzędnikowi paszportowemu, aby przykrył oko na jedną dodatkową osobę na pokładzie DC9. Widział, że nielegalny niesie srebrzystą paczkę, ale kiedy wsiadali do samolotu, nie miał już przy sobie żadnego bagażu, więc pudełko ze stodyczami musiał umieścić w skrytce ktoś inny. Zniknął za zasłoną. Rozległy się okrzyki dzieci, przenikające nawet przez łoskot silników samolotu schodzącego do lądowania. Cranmer wciąż czuł ten sam zapach, kojarzący mu się z szałasem pasterskim nad Goose Green oraz z pubem „Duke of Wellington” w Belfaście. Był to zapach wydzielany przez ludzi, którzy wiedzą, że za chwilę zginą.

Ruszył, ale nie do przodu — gdyż na to było już za późno — lecz w głąb samolotu, ku części ogonowej. Zauważył, że w niewielkim pomieszczeniu, używanym dawniej przez stewardesy, pasy bezpieczeństwa ciągle znajdują się na swoim miejscu. Usiadł na wąskim, składanym fotelu, stanowczo zbyt ciasnym jak dla niego, zapiął pas i czekał. Zdażył jeszcze pomyśleć, co by powiedziały emirowe dzieci o buziach i rękach umazanych miodem, z poprzyklejanymi okruciami migdałów i resztkami stodyczy, gdyby po wylądowaniu odkryły, że goryl ich ojca haniebnie ukrył się w drugim końcu samolotu. Ale wiedział, że to nigdy nie nastąpi. Zdażył jeszcze doświadczyć, niczym w ekstazie, potężnej eksplozji gwiazdy, by następnie jak surfer dać się ponieść fali euforii. Za każdym razem odczuwał to samo w momentach największego zagrożenia. A później, tak jak to przewidział, nastąpił wybuch.

Długie, szczupłe palce, ozdobione pierścionkami z ametystem i topazem, zacisnęły się na kierownicy, gdy Kobieta zobaczyła, jak przednia część kadłuba samolotu pasażerskiego DC9 rozjarzyła się białym światłem, a następnie eksplodowała. Kobieta gwałtownie wcisnęła hamulec. Jadący tuż za nią wielki, wysoki autobus — prawdopodobnie z obsługi lotniska — zaczął przeraźliwie trąbić. Samolot gwałtownie tracił wysokość, kręcąc się wokół własnej osi. Znajdował się teraz tuż nad autostradą. Przez krótką chwilę

Kobiecie wydawało się, że spadnie nie dalej niż czterysta metrów przed nią. Od kadłuba odrywały się kawały płonącej obudowy. Nagle, przez rozmazane na szybie błoto, którego gromadziło się tak wiele, że wycieraczki nie nadążały go zbierać, Kobieta dojrzała czerwone tylne światła jakiegoś samochodu. Odbiła w prawo, zjeżdżając na pobocze. Wcisnęła hamulec, lecz na śliskiej nawierzchni auto — zamiast zatrzymać się — wpadło w poślizg i ponownie wjechało na jezdnię; znów zrobiła skręt kierownicą i wylądowała na poboczu. Prawą stroną przedniego zderzaka uderzyła w barierę ochronną, lewą zaś omal nie wyrzuciła w tył jadącego przed nią BMW. Wreszcie udało jej się zatrzymać. Oparła czoło na wciąż kurczowo zaciśniętych na kierownicy dłoniach i westchnęła z ulgą. Nie dość, że żyła, to jeszcze wyszła z opresji bez żadnych obrażeń.

Zaczął padać grad, grzechocząc o przednią szybę volkswagena. Kobieta podniosła głowę i spojrzała w prawo. Na tle czarnego nieba wzniosła się nagle nad lasem czerwonożółta kula ognia, rozrzucając wokół siebie kawałki metalowego poszycia kadłuba, płonące elementy z tworzyw sztucznych oraz szczątki ludzkich ciał. Rozległ się potężny huk, a po nim kilka mniejszych odgłosów eksplozji przewodów i zbiorników paliwa. Po chwili płonęły czubki drzew. W powietrzu tańczyły jaskrawe, wielobarwne iskry, które w zetknięciu z deszczem gasły, zanim zdążyły spaść na ziemię.

Chwilę przed uderzeniem o ziemię ogon oderwał się od reszty samolotu i wpadł między czubki sosen, skoszone wcześniej przednią częścią kadłuba i skrzydłami. Nie spadł na ziemię, lecz zawisł mniej więcej na wysokości czterech metrów. Płonął — podobnie jak reszta samolotu — ale znacznie słabiej niż przód, gdzie znajdowało się główne źródło ognia, od którego był teraz oddzielony.

Wybuch wyrwał tylne drzwi. W powstałym po nich otworze stał przez chwilę mężczyzna — czarna sylwetka na tle szalejącego za jej plecami piekła. Ubranie na nim płonęło. Rozłożył ręce i nogi, i rzucił się w dół. Turlał się po mokrej ziemi — byle dalej i dalej od szczątków samolotu — aż ugasił na sobie ubranie, które już tylko się tliło. Zdarł je z siebie i odrzucił, krzycząc przy tym z potwornego bólu, gdyż wraz z ubraniem zeszły strzępy spalonej skóry. Całkiem już nagi poddał się przez moment uczuciu triumfu. Żył. Wzniósł w górę ramiona, błogosławiąc deszcz i grad. Następnie, potykając się, zaczął oddalać się od źródła żaru i zniknął w ciemnościach.

Kobieta nadal siedziała za kierownicą volkswagena. Nie ufając staremu akumulatorowi, wyłączyła odtwarzacz i spokojnie czekała w ciszy i ciemności. Ponieważ tuż przed nią stało BMW, a za nią — potężna ciężarówka, nie obawiała się, że ktoś może potrącić jej samochód. Zwłaszcza że tak naprawdę nie było wcale ciemno. Najpierw nadjechały motocykle policyjne, później

karetki pogotowia i wozy straży pożarnej. Wyjąc i skowycząc jak gigantyczne stwory, migotały niebieskimi i pomarańczowymi światłami, rzucając refleksy na jej twarz oraz na puste miejsca obok niej. Wyjęła papierosa i zapaliła go małą zapalniczką marki Zippo. Starła się nie myśleć o płonących żywcem ludziach. Z ciemności panujących w lesie ktoś ją dostrzegł i obserwował.

Biało-zielono-czerwony motocykl policyjny przejechał obok, błyskając światłami. Kawałek dalej zawrócił i powoli, niemal leniwie, podjechał z powrotem. Zatrzymał się parę metrów przed BMW. Policjant wystawił na zewnątrz stopy w wysokich butach i oparł je na asfalcie, powiedział coś do mikrofonu na krótkim spiralnym kablu, a następnie z kosza, znajdującego się z tyłu, wyjął dwa odblaskowe „lizaki” do kierowania ruchem. Dał nimi znak kierowcy srebrzystoszarego BMW, by skręcił na środkowy pas i odjechał. Następnie — w zasłaniających twarz goglach o żółtych oprawkach pod białym hełmem i w zapiętej pod szyję skórzanej kurtce — wynurzył się w strugach deszczu i machnął „lizakiem” w stronę kobiety.

Zduśiła niedopałek papierosa w czarnej plastikowej popielnicze, znajdującej się pod deską rozdzielczą, i przekręciła kluczyk na pozycję *fahrt*. Światła samochodu zapłonęły. Wtedy ponownie przekręciła kluczyk, wcisnęła pedał przepustnicy, wrzuciła pierwszy bieg i puściła sprzęgło. Poczula, jak jej wóz ociera się o barierę. Nagle silnik zgasł. Policjant ponaglał ją „lizakiem”, wyraźnie poirytowany — jego ruchy były krótkie i gwałtowne. Spróbowała ruszyć na wsteczny: usłyszała, jak koła buksują, i poczuła, że auto, które kochała, jakby było żywą istotą — koniem albo mułem — wycęza się tak bardzo, iż musi mu to sprawiać ból. Tym razem sama zgasła silnik.

Policjant gapił się na nią przez swoje idiotyczne gogle. Ostentacyjnie wzruszyła ramionami, chcąc, by to zauważył. Zrozumiał, o co jej chodzi — zbliżył się, a następnie minął ją, jakby stała się nagle kimś — a raczej czymś — absolutnie nieistotnym, i zatrzymał się mniej więcej na wysokości tylnego zderzaka jej volkswagena. Widziała we wstecznym lusterku, jak daje znaki stojącej za nią ciężarówce. Później, wciąż ją ignorując, wrócił do swego motocykla, usadowił gruby zad na szerokim skórzanym siodelku, zapuścił silnik i gładko ruszył w stronę następnego, zdatnego do ruchu, pojazdu. Kobieta zapaliła kolejnego papierosa.

Pomiędzy lasem a autostradą, na wąskim wale ziemnym, wznosiło się wysokie ogrodzenie z siatki zakończonej drutem kolczastym. Przed Mężczyzną był tu już lis, który zrobił sobie podkop pod siatką. Klatka piersiowa, brzuch, genitalia, a w końcu kolana wcisnęły się w zimne, mokre przejście. Po chwili Mężczyzna znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia. Cztery jardy pochyłości wysypanej kamieniami, bariera ochronna, lekko tylko wgnieciona od uderzenia volkswagena, i w końcu odsuwane boczne drzwi. Chwycił za klamkę, przekonany, że są zablokowane od wewnątrz, i pociągnął.

Tego odgłosu nikt, kto go zna, nie pomyli z niczym innym — to łoskot otwieranych drzwi furgonetki marki Volkswagen, wyprodukowanej przed rokiem 1980. Przez chwilę Mężczyzna stał opierając się o barierę jedną stopą i próbując nad nią przetrząść drugą, aż w końcu pośliznął się, poleciał do przodu i niemal wpadł do wnętrza samochodu. Zauważył, że kobieta jest wysoka, szczupła i że właśnie przeciska się do tyłu między przednimi siedzeniami. W dłoni trzymała wielki, płaski klucz francuski. Usłyszał jej głos — wysoki i stanowczy jak dźwięk myśliwskiego rogu.

— *Rauss! Precz! Niech pan się stąd natychmiast wynosi! Ale to szybko! Rauss!*

Potrafił uruchomić swój mechanizm wewnętrzny, który sprawiał, że ból przedstawiał problem dla jego ciała, ale nie dla niego. Teraz, w ciepłej ciemności, będąc poza zasięgiem deszczu i czując pod kolanami jakiś miękki, delikatny dywanik zamiast żwiru, kamieni i igieł sosnowych, Mężczyzna poddał się, a ból zalał go wysoką falą. Jednak w dalszym ciągu był w stanie słyszeć głos Kobiety. Poczł także, jak przesunęła się koło niego, a jej spódnica do pół łydki musnęła lekko jego rękę i ramię.

— O Boże! Pan potrzebuje pomocy! Trzeba pana zabrać do szpitala!

Jego niemiecki był bardzo dobry. Zrozumiał, co powiedziała, i raczej wyczuł, niż zobaczył, że skierowała się ku otwartym drzwiom, przez które przed chwilą wszedł. Sięgnął na oślep, chwycił ją za rękę i — pamiętając, by użyć tego samego języka co ona — powiedział:

— *Kein Krankenwagen. Bitte. Kein Krankenwagen.*

Zacisnął dłoń na jej nadgarstku, wzmoenił uścisk — później powiedziała, że trzymał ją tak mocno, jak łapka na szczury — i puścił dopiero wtedy, gdy poczuł, że skapitulowała. Następnie usłyszał łoskot zamykanych drzwi. Warkot przejeżdżających samochodów, odgłosy zapuszczanych silników oraz świszający dźwięk padającego deszczu natychmiast ucichły i Mężczyzna poczuł ogarniającą go falę ciepła.

Nadal jeszcze klęczał, lecz tracił już równowagę i zaczął osuwać się do tyłu. Kobieta uklękła za nim, pozwalając, by bezwładne ciało wsparło się na niej. Oparł głowę na jej ramieniu. Przez dłuższą chwilę trwali nieruchomo. Czując ciężar Mężczyzny, Kobieta zdała sobie sprawę, że choć nie jest słaba, to jednak nie da rady przenieść go na siedzenie, gdyby stracił przytomność. Chwyciła go pod pachy.

— No już... Spróbuj... Na siedzenie... Proszę...

2

Kobieta wyprostowała się tyle, ile pozwalał zasunięty dach volkswagena. Swoje długie, ciemne, choć lekko już siwiejące włosy wsunęła za uszy, przyglądziła i przypląszczyła na karku. Nie była przekonana, czy postępuje słusznie. Nawet w tych ciemnościach — rozjaśnianych jedynie światłami samochodów i niebieskimi błyskami „kogutów” na dachach przejeżdżających obok karetek oraz wozów straży pożarnej — widziała, że stan Mężczyzny jest bardzo poważny. Już sam tors, pokryty krwią, błotem i wodą, wyglądał przerażająco. Kiedy zaś spojrzała na ramiona oraz plecy i zobaczyła cztery głębokie, karmazynowe oparzenia, każde wielkości dłoni — zdała sobie sprawę, że Mężczyzna potrzebuje znacznie bardziej fachowej pomocy, niż ona jest w stanie mu udzielić. Właśnie w tym momencie trzy potężne uderzenia wstrząsnęły volkswagenem; jakby ktoś go atakował i bił... Za mokrą, zachlapaną błotem szybą, niemal na wysokości jej twarzy, zamajaczyła postać tego samego gliniarza.

— Niech pani wreszcie odjeżdża. Natychmiast.

Ponownie walnął pięścią w karoserię.

— Nie dam rady. Wóz nie ruszy. Nie widział pan?

Była wściekła i chciała, żeby to zauważył.

Obserwowała go, jak rusza i znika w ciemnościach.

— Tłusta świnia.

Już zdecydowana, zaczęła krządać się pośpiesznie i żwawo, lecz uważnie. Wiedziała, co należy zrobić najpierw, a co później, bogata w doświadczenie z trudem zdobyte po wypadku, jaki przydarzył się jej kilka lat wcześniej.

Przede wszystkim uniosła nieco dach samochodu, dzięki czemu mogła się poruszać bez schylania. Następnie zaciągnęła zasłonki — nie typowe, zapewniane przez producenta, lecz niebieskie w paski o kolorze zielonego groszku i skórki cytrynowej. Później zapaliła lampę naftową, dającą wystarczająco jasne światło, by można było przy nim czytać. Z szafki nad bocznym

oknem wyjęła drewniane pudełko. Była to jej apteczka. W niewielkim pomieszczeniu kuchennym — pomiędzy bocznymi drzwiami a wolną przestrzenią z tyłu nad silnikiem — przekreśliła chromowany kurek kranu i nalała wody do niewielkiej plastikowej miski. Następnie ułożyła to wszystko w wąskim przejściu obok długiej kanapy, spełniającej funkcję łóżka, na którym spoczywał teraz Mężczyzna. Wreszcie zdjęła z palców pierścionki i wrzuciła je do szuflady, gdzie leżał już jakiś naszyjnik oraz złote łańcuszki. Wówczas uklękła i zaczęła obmywać mężczyznę.

Szybko zdała sobie sprawę, że działający przeciwbólowo antyseptyczny aerozol, którego użyła, zanim zabrała się do oczyszczania ran, nie wystarczy. Przy każdym, najdelikatniejszym nawet, dotknięciu Mężczyzna wzdygał się i jęczał z bólu. Przybliżyła twarz do jego twarzy.

— Słyszysz mnie pan?

Poruszył głową. Gdyby siedział, oznaczałoby to zapewne przytakujące skinienie.

— Mam środek przeciwbólowy. Tabletki.

DF-118 — dihydrokodeina — w angielskim opakowaniu. Kobieta miała w Anglii przyjaciółkę, której lekarz przepisywał ten środek przeciwko migrenie. Wyjęła cztery tabletki i nalała pełen kubek wody „Spa”.

— Musi pan usiąść i połknąć to. Jeżeli pan tego nie zrobi, zawiozę pana do najbliższego szpitala.

Korzystała teraz z zasobów wiedzy medycznej, jaką sobie przyswoiła.

— Musi pan jak najwięcej pić. Przy poważnych oparzeniach grozi odwodnienie organizmu.

Połknął tabletki i popił wodą, ale omal nie zwymiotował, gdy Kobieta próbowała nakłonić go, by wypił więcej. Bojąc się, że zwróci tabletki, ustąpiła. Pomyślała, że odczeka, aż zaczną działać. Na razie przykryła go lekką kołdrą, przyciemniła światło, wdrapała się na siedzenie kierowcy i zapaliła papierosa.

Ruch na zewnątrz był trochę mniejszy. Pomarańczowe „pachołki” i plastikowa szeleszcząca taśma oddzielały od reszty jezdni prawy pas oraz poboczne, na którym stał jej volkswagen. Sto metrów dalej odgrodzono także środkowy pas. Pomarańczowe i niebieskie światła rozbłyskiwały demonicznie nad wozami straży pożarnej i karetkami pogotowia. Na tle niebieskiego światła pracujących nieustannie palników do cięcia metalu pojawiały się co jakiś czas ciemne sylwetki ludzi w mundurach, którzy próbowali dostać się do wnętrza tego, co pozostało z kontenerowego volvo oraz autobusu. Co pewien czas w kierunku Hanoweru odjeżdżała karetka na sygnale. Po prawej stronie nadal płonął las. Tam również migały niebieskie i pomarańczowe światła.

Miała szczęście! Cieszyła się z tego, a nawet więcej niż cieszyła. Gdy jedna część jej umysłu usiłowała zdławić myśl o spalonych i rozszarpanych na kawałki ciałach, druga wyśpiewywała peany na cześć życia. Była szczęśliwa, że żyje. A ponadto... był w tym wszystkim element przygody.

W jej samochodzie znalazł się Mężczyzna — ranny, ale nie śmiertelnie; nagi, lecz pokryty iście rytualnymi malowidłami z krwi, wody oraz ziemi; prosto z lasu, prosto z ognia wszedł w jej życie.

Ranny, lecz nie śmiertelnie? Kości miał z pewnością całe, nie zauważyła też żadnego poważniejszego krwawienia. Podczas kursu pierwszej pomocy dla zaawansowanych nauczyła się rozróżniać oparzenia pierwszego, drugiego oraz trzeciego stopnia i wiedziała, że większość jego oparzeń nie była groźna — zagoją się w ciągu kilku dni. Jeśli jednak Mężczyzna jest w szoku? Co wtedy? Zimny, małostkowy lęk ścisnął nagle jej serce. Kobieta natychmiast go odrzuciła, właśnie ze względu na tę małostkowość. Niemniej jednak obróciła się na siedzeniu i skierowała wzrok na Mężczyznę. Leżał rozciągnięty na długiej kanapie po przeciwnej stronie samochodu. Jego głowa znajdowała się tak blisko, że Kobieta mogłaby jej dotknąć, gdyby tylko wyciągnęła rękę. Stękanie i jęczenie ustało. Oddech Mężczyzny stał się równy i spokojny. Było jasne, że ten człowiek nie umrze.

Dlaczego jednak zajęła się nim, zamiast przekazać go w ręce specjalistów? Ponieważ ją o to poprosił, a ona zawsze uważała, że ludzie mają prawo sami decydować o swoim losie. Zbyt wiele sama wycierpiała w minionej połowie swego życia z powodu decyzji podejmowanych za nią przez innych. A ponadto — w samą porę wałnął pięścią w bok jej volkswagena ten tłusty policjant, będący żywym symbolem „onych”, w ręce których musiałyby przecież oddać Mężczyznę. „Oni” ubraliby go, odnaleźli jego imię i wstawili go z powrotem we właściwe miejsce w maszynerii, z której wypadł. A przecież miał prawo sam je odnaleźć wtedy, gdy poczuje, że jest już do tego gotów. Kobieta nie chciała, by ktoś zrobił to za niego.

Zgasiała papierosa, przesłiznęła się do tyłu nad dźwignią biegów i ręcznym hamulcem, podkręciła lampę i uklękła obok Mężczyzny. Zdjęła z niego koldre i zaczęła obmywać rany na plecach i ramionach. Teraz jednak już się tak nie śpieszyła. Oparzenia wyglądały dość poważnie: naskórek, tam gdzie nie został zerwany, był czarny i pomarszczony, skóra zaś pod nim — czerwona. Kobieta najpierw przemyła oparzone miejsca wodą, a następnie posmarowała antyseptycznym kremem, który miał je chronić przed dostępem powietrza. Instrukcje pierwszej pomocy zalecały unikanie opatrunków, z wyjątkiem oparzeń trzeciego stopnia, gdy skóra uległa całkowitemu zniszczeniu. W tym przypadku tak nie było.

Kobieta naląła do miski więcej wody, aby umyć pozostałą część pleców oraz pośladki i nogi. Zastanawiała się, czy nie podgrzać wody, przypomniawszy sobie jednak, że jeśli poparzona osoba nie znajduje się w głębokim szoku, nie należy jej ogrzewać, gdyż ciepło źle wpływa na proces gojenia. A zresztą — woda ze zbiornika nie była przecież lodowata. Gąbką i żelem do mycia Kobieta usunęła błoto, piach i igły sosnowe z ciała Mężczyzny.

Nie musiała już tak bardzo uważać na oparzenia, gdyż prawie ich nie było poniżej łopatek, zwróciła więc uwagę na grę mięśni, skóry i kości pod swymi palcami. Miała uczucie, jakby uczestniczyła w mitycznej historii o Pigmalionie

i Galatei, tyle że to ona była Pigmalionem: swymi rękami jakby modelowała Mężczyznę i tworzyła z niego zupełnie nową postać. Wprawdzie rzeźby, którymi się teraz zajmowała, były spawanymi konstrukcjami ze stali, ale dawniej posługiwała się gliną i formowała z niej pełnowymiarowe postaci ludzkie. Ostatnie chwile tamtego procesu tworzenia przypominały właśnie to, czego teraz doświadczała. Tylko że twory jej rąk pozostawały zawsze zimne, martwe i zaledwie przypominały to piękno, które żyło i oddychało teraz pod jej palcami.

Kiedy osuszała ręcznikiem jego ciało, poruszył się. Skorzystała z tego i przełożyła go na bok, twarzą ku sobie. Nie chciała, by leżał na plecach i całym ciężarem przygniatał oparzone miejsca. Przez chwilę myślała, że Mężczyzna się obudził, lecz nie — a przynajmniej nie całkiem — chociaż, gdy zaczęła myć przód jego ciała, odniosła wrażenie, iż cierpienie i stres, które napinały wszystkie mięśnie jego twarzy, zaczęły ustępować, a na ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

Dopiero teraz Kobieta znalazła chwilę, by przyjrzeć się twarzy Mężczyzny. Ciemne, lekko kręcone włosy — obcięte krótko, lecz modnie. Równie ciemne brwi. Dość duży mięsisty nos z niewielkim garbem — w każdym razie nie na tyle zakrzywiony, by można było nazwać go haczykowatym. Oczy wąskie, głęboko osadzone. Jakiego koloru? Musiała jeszcze trochę poczekać, zanim się przekona. Wąskie usta z najbardziej widoczną oznaką starzenia się — zmarszczkami zaznaczającymi się w kącikach — świadczyły o przeżytym zawodzie albo o czymś jeszcze gorszym. Ile miał lat? Trzydzieści? Czyli o dziesięć mniej niż ona... Powiedzmy zatem, że trzydzieści pięć. Twarz o twardych rysach, dość przystojna. Lecz nawet teraz, kiedy spał, było w niej coś niedostępnego, coś, co nakazywało dystans.

Jego ciało, nawet pokryte zasychającym brudem i krwią, było wspaniałe. Lekko opalone, zwarte, ale nie krępe, mocno umięśnione, ale nie przetrenowane. Było to ciało osoby, która ćwiczy regularnie i wszechstronnie, nie zaś wyczynowo, w jakiejś jednej tylko, określonej, dyscyplinie sportowej. Z prawej strony pod żebrami, a nad miednicą, Kobieta zauważyła bliznę wielkości pięciomarkowej monety. Miała kształt gwiazdy i zbyt poszarpane brzegi, by mogła pochodzić od kuli. Brak też było śladu po ranie wylotowej.

Kiedy Kobieta zaczęła myć genitalia Mężczyzny, jego członek — średnich rozmiarów i nie obrzezany — poruszył się. Wyplęnęło z niego kilka kropli ciemnego, niemal pomarańczowego moczu. Ponownie pomyślała o groźbie odwodnienia organizmu i o zmuszeniu Mężczyzny do picia dużych ilości płynów.

Nogi miał gęsto owłosione, o mięśniach twardych jak marmur i bardzo sprężystych.

Myślała, że już skończyła wszystkie czynności, lecz kiedy przykryła go kołdrą, on poruszył się i otworzył dłoń, które przez cały czas trzymał mocno zaciśnięte, a ona nie zwróciła na nie wcześniej uwagi. Były mocno poparzone. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przecież musiał nimi ściagać z siebie

płonące ubranie. Tym razem zdecydowała, że założy opatrunki. Mężczyzna na wprost się obudził. Kiedy skończyła, wymamrotał:

— Dobrze sobie poradziłaś. Znasz się na tym...

Stała teraz i patrzyła na niego z góry. Miał oczy szare lub niebieskie. Później zauważyła, że odcień niebieski zmieniał się w zależności od oświetlenia.

— Powinieneś więcej pić. — Odwróciła się, nalała do kubka wody „Spa” i wręczyła mu.

Wypił połowę i chciał oddać jej kubek.

— Wszystko. Do dna. — Tym razem nie miała zamiaru ustępować.

Jego oczy nieznacznie się zwięzły, a zmarszczki w kącikach ust stały się głębsze. Lecz wypił. Kiedy ponownie spojrzął do góry, na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, który jednak nie zrobił dobrego wrażenia na Kobiecie. Był ironiczny, niemal pogardliwy. Później zauważyła, że Mężczyzna prawie nigdy nie używał słowa „dziękuję”, a jeśli już, to zawsze było ono zatrute tym uśmiechem.

— Dałaś mi jakieś pastylki. Bardzo dobrze działają.

— Tak. Chcesz jeszcze?

— Nie, chwilowo nie. Co to było?

— Dihydrokodeina.

— Wpędzisz mnie w narkomanię. Ale przynajmniej udało mi się zasnąć...
Mogę tu spać?

— Oczywiście.

Ostrożnie i powoli przekreślił się na bok. Chciała poprawić koldrę, ale zrobił to sam. Po chwili zgasła lampę.

3

Kodeina w jednej ze swych najmocniejszych postaci wyciszyła ból, prowadząc do błogostanu i senności. Jakieś niesamowite wizje pojawiały się i zniknęły. Był teraz małym dzieckiem w łóżeczku, do którego zrobił wielką kupę. Był z siebie niesłychanie dumny. Zdażył na czas zdjęć spodnie od pidżamki i odsunąć kołdrę. Kupa leżała na prześcieradle z gumowym podkładem. Wspaniała robota. Stał trzymając się drewnianych szczebelków i radośnie gaworzył. Do pokoju weszła jakaś kobieta, pochwaliła go i pocałowała.

Blondynka — pulchna i różowa, jakby dopiero wyszła z kąpieli — podsunęła mu do ssania swe piersi. Wydało mu się dziwne, że z jej biustu, tak jędnego i krągłego, zwisały brodawki, celując prosto w dół. Nie do końca się obudziwszy, poczuł erekcję oraz słodkie pragnienie. Kiedy jednak dotknął penisa, zamiast ciepłej skóry poczuł szorstkość opatrunku na ręce. Na dodatek zabolalo. Bardzo.

Później miał już tylko złe sny. Wzniesiony członek, znajdujący się w jego dłoni, należał do kogoś, kto nazywał się Major. Siedzieli na szorstkiej trawie za ciernistymi krzakami. Wiał piekielnie lodowaty wiatr, od którego Mężczyznę rozbolewały uszy. Major nosił długi płaszcz przeciwdeszczowy z przelotowymi kieszeniami o otworach zarówno z zewnątrz, jak i od środka. Gdy odpowiednio przełożyło się przez nie rękę, można było chwycić mokry, gruby i twardy członek Majora. Dostawało się za to nowe pięćdziesięciopensówki. Ale to nie było jeszcze takie straszne. Najgorsze miało dopiero nadejść. Śledztwo w gabinecie dyrektora szkoły: „Kiedy po raz ostatni widziałeś swego ojca?” Dobre pytanie. „Właśnie dymał nianię, którą była Kobieta, kiedy karabinem maszynowym M60 odstrzeliłem mu głowę. Tak jak tamtym Argentyńczykom... Ja tylko żartowałem... To znaczy, jeśli chodzi o tatusia, bo z Argentyńczykami to święta prawda”.

Poruszył się i poczuł przeszywający ból pleców. Ogarnęło go uczucie paniki, iście zwierzęcej paniki, po chwili jednak wszystko sobie przypomniał i błogostan powrócił... Kobieta... Cóż, mogła jeszcze stać się nie lada problemem, lecz na razie była mu potrzebna, bardzo potrzebna.

Słyszał odgłosy autostrady. Poczuł także zapach dymu. „Ciemny tytoń, ale niezbyt mocny...” Miał ochotę zapalić, lecz postanowił jeszcze poczekać. Ostrożnie otworzył jedno oko, po chwili drugie. Siedziała na miejscu kierowcy. Widział jej ramię, kark i włosy — prawie czarne, lecz z jakimś bursztynowym odcieniem. Miała na sobie miękką wełnianą kamizelkę, ciemną, ale z całą pewnością nie czarną — dobrze zapamiętał jej miękkość — długą wełnianą spódnicę oraz tanie czarne chińskie pantofle. Ubrana była tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją zbliżającą się z kluczem francuskim w dłoni. Jego usta wyrzywił uśmiech — podobała mu się, miała charakter, była twarda, no i po prostu atrakcyjna. Kto wie, może w odpowiednim momencie trafią razem do łóżka. Jeżeli tak, będzie to straszliwa walka. Był jednak pewien, że to on ją wygra. Tak jak zawsze. Na samą myśl o tym jego członek wyprężył się. Dotykanie go nie miało jednak sensu — nie obolała dłońią, do tego owinięta bandażem.

Bardzo ostrożnie zmienił pozycję, chcąc przyjrzeć się reszcie wnętrza volkswagena. Wzdłuż drugiego boku taka sama kanapa jak ta, na której leżał, tyle że trochę krótsza ze względu na odsuwane drzwi, przez które wszedł. Ciekawe, dlaczego nie były zablokowane od wewnątrz? Może zapomniała? Nie wyglądała jednak na zapominalską i bałaganiarę. Może więc ufała ludzkiej uczciwości? Nie wierzyła, że ktoś może ją ograbić, zgwałcić lub zabić? Może... Takie osoby są na ogół życzliwie nastawione do świata. Będzie musiał bardzo uważać, przynajmniej do czasu aż uda mu się ją rozgryźć.

Mała kuchenka, a w niej pojedynczy kran, dwa palniki gazowe na emaliowanej płytce, nad nimi szafka, obok mała lodówka. Po przeciwnej stronie jeszcze kilka szafek nad krótką ławeczką. Najprawdopodobniej wyposażenie podstawowe — a już na pewno nie wersja *de luxe* — choć z drugiej strony nie pozbawione śladów indywidualności właścicielki: nietypowe zasłony, starannie poprzyklejane na drzwiach szafek kartki pocztowe i plakaty z reprodukcjami współczesnych rzeźb, z wyjątkiem jednej, przedstawiającej w formacie A5 *Dawida*, dłuta Donatella.

Poruszyła się, zdusiła niedopałek papierosa i mruknęła:

— Skurwiele.

Najwyższy czas, by dać jej znać, że już się obudził.

— Kto?

— Nie śpisz już? Oni. Ci na zewnątrz. Nie jestem w stanie ruszyć, a żadnemu z nich nawet nie przyjdzie do głowy, żeby mi pomóc.

Ostrożnie postawił stopy na podłodze. Nie bolało. Powoli wyprostował się i wyjrzał przez boczną szybę. Szary, ponury świt, jezdnia nadal mokra. Pomarańczowe „pachołki”, pulsująca czerwonym i białym światłem plastikowa taśma. Mężczyźni w pomarańczowych i żółtych kombinezonach, migające

światła, a sto metrów dalej wóz ratowniczy z dźwigiem, rozdzielający szczipione wraki kontenerowego volvo oraz autobusu. I jeszcze sznur samochodów sunących pasem szybkiego ruchu w tempie procesji.

— Jeśli masz coś, co mógłbym na siebie włożyć, zobaczę, co da się zrobić.

— Jesteś pewien, że dasz radę?

— Spróbuję.

Przeszła na tył samochodu. Nagle fizycznie odczuł jej bliskość: ciepło ciała, kobiecą woń, zapach papierosów. Z szafki, znajdującej się naprzeciwko kuchenki, wyjęła niebieski jednoczęściowy kombinezon z mocnej bawełny — czysty i wyprasowany, lecz poplamiony farbą i gipsem, które nie zeszyły w praniu.

— Powinieneś się zmieścić. Nie jesteś dużo wyższy, a noszę dość luźne ubrania.

Miała rację. Okazało się, że rękawy i nogawki są za krótkie, ale nie więcej niż o dwa cale.

— Może być. Teraz buty. Z nimi mogą być problemy, ale zobaczymy... Mam długie stopy.

„Tak samo jak dłonie” — pomyślał.

Znalazła skórzane sandały, ale Mężczyzna przecząco pokręcił głową. Wyjęła więc niebieskie płócienne espadryle. Trochę gniotły go w palce. Udało jej się rozciągnąć je nieco w piętach. W wąskim wnętrzu ponownie poczuł falę dziwnej, graniczącej z paniką rozkoszy z powodu bliskości Kobiety, gdy ta pochyliła się nad jego stopami. Po chwili utworzyła boczne drzwi i Mężczyzna zdał sobie sprawę, że chłodne powietrze, jakie ich owiało, jest niczym balsam, którego w tym momencie najbardziej potrzebuje. Tkanina kombinezonu drapała go w plecy jak włosienica, a każdy ruch dłoni sprawiał piekielny ból. Jednak przygryzł wargi i wyszedł na zewnątrz.

Przełaził przez wgniecioną barierkę ochronną i od razu zobaczył, w czym problem. Przedni zderzak volkwagena tkwił zakleszczony pomiędzy jej poprzecznymi belkami. Na samą myśl o zetknięciu się z twardością metalu Mężczyzna poczuł ból w dłoniach. Na szczęście jego umysł pracował normalnie. Przypomniał sobie, że pomiędzy barierką a ogrodzeniem, pod którym się przeczołgał korzystając z podkopu zrobionego przez lisa, leżały kamienie i pozostałe po jakiejś budowie fragmenty betonowych płyt. Szybko zdołał znaleźć odpowiedni, jak sądził, prostokątny kawał betonu. Sporo kłopotu sprawiło mu przerzucenie go ponad barierką i podłożenie od tyłu pod przednie koło, ale w końcu sobie poradził. Wyprostował się, obszedł auto i stanął przy szybie po stronie kierowcy.

Pierwsza odezwała się Kobieta.

— Wyglądasz okropnie. Wszystko w porządku?

— Tak. Zapuć silnik. Wrzuć wsteczny i powoli puszczaj sprzęgło. Bardzo powoli. Równocześnie skręć lekko w lewo. Tylko delikatnie.

Wykonała manewr bez zarzutu. Koło wjechało na betonowy blok, zderzak uwolnił się z lekkim zgrzytem i samochód znów stał wszystkimi

kołami na ziemi. Mężczyzna odsunął trzy gumowe „pachołki” odgradzające ich od pasa szybkiego ruchu, po którym sunęły auta jak w kondukcje pogrzebowym, a następnie wsiadł i zasunął za sobą drzwi. Kobieta zwróciła ku niemu twarz.

— Nie powinnam była ci na to pozwolić. Jesteś kompletnie wyczerpany. Pochylił się w jej stronę, a następnie cofnął.

— Tak. Ale to głównie ból, szczególnie dłoni... Dałaś mi w nocy jakieś pastylki. Pomogły.

— Zaraz dostaniesz, sekundkę. Ale potem powinieneś chyba się przespać.

— Zapewne masz rację.

Przeszła na tył samochodu, wyjęła tabletki i napełniła kubek wodą „Spa”. Mężczyzna zdjął kombinezon i, kompletnie nagi, usiadł.

— Dobrze sobie poradziłaś z moimi obrażeniami.

— A ty z uwolnieniem samochodu. Bóg wie, ile musiałabym zapłacić, gdyby przyszło mi wezwać pomoc drogową... Jesteś głodny?

Zastanowił się.

— Nie. Nie bardzo. Jeszcze nie.

— Ja też nie. W porządku. Wracaj do łóżka.

Przykryła go kołdrą i usiadła za kierownicą.

— Dokąd chcesz jechać? — zapytała.

— Gdziekolwiek. To nie ma znaczenia.

— Rzeczywiście tak myślisz, prawda? Ale przecież wczoraj wieczorem dokądś jechałeś. Byłeś w tamtym autobusie? Czy w ciężarówce?

— Ani w jednym, ani w drugim.

— To znaczy... Byłeś w tym samolocie? Cholera. Przecież to niemożliwe, żeby przeżyć coś takiego...

Zapuściła silnik i czekała, aż znajdzie się na tyle kulturalny kierowca, żeby umożliwił jej włączenie się do ruchu.

— Bardzo dobrze mówisz po niemiecku, ale nie jesteś Niemcem. Skąd pochodzisz? Z Danii? Holandii?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zaniepokoiło ją to. Zresztą nie tylko to.

— Dlaczego nie chcesz iść do szpitala? Tam udzieliliby ci bardziej fachowej pomocy... Nie uciekasz chyba? To znaczy... nie ściga cię policja?

— Nie.

Minęli wraki autobusu i ciężarówki. Nagle przyszyła jej do głowy straszna myśl.

— To nie ty spowodowałaś tę katastrofę?

Cichy, gorzki śmiech.

— Nie. Byłem tam po to, żeby do czegoś takiego nie dopuścić. Ale pograłem sprawę. O Boże! Jestem zmęczony. To te twoje tabletki. Po co wozisz ze sobą takie świństwo?

— Żyję samotnie. Często podróżuję tym starym gratem. A ponieważ nie jestem odporna na ból, trzymam je na wszelki wypadek. Kiedyś zażywałam je przy ropniu zęba. Zażywałam, ale nie nadużywałam.

Minęli elektrownię atomową i Kobieta wymamrotała pod jej adresem jakieś własne rytualne przekleństwo.

— Znasz się na leczeniu oparzeń. Jesteś pielęgniarką?

— Nie.

Umilkła przypomniawszy sobie płomienie gazu acetylenowego, tańczące jak węże wokół jej rąk i twarzy.

— To długa historia... Ale krótko mówiąc: robię rzeźby z metalu i używam do tego celu palnika acetylenowego. Tę nim i spawam. Kiedyś o mało co nie miałam przykrego wypadku, więc zadałam sobie odrobinę trudu i nauczyłam się, jak postępować przy oparzeniach.

Po chwili dodała:

— Musisz teraz dużo spać. Nie wyrzucę cię stąd — przynajmniej do czasu, aż będziesz w stanie sobie poradzić.

Kierowała się w stronę Frankfurtu, jadąc przez bogate, zapracowane centrum nowej Rzeszy. Włączyła odtwarzacz. Rozległa się powolna, środkowa część fantazji *Wędrowiec*. Mężczyzna spał.

4

Przez sześć godzin jechała bez zatrzymania, cały czas autostradą. Do granicy dotarła o jedenastej trzydzieści. Mężczyzna ciągle spał. Postanowiła zaryzykować. Sięgnęła dłonią do tyłu i naciągnęła mu kołdrę na głowę. Kolejka samochodów była długa, ale praktycznie posuwała się bez zatrzymywania. Pierwszy tydzień lipca — duża część mieszkańców północnej Europy wybierała się na południe.

Z wyjazdem z Niemiec nie miała najmniejszych problemów, ale po stronie francuskiej policjant dał znak, by się zatrzymała.

Przez okno podała mu swój europaszport.

— Sama?

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Na razie.

Tak jak przypuszczała, odwzajemnił uśmiech. Zrozumiał podtekst: „Gdybyś nie musiał tu siedzieć, mógłbyś ze mną pojechać”.

Machnął ręką, mogła jechać dalej.

Włączyła radio — akurat leciał stary kawałek Jacques’a Brela. Śpiewała razem z nim: *Les Flam, Les Flam, Les Flamandes*.

Mężczyzna obudził się z krzykiem.

— Chryste! Miałem głowę pod kołdrą! Wydawało mi się, że leżę w zamkniętej trumnie i duszę się.

Zerknęła na niego, a po chwili znów na drogę. Wyglądał dużo lepiej, przede wszystkim nie był już taki błądy.

— Jak się czujesz?

— Lepiej. Dużo lepiej. Już prawie w ogóle nie boli. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Po prostu nie wiedziałem, gdzie jestem.

— A teraz myślisz, że wiesz?

— Nie rozumiem...

Usiadł i spojrzał ponad oparciem fotela do przodu. Akurat mijali znak

informujący o zbliżającym się skrzyżowaniu: A 4 — Paris 243 kms, A 31 — Metz et Nancy.

— Cholera. Jesteśmy we Francji.

— Zgadza się. Masz coś przeciwko temu?

— Nie. Ale granica...

— To żaden problem. Prawie nikogo nie sprawdzają, a już na pewno nie wtedy, kiedy panuje taki ruch...

— Ale jeśliby akurat... Mogłem... Mogliśmy wpaść w niezłe bagno.

— Ale nie wpadłeś.

Zauważyła we wstecznym lusterku, że wstał, włożył kombinezon i buty. Wdrapał się na przednie siedzenie akurat w momencie, gdy skręcała w drogę A 31, prowadzącą do Metz. Wyjął papierosa z otwartej paczki, przypalił i podał Kobiecie. Przyjęła. Następnie zapalił dla siebie.

— Jestem głodny i chętnie bym się wysikał.

— Ja także. Zatrzymamy się na najbliższej stacji benzynowej. I nie martw się, nie będzie już żadnych granic. Jedziemy wprawdzie na kraniec Francji, ale ciągle we Francji.

— A co tam jest?

— Miejsce, do którego jedziemy... W które ja jadę. Mam dom w Pirenejach, ale niedaleko wybrzeża Atlantyku. Jeżdżę tam w każde wakacje.

— Letniskową chatę?

— Niezupełnie. Zresztą zobaczysz, o ile, oczywiście, chcesz tam ze mną jechać.

— Czemu nie.

Zabrzmiało to twierdząco, a nie pytająco. Spojrzała na niego przeciągle. On też przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, na koniec skrzywił się i wrzucił ramionami.

— Właściwie czemu nie? — powtórzył, a chwilę później na głos odczytał następną tablicę: — *Services à Atton, 5 kms*. To coś dla nas.

Łatwość, z jaką przejął inicjatywę, wzbudziła w niej lekką irytację, której jednak nie okazała.

Wypatrywał wolne miejsce, nawet dosyć blisko restauracji, mimo że parking był przepelniony. Minęła je, zatrzymała się i zaczęła cofać. Tuż za nimi zabrzmiał klakson i na ich miejsce wpakował się biały jaguar. Mężczyzna wyskoczył z samochodu z kocią zwinnością, której wcześniej nie ujawnił, ale o jaką Kobieta go podejrzewała.

Znowu był błąd, tym razem w wściekłości. Kantem dłoni uderzył w dach jaguara. Nie chcąc, by kobieta dowiedziała się, że jego językiem ojczystym jest angielski, odezwał się po niemiecku:

— Zjeżdżaj stąd. Ta pani była pierwsza.

Kierowca jaguara wysiadł nieśpiesznie. Był wysoki, tłusty, o czerwonej twarzy i żółtawych włosach. Nie był starszy niż Mężczyzna. Nosił jasny

Iniany garnitur, czarną koszulę i jaskrawy krawat. W lewej dłoni trzymał cygaro, a prawą zamykał drzwi. Mówił głośno i powoli, łamanym niemieckim, w sposób, w jaki Anglicy tego pokroju zwracają się do cudzoziemców.

— Ja pierwszy byłem tu. Najlepiej dowodzi fakt, że mój samochód jest tam, gdzie stoi. Na tyle jest miejsc mnóstwo, i na tyle powinny stać takie pojazdy jak wasz.

Mężczyzna zacisnął dłoń na jaskrawym krawacie i po cichu odezwał się płynną angielszczyzną:

— Jesteś zwykłym tłustym, mokrym smrodem o manierach pijanego Irlandczyka. A ja mam wielką ochotę skopać cię tak, że zesrasz się z bólu.

Odwrócił się na pięcie i wszedł do volkswagena.

Krzykliwe nagłówki w gazetach od razu rzuciły się w oczy. Podczas gdy on był w toalecie, Kobieta kupiła „Süddeutscher Zeitung” i „Le Monde”. Stała w kolejce w części samoobsługowej.

— Zaczęli tu podawać dania gorące. Ale nie mam na nie ochoty.

— Ja także nie.

Ona wybrała zestaw surówek za czterdzieści franków, on — sałatkę warzywną z cienkimi plasterkami bardzo czerwonej wołowiny. Oboje wzięli po dużej kawie. Przy kasie Mężczyzna, który stał pierwszy, wyciągnął zabandażowaną dłoń i odezwał się:

— Zapłacę, jeśli dasz mi pieniądze.

Spojrzenie miał lodowate i stanowcze. Kobieta poczuła się dotknięta, ale wręczyła mu nowy, szeleszczący banknot stufrankowy, który wyjęła z torebki. Niewielką resztę Mężczyzna bez pytania położył na talerzyku na napiwki.

„Mogę — pomyślała ze złością Kobieta — pozbyć się go, kiedy tylko zechcę”. Ale minęła zaledwie chwila i uczucie wściekłości zniknęło.

Musieli przejść obok Anglika. Właśnie pożerał befsztyk z frytkami, popijając winem „Beaune”. Kiedy go mijali, uśmiechnął się do swego talerza.

Znaleźli wolny stół w rogu sali. Siedli naprzeciwko siebie. Kobieta rozłożyła gazetę i, w przerwach pomiędzy kolejnymi kęsami, czytała na głos. Mężczyzna jadł powoli, uważnie słuchając.

...z Luton do Hamburga. Skierował się do Hanoweru, ponieważ pas startowy w Hamburgu został kompletnie zalany w wyniku oberwania chmury. Emir Kamaru... Cała najbliższa rodzina... To straszne... W tym czworo dzieci. Nikt nie przeżył. Okropne... Jeden z członków załogi żył jeszcze, gdy przyjechały służby ratownicze, ale zmarł w drodze do szpitala... Dwadzieścia jeden osób... Plus osiemnaście na autostradzie.

— Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia jeden ciał?

— Tak piszą. — Sprawdziła jeszcze raz, a następnie rozłożyła gazetę, aby z tekstu na wewnętrznej kolumnie poznać więcej szczegółów.

Ciała czterech osób, które znajdowały się najbliżej miejsca wybuchu, są w tak strasznym stanie, że jakkolwiek identyfikacja jest niemożliwa... To naprawdę straszne... Jednak służby niemieckie uważają, że wszystkie osoby, znajdujące się na pokładzie, zginęły. Czy coś się stało?

Przerwał jedzenie i wpatrywał się w talerz. Po chwili uniósł filiżankę z kawą i uśmiechnął się. Lecz nie do Kobiety. Był to uśmiech triumfu na myśl o spełnieniu się oczekiwań. Kobieta wzruszyła ramionami i wróciła do lektury. Po chwili jednak spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Ale to przecież niemożliwe... Na liście pasażerów powinny znajdować się dwadzieścia dwie osoby.

— Tak, ale mieliśmy jednego nielegalnego... Przeszmuglowanego... Kuzyna emira.

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, tak jakby ten prosty rachunek wymagał sprawdzenia.

— A więc uznają, że jedno z nie zidentyfikowanych ciał to ty. Mam na myśli policję... twoją rodzinę... wszystkich...

— Tak.

— Więc jesteś martwy.

— Tak.

Następna część rozumowania wydała się jej jeszcze bardziej nieprawdopodobna. Usłyszała nutę niedowierzania we własnym głosie.

— I dlatego nie chciałeś, żebym wezwała pogotowie. Przemyślałeś to... W samym środku tego piekła wykalkulowałeś to sobie i wybrałeś najdogodniejsze rozwiązanie... Od początku miałeś nadzieję, że właśnie tak to się wszystko ułoży.

Milczał, lecz jego uśmiech wystarczał za odpowiedź. Po chwili powiedział, że musi jeszcze raz skorzystać z toalety, i poprosił, by na niego poczekała.

Wzdłuż jednej ściany w wąskim przejściu toalety wisiał rząd pisuarów, na przeciwległej zaś — umywalki. Na końcu, prostopadle do przejścia, umieszczono kabiny. Tylko jedna z nich była widoczna dla osób korzystających z pisuarów, gdyż całe pomieszczenie miało kształt litery L. Gdy Charles Churchill, gruby Anglik, wszedł do toalety, Mężczyzna, stojąc przy ostatniej z umywalk, suszył dłonie w strumieniu gorącego powietrza. Jedyne — oprócz niego — człowiek, przebywający w WC, właśnie wychodził. Churchill przeszedł wzdłuż umywalk i pisuarów, i nagle stwierdził, że stoi twarzą w twarz z osobnikiem, który na parkingu groził mu pobiciem. Ludzie pokroju Churchilla nigdy nie czują się zakłopotani ani nie przyznają się do błędów, zarazem jednak są tchórzliwi. Zapewne więc strach kazał mu działać.

— Witaj ponownie. Gdybym wiedział, że jesteś Brytyjczykiem, nie zająłbym tamtego miejsca. Ale siedziałeś w szwabskim samochodzie, na szwabskich numerach...

Patrzył teraz z bardzo bliska na twarz, która przypominała białą maskę. Ruszył dalej, puszczając oko z prostacką jowialnością.

— Chyba nie masz mi tego za złe...? Fajna jest ta twoja kobitka. — Położył dłoń na ramieniu Mężczyzny i wykrzywił twarz w porozumiewawczym uśmiechu. — Ładna... I dobrze, że ma już swoje lata... Takie znają się na rzeczy...

Poklepał Mężczyznę po ramieniu — prawdopodobnie jakaś cząstka jego umysłu ze zdziwieniem odnotowała fakt, że tamten skrzywił się z bólu — i ruszył w stronę najbliższej kabiny. Okazało się, że jest zamknięta. Spróbował wejść do drugiej — także bez skutku. Teraz stał się niewidoczny dla kogoś, kto korzystałby z pisuaru lub umywalki. Mężczyzna rzucił jeszcze okiem na drzwi wejściowe i ruszył za Churchillem. Gdy ten otworzył drzwi do trzeciej kabiny, by do niej wejść, został popchnięty od tyłu. Wpadł do środka. Za nim wszedł Mężczyzna i zatrzasnął drzwi. Lewą ręką przytrzymał szyję Churchilla, a prawą złamał mu kark. Położył trupa na podłodze i zamknął drzwi na zasuwkę. Z kieszeni jego spodni wyciągnął portfel, wyjął dwa grube zwitki banknotów wraz z drobnymi, po czym schował go z powrotem na miejsce. Spuścił wodę. Uniósł ciało, obrócił je i ustawił tak, żeby pod własnym ciężarem zamknęto drzwi. Wyszedł. Po drodze minął dwóch mężczyzn stojących przy pisuarach. Nie zwrócili na niego uwagi. Położył monetę na talerzyku stojącym przed starą *gardienne*, która sprzedawała papier toaletowy. Zbyt późno zauważył, że nie jest to francuska moneta, tylko angielska dwudziestopięciopensówka. Na szczęście kobieta albo też tego nie zauważyła, albo w ogóle jej to nie obchodziło.

— Nie masz imienia, nazwiska... Niczego... Wszystko stracicieś. Zazdroszczę ci. Zrzuciłeś to wszystko z siebie jak wąż, który pozbywa się starej skóry.

Spojrzała na niego. Siedział wciśnięty w kąt między oparciem siedzenia a bocznymi drzwiami i patrzył na nią, obserwując jej profil, gdy pochłonięta była prowadzeniem auta oraz rozmową. Dobrze wiedziała, że nie ma się czego stydzić: długi prosty nos, solidny podbródek, który w przyszłości mógłby nadać jej wygląd wiedzmy, ale na razie prezentował się dobrze. Mężczyzna zaczął odwijać bandaż z prawej dłoni.

— Jesteś pewien, że nie za wcześnie?

— Tak. Myślę, że tak.

Wyciągnął dłoń, aby Kobieta mogła się jej przyjrzeć. Skóra, bardzo zaczerwieniona, skojarzyła jej się ze skórą nowo narodzonego dziecka.

— Nie boli?

— Trochę, gdy mocno ucisnę. Raczej mrowi i swędzi, niż boli. Myślę, że nowo odślonięta warstwa powinna już poznać świat.

Był teraz znacznie bardziej odprężony, i to bez zasługi narkotycznych środków przeciwbólowych. Wyglądał także lepiej. Czuła się w jego towarzystwie coraz pewniej, choć trochę drażniły ją przejawy jego samczej pewności siebie.

— Może właśnie tak wygląda wąż po zrzuceniu skóry — ocierający się o kamienie, zostawiający za sobą starą, za ciasną skórę i znikający w trawie... Co ty właściwie za sobą zostawiłeś? Nie obawiaj się, to mnie nie interesuje. Ale chyba potrafisz co nieco zgadnąć. Przypuszczam... — spojrzała na niego — przypuszczam, że nie cierpisz nudy, że po prostu nie potrafisz jej znieść. Zgadza się...? I że gdyby ci się to wszystko nie przytrafiło, i tak znalazłbyś sposób, żeby wyrwać się ze swego dotychczasowego życia... Prawdopodobnie — nie, na pewno — lepiej, że tak się stało. I teraz jesteś wolny. Naprawdę wolny. To musi być wspaniałe uczucie.

Była bardzo przejęta. Delikatnie złapała go za kolano — gestem bez żadnego seksualnego podtekstu, wyrażającym jedynie jej podniecenie całą tą sytuacją. Jeśli chodzi o kontakty fizyczne, nie miała żadnych zahamowań — bez skrępowania dotykała innych, ścisłała i całowała. Przez chwilę patrzyła na niego, a on na nią. Z ich oczu wyzierała wiedza. I zrozumienie.

— Ciekawe, w jaki sposób skorzystasz ze swej wolności. I jaki będzie twój pierwszy wolny czyn.

W tym czasie w męskich toaletach na stacji benzynowej w Atton panował znacznie większy ruch niż przedtem. Stara *gardienne*, niosąc wiadro, gumową wycieraczkę, szmaty oraz butelkę płynu do czyszczenia, przecisnęła się między mężczyznami stojącymi przy pisuarach i umywalkach. Gdy doszła do końca, zaczęła szukać kabiny, na którą skarżyli się klienci. Dwie były puste, natomiast trzecia zamknięta. Pchnęła drzwi — ustąpiły, ale tylko na kilka centymetrów. Dalej nie dawała rady. W sąsiedniej kabinie rozległ się odgłos spuszczonej wody. Po chwili wyszedł z niej potężny, ponad czterdziestoletni *hell's angel*, ubrany w skórzany kombinezon, brodaty, z wielkim brzuchem i włosami spiętymi w kucyk.

— Nie może pani zrobić czegoś z tym cholernym smrodem? Jakiś gnojek się zesrał i zasnął.

— Próbuje, ale nie mogę otworzyć drzwi. Może by mi pan pomógł?

Hell's angel przyłożył swój potężny bark do drzwi i naparł na nie całym ciałem. Wewnątrz kabiny zwłoki Churchilla ze skrzyconym karkiem i wykrzywioną twarzą uniosły się, przesunęły w bok, aż wreszcie opadły na tył kabiny.

Jasno oświetlone wiadukty widoczne były już z daleka. Trzy pasma jezdni przeszły w sześć. Czerwone światło. Niewielkie budki na wysepkach. Białą napis na niebieskim tle: *PÉAGE*.

— *Vorwärts — eine gebührenpflichtige Autostrasse.*

Przez cały czas rozmawiali po niemiecku. Próbowwała angielskiego, jako że była przekonana, iż to właśnie jest ojczysty język Mężczyzny — przecież samolot leciał z Luton — ale bez skutku. Za każdym razem jedyną odpowiedź stanowiło zimne spojrzenie. Uniosła się na długiej kanapie, znajdującej się za miejscem dla pasażera, i spojrzała ponad oparciem.

— O Boże! Gdzie moja torebka? — Szukała po omacku. — Ile?

— Dwadzieścia pięć franków.

Włożyła monety do jego prawej dłoni. Zwolnił i opuścił szybę. Przełożył pieniądze do lewej ręki, a następnie wrzucił je do automatu. Maszyna wypłuła bilet, światło zmieniło się na zielone, a metalowy szlaban uniósł. Mężczyzna przyśpieszył.

Białą napis na niebieskim tle: *A 10, Patiers 74.*

— Możliwe, że będziemy musieli płacić także w Poitiers, aby pozostać na autostradzie aż do Bordeaux. Zostawię torebkę na wierzchu. Na wypadek gdybym zasnęła.

Położyła się na plecach, pod głowę podłożyła poduszki, zapaliła papierosa i podała go Mężczyźnie. Drugiego zapaliła dla siebie.

— Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo ci zazdroszczę. Próbowала osiągnąć tego typu wolność, ale nigdy mi się to nie udało.

— Dlaczego?

— Kiedy miałam osiemnaście lat, wydawało mi się, że to właśnie to. Uczelnia plastyczna, lata siedemdziesiąte — sam rozumiesz — Wietnam, Frakcja Czerwonej Armii, narkotyki, seks i żadnych obaw przed aids. Ale oczywiście rodzice zagłądali mi przez ramię. Kazali robić drugi fakultet,

nauczycielski, na wszelki wypadek. No i wylądowałam w szkole. Mój Boże, jak ja tego na początku nienawidziłam. Teraz już przywykłam. A później pojawił się pan Wspaniały. To było moje wyjście. I nagle okazało się, że nie tylko już nie jestem rzeźbiarką, którą zawsze pragnęłam zostać, ale nawet nauczycielką. Zostałam kurą domową... Matką...

— Zdarzają się większe nieszczęścia...

„Pewnie zaraz doda: *Kinder, Küche, Kirche*” — pomyślała.

— ...Co prawda nie tak znów liczne. Kopalnia. Armia...

Wyczuła, co kryło się pod jego reakcją: z pewnością nie był górnikiem, musiał zatem mieć do czynienia z wojskiem...

— Rzeczywiście, lepiej dawać życie, niż je odbierać — dodała. Zaciągnęła się głęboko łagodnym gauloisem i mówiła dalej: — Tak czy owak, to nie było to, o czym marzyłam. Choć większość ludzi uważa, że tak właśnie powinno być.

Światła. Zjazd do Chatellerauld Nord.

— Wciąż jesteś mężatką?

Przez chwilę zastanawiała się, czy odpowiedzieć na to pytanie. Przecież, gdyby ona mu je zadała, nie odpowiedziałaby. Lecz jej nie interesowała jego przeszłość. Był „jak nowy”, jak nowo narodzony...

— Nie. Po sześciu latach wykopałam pana Wspaniałego. Ale nie mogłam już uwolnić się od Laury.

„Te dłonie. Ze skórą nowo narodzonego dziecka”.

— Laury?

— To moja córka. Same kłopoty... Dużo by mówić. — To nie był temat, który miała ochotę roztrząsać. — Chryste, ale jestem zmęczona. Na pewno dasz radę prowadzić?

— Tak.

— Świetnie. Powinniśmy dojechać przed świtem. Cały dodatkowy dzień wakacji. — Ziewnęła, także po to by ukryć strach, jaki ją ogarnął, gdy miała zamiar zadać pytanie, które mogłoby mu się nie spodobać. — Słuchaj, panie Nikt, nazywam się Inger. Inger Mahler. Nie znam twojego imienia ani nazwiska i wcale mnie one nie interesują. Ale jakoś muszę się do ciebie zwracać...

— Więc mów właśnie tak.

— Jak? Niemand*? *Mister* Niemand?

— *Herr* Niemand.

Pogodny, przyjemny poranek. Od zachodu i południa niebo prawie czyste — na niebieskim tle tylko parę ostatnich szarych chmur o złocistych, jasnych brzegach. Gdy spojrzeć na południe, widać zamglone, wąskie doliny o stromych zboczach. W górnych partiach północnych stoków leżą jeszcze

* *Niemand* (niem.) — nikt [przyp. tłum.].

gdzieniegdzie resztki śniegu. Wszystko czyste i świeże. Kamienny mur wokół nie pielęgnowanej łąki na zboczu góry. Brama ze stalowych prętów, pomalowanych na czarno, a zaraz przy niej piękny kasztan. W wysokiej trawie stokrotki oraz rumianki. Jabłonie i grusze z dojrzewającymi owocami, morela oraz wiśnia, ogołocone z owoców przez ptaki i małych chłopców... Wysypana białym żwirem droga prowadząca do kamiennego domu i stodoły.

Cranmer, który znów siedział z tyłu, wysiadł i otworzył bramę. Inger wjechała, on zaś zamknął bramę i wszedł z powrotem. Kobieta prowadziła teraz bardzo powoli, wyraźnie rozkoszując się widokiem. Jej rzeźby czekały. Niektóre witały ją, inne ignorowały. Jak zawsze. Wykonane były głównie z arkuszy blachy, powyginanych na kształt liści, kwiatowych płatków, piór, płomieni, lemiesz lub ostrza.

Do stodoły prowadziły podwójne wrota wystarczająco wysokie, by zmieścić się w nich wóz z sianem. Pomiedzy stodołą a domem niewielka wydzielona przestrzeń, porośnięta winoroślą i geranium, tworzyła patio. Winorośl aż ugięła się pod ciężarem owoców, geranium natomiast wymagało solidnego podlewania — wyglądało jednak na to, że przetrwa. Z patio prowadziły do domu boczne drzwi. Od frontu, na parterze, znajdowały się trzy niewielkie, zasłonięte okiennicami okna, a pomiędzy nimi kwitnące białe róże oraz ciężkie dębowe drzwi, zamknięte na potężny zamek. Na piętrze — cztery okna, także zasłonięte okiennicami. Inger zaparkowała tuż przy wejściu i położyła dłoń na kolanie Cranmera.

— To tutaj. Jak ci się podoba?

— Bardzo.

Otworzył drzwi, wystawił nogi, zeskoczył na ziemię, stanął za samochodem i rozejrzał się — dokoła lasy, łąki, domy... Promienie słońca oświetlały wysokie szczyty i zbocza po zachodniej stronie doliny, natomiast stoki wschodnie nadal pozostawały w chłodnym cieniu. Inger także wysiadła, obeszła samochód i stanęła przy Cranmerze.

— Dom jest stanowczo za duży — odezwała się — ale mi odpowiada, a także temu, co tu robię.

Spojrzał na najbliższą rzeźbę. Mogła przedstawiać potężnego owada albo mężczyznę, lub też kobietę spowitych w skrzydła, na których on lub ona, kimkolwiek byli, mieli nadzieję wznieść się nad ziemię.

— Właśnie widzę — odpowiedział.

Siedzący na gałęzi moreli ptak zaczął śpiewać, wydobywając z siebie na przemian to wysokie, to znów niskie dźwięki.

— Przypomina mi słowika.

— To gajówka Orfeusza. No dobrze, Niemand. Co masz zamiar teraz robić?

Wzruszył ramionami. Odwróciła się i skrzyżowała ramiona. Starła się, by jej głos zabrzmiał jak najbardziej obojętnie — nie chciała wywierać na niego nacisku ani też okazywać zbyt dużego zapału.

— Możesz zostać, jeśli chcesz. Przynajmniej do czasu, aż się zdecydujesz,

co dalej robić. Mógłbyś mi pomóc. Jest tu wiele rzeczy do zrobienia, i to takich, do których potrzeba mężczyzny.

— Naprawdę? — Wiedział, że Inger nie może dojrzeć jego uśmiešku. — To by mi chyba odpowiadało. Przynajmniej na razie.

Odwróciła się, dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła, ale zupełnie inaczej niż on przed chwilą.

— A więc załatwione. Chodź, oprowadzę cię...

Chwyciła go pod rękę i ruszyła w stronę patio: stół, ławki, winorośl, geranium oraz — zobaczył ją dopiero teraz — bungenwilla, kolorowe tropikalne pnącze.

— Patio. Przyjemnie marnuje się tu czas po lunchu.

Z grządki kwiatowej, biegnącej wzdłuż ściany stodoły, podniosła trzy spore kamienie, a spod nich — duży stary klucz. Podeszła do drzwi frontowych, otworzyła zamek i pchnęła je. Tuż za progiem wisiała wypłowiała brązowa zasłona z grubego aksamitu.

— Zmniejsza przeciąg — wyjaśniła Inger.

Po lewej — drzwi prowadzące do pokoju dzieciennego, który w gorące dni nie był zbyt często używany; na wprost — wąskie drewniane schody, ograniczone po bokach pobielonymi ścianami; a zaraz obok nich — drzwi do następnego pomieszczenia.

— Kuchnia. Tu, dla odmiany, przyjemnie marnuje się czas przed lunchem. Uff! Wszędzie kurz i pajęczyny, ale doprowadzenie tego do porządku nie powinno mi zająć zbyt wiele czasu.

Rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu: białe ściany, kamienna posadzka, wielki drewniany stół, na którym wiele pokoleń kucharzy przygotowywało posiłki, krzesła z wyplatany z wikliny siedzeniami, na ścianach patelnie, noże, tasak do mięsa, a na półce zakurzone butelki.

— Do jasnej cholery! — wrzasnęła Inger, zatrzasnąwszy drzwiczki szafki, które właśnie uchyliła.

— Co się dzieje?

— Szczury. Cała rodzinka. Jak ja nie znoszę tego gówna! Każdego roku to samo.

— Poradzę sobie z nimi. Zaczekaj w samochodzie.

Zrobiła, co jej kazał — tym razem bardzo z tego zadowolona. Usiadła na miejscu kierowcy i zapaliła papierosa. Mimo grubych kamiennych ścian była wystarczająco blisko, by słyszeć, co dzieje się w domu. Co chwilę dochodziły odgłosy uderzeń czymś metalowym o kamień lub drewno, często jakby przytłumione, a w miarę upływu czasu coraz rzadsze. Widocznie został jeden albo dwa szczury, które nie dały się tak łatwo pokonać. Inger poczuła denerwujące wyrzuty sumienia, jednak szybko je zdtawiła.

W końcu wyszedł. W jednej ręce trzymał plastikowy worek — pełen

i ciężki, a w drugiej — tasak; wiedziała, że nigdy go już nie użyje, choć Niemand umył go wyjątkowo dokładnie.

Poszedł za stodołę, rzucił worek na ziemię i wrócił.

— Później to zakopię.

— Co rok wykładam truciznę. A te skurwiele w ogóle się nią nie przejmują.

— Sprawdzę resztę pomieszczeń.

Żwawo wszedł do domu. Maszerujące po niebie słońce wypełniło samochód światłem i ciepłem. Nagle dom wydał się jej mimo wszystko przyjemnym miejscem. Pomyślała, że nie chce, żeby Niemand oglądał go bez niej jako przewodnika. Zgasiła papierosa i weszła do środka.

Akurat wychodził z pokoju dziecinnego.

— Drzwi były dobrze pozamykane. Nie ma żadnych śladów szczurów.

Zaczął wspinać się po schodach. Dwa środkowe zaskrzypiały. Czworó drzwi. Otworzył pierwsze — prowadziły do dużej sypialni położonej nad kuchnią. Inger weszła za nim, otworzyła okna, a następnie okiennice. Niemand uniósł brzeg ciężkiej, białej bawełnianej narzuty — w rodzaju tych, jakie sprzedają Afrykańczycy na południowych plażach — zajrzał pod łóżko. Następnie wyprostował się i rozejrzał wokół. Białe ściany, kilka obrazów, ciężkie, proste, wiejskie meble. Na stoliku przy łóżku przenośny radiomagnetofon. Niemand otworzył szafę, przejechał dłonią po dolnej półce — trochę ciuchów i stare tenisówki. Poczuł zapach kulek przeciwmolowych. Poza tym nic interesującego.

Łazienka była nowoczesna, choć prosta i raczej ciasna. Jej okno, usytuowane nad krótką wanną, wychodziło na strome wzgórze porośnięte lasem bukowym. Gdy Inger je otworzyła, oboje usłyszeli dzwonki zawieszono na sztykach kóz oraz szum górskiego strumienia.

Druga sypialnia była znacznie mniejsza od pierwszej i znajdowała się nad wejściem do domu. Pod pochyłym sufitem stało pojedyncze łóżko. Przez mansardowe okno wpadało słońce. Wiszący na ścianie plakat z białym gołębkiem Picassa, reklamujący Museu Picasso w Barcelonie, nie bardzo pasował do fotografii Michaela Jacksona, przebranego za kosmonautę, Clinta Eastwoda w *Człowieku bez imienia* oraz trzech surferów płynących po niewiarygodnie wielkiej fali. Na poduszce, zamiast starego pluszowego misia, leżała kukiełka z głową Michaela Jacksona.

— Chyba wszystko jasne? To pokój Laury.

— Wyobraź sobie, że zgadłem.

— Pomyślałam, że mógłbyś z niego korzystać.

— To znaczy, że jej tu nie ma?

— Nie. W tej chwili siedzi ze swoimi znajomymi surferami gdzieś w okolicach Biarritz. Jak jej zabraknie pieniędzy, na pewno się tu zjawi... Aha, dziękuję, że załatwiłeś te cholerne szczury.

Wyszedł z pokoju i chwycił za klamkę od czwartych drzwi. Były zamknięte na klucz.

— To stara część domu. Nawet nie wiem dokładnie, jak wygląda. Trzymam w niej stare meble, które stały tu, gdy się sprowadziłam. Nie sądzę, by gnieździły się tam szczury. Najwyżej myszy.

Odwrócił się i ruszył na dół, a Inger za nim.

— Musiałaś się ich spodziewać. Co zwykle z nimi robisz?

— Sprowadzam sąsiada. Ma teriery...

— Ale tym razem...

— Pomyślałam, że jeśli znowu tu będą, to *Herr Niemand* poradzi sobie z nimi.

— Kuchnia na razie nie przedstawia zbyt przyjemnego widoku. — Zatrzymał się, kładąc dłoń na kłamce.

— Krew nie robi na mnie wrażenia. Posprzątam to razem...

— Dobrze. A później zajmiesz się moimi plecami. Trochę zaczynają dawać mi się we znaki, a nie chciałybym już brać prochów.

— O mój Boże! Na śmierć zapomniałam! Tak dobrze sobie radzisz... Nic po tobie nie widać. Do tego te twoje biedne dłonie.

Pochwyciła jego prawy nadgarstek i rozprostowała palce u ręki, bardzo delikatnie polizała dłoń, której skóra wciąż kojarzyła jej się ze skórą niemowlęcia. Smakowała lekarstwem, a także solą, lekka słodycz zaś wskazywała na niegroźną infekcję.

Przez resztę dnia prawie ciągle spał. Inger posprzątała dom i rozpakowała bagaże, a następnie pojechała do najbliższej wioski po zakupy. Przygotowała skromny, lecz smaczny posiłek: produkowany na miejscu owczy ser, *pain intégral*, brzoskwinie oraz wino „Madiran”. Tego wieczora oboje starali się unikać wszelkich aluzji do tego, że mogliby spać razem, mimo że Inger spędziła sporo czasu myjąc mu plecy i dłonie, zanim udali się do osobnych łóżek. Oparzenia goiły się szybko, a skóra wysychała tworząc pomarszczone łaty. Zaczerwienienie powoli zniknęło.

6

Dwa dni później, gdy popijali kawę i objadali się czekoladkami, Niemand z kwaśnym uśmiechem, będącym chyba zarazem najcieplejszym, na jaki było go stać, zażądał, aby przydzieliła mu jakąś pracę.

— Tak jak obiecałaś. Wiesz, że nie mam w tej chwili dosłownie nic, a jedną z zasad, których... Niemandowie zawsze przestrzegali, jest spłacanie długów.

Inger pomyślała, że chodzi tu bardziej o jego męską ambicję niż o cokolwiek innego, ale nie próbowała się przeciwstawić.

Mogła wykorzystać go do naprawy płotów, sprawdzenia ścian oraz dachu domu, chciała jednak mieć go w pobliżu. I nie tylko dlatego, że — pomimo całego tego chłodu i rezerwy — lubiła jego towarzystwo i podobało jej się jego smukłe, wysportowane, a jednocześnie dojrzałe ciało. Także dlatego, że nie ufała mu i wołała mieć go na oku. Nie przypuszczała, by chciał ją okraść. Wręcz przeciwnie, była przekonana, że tego nie zrobi. Ale bała się, że zacznie grzebać w jej rzeczach i znajdzie coś, co będzie mógł wykorzystać przeciwko niej. Dlatego poprosiła, by wstawił szybę w oknie pod samym dachem stodoły, która oczywiście nie była już stodołą, lecz jej pracownią.

Wysokie podwójne wrota były otwarte. Słońce oświetlało pomieszczenie zimnym światłem, przefiltrowanym przez pajęczyny. Podłogę pokrywały różnej wielkości kawałki metalu — głównie arkusze blachy i pręty, odkupione od jakiegoś bankrutującego zakładu, choć wcale nie tanio. W kącie zalegał sprzęt do spawania — palniki tlenowo-acetylenowe, przydatne do wycinania z blachy żądanych kształtów, oraz wyginarka do blachy, szlifierka i inne narzędzia służące do cięcia, wyginania i polerowania metalu.

Wysoko ponad tym wszystkim, na starej drewnianej drabinie, długiej i wąskiej, wspartej o jedną z belek poprzecznych, stał Cranmer. Na zewnątrz, w gniazdach pod okapem, świergotaty jaskółki karmiące drugi już w tym roku wylęg młodych.

Inger zaczęła teraz rozglądać się za zajęciem dla siebie. Miała projekty oraz szkice przygotowywane jeszcze w zimie, gdy jeździła po północnych Niemczech. Jednak teraz wydawały jej się nijakie i bez znaczenia. Dlatego — zamiast uruchomić swój sprzęt i brać się do przeistaczania planów w rzeźby — usiadła poniżej Cranmera, rozłożyła na kolanach blok dobrej jakości papieru formatu A-3 i, spoglądając w górę, zaczęła kreślić węglem nowe szkice. Robiła je bardzo szybko, przerywając tylko po to, by przed rozpoczęciem następnego spryskać utrwalcaczem poprzedni. Korzystając z póż, które przybierał Cranmer, tworzyła półabstrakcyjne studia mężczyzny obracającego się w przestrzeni.

— Jak ci idzie? — spytała nie przerywając rysowania.

— Dobrze.

— Dłonie w porządku? Nie bołą?

— Nie. Wprawdzie są jeszcze nadwrażliwe, ale dopóki nie muszę nimi zbyt mocno chwytać, wszystko jest w porządku.

Pracowali dalej.

— Jak tam jest na górze? — spytała Inger po chwili.

— Muszę najpierw usunąć starą szybę i kit.

— Nie, nie o to mi chodzi. Jak tam wygląda? Nigdy tam dotąd nie byłam.

— Pełno pajęczyn. I chyba sporo korników.

— Kiedy się tu wprowadziłam, wydałam im wojnę. Cholernie droga zabawa. Więc raczej nie powinno być dużo nowych dziur...

— Chyba masz rację. Gdyby te małe gnojki dalej żyły, w pajęczynach byłyby świeży pył... Zaraz będę musiał stracić kawałek szyby. Spadnie dość daleko od ciebie, ale na wszelki wypadek uważaj.

Szklany trójkąt z wyszczerbioną przeciwprostokątną, stanowiącą linię pęknięcia, wyśliznął mu się z ręki o ułamek sekundy za wcześnie. Spadając uderzył o poprzeczną belkę i rozprysnął się na drobne kawałki, które, lecąc, przez moment rozbłyły jak płomienie w rozproszonym świetle słońca.

— O Jezu!

— Przepraszam, nie chciałem.

— Nie, nie o to chodzi... Po prostu wreszcie wiem, co i jak mam zrobić...

Pracowała teraz jeszcze szybciej. W niektórych miejscach specjalnie kładła grube cienie, by po chwili usunąć dmuchnięciem nadmiar węgla, w innych ciągnęła kreskę cienką i delikatną.

— To nie jest coś, do czego można się zmusić. To przychodzi samo. Albo inaczej: trzeba pozwolić, by zaczęło się z tyłu i skoczyło. Jak tygrys... *Tygrysy Gniewu są mądrzejsze niż Konie Nauczania.*

Przerwał pracę i spojrzał w dół.

— Co to było?

— Blake. Poeta angielski. Tygrysy...

Nie skończyła, gdyż właśnie w tym momencie drabina zaczęła się rozpadać. Najpierw z hukiem pękł szczebel, sypiąc wokół pyłem — produktem działalności korników — a później, gdy noga Cranmera ześliznęła się, drabina

zaczęła się składać. W samą porę puścił ją i, jak akrobata cyrkowy, chwycił się poprzecznej belki, o którą była wsparta. Inger odczuła ból jego rąk. Przez chwilę huśtał się, wypatrując kawałka wolnej przestrzeni pośród rzeźb i kawałków metalu. Znalazł ją tuż obok Kobiety. Puścił belkę i wykonał w powietrzu obrót mający złagodzić upadek. W samą porę wyszedł z salta i wyładował na nogach, niemal w ramionach Inger. Ta szybko chwyciła go za barki, pomagając utrzymać równowagę. Brakowało jej tchu z podniecenia i przerażenia. Nagła błądność zniknęła pod równie nagłym rumieńcem.

— O Boże! Jak ty, do diabła, to zrobiłeś? Kim jesteś? Cyrkowcem? A jeśli nie, to mógłbyś w ten sposób zarabiać na życie!... Och, przepraszam. Naprawdę przepraszam. Ta pieprzona drabina mogła cię zabić... Ale nic ci nie jest. Nic ci się nie stało.

Trzymała go na wyciągnięcie ramion i przez chwilę przyglądała mu się swymi wielkimi, błyszczącymi oczami. Nagle zbliżyła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu. Poczuła ciepło i szorstkość jednoczęściowego kombinezonu, który nadal nosił. Wciągnęła głęboko zapach pyłu spod sufitu, gdzie Niemand jeszcze przed chwilą pracował. W promieniach słońca widziała wirującą kurz. Wyraźnie poczuła, że jego penis zaczyna się wznosić. Zareagowała falą pożądania, narastającą gdzieś głęboko w jej wnętrzu.

— W porządku. Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Odchylił się do tyłu i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Ich twarze pobrały od seksualnego napięcia. Nagle Inger wzdrygnęła się, obróciła i podniosła z ziemi swoje szkice. Ten wierczni przedstawiał nieco abstrakcyjną postać nagiego, lecącego w dół mężczyzny, za którym ciągnęły się płomienie. Cranmer zbliżył się ponownie i Inger pokazała mu rysunek.

— To ty. Wyskakujesz z płonącego samolotu w coś nowego, wolnego i cudownego. Pomożesz mi to zrobić?

Znów poczuła go blisko przy sobie. Szła od niego fala gorąca. Wzięła się w garść. Nie tu i nie teraz. Chciała także uniknąć idiotycznego zrzucania z siebie ubrań, co kojarzyło się jej z miłosnymi scenami rodem z Hollywoodu. Odwróciła się i szybko wyszła na zewnątrz. Jej głos był teraz zupełnie opanowany.

— Myślę, że powinniśmy pojechać do miasta i kupić nową drabinę, ale metalową. Potrzebujemy także jedzenia. Tak, koniecznie musimy jechać do Pau.

Siedział na łóżku Laury. Z góry spoglądały na niego z plakatów twarze mitycznych idoli. Na wprost widział wąskie, lecz wysokie lustro, przykręcone do drzwi. Popatrzył na trzymane w dłoniach zwitki pieniędzy zabranych Churchillowi: sto pięćdziesiąt pięć funtów angielskich i tysiąc osiemset dwadzieścia franków francuskich. Niezła sumka. Problem tylko w tym, żeby pod żadnym pozorem Inger (uczył się właśnie myśleć o niej jako o Inger, a nie o Kobiecie), a więc — żeby Inger nie dowiedziała się o tych pieniądzach. Mimo to włożył do kieszeni dwa banknoty stufrankowe.

Zawołała go z kuchni albo z korytarza.

— Idziesz wreszcie, czy nie? Dobrze byłoby zdażyć do miasta przed zamknięciem sklepów.

Wsunął resztę pieniędzy w głowę Michaela Jacksona i zszedł na dół.

Droga do Pau przedstawiała raczej smętny widok. Jurançon i jego imitujące styl szwajcarskich domków letniskowych lokale, w których podają miejscowe białe wino — kiepskie, ale za to drogie, chociaż czerwone „Madiran” dawało się wypić — fabryka serów w Chaume, wreszcie długi rząd niskich szarych domów z warsztatami i sklepikami oferującymi dosłownie wszystko: samochodowe szyby, wulkanizację opon i dętek, towary po okazjnych cenach, wyjątkowo tanie antyki. Wznosząca się na wzgórzu toporna wieża ciśnięci narzucała miastu swoje groźne panowanie w daleko większym stopniu niż piękny zamek Henryka IV.

Inger — szczęśliwa, że przebywa daleko od Szlezwiku, z dala od starej, na wpół sparaliżowanej i wiecznie zrządzającej matki, od monotonna lekcji dla dorosłych — dostrzegała tylko piękno okolicy, za którą tęskniła prawie przez rok. Chciała, by Niemand też to zobaczył, więc zaryzykowała i pojechała na Boulevard des Pyrénées, chociaż nie spodziewała się znaleźć miejsca na

parkingu. A jednak udało się. Podczas gdy wrzucała monety do parkometru, Cranmer zamykał wszystkie drzwi samochodu.

— Po co to robisz? Przecież w środku nie ma nic, co warto by ukraść, żeby zaś ruszyć, trzeba mieć specjalny kluczyk. Słuchaj i patrz.

Chwycała go pod ramię i poprowadziła na drugą stronę ulicy, na taras widokowy.

— Czyż tu nie jest cudownie? Obejrzyj się za siebie. Widzisz, leżą tam jeszcze resztki śniegu. Ten szczyt, wyglądający jak złamany kieł, to Pic du Midi d'Ossau. Wykopany pod nim tunel prowadzi do Hiszpanii. Następny to...

Później był kolejny i jeszcze jeden, i jeszcze, aż do niewielkiej, odnowionej kolejki linowej, którą *les Anglais* dojeżdżali dawniej z dworca kolejowego do hoteli położonych wzdłuż Boulevard des Pyrénées. Teraz niektóre z nich przerobiono na wytworne apartamenty, a inne wyburzono. Na pustych placach, wyglądających jak dziury po wyrwanych zębach, mają w przyszłości stanać nowe, wysokie i luksusowe, budynki.

— A te drzewa na wprost to mimozy, najpiękniejsze są w marcu. Warto je wtedy zobaczyć.

Doprawdy, nikt nie potrafi zdobyć się na taki lokalny patriotyzm, jak osoby, które kupiły sobie drugi dom za granicą.

Zamówiła drabinę w sklepie specjalizującym się we wszystkim, co może przydać się drobnym rolnikom. Obiecano dostawę do domu następnego dnia. Później zabrała go do hal targowych, tworzących potężny, trzyczęściowy kompleks. W pierwszej mieściło się targowisko miejskie. Kupiła tam rybę, chleb, *beurre en motte* — kawał masła odkrajanego z potężnej bryły — butelkę dobrego czerwonego wina, olbrzymie pomidory, koper, zieloną pietruszkę... Lista zakupów ciągnęła się w nieskończoność. Już po paru minutach Cranmer był znużony.

Następnie przeszli przez wysoką halę, gdzie właściciele ogródków przydomowych lub niewielkich gospodarstw oferowali nadwyżki swych produktów: róże i mieczyki, kurczaki, a także sery domowego wyboru. Inger nakupiła olbrzymie ilości wszystkiego, także kurczaka „na jutro” — żółtego od kukurydzy, którą był karmiony.

Później zaciągnęła Cranmera na targ pod gołym niebem, gdzie sprzedawano koreańskie zabawki, tajwańskie narzędzia, rumuńskie baterie, a także ubrania dżinsowe z naszywkami „Levi's” i „Wrangler”.

— Chodź, kupimy ci coś porządnego do ubrania — zarządziła Inger, chwytając za wywieszoną na jednym ze stoisk kurtkę.

— Nie.

— Przecież nie możesz cały czas chodzić w moich ciuchach. W domu to nie ma znaczenia, ale na ulicy...

— Nie, nie pozwolę, żebyś kupowała mi ubrania. Zapłacę za nie.

— Ale nie możesz. Przecież nie masz...

- Nie mam pieprzonych pieniędzy.
 - Więc zapłacę ci za prace, które dla mnie wykonujesz.
- Zwróciła się do sprzedawcy i spytała po francusku:
- Ile za tę kurtkę?

Udał wściekłość, którą zresztą częściowo odczuwał, odwrócił się na pięcie i odszedł. Ucieszył się, gdy stwierdził, że nie ruszyła za nim. Chciał i musiał być przez chwilę sam.

Oddalał się szybko, żeby się upewnić, że za nim nie idzie, a następnie wszedł w średniowieczne uliczki w pobliżu zamku. Teraz mieściły się tam butiki, sklepy fotograficzne, sklepiki sprzedające *confits du canard* i *foie gras*. Już zaczął myśleć, że popełnił błąd, gdy w końcu dostrzegł to, czego szukał: kiosk z widokówkami, zabawkami i papierosami, a także *télécartes* — z kartami telefonicznymi.

Na rogu wybrukowanego placu o nieregularnych kształtach, tuż przy wejściu do zamku, znalazł budkę telefoniczną. 010? Nie. To przecież Francja. Ale do Szwajcarii na pewno 41, do Zurychu 1, i... szybko wystukał pozostałe sześć cyfr.

— *Darf ich bitte mit Herrn Herz sprechen.*

Przez chwilę czekał, rozglądając się, czy nie dojrzy gdzieś Inger. Nie poszła za nim. Zresztą nie podejrzewał jej o to. Była zbyt dumna, by coś takiego zrobić.

— *Herr Herz?* Wilczarz prosił, bym skontaktował się z panem w związku z pewną sprawą, na załatwieniu której podobno panu zależy. Tak, zgadza się. OK. Dobrze. My również mamy pewne zasady. Dlatego proszę, by od tej chwili nie kontaktował się pan z Wilczarzem. Jeżeli pan to robi, będę uważał umowę za zerwaną. Wszelkie sprawy proszę załatwiać bezpośrednio ze mną. Czy to jasne? Nie, nie. Nie dam panu mego numeru telefonu. Zadzwoń sam. Jutro. Jutro rano, o dziesiątej.

Zastanawiał się, czy Herz mimo wszystko nie spróbuje sprawdzić go u wuja. Czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie? Nie. Dlaczego? Ponieważ wuj powiedział swojej sekretarce, że przez najbliższe dwa tygodnie nie ma go dla pana Herza. Zostało więc jeszcze przynajmniej osiem dni na działanie. Musi się udać, a przynajmniej powinno. Warto spróbować.

Nie śpiesząc się, wrócił na Boulevard des Pyrénées. Po drodze zwrócił uwagę na rozwieszony afisz.

Inger nie było w samochodzie. Rozejrzał się, przekonany, że musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Nie mylił się. Siedziała przy stoliku na tarasie kawiarni, oddzielonym od ulicy niskim kamiennym murkiem. Piła kawę. Oparł się rękami o murek i spojrzał na nią.

- Przepraszam. To było głupie z mojej strony.
- Tak. Było. Ale z mojej chyba też.
- Postawisz mi piwo?

— Pewnie.

Wspiął się na murek, ignorując właściwe wejście, znajdujące się mniej więcej dziesięć metrów dalej, i łamiąc przy okazji jedną czy dwie petunie. Inger zamówiła piwo, lecz w dalszym ciągu wyglądała na obrażoną.

— Jak daleko stąd do Morlàas?

— Kawałek. Jakies piętnaście kilometrów. Czemu pytasz?

— Mają tam dziś jakieś miejscowe święto. I festyn. Lubisz festyny?

— *J'adore les fêtes*. — Już mu wybaczyła. — Pojedziemy? Zaprośisz mnie?

Kelner przyniósł piwo. Cranmer wypił, otarł usta i położył dłoń na jej dłoni.

— Oczywiście, ale pod warunkiem że najpierw pożyczysz mi pieniądze, żebym mógł sobie kupić coś z ubrania. Na afiszu było coś o walkach byków. To możliwe?

— Oczywiście, pożyczę ci pieniądze. — Położyła nacisk na „pożyczę”, by było jasne, że nie będzie mu płacić ani robić prezentu. — A jeśli chodzi o walki byków, to zapewne pokażą *Course Landaise*, a może także *cocarde*. Mają tam ogniste jałówki tej samej rasy co byki używane do *corridy*. *Course Landaise* może być dość nudne, ale *cocarde* jest naprawdę wspaniałe. Umieszczają papierową różę między rogami jałówki, a młodzi mężczyźni próbują ją zdobyć i nie dać się przy tym zranić. W ten sposób popisują się przed swoimi dziewczynami... Fajnie, że jedziemy. Niektórzy uważają, że *fêtes* są głupie i że tylko dzieci dobrze się na nich bawią. Tymczasem ja je uwielbiam. Tyle tylko, że kobieta nie może tam iść sama.

Kupili ubrania, które wybrał: sweter robiony gęstym ścięciem, kurtkę i spodnie z dżinsu, trzy pary slipków, trzy pary skarpet oraz parę ładnych i wygodnych butów. Szczególnie długo wybierał buty. Musiały być elastyczne, lekkie, ale i wytrzymałe, a ich podeszwy nie miały prawa się ślizgać. Wydatek był duży, więc Inger zapłaciła kartą kredytową. Cranmer powiedział, że zanim przyjdzie rachunek, będzie już miał własne pieniądze. Później poprosił o jeszcze tysiąc franków pożyczki, żeby mieć na swoje wydatki, na przykład związane z festynem, na który zaraz się wybierali. Z ironicznym uśmiechem wręczyła mu pieniądze. On z kolei udał, że nie zauważył tego uśmiechu, i we wspaniałym nastroju opuścili miasto.

Odnaleźli wioskę, która z dumą obwieszczała na olbrzymiej przydrożnej tablicy, witającej przybyszów, że w dziesiątym wieku mieściła się tu stolica Béarn i że romański portal tamtejszego kościoła jest *exceptionel*. Wzdłuż ulic ciągnęły się rzędy straganów, które w jakiś magiczny sposób wyrastają wszędzie tam, gdzie ma się odbyć jakiś festyn. Można na nich kupić nugat, tanie lalki i inne zabawki, wafle oraz *merguez* — pikantne, cienkie kiełbaski. Z rozwieszonych głośników grzmiała przeraźliwa muzyka, towarzysząca Francuzom podczas tego typu imprez bodajże od lat trzydziestych. Od czasu do czasu przerywał ją dialog dwojga animatorów, za każdym razem kończący

się zaproszeniem do któregoś z miejscowych sklepów albo lokali. Wszędzie porozwieszano plastikowe flagi, głównie trójkolorowe, lecz także z *fleurs de lis*, godłem królów francuskich. Bez mrugnięcia okiem Cranmer zdobył maksymalną liczbę punktów na strzelnicy. Odebrał nagrodę — potężnego pluszowego niedźwiadka pandę — i chciał wręczyć ją Inger, lecz gdy ta przecząco potrząsnęła głową, oddał maskotkę najbliższej dziewczynce.

Przez godzinę oglądali *Course Landaise*, ponieważ jednak każdy z kolejno występujących zespołów robił praktycznie to samo — zabawa znudziła się nie tylko widzom, ale i jałówkom. Cranmer był zawiedziony, bo rogi zwierząt osłonięto na końcach skórzanymi piłeczkami wielkości pomarańczy. Ponadto rozciągnięto liny, które miały zapobiec dramatycznemu rozwojowi sytuacji. Wszystko polegało na wykazaniu się zręcznością i gracją, przy ograniczeniu do minimum elementu ryzyka.

— Zawsze możemy jeszcze pójść na *cocarde* — zauważyła Inger, gdy wstali ze swych miejsc na prowizorycznej trybunie, wzniesionej pod drzewami w parku publicznym. — Poszukajmy.

W drugim końcu wsi znaleźli niewielką arenę, otoczoną palisadą z grubych desek. Na trybunie stały proste drewniane ławki. Niemal wszystkie miejsca były zajęte. Usiedli w jednym z ostatnich rzędów. Na sygnał srebrnego rogu na arenie pojawiła się pierwsza jałówka. Jej rogi także zasłonięto kulkami, ale znacznie mniejszymi i wykonanymi z korka. W każdym razie bezpośredni z nimi kontakt groził wewnętrznymi obrażeniami. Do czarnego czoła jałówki przytwierdzono małą czerwoną różę.

Już w pierwszej minucie młody śmiałek na arenie otrzymał cios w żołądek i upadł na ziemię. Zostałby stratowany, gdyby nie trzej młodzieńcy, którzy odciągnęli jałówkę za ogon, a kiedy zwróciła się łbem w ich stronę — natychmiast się rozpierzchli. Przez następne dwadzieścia minut tłum krzyczał, wiwatował i wybuchał salwami śmiechu. Jałówka nadal nosiła różę między rogami. Atakowała, robiła uniki i bodła na tle muzyki paso dobie w wykonaniu jakiegoś niewielkiego zespołu. Pokonała jeszcze dwóch chłopaków, zanim organizatorzy zabrali ją z areny, aby odpoczęła. Ponownie zabrzmiał róg i pojawiło się następne zwierzę.

Cranmer wstał. Inger powstrzymała go za ramię.

— Nie idź tam. To zbyt niebezpieczne, jeśli się nie wie, co robić.

— Ale ja wiem.

Zbiegł na dół pomiędzy rzędami ławek i przeskoczył ogrodzenie. Rozległy się krzyki publiczności. Podbiegło dwóch młodych ludzi, próbując wyper-swadować mu udział w konkursie i z niepokojem spoglądając za siebie. Jałówka zauważyła grupę i zaszarżowała. Zdążyli się rozpierzchnąć. Jałówka zawróciła, opuściła łeb i ponowiła atak. Tym razem jej celem stał się sam Cranmer. Uniósł ramiona nad głową, stanął na palcach i zrobił delikatny unik — tak nieznaczny, że róg atakującego zwierzęcia musnął mu udo. Tłum zawył radośnie. Jałówka zawróciła, lecz w chwili gdy przebiegała obok niego — unosząc głowę, żeby go ubość — Cranmer wyciągnął rękę

i pochwycił *cocarde*. Tłum oszalał z radości. Pozostali mężczyźni na arenie odwracali uwagę jałówki wymachując kurtkami, podczas gdy on szedł trzymając różę wysoko nad głową. Inger zauważyła, że jest bardzo z siebie zadowolony. Jednak uśmiech znikł natychmiast z jego twarzy na widok wycelowanych obiektywów. Cranmer rzucił różę w kierunku Inger — zanim jednak do niej trafiła, przeszła jeszcze przez ręce kilku osób stojących bliżej areny. W tym czasie Cranmer przeskoczył ogrodzenie i szybko ruszył w stronę swej towarzyszki.

— Chodźmy — powiedział. — Mam ochotę na piwo.

Lecz publiczność na to nie pozwoliła. Musiał wrócić na arenę, gdzie wręczno mu ozdobioną wstążkami butelkę szampana i zrobiono jeszcze kilka zdjęć.

8

Zauważyli go od razu, gdy tylko zatrzymali się przy bramie: stary 2CV z wymalowanymi na drzwiach i błotnikach falami, po których płynęły na desce surfingowej groteskowe potwory.

Cranmer zamknął bramę za volkswagenem i wsiadł do niego z powrotem.

— Cholera — odezwała się Inger.

— Kto to jest?

— Pewnie Laura. Możliwe, że z tym swoim chłopakiem. Posłuchaj, Niemand. Ona jest bardzo ładna, ale wszędzie, gdzie się pojawia, zaczyna dziać się coś złego. Bardzo złego. Jasne?

Zwolniła ręczny hamulec i puściła sprzęgło.

Siedząc w swoim pokoju na piętrze, Laura usłyszała odgłos silnika volkswagena.

— Wreszcie, Michaelu — zwróciła się do kukielki Jacksona, którą nasunęła na lewą rękę. — Wreszcie dowiemy się, kto spał w naszym łóżku. Ty, oczywiście, wiesz, ale mi nie powiesz. Prawda?

Zsunęła kukielkę z dłoni i odłożyła — ale nie tam, gdzie ją przedtem zostawiła, czyli na poduszkę, lecz do nocnej szafki, w której ją znalazła. Schowała pieniądze — zarówno funty, jak i franki — do zniszczonej białej skórzanej torby na ramię, którą jak zawsze miała przy sobie. Stała przed lustrem, przygładziła krótkie, spłowiałe od słońca włosy, poprawiła kusa i luźną górę z niebieskiej bawełny, tak by ledwie przykrywała jej szeroko rozstawione sutki, obciągnęła nieco szorty, żeby uwidocznić pępek, odwróciła się, przyjrzała swym drobnym, lecz nie chudym pośladkom, cmoknęła zadowolona i zeszła na dół.

Kiedy wyszła przed dom, Inger i Mężczyzna właśnie wysiadali z samochodu. On niósł butelkę szampana, ozdobioną czerwoną wstążką i sztuczną

różą. Trzymał się na uboczu, podczas gdy Inger z córką wymieniały zdawkowe pocałunki. Laura okazała się jeszcze ładniejsza niż jej matka, i to uroda w zupełnie innym stylu. Prowokujący strój, złoty łańcuszek — wisiorkiem-fetyszem, złote bransolety podkreślające opaleniznę — wszystko to tworzyło bardzo agresywny, seksowny wizerunek, nie pozbawiony jednak skazy: polakierowane paznokcie były poobgryzane, pod oczami kładły się głębokie sińce, a wkrótce miało się jeszcze okazać, że ciągle robi nadąsane miny.

— Cześć, mamo.

— Witaj, Lauro. Nawet nie pytam, po co przyjechałaś. Jestem pewna, że nie chodzi o zwykłą wizytę towarzyską. Lepiej wejdźmy do środka — powiedziała Inger i ruszyła ku drzwiom. — Czy ten straszny chłopak jest z tobą?

— Nie. Pożyczyłam tylko jego gablotę. — Spojrzała na mężczyznę i w jej oczach pojawił się pytający półuśmiech. — Nie rozumiem, dlaczego nie miałyby to być wizyta towarzyska. Nie przedstawisz mnie?

Lecz Inger zdążyła już wejść do kuchni. Podeszła prosto do kuchenki i kiedy tamci przekraczali próg, właśnie podpałała gaz.

Nie unosząc głowy, powiedziała:

— Idźcie prosto na patio. Zaraz do was dołączę. Chcecie piwa?

— Raczej wódki z martini.

Mężczyzna otworzył drzwi na patio.

— Niemand?

— Dla mnie piwo.

Ruszył za dziewczyną. Ona usiadła w wiklinowym fotelu obok stołu, na którym on postawił butelkę szampana, a następnie siadł na ławce po drugiej stronie.

— Niemand? Cóż to za imię? A właściwie to imię czy nazwisko? Może mam się do pana zwracać *Herr* Niemand? W każdym razie ja nazywam się Laura. Jestem córką *madame*. Cześć.

— Cześć.

Chociaż docenił wdzięki Laury, zachował zupełny spokój i twarz prawie bez wyrazu. Ona natomiast nie potrafiła ukryć, że się jej spodobał. Wprawdzie trochę zawstydziała ją myśl, że ma w torebce pieniądze, które należą do niego, niemniej jednak mówiła dużo i szybko, starając się nie stracić przyczółka, który już zdobyła. Miała nadzieję, że wywalczy sobie zaproszenie na dłuższy pobyt u matki.

— Coś ty? Przecież nie mogę tytułować cię Niemand.

— W ogóle nie musisz mnie tytułować.

— Chyba rzeczywiście nie. Ale niech zgadnę. Szampan przewiązany wstążką. Czyżbyście wrócili z festynu w Morlâas? Mama ma kompletnego świra na punkcie festynów. W jaki sposób wygrałeś tego szampana? Na strzelnicy?

— Nie. Dostałem go za zdobycie tego — odpowiedział, wskazując *coarde*.

— Spomiędzy rogów? No, no... Jestem pod wrażeniem. Co jeszcze potrafisz?

Weszła Inger, niosąc wódkę z martini dla Laury i piwo dla Cranmera. Usłyszała pytanie i udzieliła na nie odpowiedzi.

— Uprawia narciarstwo wyczynowe, akrobatykę na spadochronie, lotniarstwo. Zabija szczury zębami, a złych ludzi dwoma palcami... — Nie mogąc powstrzymać się od zaimponowania córce, zaczęła szybkimi ruchami ciąć powietrze, niby to naśladować zachowanie mistrza walk Wschodu. — Robi jeszcze dużo innych rzeczy. Proszę, oto wasze drinki. Mój Boże! Ryba już w piekarniku, a szampan jeszcze nie w lodówce!

Chwyciła butelkę i wróciła do kuchni.

Laura uwodzicielsko zamrugała oczami.

— Ho, ho... I co jeszcze? Pewnie niezły z ciebie ogier? Nic dziwnego, że mama ugania się za tobą. No to na zdrowie. — Wypiła, skrzywiła się i westchnęła. — Od razu mi lepiej.

Inger wróciła niosąc dla siebie wódkę z martini. Usiadła naprzeciwko Cranmera.

Laura mówiła dalej:

— Skoro stać cię na robienie tego wszystkiego, musisz być niezłe nadziany.

Inger zareagowała uniesieniem brwi i zabawnym wydęciem ust, tak jednak, by zauważył to tylko Cranmer. On zaś zachował kamienny spokój.

— Tak się składa, że chwilowo nie narzekam na nadmiar pieniędzy. Nie mam ani sou.

— Nie wierzę.

Ale wierzyła. Jego pieniądze spoczywały w jej zniszczonej białej torebce z miękkiej skóry, którą położyła na stole.

— Jesteś najładniejszym chłopakiem, jakiego moja matka miała w tym stuleciu — dodała ze złośliwym uśmiechem. — Długo ją znasz?

Inger, która miała już tego wszystkiego dość, ostro zareagowała:

— Nie twoja sprawa, Lauro. A teraz powiedz wreszcie — ile chcesz?

Duży ciemny ptak nadleciał od strony łąki i skierował się ku belce podtrzymującej winorośl. Na chwilę zatrzymał się w locie, szukając wejścia do gniazda, a następnie gładko wpasował się w otwór.

Laura spojrzała na swoją prawie już pustą szklanekę, a później — z nienawiścią — na matkę.

— Dwa tysiące. Moja część opłaty za mieszkanie.

— Zaraz ci przyniosę.

Po wyjściu matki Laura pochyliła się w stronę Cranmera.

— Skąd ona cię wzięła? Jej kochankowie to zwykle chuderlawi pseudoartyści albo chłopcy w moim wieku, a czasami — po prostu chuderlawi pseudoartyści w moim wieku. Wiesz, była dla mnie tak niedobłą matką, że zostały jej całe pokłady nie zaspokojonego instynktu macierzyńskiego.

Jej matka właśnie wróciła niosąc dwa banknoty tysiącfrankowe.

— Proszę. I nie wydaj tego na papierosy albo prochy. Zapłać czynsz. Jasne?

— Dziękuję, mamó. Zapłacę czynsz. Będę pamiętać. Mogę zostać na kolacji?

— Nie.

— Dlaczego? Jak tylko skończymy, zaraz sobie pojadę.

— Ryby wystarczy dla dwóch osób. Szampana także mamy jednego.

Laura uśmiechnęła się kwaśno, chwyciła torbę i przycisnęła ją do piersi.

— Widzę, że nie jestem tu mile widziana. Więc do zobaczenia. Obojgu? Wysła i po chwili rozległ się warkot silnika jej 2CV.

Cranmer wykrzywił twarz w swym niby-uśmiechu.

— Dzięki Bogu. Już się obawiałem, że rusza tylko i wyłącznie na pych.

Księżyc w trzeciej kwadrze powoli toczył się ponad łańcuchem szczytów górskich. Jego zimne promienie przenikały przez winorośl i bugenwillę, łącząc się w miłosnym uścisku z płomieniem świecy stojącej na stole. Ości ryby i pestki brzoskwini, Niemand i Inger. Na zewnątrz lis obwąchał miejsce, gdzie leżały zakopane w ziemi szczury, i pobiegł dalej, szukając pożywienia. Mała sowa, *Athene noctua*, zahukała i odleciała ze słupa telefonicznego, na którym, nie zauważona, spędziła prawie cały dzień. Inger paliła, oboje popijali brandy.

— Wiem, że byłam okropną matką, a ona mi tego nigdy nie wybaczyła.

— Ale czemu? I czego?

— Zaniedbania. Nie fizycznego, lecz psychicznego. Zdawała sobie sprawę, że jej przyjście na świat jest rezultatem czegoś, co mi się przytrafiło, a nie aktem świadomej decyzji.

— Ale zawsze z nią byłaś.

— Tak.

— Więc nie miała tak źle.

Inger zastanowił chłód w jego głosie, gdy mówił te słowa.

— Ty miałeś gorzej?

— Wydaje mi się, że tak.

— Dobra, Niemand. To mnie akurat nie interesuje. — W jej tonie było teraz sporo animuszu. — Pamiętaj, że jestem twoją terażniejszością, a nie przeszłością. Nie chcę znać twojej przeszłości... Ale przeszłość Laury jest dla mnie sprawą bolesną. W zeszłym roku Laura przebywała w Barcelonie i tam wpadła w narkomanię. Musiałam jechać, odszukać ją i wyrwać z tego. Nie poszło łatwo. Kiedy była dzieckiem, uczyłam ją tańca, później pływania i nurkowania. Była bardzo zdolna. Miałam nadzieję, że zostanie kimś. Ale... — przerwała, wzruszyła ramionami i zgasiła papierosa.

— Zapomnij teraz o niej.

— Tak, masz rację. — Położyła dłonie na jego dłoniach. — Niemand, moja córka myśli, że jesteśmy kochankami.

— Wiem.

— Więc dlaczego nie jesteśmy?

Księżyc dawał akurat tyle światła, ile potrzebowali. Dzięki ciepłej lipcowej nocy nie musieli się niczym przykrywać. Jej córka myliła się. Inger potrzebowała młodych mężczyzn nie po to, by im matkować — przynajmniej nie w łóżku. W łóżku potrzebny był jej męski bożek — mocne, muskularne ciało, broda szorstka, lecz nie drapiąca, członek twardy jak dąb. Potrzebny był jej mężczyzna, dzięki któremu mogła poczuć się jak bogini, jak młoda bogini. A przede wszystkim: znów młoda.

Z wprawą nie pozbawioną pewnej dozy elegancji i szorstkości Cranmer spełnił wszystkie te oczekiwania. Nie było to zbyt trudne, gdyż Inger — bardzo spragniona mężczyzny — we wszystkim wychodziła mu naprzeciw i pomagała mu stać się tym, kim chciała, żeby był. I o ile przedtem wiele razy jego męska pewność siebie bardzo ją drażniła, o tyle w łóżku nie miała nic przeciwko niej. Co więcej, za zupełnie naturalne uznała, że to właśnie on przejął inicjatywę.

Kiedy już nadeszła ta chwila, z radością pozwoliła mu porwać się do góry. Jego dłonie mocno przytrzymały jej pośladki, a tors wygiął się w łuk, tak iż ich ciała nie stykały się powyżej bioder. Gdy nadeszła rozkosz, Inger poczuła, jakby Niemand na rozpostartych skrzydłach unosił ją w przestrzeń. Po chwili skrzydła zniknęły i ta chwila należała już do przeszłości. Ciało Inger zwiotczało, a raczej próbowało to uczynić, lecz on wciąż ją trzymał, a jego twardy jak dąb członek tkwił w jej wnętrzu.

— Ja już... Ja już... — jęknęła. — Proszę, ty też musisz. Proszę, zrób to, nie przerywaj...

W tym błaganiu była pewna doza rozpacz. Inger wyczuła bezwzględność, z jaką nad sobą panował, zanim w nią wszedł.

— Proszę...!

Puścił pośladki, ułożył ręce po obu stronach jej głowy i unióśł tors jeszcze wyżej niż przedtem. Wtedy zaczął pchać — powoli i zdecydowanie, niewątpliwie rozkoszując się ciepłą wilgocią jej wnętrza. Robił to teraz tylko i wyłącznie dla siebie. Po prostu używał jej ciała i nie pozwalał, by choć w minimalnym stopniu była aktywna.

— Tak. Tak... Rób tak jeszcze, najdroższy. Tak...

Zaczęła jęczeć i trochę się ruszać, lecz wtedy on wsparł się dłońmi o jej ramiona tak, że unieruchomił ją całym swym ciężarem. Ucichła więc i czekała, aż skończy.

Później położył się obok niej na wznak. Minęła dłuższa chwila, zanim odważyła się odezwać.

— Potrafisz się kochać, Niemand.

- Czekała. Gdy w końcu się odezwał, jego głos był absolutnie bezbarwny.
- Potrafię się pieprzyć. O kochaniu nie mam pojęcia.
 - Dlaczego?
 - Bo... tak mnie nauczono.

Nieco później zaczął powoli, ostrożnie badać jej ciało ustami i palcami. Podejrzała, że myśląc jedynie o samym sobie, podnieca się jej kobiecością — delikatną szyją, krągłością ramion, miękkością piersi i delikatną sprężystością sutków. Ponieważ sprawiało jej to przyjemność, z pewnym drżeniem zaczęła odwzajemniać pieszczoty.

— Nie. Nie ruszaj się.

Poniechała protestu i pozwoliła mu robić to, co chciał, zmusiła się do uległości i była gotowa, kiedy w nią wszedł; była podniecona i czuła rozkosz, jednak nie udało jej się osiągnąć orgazmu. Wyglądało na to, że Niemanda w ogóle to nie interesuje. Zrobił to jeszcze raz — już o świtaniu, gdy ptaki zaczynały swój świergot, a po zamglonej łące, w pobliżu niemal niewidocznych rzeźb, przebiegł lis, trzymając w pysku kure sąsiadów.

9

O wpół do dziesiątej rano Inger poczuła, że Niemand opuszcza łóżko, pięć minut później usłyszała odgłos zapalnego silnika volkswagena, a następnie jego pykanie na pierwszym biegu. Po chwili obroty silnika spadły. Bez wstawania z łóżka wiedziała, iż Niemand zatrzymał się przed bramą, wysiadł, by ją otworzyć, wyjechał i ponownie zatrzymał się, żeby ją za sobą zamknąć. Po co właściwie to robił, skoro i tak już zachował się nieodpowiednio, pożyczając auto bez pozwolenia? Pożyczając? Przecież mogła go już nigdy nie zobaczyć! Nieważne zresztą: pożyczał czy kradł — tak czy owak zamknąłby za sobą bramę. Tego Inger była w stu procentach pewna. Wiedziała już o nim parę rzeczy, między innymi i tę, że cokolwiek robił — dobrego lub złego — robił to porządnie i dokładnie. Naciągnęła na ramiona kołdrę i pozwoliła sobie na jeszcze trochę snu. Pomyślała, że przynajmniej tyle daje jej seks, nawet w takim wydaniu: gwarancję głębszego i przyjemniejszego snu niż po otepiających środkach nasennych.

Zanim jednak minęła jedenasta, Inger była już po mocnej kawie i podgrzanych bułkach z *beurre en motte*. Siedziała w stodole, przeglądając szkice, które zrobiła poprzedniego dnia. Nie odczuwała nic poza przyływem inspiracji. Żadnego podniecenia. Sama wiedza. Była pewna, że wie już wystarczająco dużo o sobie, o nim i o tym, jakie ma dla niej znaczenie ludzka sylwetka obracająca się w przestrzeni, ciągnąca za sobą pióropusz płomieni ognia — rzeźba, której tworzenie, a kto wie, może także oglądanie, miało stać się wielką radością. Ta wiedza sprawiała, że czuła się szczęśliwa szczęściem, które ją najbardziej upajało: nie miało ono związku z seksem, stosunkami międzyludzkimi, cudowną pogodą... z niczym. Napiła się lodowatego białego wina, wznosząc toast za siebie i pracę, którą właśnie miała rozpocząć.

Po chwili dobiegł jej uszu podwójny rytm: stukającego magneto oraz zwykłego warkotu silnika. Pod górę, stop przed bramą, start. Mężczyzna zaparkował, wysiadł i ruszył w stronę drzwi.

— W samą porę! — zawołała w jego stronę. — Bardzo mi potrzebna twoja pomoc... Załatwiłeś to, po co pojechałeś?

— Tak, załatwiłem.

W jego głosie pojawił się jakiś nowy ton — podniecenie, którego nigdy przedtem nie słyszała. Była zbyt mądra, by kojarzyć je z tym, co robili w nocy.

— Poczekaj chwilę — powiedział. — Zaraz do ciebie przyjdę.

Wbiegł po schodach, wpadł do pokoju Laury, otworzył nocną szafkę i wsunął dłoń we wnętrze kucielki Michaela Jacksona. Już na końcu języka miał coś w rodzaju: „A teraz goń się, Michael”, lecz odechciało mu się żartów, kiedy wyczuł pod palcami pustkę. Szpetnie zaklął.

Osołomiony usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju. Czy któraś z nich zrobiła mu taki żart? Czy pieniądze znajdowały się gdzieś w pokoju, a jego zadaniem było je odnaleźć? Nie, to nie w stylu Inger — wszak ona z prywatności i respektowania prawa ludzi do ich własnego miejsca uczyniła fetysz. Ale córka? W jej przypadku także nie mogło być mowy o żarcie: ona po prostu brała to, co wpadało jej w ręce.

— Pizda — wyszeptał w swym ojczywym języku. — Jebana pizda.

Przez pięć godzin pracował dla Inger jak wyrobnik. Razem cięli blachę, gięli ją, wyginali i skręcili stalowe pręty, wszystko to spawali. Stodołę wypełnił smród rozpalonego metalu. Niemand — czego się spodziewała — znał się na technice, a do tego, gdy pracował, był wyjątkowo karny. Mocno ją to zdziwiło, gdyż okazało się, że jego łatwość w narzucaniu swej woli nie jest związana — a przynajmniej nie tylko — z płcią. Po prostu we wszystkim, czego się tknął, osiągał mistrzostwo. Nie widział zatem powodu, by poddawać się woli innych. Potrafił jednak docenić perfekcjonizm drugiej osoby i poproszony o pomoc w czymś, o czym nie miał zielonego pojęcia, podporządkowywał się i bez sprzeciwu pozwalał sobą kierować.

Metalowa figura zaczynała nabierać kształtów, co niezwykle podniecało Inger — takiego uczucia doświadczają jedynie artyści, no i może jeszcze co niektórzy naukowcy. Cranmer natomiast co chwilę unosił z twarzy osłonę i spoglądał na zegarek.

— Już trzeci raz w ciągu godziny spoglądasz na zegarek. Śpieszysz się na spotkanie, czy też po prostu lubisz na niego zerkać? Pamiętam, jak bardzo się cieszyłam ze swego pierwszego zegarka.

Odłożył spawarkę, zmniejszył płomień, sięgnął do butli, zakręcił dopływ gazu i zdjął z głowy ochronną maskę.

— Przepraszam cię, ale muszę już kończyć.

Niezbyt uważnie słuchała, co mówił. Cofnęła się i z pewnej odległości podziwiała wyłaniające się kształty rzeźby.

— Nie ma sprawy. To odpowiedni moment, by przerwać. Wiesz, samej zajęłoby mi to przynajmniej tydzień...

— To znaczy, że już skończyłaś? — W jego głosie brzmiało niedowierzanie.

— Ależ skąd. Mam jeszcze dużo roboty. To dopiero sam szkielet. Teraz trzeba to dopracować, wypolerować, a nawet barwić. Więc możesz spokojnie jechać na swoje spotkanie. Dokąd? Przepraszam, nie odpowiadaj. Powiedz tylko, jak długo cię nie będzie.

— Możesz mnie zawieźć do Tarbes? Na lotnisko? Wieczorny samolot do Paryża odlatuje za dwie godziny.

Na warsztacie, przy którym wykrawała papierowe szablony, ostrożnie położyła wycięty płat blachy w kształcie ni to liścia, ni to płomienia (dwuznaczność była zamierzona).

— Ty... co? Chryste! — Pohamowała się, lecz tym razem z trudem. Żeby nie zapytać, o co w tym wszystkim chodzi, musiała sięgnąć do rezerw silnej woli, mających źródło raczej w zasadach niż uczuciach. — A więc wyjeżdżasz. Wrócisz?

— Nie wiem. Ale posłuchaj... Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć. Miałem tu schowaną pewną sumę pieniędzy. Nie powiem ci, skąd je wziąłem, więc nie pytaj. To nie twoja sprawa. Wczoraj, przed naszym powrotem, Laura ukradła te pieniądze.

Ogarnęła ją nagła wściekłość, niemal cała skierowana przeciwko Laurze. Nie dlatego, że ukradła, gdyż takie rzeczy zdarzały się już wcześniej, ale dlatego, że przez nią stosunki między Inger i Niemandem stanęły na głowie. Teraz to ona znalazła się w sytuacji dłużnika. Wybiegła ze stodoły i, patrząc w niebo, maszerowała w tę i z powrotem. W końcu jakoś zapanowała nad sobą, wróciła i stanęła przed Niemandem.

— Ile? Ile wzięła ta cholerna mała dziwka? Ile chcesz?

Dwa różne pytania, dwie różne odpowiedzi. Udzielił tylko jednej:

— Przelot dla jednej osoby z Tarbes do Paryża. Obawiam się, że bez żadnych zniżek. I jeszcze trochę na metro i takie tam drobiazgi... Myślę, że tysiąc powinien wystarczyć.

Wymienił mniej niż jedną trzecią kwoty zabranej z portfela Churchillowi i ukradzonej przez Laurę.

Odwiozła go na lotnisko w Tarbes. Jechała dość szybko, gdyż nie chciała, by z jej powodu spóźnił się na samolot. Droga do Tarbes nie jest łatwa. Nawet po modernizacji pozostały na niej niebezpieczne zakręty, szczególnie przed i tuż za Lourdes, na potrzeby którego zbudowano to lotnisko — wszak liczba pielgrzymów przekracza tu milion rocznie. W popołudniowym świetle północne urwiska Pirenejów wydawały się szare i złowrogie. Szosą ciągnął sznur autokarów i samochodów z przyczepami kempingowymi. Kiedy dotarli na miejsce, Inger zaparkowała i — wciąż ściskając kierownicę, jakby jej puszczenie groziło niebezpieczeństwem — odezwała się, patrząc przed siebie i starannie wymawiając wcześniej przygotowane słowa:

— Staralam się nie zadawać żadnych pytań, naprawdę. Ale są dwie sprawy, o które muszę zapytać...

Nic nie odpowiedział. Czekał.

— Po pierwsze, chciałabym wiedzieć, czy wrócisz? Po drugie — jeżeli tak, to kiedy? Zanim odpowiesz, wysłuchaj mnie do końca. Duża częśćka mojego „ja” ma to dokładnie i bardzo głęboko w dupie. Trzy, cztery dni temu w ogóle cię nie znałam i właściwie byłam szczęśliwa. Jeżeli moje szczęście nie było stuprocentowe, to z powodów, na które ty i tak nie masz żadnego wpływu... To sprawy związane z Laurą oraz z moją matką. Za trzy tygodnie będziesz już tylko wspomnieniem. Generalnie — miłym wspomnieniem, pomimo że wiem, iż jesteś skurwielem pierwszej kategorii, ale przynajmniej jest to pierwsza kategoria. A ja podziwiam ludzi, którzy są najlepsi. Obojętne w czym. Poza tym spędziliśmy kilka przyjemnych chwil, więc chciałabym usłyszeć jakkolwiek odpowiedź. A jeżeli bardzo nie chcesz, możesz w ogóle nie odpowiadać, i też będzie dobrze.

Wypadło to mniej więcej tak, jak chciała. Cranmer przez chwilę się zastanawiał, spojrzął na zegarek i oceniwszy, że pozostała jeszcze chwila, odezwał się:

— Niewykluczone, że nie wrócę... Jeśli zaś tak, to za jakieś... cztery tygodnie, nie dłużej. Więc daj mi miesiąc, zgoda?

Sięgnął do tyłu i wyciągnął niewielką torbę, którą najprawdopodobniej kupił rano. Inger chwyciła go za nadgarstek, przytrzymała, ścisnęła, wreszcie puściła.

— *Ciao* — powiedziała tak, jakby to było przekleństwo.

— *Ciao*.

Wysiadł i ruszył w stronę wejścia. Patrzyła, jak przeszedł przez parking i minął sześciokątne betonowe pojemniki z pasteloworóżowymi i niebieskimi petuniami. Ruszyła. Ponieważ jechała w przeciwnym kierunku, niż on szedł, żadne z nich nie widziało, czy drugie macha na pożegnanie. Zresztą żadne tego nie uczyniło.

— Skurwiel. Pierwszej klasy. Ale skurwiel...

Wściekłość zmieniała się w ranę, która piekła...

10

S pędził w Paryżu dwa pracowite dni, zanim udało mu się wszystko przygotować. Były problemy z wyrobieniem dokumentów — musiał zrobić sobie zdjęcia i załatwić jeszcze parę innych drobiazgów. Tymczasem okazało się, że wziął od Inger za mało pieniędzy. Kusiło go, by zrobić użytek ze swej wolności i kogoś okraść, jednak nie chciał żadnych komplikacji. Spał na ławce na stacji Gare du Nord. Dopóki nie miał dokumentów, hotel nie wchodził w grę. Był drugi tydzień lipca, na dworcu tłuma turystów. Cranmer mógł więc czuć się bezpieczny. Dwudniowa dieta, na którą składały się kanapki z tuńczykiem, także mu nie zaszkodziła.

Trzeciego ranka otrzymał szczegółowe instrukcje dotyczące spotkania z mężczyzną, który od tej pory miał być jego bezpośrednim zwierzchnikiem.

Wszystko zostało sprytnie pomyślane. Dokładnie o dziesiątej rano miał wsiąść do kolejki linowej, kursującej między Place St Pierre a Sacré Coeur na szczycie Montmartre. Na górze miał czekać w pobliżu głównego wejścia do kościoła, natomiast po zakończeniu spotkania ponownie wsiąść do wagonika kolejki. Było dla niego oczywiste, w jakim celu wydano mu takie instrukcje: w momencie gdy wsiądzie do wagonika, jego zwierzchnik spokojnie sobie odejdzie, nie obawiając się, że będzie śledzony. Cranmer mógł oczywiście wysłać kogoś za nim. Zdawał sobie jednak sprawę, że od chwili, gdy po raz pierwszy po przybyciu do Paryża skontaktował się z Herzem, znajduje się pod obserwacją — nie robił więc nic, co mogłoby wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Telefonował wyłącznie do nich, i to o z góry wyznaczonych porach, nie podejmował żadnych gwałtownych działań, żeby pozbyć się ogona.

Pogoda była kiepska. Stał z tyłu wagonika i spoglądał w dół na przesuwane się tarasowe ogrody i odsłaniający się widok Paryża. Ciepły wiatr z zachodu nawiewał niskie, ciężkie chmury. W okolicach Orly szalała nawałnica. Cranmer spojrział w przeciwnym kierunku: wszystko skapane było jeszcze w słońcu.

Opuścił peron kolejki jako ostatni. Nie śpieszył się. Szedł powoli, rozglądając się wokół. Kościół ze swymi białymi kopułami oraz głębokimi niszami wyglądał jak stos ludzkich czaszek. Wszędzie pełno było turystów, stanowiących łatwy kąsek dla sprzedawców lodów i tandetnych dewocjonaliów.

Wszedł na taras widokowy, oparł się o balustradę i spojrzął w dół, pomiędzy przyszyżonymi drzewami akacji, na których wyrastały już strączki po opadłych niedawno kwiatach. Zobaczył Sekwanę wijącą się przez miasto i rozpoznał najważniejsze punkty orientacyjne: Notre Dame, Centrum Pompidou, po drugiej stronie wieżę Eiffla i Lasek Buloński.

Reszta zależała już od tamtych. Czekał spokojnie.

Z góry, z głównego portyku kościoła, obserwowało go dwóch mężczyzn. Stanowili dość dziwną parę. Heinrich Herz z AlterLog — około pięćdziesiątki, krępy, średniego wzrostu, wysportowany, o krótko obciętych siwych włosach, ubrany w elegancki garnitur i wełniany płaszcz; z kolei Willi Weise, jego główny poślaniec, mniej więcej o dwadzieścia lat młodszy, gruby i zaniedbany, miał na sobie koszulkę z nadrukiem reklamującym *Foreign Affair European Tour* Tiny Turner (1990), czarną skórzaną kurtkę oraz džinsy, stanowczo za ciasne — ich górny guzik, ukryty pod srebrną klamrą szerokiego, zniszczonego skórzanego pasa, był nie zapięty. Klamrę tworzyły dwie dłonie zacisnięte na nagich pośladkach. Willi uważał ją za bardzo zabawną.

Na dany przez Herza znak Willi zbiegł na dół, w jednej ręce ściskając nesesor, a w drugiej nie zapalony papierosa. Herz obserwował go, jak podchodzi do mężczyzny — znanego im jako *Herr Biedermann* — i prosi o ogień.

Spotkanie trwało krótko. Cranmer przypalił Williemu papierosa, przez chwilę pogadali i — najnaturalniej w świecie — wziął od Williego nesesor, odwrócił się i ruszył w stronę stacji kolejki. Willi odczekał przy barierce, aż Cranmer znalazł się bezpiecznie w wagoniku, którym równie bezpiecznie zjechał w dół. Willi kupił sobie loda i właśnie odwijał go z papierka, kiedy podszedł Herz.

— No i co o nim myślisz?

Willi wgrzył się w czekoladową polewę z siekanymi migdałami, a następnie grubym palcem otarł usta. Wreszcie odezwał się tak ciekim i piskliwym głosem, jakby nie przeszedł jeszcze mutacji:

— Chyba nie jest podstawiony.

— Narodowość?

— Prawie na pewno Brytyjczyk.

— Zawodowiec? Jakież osiągnięcia?

— Raczej tak — roześmiał się cicho. — Nie spodobał mu się makarow, więc musi znać się na rzeczy.

— Ale użyje go? — Herz pozwolił sobie na nutę rozdrażnienia w głosie.

— Powiedział, że tak. Ostrzegłem go, że jeśli tego nie zrobi, uznamy zadanie za nie wykonane.

Ruszyli w kierunku kościoła.

— Wyjaśnił mi także, dlaczego paszport oraz prawo jazdy były dla niego takie ważne.

— Tak...?

— Twierdzi, że nie żyje... To znaczy — oficjalnie uznany jest za zmarłego. Wszyscy myślą, że zginął w katastrofie. Dlatego do każdego nowego zadania potrzebne mu są nowe papiery. Inaczej nie przyjmuje zlecenia. Tak więc, wiemy przynajmniej jedno: facet na pewno nie nazywa się Hans Biedermann.

Zawrócili i po chwili znaleźli się w miejscu, gdzie Willi rozmawiał z Cranmerem. Willi wsadził do ust reszkę wafelka, a następnie wytarł ręce o dzinsy.

— Facet twierdzi, że status osoby martwej gwarantuje mu nietykalność. Przyznaję, że mi się to podoba. Robi wrażenie.

Herz zamyślił się. Po chwili skinął głową.

— Tak, to nie jest głupi pomysł. W końcu trudno zmarłego podejrzewać o morderstwo.

Przyciskając płaski nesesor do piersi, Cranmer przeszedł wzdłuż Rue de Dunkerque i znów znalazł się na Gare du Nord. Wszedł do toalety, położył franka na stojącym przed *gardienne* talerzyku i wziął kawałek papieru toaletowego. Następnie zamknął się w kabinie — wyjątkowo czystej jak na francuski szalet publiczny. Usiadł na desce klozetowej, położył na kolanach nesesor i posługując się podanym mu przez Williego szyfrem — otworzył. Na dnie spoczywały starannie ułożone pliki banknotów: każdy z sową i pierwiosnkiem po jednej stronie oraz facetem w stroju renensansowym („Czyżby to ten, co to malował?”) — po drugiej. Jeśli chodzi o kolorystykę, to zdecydowanie dominował oliwkowozielony. Na tym tle wyjątkowo imponująco prezentował się czarny pistolet automatyczny, przytwierdzony ukośnymi paskami nesesera. Pod nim leżała niewielka książeczka w czerwonej okładce z białym krzyżem. Banknotów było — wiedział to bez sprawdzania — sto dwadzieścia, czyli dokładnie sześć tysięcy franków szwajcarskich. Po przeliczeniu na walutę, której używał najczęściej, dawało to mniej więcej dwa tysiące dwieście funtów. Dał na razie spokój pieniądzom. Najważniejszy był paszport.

Na dobrą sprawę nie bardzo wiedział, jak sprawdzić, czy dokument został podrobiony perfekcyjnie. Musiał zawierzyć swym pracodawcom i własnej intuicji. Rysopis się zgadzał: wzrost — sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, oczy — niebieskie, kolor włosów — ciemny szatyn. Zdjęcie też się zgadzało. Zrobił je trzydzieści sześć godzin wcześniej w samoobsługowym automacie. Rogi zdjęcia zostały zaokrąglone. W prawym dolnym i lewym górnym

odciśnięto pieczęć ze szwajcarskim krzyżem, wokół którego biegł napis: *Ambasse Suisse, Paris*. Papier wyglądał na oryginalny — szarobrazowy ze wzorem w romby, mogące symbolizować górskie szczyty. Nazywał się teraz Biedermann, na imię miał Hans. Urodził się szóstego stycznia 1958 roku. Cranmer znalazł tylko jeden błąd. Paszport wystawiono w lipcu 1990. Miał więc już rok, a nie był w ogóle zniszczony. To samo dotyczyło szarego prawa jazdy, oprawionego w przezroczystą folię.

Pistolet nastęrczał znacznie większy problem. Po pierwsze, ważył mniej niż półtora funta — był więc stanowczo za lekki. Po drugie, Cranmer nie miał zielonego pojęcia, gdzie broń została wyprodukowana. W grę mogła wchodzić równie dobrze Czechosłowacja, jak Chiny albo Rosja. Zresztą nie miało to większego znaczenia, gdyż Cranmer generalnie nie ufał rzeczom wyprodukowanym na Wschodzie. Po prostu nie dowierzał ich jakości. Pięcioramienną gwiazdę, wytłoczoną na kolbie broni, uznał za zły talizman.

W pokrywie nesesera leżała szara koperta. Cranmer wyjął ją i otworzył. W środku znalazł jedną kartkę papieru — w dobrym gatunku, w formacie A-4. Przyklejona u góry fotografia jak do paszportu przedstawiała starszego człowieka w okularach, tweedowej marynarce i kapeluszu z piórkiem. Spoglądał w obiektyw wyraźnie zaskoczony i wściekły. Pod zdjęciem wydrukowano na wysokiej klasy drukarce laserowej imię i nazwisko, *Dr Otto Schumacher*, adres w Wiedniu oraz zwięzły opis zwyczajów i stylu życia. Same fakty, żadnych prób oceny. Regularnie bywa w Staat Opera oraz w teatrze „Miejskim”. Zakupy robi na przedmieściach, tylko wyjątkowo w centrum. Lubi samotne spacery po lesie. W niedziele chodzi z wnukami do wesołego miasteczka, a raz na dwa tygodnie udaje się samotnie na ryby. Tego typu informacje wypełniały trzy czwarte kartki i były — według oceny Cranmera — rezultatem pracy dość kompetentnego prywatnego detektywa. Tylko ta fotografia... Na twarzy Schumachera nie miał prawa pojawić się wyraz zaskoczenia, a już na pewno nie wściekłość.

Wziął dwa pliki banknotów — po dziesięć sztuk każdy — i razem z paszportem włożył je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Pistolet przedstawiał większy problem. Bez olstra nie mógł go nosić. Pozostawił go więc chwilowo w neseserze, który dokładnie zamknął. Później kupił rolę plastra i przytwierdził nim pistolet do ciała. Wcześniej jednak, w oddziale banku przy Gare du Nord, wymienił dwadzieścia banknotów na franki francuskie. Paszport przeszedł tam przez pierwszą próbę. Wypadła pomyślnie. Następnie Cranmer udał się na Gare l'Est, kupił bilet z kuszetką na pociąg ekspresowy, odjeżdżający do Wiednia następnego wieczoru o dwudziestej.

Miał przed sobą dwanaście godzin. Kupił kilka tanich ubrań i równie taną walizkę, wystarczająco obszerną, by pomieściła także neseser. W jednej z dużych restauracji naprzeciwko dworca zamówił tuzin ostryg, befsztyk tatarski oraz butelkę „Blanc de blanc de Limoux”. Przed piętnastoma laty był w Limoux ze szkolną drużyną rugby. Po meczu spili się tym winem prawie

do nieprzytomności. Pozostałe godziny spędził w dworcowym kinie, wyświetlającym na okrągło *soft porno*. Zdążył obejrzeć dwa i pół seansu. To, co zobaczył, było zdecydowanie mniej mocne, ale za to znacznie bardziej zabawne od tego, co trzy noce wcześniej robił z Inger.

Donauinsul to długa, wąska wyspa na Dunaju. Pod koniec drugiego tygodnia lipca 1991 roku była ona widownią robót publicznych, prowadzonych na szeroką skalę. Zarząd miasta postanowił zmienić wyspę w olbrzymi ośrodek rekreacyjny. W związku z tym wszędzie panował niemożliwy do opisanego bałagan.

Wyspę łączy z brzegami rzeki kilka mostów. Najbardziej godnym uwagi wydaje się Reichsbrücke: bardzo nowoczesny i zarazem elegancki, mieści cztery pasma jezdní, dwa tory kolejki oraz osobny trakt dla pieszych.

W sobotę około pierwszej trzydzieści po południu Otto Schumacher wysiadł z kolejki i po stromej rampie zszedł na wyspę. Przez gęste oczka ogrodzenia z siatki, oddzielającego wyspę od rzeki, starał się dojrzeć, czy ktoś nie zajął jego ulubionego miejsca nad wodą. Nie dostrzegł nikogo.

Schumacher był starszym, wysportowanym i bardzo pogodnym człowiekiem. Nosił szklą plus cztery i nieodłączny, nieco wiejski w stylu, kapelusz z piórkami. Pod kapeluszem kryły się słuchawki walkmana. Sam walkman przyczepiony był do paska kurtki. Schumacher niósł sprzęt do wędkowania: kije, siatkę na ryby, mały składany taboret i torbę z osprzętem.

Wszedł na asfaltową drogę i rozejrzał się. Wysokie płoty oddzielały poszczególne place budowy, za nimi zaś spiętrzony beton tworzył coś na kształt zikkuratów. Na hakach nieruchomych dźwigów wisały taczki i inne narzędzia, które z pewnością ktoś by ukradł, gdyby pozostawiono je na dole. Poszedł kawałek dalej. Smutne, rachityczne drzewka z trudem wyzierały z sześciokątnych betonowych obramowań — Schumacher pomyślał, że trzeba całych dziesięcioleci, zanim wyrosnie z nich coś na kształt drzew. Niestety, nie planował żyć tak długo. Przeszedł jeszcze ze sto metrów i znalazł się w swym ustronnym, cichym zakątku, na skrawku ziemi pokrytej zaroślami, trawą, wodorostami oraz niskimi drzewkami, które rosły tam w spokoju od mniej więcej dwudziestu lat. Było to jego ulubione miejsce. Wierzby i inne, podobne do nich, drzewa o srebrnych, wąskich i długich liściach oraz delikatnych żółtych kwiatach wyrastały ponad kępami wierzbowki kipyrczy. Gajówki i zięby karmiły swój drugi tego roku wylęg, a nad głęboką wodą jaskółki polowały na komary i inne owady.

Schumacher postawił kempingowy taboret i starannie, bez zbędnego pośpiechu, zaczął rozkładać sprzęt wędkarski. Nie przychodziło mu to z łatwością. W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat doktor Schumacher, który w przeszłości wykładał filozofię na wielu szanowanych uniwersytetach europejskich, a także wiele wycierpiał w Dachau, doszedł do wniosku, że z całą pewnością człowiek szczęśliwy to taki człowiek, który potrafi jak

najwięcej korzystać z prostych, zdrowych przyjemności, i to najlepiej z wszystkich naraz. Dlatego regularnie pojawiał się na Donauinsul, by popalić fajkę (był wystarczająco stary, aby nie wierzyć, że szkodzi jego zdrowiu), łowić na wędkę okonie, obserwować wartki nurt wielkiej rzeki, wciąż zasilanej przez alpejskie śniegi, oraz posłuchać symfonii *Pastoralnej* Beethovena w wykonaniu orkiestry pod dyktando jego imiennika, Otto Klemperera — i wszystko to naraz. Kiedy na chwilę odrywał wzrok od nurtu rzeki, z jednej strony widział karuzele Prateru, a z drugiej gmachy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pierwsze obiecywały niewinną rozrywkę, drugie zaś — ogólnoświatowy pokój. Przyozdobiony flagami węgierski statek pasażerski, wiozący wielbicieli Mozarta do Budapesztu na obchody Roku Mozartowskiego, wypływał właśnie z portu.

Aromat tytoniu fajkowego oraz dźwięki muzyki Beethovena budziły w doktorze przyjemne doznania. Widok wartkiego nurtu miło go kołysał... Okoń?

Cranmer oddał tylko jeden strzał, wymierzony w miejsce za prawym uchem doktora. Siła odrzutu była tak potężna, że ciało potoczyło się po stromym brzegu i z głośnym pluskiem wpadło do wody. Cranmer wrzucił makarowa do rzeki, najdalej jak potrafił.

Szybkim krokiem oddalił się w kierunku stacji kolejki. Po drodze minęli go dwaj chłopcy wykonujący dzikie ewolucje na deskorolkach. Wchodził na peron, gdy wjeżdżała kolejka. Wsiadł.

Bez problemów zdążył na pociąg odjeżdżający ze stacji Wiedeń Zachodni o godzinie czternastej. Bilet kupił wcześniej. O siedemnastej dwadzieścia pięć wysiadł w Salzburgu, mimo że bilet był ważny aż do Kitzbuhel. Na dworcu autobusowym, położonym naprzeciwko kolejowego, złapał autobus jadący w góry, do Berchtesgaden. Niebawem był już na granicy niemieckiej. Kontrola graniczna była bardzo pobieżna: celnicy przeszli tylko przez autobus, aby upewnić się, czy wszyscy pasażerowie mają paszporty. Ten wystawiony na nazwisko Biedermann nie został nawet otwarty. Cranmer rozejrzał się. Część współpasażerów stanowiły bogate chłopki, wracające z targu w Salzburgu, większość zaś — pojedynczy lub w parach — plecakowicze, którzy zdecydowali się na podróż z wieloma skomplikowanymi przesiadkami, byle tylko zaoszczędzić kilka marek. Konduktor sprawdzał ich bilety skrupulatniej niż chwilę wcześniej celnicy paszporty.

Była to miła przejażdżka komfortowym autobusem po świetnie utrzymanej drodze. Ta dyskretna elegancja i technika przydawały nieco swojskości potężnym górcom, gęstym lasom i okazałym alpejskim łąkom. Odnosiło się wrażenie, jakby u źródła każdego górskiego potoku siedział dobrze ukryty inspektor w mundurze i co godzinę wykonywał testy kontrolne na kwasowość i radioaktywność wody, zanim pozwolił tym ogromnym masom nieskalanej bieli opadać po gładko wypolerowanym granicie. Chyba też żadna spośród licznych alpejskich krów nigdy nie zabrudziła swego wspaniałego jasno-beżowego zadu własnymi odchodami. Dzwonki zawieszane na krowich szyjach, dobrze słyszalne mimo dźwięku pracującego silnika, rozbrzmiewały harmonią tonów. Cranmer pomyślał, że chyba popełnił błąd. Spodziewał się bowiem czegoś bardziej fundamentalnego, zgoła wagnerowskiego.

Niemniej jednak zatrzymał się na dwie noce w luksusowym hotelu na Stang Gass. Trzydziestokrotnie przepłynął dwudziestopięciometrowy basen, odwiedził saunę i do syta najadł się pstrąga z grilla, a także czegoś, co

podawano jako mięso niedźwiedzie. Spał dobrze, w pełnym luksusie — którym jedna połowa jego natury pogardzała, lecz ta druga, głęboko zepsuta, nie potrafiła mu się oprzeć. Zanim jednak poszedł spać jak chłopiec, który zamiast miłości dostał zabawki, pobawił się kolorowym telewizorem z niezliczoną ilością kanałów i programów, wśród nich także pornograficznych, oraz wielką łazienką wyposażoną w olbrzymie ręczniki i w krany, z których ciekła woda za dotknięciem palca.

Nazajutrz, w niedzielę, Cranmer pojechał autobusem do Obersalzburga. Nie skorzystał z wyciągu, lecz pomaszzerował dobrze oznakowanym stromym szlakiem, wiodącym głównie przez las, aż do Orlego Gniazda. Głęboko zirytował go pełen rezerwy i pobłażliwości sposób, w jaki potraktowano to miejsce i wystawiono eksponaty. Pomimo to zaczął odczuwać dziwne mrowienie w klatce piersiowej, przeponie i łądźwiach. Tak reagowała jego dusza na wielkość i potęgę planów jednego tylko człowieka, który chciał zbudować tysiącletnią Rzeszę panującą nad całym światem... W końcu głęboka satysfakcja zwyciężyła nad irytacją i Cranmer ruszył w dół w nastroju uniesienia.

W poniedziałek o dziewiątej czterdzieści sześć złapał pociąg z Berchtesgaden do Traunstein — położonego jeszcze na terytorium Niemiec przedmieścia Salzburga — z przesiadką na przyśpieszony skład z Wiednia do Monachium. W Traunstein miał dość czasu, by pójść do kiosku i kupić poranne wydanie „Bayerische Zeitung”. Pociąg nie był zatłoczony, więc Cranmer bez trudu znalazł wolne miejsce przy oknie. Poczekał, aż zniknęły alpejskie krajobrazy, i dopiero wtedy rozłożył gazetę. Na pierwszej stronie zobaczył duże zdjęcie doktora Otto Schumachera — tym razem w stroju akademickim — oraz nagłówek: SCHUMACHER ZAMORDOWANY. Artykuł zaczynał się od słów: *Pochodzący z Ukrainy Żyd, który od wielu lat ścigał ukraińskich przestępców wojennych, sam stał się ofiarą.* Był jeszcze jeden nagłówek: WOJOWNICY CHRYSYSTUSA PRZYZNAJĄ SIĘ DO MORDERSTWA.

Mniej więcej o pierwszej — już w Monachium — wszedł do „Augustinerkeller” przy Anulfstrasse i przez chwilę przyglądał się wielkiej sali, potężnym granitowym filarom, białym ścianom, sztucznemu bluszczowi oraz prawdziwym porożom. Pośrodku stały długie stoły, natomiast po bokach, w wydzielonych łóżach, dosyć krótkie ławy. Lokal był prawie pełen. Siedzieli w nim głównie biznesmeni, zjadając monachijską *weisswurst* z kapustą i *purée* ziemniaczanym, i zapijając, oczywiście, kufkami piwa z beczki. Kelnerki przyjmowały zamówienia i rozwoziły posiłki na wózkach. Z głośników hałaśliwie przygrywała jakaś bawarska kapela. Przez rytm werbli i świrdujące ram-tam-tam sekcji dętej z trudem przebijały się dźwięki fujarki.

Po dłuższych poszukiwaniach odnalazł Williego w łoży, niedaleko drugich

drzwi wychodzących na Augustinerstrasse. Grubas ubrany był tak samo jak na Montmartre, w koszulkę z Tiną Turner, skórzaną kurtkę i za ciasne dżinsy. Akurat zaczynał pożerać olbrzymią porcję lodów z bitą śmietaną i bakaliami. Cranmer spojrział na niego i spytał:

— Masz zamiar tutaj ze mną rozmawiać?

Weise wzruszył ramionami.

— Czemu nie? — Wepchnął do ust czubatą łyżeczkę lodów. — Przynajmniej nikt nas nie będzie podsłuchiwał, bo i tak nic by nie usłyszał.

— Ja też nic nie usłyszę.

— Jeśli nie usiądziesz, to rzeczywiście — nie. — Weise uniósł swój potężny zad i nieco się przesunął. Cranmer wcisnął się obok niego. Podeszła kelnerka i wręczyła mu wielką, laminowaną kartę dań.

— Weź specjalność kuchni — jest najtańsza. Pamiętaj, gdy jesteś w Monachium, pij piwo. — Weise spojrział na kelnerkę. — Raz specjalność zakładu i jedno piwo.

Cranmer próbował zaznaczyć swe prawo do wyboru.

— Małe piwo.

Weise zajął się lodami.

— Doktor powiedział, że mogę jeść tylko jedno danie w porze lunchu, więc jem to, co lubię najbardziej. Dobrze się spisałeś w Wiedniu. Moi pracodawcy są zadowoleni.

— Wojownicy Chrystusa? Chcesz, żebym uwierzył, że Herz działa w ich imieniu?

— Gównu mnie obchodzi, w co wierzysz. Ważne, żeby inni uwierzyli, że Schumachera załatwili Wojownicy Chrystusa, podobnie zresztą jak następnego, którym masz się zająć.

— Przecież to bzdura. Ci cali wojownicy to kompletni durnie. Rok temu próbowali podłożyć bombę pod samochód brytyjskiego finansisty — pochodzącego oczywiście z Ukrainy — a ona wybuchła im w trakcie przytwierdzania, zabijając dwóch.

Kelnerka postawiła przed Cranmerem półlitrowy kufel piwa, talerzyk z musztardą i położyła owinięte w serwetkę sztuczce.

— Przecież prosiłem o małe piwo.

— W Monachium to właśnie jest małe — wyjaśnił grubas i zwrócił się do kelnerki: — Dużą kawę ze śmietanką i sznapsa poproszę... Tak — wrócił do tematu — to właśnie była ostatnia rzecz, jaką zrobili Wojownicy Chrystusa. Dlatego do tej roboty użyjesz bardzo podobnej bomby.

— Mam się wysadzić w powietrze?

— Oczywiście, że nie. Będziesz nam potrzebny do trzeciej roboty, tym razem naprawdę poważnej. Rozumiem, że potrafisz obchodzić się z bombami?

— Oczywiście, ale nie tak, jak Wojownicy Chrystusa.

Weise zaśmiał się. Kelnerka postawiła przed Cranmerem talerz z wielką białą kielbasą, kapustą i *purée* ziemniaczanym. Odwinął sztuczce, wbił widelec w kielbasę i patrzył, jak przez nakłucia wyływa tłusty sos. Ukroił kawałek.

zanurzył w musztardzie i zjadł. Nie było to takie złe, jak wyglądało. Popił piwem — zdecydowanie dobrym. Wytarł usta papierową serwetką i mówił dalej:

— Ja wcale nie żartuję. Jeśli policja ma uwierzyć, że te morderstwa są dziełem bandy szurniętych Ukraińców, trzeba się postarać, żeby wszystkie okoliczności wskazywały na robotę kompletnych amatorów. I na tym polega trudność...

Zjadł jeszcze trochę, po czym kontynuował:

— Powiedz mi, co z tą trzecią robotą? Następny Ukrainiec? Pewnie tak... Ciekawe, co wy właściwie macie przeciwko nim?

Weise właśnie wyskrobywał resztki lodów z czarki. Łyżeczka stuknęła o szkło i grubas znieruchomiał. Po chwili przeszył Cranmera wzrokiem i rzekł:

— Nigdy więcej nie zadawaj takich pytań. Nigdy.

Cranmer, wściekły na siebie, jadł w milczeniu. Dobrze wiedział, że popełnił błąd: złamał regułę, zdradzając w ten sposób, że nie jest mistrzem, profesjonalistą, lecz zaledwie czeladnikiem.

12

Trzy dni później Cranmer wysiadł w Lipsku z ekspresu Monachium-Berlin. Była dokładnie czternasta dziesiąta. Bolała go głowa od wysłuchiwania opowieści zakonnicy jadącej z Norymbergi do Berlina (dawnego Wschodniego) z wizytą do krewnych — siostrzeńców i siostrzenic. Tematem numer jeden były zachwyty nad krótszą o całą półtorej godziny podróżą, odkąd zlikwidowano kontrolę graniczną pomiędzy Niemcami Wschodnimi i Zachodnimi. Tematem numer dwa była jeremiada pod adresem władz byłej NRD, które w spadku po sobie zostawiły nędzę, ateizm, brud i plugastwo (włącznie z prawem jej siostry do zabicia nie narodzonego dziecka). Teraz biedny kanclerz Kohl musi to wszystko po bożemu uporządkować. W ciągu ostatniej półgodziny do obu tematów zdołała dołączyć trzeci, jak promyk nadziei: przynajmniej jednego można być pewnym — wszyscy Turcy będą musieli wracać do domu, czy im się to podoba, czy nie. Przy takiej fali siły roboczej, napływającej ze Wschodu, nie starczy dla nich miejsca.

Hauptbahnhof w Lipsku jest największym dworcem w Europie. Instrukcje Weisego były jednak na tyle precyzyjne, że Cranmer bez trudu znalazł jadłodajnię po lewej stronie olbrzymiej hali. To rozległe pomieszczenie — z blatami zamocowanymi na wysokości łokci wszystkich ścian i wokół filarów podtrzymujących dach — nie miało żadnych stołów, krzeseł czy choćby stołków. Pod jednym z blatów postawił swoją nową, elegancką czarną walizkę oraz neseser, który Weise wręczył mu w Paryżu, przed Sacré Coeur. Kupił porcję białej kielbasy oraz piwo. Spokojnie czekał.

Z pobliskiego wejścia do męskich toalet Weise przez chwilę go obserwował. Wyraźnie zadowolony z wyniku oględzin, uśmiechnął się do siebie. Cranmer ubrany był w elegancki, bezpretensjonalny ciemnoszary garnitur. Miał krótko obcięte włosy, a na nogach lśniące czarne buty. Weise sprawdził suwak u spodni — ciągle tych samych dżinsów — po czym wszedł do

jadłodajni. W dłoni niósł neser. Postawił go tuż obok identycznej walizeczki przy nogach Cranmera, a następnie przyniósł sobie białą kielbasę i piwo.

Cranmer łyknął piwa, ale wyraźnie mu nie smakowało.

— Bądź moim gościem — mruknął cicho, lecz wyraźnie. Pochwycił neser postawiony przed chwilą przez Weisego i szybkim krokiem ruszył ku wyjściu na Platz der Republik.

Weise wzruszył ramionami i zabrał się za swoją kielbasę. Niemal natychmiast pojawił się przy nim sprzątacze w białym kombinezonie. Ciemny i nie ogolony — wyglądał na Turka. Był namacalnym dowodem, że wbrew temu, co mówiła zakonnica, robotnicy z Zachodu przenosili się na Wschód, podobnie jak spragnieni marek robotnicy ze Wschodu przeprowadzali się na Zachód. Weise kazał mu zmyć się, po czym skończył swoją porcję i wziął się za kielbasę i piwo Cranmera.

Cranmer wprowadził się do hotelu „Astoria”, usytuowanego po drugiej stronie wielkiego placu. Czekał na niego pojedynczy pokój z łazienką. Rozpakował walizkę — zwykłe, proste ciuchy, w większości nowe, jeszcze w oryginalnych opakowaniach. Usiadł przy stole, położył neser na kolanach i otworzył. I tym razem dno wyłożono frankami szwajcarskimi, tyle że teraz było ich dwa razy więcej niż poprzednio. To druga rata za pierwszą robotę oraz zadek na następną. Na banknotach spoczywała szara koperta. Wyrzucił jej zawartość na stół. W foliowych opakowaniach znajdowały się główne dokumenty, wszystkie laminowane, pokryte ładnym drukiem. Cranmer rozparł się wygodnie na krześle z wysokim oparciem i zaczął czytać — powoli i uważnie.

Nagłówek powtarzał się we wszystkich oficjalnych językach Interpolu — angielskim, francuskim i hiszpańskim — oraz w niemieckim: *Lipsk 1991 — Międzynarodowa Konferencja Antyterrorystyczna*. Były to najprawdopodobniej materiały wręczane wszystkim przybywającym delegatom. Cranmer znalazł też zdjęcia dwóch ludzi, zrobione z całą pewnością bez ich wiedzy. Na jednym był Rosjanin — trochę podobny do Chruszczowa — a w tle dwaj potężni goryle; na drugim zaś Brytyjczyk w stroju cywilnym opuszczający właśnie budynek Scotland Yardu i zapinający płaszcz. Zawartość koperty uzupełniały: plastikowy wytrych z informacją, że umożliwi wejście na trzecie piętro hotelu „Merkur”, oraz identyfikator z napisem: *Nadinspektor Ken Wright. Policja Londyńska*. Miejsce na fotografię pozostawało puste.

Pokrywa nesesera mieściła w sobie dwa kilogramy semtexu, mały japoński budzik, baterie oraz miniaturowy detonator, też japoński.

Cranmer przez chwilę przekładał to wszystko z ręki do ręki. W końcu westchnął:

- Mój Boże, a cóż to za gówno? — I sam udzielił sobie odpowiedzi:
- Tego właśnie używają Wojownicy Chrystusa.

Następnego ranka około ósmej Cranmer wszedł do hotelu „Merkur”. W tym samym czasie nadinspektor Wright — dobrze trzymający się pięćdziesięciolatek, ojciec trojga dzieci, po raz drugi żonaty — wyszedł z wanny, stanął przed lustrem i zaczął się golić. Za plecami miał otwarte drzwi łazienki. W pełni korzystał z luksusu gorącej kąpieli, nie przerywanej przez gromadkę dzieciaków wpadających co chwila do łazienki na siusiu lub kupkę. Świadom tego, gdzie jest — a nigdy dotąd nie był aż tak daleko na Wschodzie — śpiewał po angielsku *Lili Marlene: Underneath the lamplight, somewhere over...*

Nagle zamarł, gdyż w lustrze zauważył jakiś ruch. Zareagował prawie natychmiast: szybko odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z napastnikiem. Pierwszy cios, mierzony w szyję, udało mu się zablokować, jednak na moment stracił równowagę. To wystarczyło. Nie zdołał zasłonić się przed potężnym kopniakiem w splot słoneczny. Zgiął się wpół, a wówczas morderczy cios w podbródek dosłownie wrzucił go do wanny. Uderzył potylicą w kran. Jego wzrok stał się szklisty.

Cranmer przez chwilę zastanawiał się, co dalej. W końcu pochylił się, chwycił ofiarę za kostki i pociągnął. Głowa Wrighta znalazła się pod wodą.

Cranmer wszedł do sypialni. Na stoliku przy łóżku leżał stos papierów, a wśród nich także te z konferencji antyterrorystycznej. Była również plakietka identyfikacyjna. Cranmer pochwycił ją jedną dłonią, a drugą wyciągnął z kieszeni falsyfikat z przyklejonym już swoim zdjęciem. Przez chwilę porównywał uważnie.

— Prawie idealnie — mruknął zadowolony. — Dobra robota, Willi.

Przypiął swój identyfikator do klapy, rozejrzał się jeszcze po pokoju i wszedł do łazienki. Nic się nie zmieniło oprócz tego, że na wodzie, ponad owłosionym brzuchem mężczyzny, widniała żółta plama moczu. Cranmer zamknął drzwi do łazienki i — posługując się wieloczynnościowym nożem — przekręcił zamek. Chwycił tabliczkę *Nie przeszkadzać* i powiesił ją na klamce frontowych drzwi od strony korytarza. Wyszedł, rozejrzał się, zamknął drzwi wytrychem i schował go do kieszeni. W końcu zdjął rękawiczki chirurgiczne i wsunął je do drugiej kieszeni. Przycisk w windzie wcisnął łokciem.

Około stu policjantów kilkunastu narodowości zbierało się powoli w holu Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu w Lipsku. Powoli, ponieważ przed wejściem do środka każdy był kontrolowany. Dane z identyfikatora porównywano z danymi w spisie uczestników, a twarz na zdjęciu z twarzą osoby noszącej plakietkę. Trwało to dość długo. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby odróżnić poszczególnych uczestników konferencji. Prawie wszyscy byli wysocy, dobrze zbudowani, w garniturach, krawatach i dokładnie wypolerowanych butach. Każdy trzymał w ręku nesesor. Na tablicy informacyjnej w samym środku holu wyświetlano program konferencji.

TERRORYZM: WOJNA, KTÓRĄ WYGRAMY. Godz. 9.00, sesja plenarna; oficjalne otwarcie konferencji — burmistrz Lipska, sala wykładowa I. Godz. 9.30–10.30, grupa A — Doświadczenia rosyjskie, część pierwsza — pułkownik Kalnicki z Ukraińskich Oddziałów Antyterrorystycznych, sala wykładowa II.

Cranmer spacerował po holu z neseserem w rękę i plakietką na nazwisko Wright w klapie. Na chwilę zatrzymał się przy tablicy informacyjnej. Żadnych zmian — informacje idealnie zgodne z podanymi w papierach. Właśnie z nich się dowiedział, że sala wykładowa II znajduje się na samym końcu drugiego korytarza, po prawej stronie. Ruszył w tamtym kierunku.

Tymczasem w pobliżu wejścia robił się coraz większy tłok. Niemal jako ostatni, tuż przed przybyciem burmistrza Lipska zjawili się członkowie delegacji rosyjskiej, a wśród nich pułkownik Kalnicki, który zdając sobie sprawę z podobieństwa do Chruszczowa, podkreślał je jeszcze bardziej, nosząc filcowy kapelusz. Stał przed tablicą informacyjną, odwrócił się i zaciśniętymi dłońmi obu rąk, uniesionych nad głową, powitał wszystkich obecnych. Wówczas odezwał się do członków swej obstawy:

— W porządku. Macie teraz wolne... — Spojrzał na zegarek. — Cztery godziny. Czekać tu o pierwszej.

Uśmiechnął się do stojących wokół niego policjantów, rozłożył ramiona i powiedział:

— Wreszcie wiem, że jestem wśród przyjaciół...

Trzy kwadranse później stał na mównicy w sali wykładowej II. Przed nim leżały notatki, do których od czasu do czasu zerkał przez dwuogniskowe okulary. Mówił powoli, dając tłumaczom szansę dobrego wykonania roboty.

...wraz z pierestrojką i dokonującą się z wolna, lecz nieuchronnie instytucjonalizacją ukraińskiego nacjonalizmu, sytuacja uległa całkowitej zmianie. Podstawy działania grup takich jak Wojownicy Chrystusa są dziś zupełnie inne. Dlatego trudno obecnie przewidzieć, kto lub co może stać się obiektem ich ataków. Przykładem niech będzie sprawa nieodżałowanego profesora Otto Schumachera. Z tego powodu praca nasza stała się jeszcze trudniejsza. Z drugiej jednak strony, wierzę głęboko, że ci bandyci niedługo już pozostaną bezkarni.

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie po drugiej stronie sali: dziewiąta czterdzieści pięć. Właśnie w tym momencie w sali wykładowej III eksplodowała mównica. Ofiarą padła sprzątaczką.

W nagłówkach gazet powtarzał się w różnych wariantach ten sam tytuł: **WOJOWNICY CHRYSYDUSA PRZYZNAJĄ SIĘ DO BŁĘDU — KALNICKI UCHODZI Z ŻYCIEM.**

Mały chłopiec, mniej więcej dziesięcioletni, który zgubił się rodzicom — i wyglądało na to, że się tym w ogóle nie przejął — stał przed klatką z gorylami, naśladując ich miny. Po chwili podszedł do pawianów, *Papio cynocephalus*, skąd widział róg tarasu kawiarni, gdzie przy stoliku siedział, rozmawiając, dwóch mężczyzn. Malca bawiło zarówno podobieństwo małych do ludzi, jak też ludzi do małych — szczególnie grubasa, który obżerał się lodami. Mały też nabrał ochoty na lody i po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, gdzie jest mama. Drugi mężczyzna wydał mu się nudny — szary garnitur i nic ponadto. Do stołu podszedł jeszcze trzeci — niski, krępy, elegancko ubrany. Grubas wstał, by się z nim przywitać.

— *Herr Herz, Herr Biedermann.*

Cranmer ani nie wstał, ani nie podał Herzowi ręki. Przybysz usiadł naprzeciwko niego, zdjął cienkie zamszowe rękawiczki, rozpiął lekki płaszcz. Chociaż był lipiec i świeciło słońce, wiał zimny wiatr od strony Jeziora Zuryskiego.

Podszedł kelner. Mały zastanawiał się, czy ten nowy zamówi lody. Ale nie — głupi wziął tylko kawę, która, jak wszystkim dobrze wiadomo, jest ohydna. Przybysz rozejrzał się.

— Głupie miejsce na spotkania — powiedział. — Mogło przecież padać. W Zurychu nigdy nic nie wiadomo. Jeśli jeszcze będziemy musieli się spotkać, to w biurach AlterLog. Zgoda?

— Nie — odrzekł Biedermann oschle.

Weise odezwał się pojednawczo:

— *Herr Herz* pragnie jedynie stworzyć atmosferę wzajemnego zaufania. Czyż nie tak, Heinrichu?

— Oczywiście.

Odpowiedź pozbawiona była choćby jednej ciepłej nuty, więc przy stoliku zapadło kłopotliwe milczenie. Mały podszedł bliżej, a kiedy mężczyźni

wznowili rozmowę, zaczął naśladować ich mimikę i gesty, tak jak to robił przed klatką z gorylami i pawianami.

— To coś naprawdę dużego — powiedział Weise, nabierając łyżeczką lody.

„Nie są znów takie duże — pomyślał mały. — Na urodziny dostałem większe”.

— Spodoba ci się — ciągnął Weise. — No i pieniądze... Poważne pieniądze.

— Tak? — Cranmer starannie ukrył podniecenie wywołane ostatnim zdaniem.

Podszedł kelner i postawił przed Herzem kawę. Ten wyjął z kieszeni pudełeczko ze słodzikiem, wrzucił dwie pastylki do filiżanki, zamieszał, wypił łyk i spojrzał prosto w szare, zimne oczy Cranmera.

— Trzysta tysięcy franków szwajcarskich — mruknął. — Oczywiście za takie pieniądze oczekujemy czegoś specjalnego, chyba zdaje pan sobie sprawę.

Weise przechylił pustą czarękę po lodach.

— Pięć osób — powiedział. — Pięć ściśle określonych osób. Będą przebywały w jednym miejscu w tym samym czasie. Ale okoliczności muszą wskazywać na to, że atak wymierzony został tylko w jednego z tych ludzi.

— Będzie ochrona?

— Och, tak — powiedział Herz. — Myślę, że tak.

— Mając na uwadze twoje dotychczasowe działania, możemy chyba bez ryzyka pomyłki przyjąć, że ochrona będzie — dodał obłudnie Weise. — Są jeszcze inne przesłanki.

Cranmer już go nie słuchał. Lodowatym wzrokiem wpatrywał się w stojącego nieopodal chłopca. Ten zaś powoli odwrócił się i ruszył biegiem, prosto w ramiona swojej roz targnionej matki.

Na miejsce następnego spotkania Cranmer wybrał przyjemny stateczek parowy pływający po Jeziorze Zuryskim. Siedzieli na górnym, otwartym pokładzie. Nad nimi łopotała szwajcarska flaga. Jej widok przywołał Cranmerowi na myśl dowcipy o szwajcarskich marynarzach. Wokół pływali narciarze wodni i windsurferzy. Istna idylla.

— I ma to wyglądać na robotę Wojowników Chrystusa?

— Bezwarunkowo — odpowiedział Herz. — To chyba jedyna rzecz nie podlegająca dyskusji.

— Zdaje pan sobie sprawę, jakie to stanowi utrudnienie?

Weise wmieszał się w rozmowę:

— Przecież główny obiekt doskonale pasuje jako cel ataku Wojowników Chrystusa.

Cranmer nie uważał, by to wiele zmieniało.

— Problem polega na tym, że Wojownicy Chrystusa to dupki i partacze. I używają głównianego sprzętu: makarow, bomba połączona z baterią

i budzikiem... A robota, taka jak ta, wymaga urzędzeń wysokiej klasy. Dużo wyższej. Szanse unieszkodliwienia za pomocą bomby zegarowej pięciu obiektów naraz — są raczej nikłe. Niezbędny wydaje się pilot na podczerwień lub inne urządzenie działające na odległość.

Herz trochę ustąpił.

— Jeśli powie pan dokładnie, czego potrzeba, załatwimy to jakoś.

— W porządku. A więc po pierwsze, użycie jakiegokolwiek pilota wymaga obecności osoby przez cały czas obserwującej obiekt czy — jak w naszym przypadku — obiekty. I tu pojawia się problem z obstawą. Po drugie, ładunek z całą pewnością trzeba przenieść przez kordon ochroniarzy i umieścić w takim punkcie, żeby załatwił całą piątkę naraz. A do tego niezbędni są pomocnicy. Dwaj...

Zdawał sobie sprawę z ich konsternacji. Nie wyglądali na zbyt zachwyconych.

— Tych akurat jestem w stanie zorganizować. Znam odpowiednich ludzi.

Herz kichnął. Postawił kołnierz płaszcz.

— Nie mogę wyrazić zgody bez porozumienia się z moimi... z osobami, które płacą za tę robotę.

Za całkowitym brakiem reakcji Cranmer skrywał swoje zainteresowanie tożsamością tych osób.

Stateczek zawrócił w kierunku brzegu. Herz znowu kichnął.

— Będziemy musieli umówić się na jeszcze jedno spotkanie — powiedział — lecz tym razem w pomieszczeniu zamkniętym.

Cranmer nie zdawał sobie sprawy, że wybrał lokal dla homoseksualistów. O piątej po południu, kiedy tam zajrzał, kawiarnia „Edelweiss” była prawie pusta. Tylko dwie eleganckie kobiety, mocno umalowane, w milczeniu popijały herbatę przy stoliku. Dopiero później przyszło mu do głowy, iż mogła to być para transwestytów. Na moment zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy przy wejściu do męskiej toalety jest aparat telefoniczny. Był. Upewniwszy się co do tego, Cranmer udał się na zakupy. Znając odpowiednie miejsca, można w Zurychu kupić wszystko, i to za nieduże pieniądze. Nie miał więc żadnych problemów ze zdobyciem tego, czego szukał.

O dziewiątej wieczorem lokal „Edelweiss” objawił swój prawdziwy koloryt. Dominował róż — twarze kelnerów i barmana pokrywała gruba warstwa szminek. W lokalu panował spory ruch — większość klienteli popijała egzotyczne koktajle, których przygotowanie wymagało od barmana iście żonglerskich wyczynów z butelkami i shakerami. Każdą szklaneczkę zdobiła mała parasolka z kolorowego papieru i srebrna pałeczka do mieszania.

Cranmer upewnił się, że zakupione wcześniej niewielkie urządzenie znajduje się na właściwym miejscu i działa, a następnie udał się do toalety.

Przy pisuarach stali dwaj mężczyźni — jeden młody, drugi starszy. Obaj wyraźnie mieli ochotę obejrzeć jego fiuta i byli bardzo rozczarowani, kiedy ustawił się tak, że nic nie mogli zobaczyć.

Po opuszczeniu toalety trochę się zdenerwował — Herz i Weise siedzieli już przy stoliku i obserwowali wejście. Nie miał więc jak ukryć faktu, że przybył tu przed nimi, chociaż i oni stawili się sześć minut przed umówionym czasem.

Postanowił, że przynajmniej zajdzie ich od tyłu i posłucha, o czym rozmawiają.

— Czemu, do kurwy nędzy, wybrał tę cholerną knajpę? Chyba nie jest pedałem?

— O ile wiem, nie jest — odpowiedział Weise, wiercąc się w skóropodobnym fotelu.

Kelner z błyszczącym kolczykiem w kształcie krzyża w uchu podszedł do stolika i położył kartę. Weise chwycił ją natychmiast, zapewne w nadziei, że znajdzie szeroki wybór lodów, lecz srodze się zawiódł, gdyż zawierała jedynie listę niezwykle wyrafinowanych koktajli wraz z żartobliwym opisem różnorodnych doznań, jakie każdy z nich gwarantował po wypiciu.

— Nie ma tu piwa? — głos Weisego był bardziej płacziwy niż rozdrażniony.

Cranmer wykorzystał pojawienie się kelnera do odwrócenia ich uwagi od faktu, że przyszedł wcześniej i obserwował ich.

— To moi goście. Trzy piwa proszę.

Kelner zaczął wyliczać z pamięci długą listę oferowanych w lokalu piw, przeważnie takich, które na obwolutach miały więcej folii aluminiowej niż tani szampan. Cranmer przerwał tę wyliczankę:

— Proszę trzy z beczki. To wszystko.

Kiedy już usiadł, Herz pochylił się ku niemu nad stołem i powiedział:

— A więc tak: rozumiemy, że potrzebny panu będzie sprzęt znacznie wyższej klasy. Otrzyma go pan, oczywiście pod warunkiem, że artykuły wymienione w pańskim spisie — wyjął z kieszeni kartkę i rozłożył ją na stole — są rzeczywiście tak łatwo dostępne, jak pan twierdzi. Jest i drugi warunek. Cała sprawa ma bezwzględnie wyglądać na robotę Wojowników Chrystusa.

Wypił łyk piwa i otarł usta. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był znacznie cichszy niż przedtem.

— Sprawa numer dwa, czyli współpracownicy, którzy — jak pan twierdzi — są niezbędni. Chyba rozumie pan, że dwaj dodatkowi ludzie poważnie zwiększają ryzyko. Dlatego nie mogę ich zaakceptować, o ile nie dostanę gwarancji, że po zakończeniu całej sprawy nie będą stanowili dla nas zagrożenia.

Siadł prosto i spojrzał na Cranmera wzrokiem mającym wszystko wyjaśnić. Weise postanowił rozwiązać ewentualne wątpliwości.

— Muszą zostać uciszeni. Na zawsze — powiedział.

Cranmer udawał, że się namyśla. Łyknął piwa, uniósł głowę i rozejrzał się. Kelner, sądząc, że Cranmer patrzy na niego, uśmiechnął się zalotnie. Nie doczekawszy się reakcji, wzruszył ramionami i wrócił do swych zajęć.

Po chwili Cranmer końcem parkerowskiego długopisu wskazał jedną z pozycji wyszczególnionych w leżącym przed Herzem spisie.

— W takim razie t e g o będę potrzebował dwie sztuki, a nie jedną. To załatwi obydwaj problemy, o których pan wspomniał.

Herz i Weise zamyślili się, wyraźnie próbując odgadnąć, po co może być potrzebny drugi pilot na podczerwień, służący do uruchamiania detonatora rtęciowego.

— Tak. Chyba rozumiem, o co panu chodzi. W porządku. — Herz złożył kartkę i schował do kieszeni marynarki. — A zatem wynośmy się stąd. Następnym razem spotka się pan z Willim w Barcelonie, na...

Cranmer przecząco potrząsnął głową i stuknął czubkiem długopisu o szklany blat.

— Nie — powiedział. — Chcicie, żebym pozbył się dwóch wartościowych współpracowników, a to kosztuje.

Weise wiedział, że teraz jego kolej.

— Trzysta tysięcy franków szwajcarskich, a ty chcesz więcej?! Daj spokój!

Spojrzał na Herza, szukając poparcia, lecz ten nie zwracał na niego uwagi.

— Ile? — spytał krótko.

— Dwa razy więcej.

Zapadła cisza. Zarówno Herz, jak i Weise zrozumieli, że Cranmer nie zamierza się targować.

— Dwa razy więcej... Muszę zatelefonować. — Herz powoli wstał i zapinając marynarkę rozglądał się za kelnerem.

— Jest tu telefon?

— Na dole, kochaniutki. Przy toaletach.

Herz ruszył pomiędzy stolikami. Weise i Cranmer przez chwilę próbowali się wzrokiem, ale Weise nie wytrzymał, wyjął pilniczek i zaczął opijać piwem.

Godzinę później Cranmer znalazł się w zaciszu pokoju hotelowego. Usiadł na łóżku i wyjął z kieszeni miniaturowy magnetofon „Sony”. Od gniazdka na mikrofon biegł cieniutki czarny przewód połączony z maleńką owalną płytką, po jednej stronie metalową, po drugiej pokrytą sztucznym tworzywem. Był do niej przytwierdzony kawałek plasteliny. Cranmer odłączył mikrofon, włączył przewijanie wsteczne, poczekał, aż taśma wróci do początku, wcisnął klawisz *play*, ustawił siłę głosu i czekał. Po chwili rozległy się trzaski wybieranego numeru, sygnał, a w końcu głos kobiety:

Rezydencja pana Winckelmanna. Kto mówi?

Heinrich Herz. Czy może mnie pani połączyć z Herrn Winckelmannem?

Przez chwilę słychać było odgłosy przełączania. Cranmer pomyślał, że facet musi być grubszą rybą, skoro ma w domu centralkę telefoniczną. Głos, który zabrzmiał, był chropawy, przesiąknięty brandy i dymem cygar.

Tak, Heinrich? O co chodzi?

On chce dwa razy więcej.

Ale robi to?

Za podwójną stawkę — tak.

I robi to dobrze? Tak jak chcemy?

Tak.

Więc zgódź się, ale nie od razu. Musi być przekonany, że więcej z nas nie wyciągnie.

Odgłos odkładanej słuchawki.

Cranmer siedział przez chwilę z twarzą wykrzywioną grymasem niezadowolenia. Nie podobała mu się ta wymiana zdań i wyczuwalny w niej ton konspiracji, jakby określone decyzje już zapadły i nie było sensu ponownie do nich wracać. Niemniej jednak główny cel został osiągnięty. Cranmer cofnął taśmę, włączył odtwarzanie i wsłuchał się w odgłosy wybierania numeru:

— 73 31 35 — mruknął do siebie. — Tylko sześć cyfr. Rozmowa miejscowa.

Następnego ranka o jedenastej przed południem zatelefonował pod ten numer.

— Rezydencja pana Winckelmanna. Niestety, pan Wickelmann już wyszedł.

— A gdzie mogę go znaleźć?

— Niech pan spróbuje w biurach Prolebenteku na Zollikerstrasse. Czy podać panu numer telefonu?

Cranmerowi nie był on na razie potrzebny. Chwilowo wystarczała mu sama nazwa firmy.

CZEŚĆ DRUGA

Carlos Negrín, menedżer oddziału Prolebenteku w Barcelonie, stał w hali Estación de Sants i przyglądał się, jak ubrani w niebieskie kombinezony robotnicy rozwieszają potężny transparent, który miał być pierwszą rzeczą, jaką po wyjściu z peronów zobaczą podróżni. Negrín spoglądał nań z dumą, jak mecenas, który zamówił dzieło sztuki według własnych wymagań, sprowadza wkład artysty wyłącznie do umiejętności warsztatowych. Zwrócił się do Williego Weisego:

— Jak ci się podoba?

— Bardzo ładny.

Tworzyli parę przeciwieństw. Willi — niski, gruby, w skórzanej kurtce, dzinsach i koszulce z Tiną Turner; Negrín — wysoki, z kręconymi czarnymi włosami, ubrany w niczym się nie wyróżniający garnitur. Wyraźnie lubił błyskotki: złote spinki u mankietów, na małym palcu niewielki onyks.

Zawiązano ostatni węzeł mocujący transparent i ostatni robotnik zaczął składać drabinę.

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA ZIELONYCH, 2-6 WRZEŚNIA 1991. BARCELONA WITA DELEGATÓW — głosił napis na transparentie w czterech językach: katalońskim, kastylijskim, niemieckim i angielskim. W jednym rogu znajdował się mniejszy napis — *Konferencja sponsorowana przez Prolebentek* — oraz logo firmy: pisane groteskiem litery PLT, pochylone pod takim kątem, że przestrzeń pomiędzy literami L i T tworzyła prostokąt wypełniony stylizowanym rysunkiem słońca. Wzdłuż całego transparentu biegł ornament *à la* Joan Miró, lecz w kolorach zielonym i żółtym, czyli zupełnie nie w stylu artysty. Niewielu dziś projektantów graficznych w Barcelonie tworzy prace wolne od wpływu Miró, Picassa albo Dalego. Taka panuje tam moda i Negrín nie widział powodu, żeby się jej przeciwstawiać.

Weise rozdeptał peta na marmurowej posadzce i spojrzął na zegarek.

— *Madame* powinna tu być lada moment. Nie chciałbym, aby zobaczyła nas razem. *Ciao*.

Ruszył truchtem w stronę wejścia do metra. Dłonie trzymał w kieszeniach kurtki, a głowę wysunął do przodu. Szybko drobił nogami, jakby próbując dogonić uciekający środek ciężkości.

Negrín odwrócił się twarzą do ruchomych schodów i także spojrzął na zegarek. Chwilę później zobaczył zbliżającą się kobietę o siwych prostych włosach. Była już dość stara i korpulentna, lecz żwawa i wciąż w dobrej formie. Miała jasne, natchnione oczy, haczykowaty nos, a policzki różowe i tak delikatne, że trudno byłoby uwierzyć, że kiedykolwiek coś nieczystego — na przykład alkohol lub mięso — skałało jej krew. Ubrana była w dżinsy i sweter. Przez jedną rękę przerzuciła jakiś ciuch z wełny, w drugiej niosła dużą torbę podróżną.

Choć nigdy przedtem jej nie widział, nie miał cienia wątpliwości, że to ona. Nie miałyby ich zresztą nikt, kto choć odrobinę orientuje się w działalności Zielonych w Europie. Ruszył jej na spotkanie.

— Doktor Arendt? To wielki zaszczyt dla Prolebenteku, a także dla mnie osobiście...

Obdarzyła go ironicznym uśmiechem, zarezerwowanym dla ludzi, którzy byli na tyle nieroztropni, by zawracać jej głowę takimi głupstwami, niemniej jednak podała mu rękę.

— To ładnie z pana strony, że wyszedł pan po mnie — powiedziała pogodnie i pozwoliła mu wziąć torbę, która okazała się znacznie cięższa, niż się spodziewał.

— Przepraszam. Są w niej głównie książki i dokumenty. Cieszę się, że udało mi się pozbyć tego ciężaru. Sam pan sobie winien, młody człowieku, nie trzeba było oferować mi pomocy.

Zrobiła krok do tyłu i rozejrzała się: to dla niej charakterystyczne — była ciekawa całego świata, każdego nowego miejsca, które odwiedzała. Zauważyła transparent.

— Mój Boże! Chyba trochę za wcześnie, prawda? Przecież jest jeszcze ponad tydzień.

Negrín uśmiechnął się obłudnie.

— My tu, w Hiszpanii, mamy kompleks *mañana*. Ponieważ wiemy, że inne narody uważają nas za wyjątkowo niepunktualnych, robimy wszystko z wyprzedzeniem. — Ruszył w stronę wyjścia. — Jest tyle czasu, że zdąży pani zostawić swoje rzeczy w hotelu. Pierwsze spotkanie, w siedzibie *Guàrdii Urbana*, zaplanowano na dwunastą...

Dziesięć minut później na Placu de la Universitat, jakiś kilometr od dworca, Weise obserwował, jak mężczyzna, znany mu nadal jako Biedermann, wysiada z autobusu. Ubrany był w dżinsy i niósł dużą, starą i zniszczoną walizkę. Weise dał się zobaczyć odpowiednio wcześnie, gdyż nie chciał, by

Cranmer ewentualnie podejrzewał, że jest śledzony. Przeszedł sześciopasmową Gran Via i z odległości około dziesięciu metrów uniósł tłustą dłoń w geście powitania. Cranmer odpowiedział tym samym. Były to osobliwe gesty przezorności, wywodzące się z teorii, która głosi, że zwyczaj podawania ręki wziął się z potrzeby pokazania, że nie ma się broni. W rzeczywistości Cranmer i Weise wcale nie podali sobie rąk ani Weise nie zaproponował, że poniesie walizkę Cranmerowi. Wskazał na małego fiata pandę, zaparkowanego po drugiej stronie jezdni.

Doktor Julia Arendt, deputowana do Parlamentu Europejskiego, z zasady nie poświęcała wiele czasu policjantom. Żywiła do nich głęboką niechęć. W ciągu sześćdziesięciu lat swej działalności politycznej (po raz pierwszy brała udział w demonstracji antynazistowskiej w rodzinnej Brabancji jako sześciolatnie dziecko) była kilkakrotnie spałowana, czterokrotnie aresztowana i dwa razy pobita na komisariacie. Niemniej kapitan Martín z Guàrdia Urbana w Barcelonie miał szansę stać się drugim policjantem, dla którego robiła wyjątek od tej zasady.

Będąc niepoprawną optymistką, zawsze ufała pierwszemu wrażeniu. Z kolei jako realistka niejednokrotnie zmieniała opinię, przy czym mogła się mylić, jeśli chodzi o pozory, nigdy zaś w kwestiach istotnych. Pierwsze wrażenia, jakie odniosła po wejściu do siedziby Guàrdii Urbana przy Ramblas 43, były niemal wyłącznie pozytywne. Budynek zbudowano w roku 1593 dla Szkoły Filozofii, przebudowano w 1786, a później pozostawiono własnemu losowi aż do dziewiętnastego wieku, kiedy to odrestaurowano go, a ostatnio przekazano nowo powstałej Guàrdii Urbana. Jego wąską ścianę frontową wyłożono szarym kamieniem z odcieniem różu. Jednakże za tą nowoczesną, brzydką i ciężką fasadą krył się arkadowy dziedziniec w kształcie czworoboku o pięknych renesansowych proporcjach. Szerokie kamienne schody prowadziły do znajdujących się na pierwszym piętrze biur. Wszystko tam było czyste, zadbane, funkcjonalne i przyjemne. Policjanci, których minęli po drodze, także wydali się Julii Arendt schludni i eleganccy. W niczym nie przypominali facetów, którzy chodzą po komisariacie w rozchełstanych niebieskich koszulach z podwinętymi rękawami. Jeden z nich wprowadził ją wraz z Negríнем do biura kapitana Martína.

Stały tam nowoczesne metalowe meble — nowe, o ładnej kolorystyce. Wesole plakaty (niewolne bynajmniej od syndromu: Miró-Picasso-Dali) były głównie poświęcone Guàrdii. Jeden dotyczył jej roli w ochronie zbliżającej się olimpiady, inny — w zapewnieniu bezpieczeństwa uczestnikom konferencji Zielonych.

Xavier Martín miał około czterdziestu lat, był wysoki, przystojny, ubrany w taki sam jak wszyscy inni mundur, tyle że z paskami na pagonach. Z gośćmi przywitał się serdecznie, lecz bez wylewności, którą popisał się Negrín. Arendt od razu go polubiła. Była kobietą, której, pomimo jej wieku,

sprawiło przyjemność towarzystwo silnego, przystojnego, dobrze zbudowanego mężczyzny.

— Nigdy nie przypuszczałam, że odwiedzę Guardię Cuartel w takim charakterze — powiedziała siadając na okrągłym tapicerowanym krześle podsuniętym jej przez gospodarza.

Przez moment znieruchomiał, lecz po chwili uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, doktor Arendt, że nie myli nas pani z Guardią Civil?

— O Boże! Chyba rzeczywiście. Mundury, co prawda, macie inne, ale tyle rzeczy zmieniło się w Hiszpanii...

Zaczął tłumaczyć jej, że Guardia Civil nie istnieje już w Katalonii, a Guàrdia Urbana to niedawno utworzona formacja, pełniącą funkcję policji municypalnej. Jej zadaniem jest kontrola ruchu drogowego, opieka nad turystami, interwencje w razie wypadków. Jeśli zaś chodzi o działalność antykriminalną, to zadaniem Guàrdii Urbana jest głównie prewencja. Funkcjonariusze patrolują najbardziej niebezpieczne dzielnice, starają się ograniczyć handel narkotykami i zapobiec przemocy. Zabezpieczają także imprezy publiczne. Właśnie dlatego doktor Arendt została zaproszona.

— O ile się orientuję — zakończył Martín — Prolebensklub wspólnie z zarządem miasta przygotowali dość długą listę miejsc, do których pragną zabrać uczestników waszej konferencji. Myślę, że powinniśmy udać się na krótką przejażdżkę po mieście i odwiedzić te miejsca. Opiszę pani wówczas wszelkie środki bezpieczeństwa, jakie wydają mi się konieczne do zastosowania.

Była wystarczająco stara i zbyt dobrze знаła mężczyzn, by nie wiedzieć, że nie pora teraz się sprzeciwiać. „Zobaczymy — powiedziała do siebie. — Zobaczymy, a później pomyślimy, co z tym fantem zrobić”.

Renault 21 ze znakami Guàrdii Urbana, prowadzony przez następnego miłego młodego człowieka, zabrał najpierw całą trójkę do wioski olimpijskiej położonej na południowo-zachodnich zboczach Montjuich. Oprócz głównego stadionu, który zbudowano z okazji Targów Światowych w roku 1929, pozostały teren wyglądał jak olbrzymi plac budowy, której zakończenie przed upływem tego wieku wydawało się bez szans. Arendt zwróciła uwagę, że wśród robotników przeważali Arabowie i Afrykańczycy. Powstrzymała się jednak od komentarza. Jednym z powodów, dla których zajęła się działalnością publiczną, była walka o prawa dla emigrantów zarobkowych. Obiecała więc sobie, że nie omieszka sprawdzić, na jakich warunkach są zatrudniani na tej budowie. To, że zasiadała w Parlamencie Europejskim, zawdzięczała nie tylko członkostwu w partii Zielonych, z ramienia której tam się znalazła. Tak naprawdę liczyły się jej lewicowe przekonania, rodem ze starej, dobrej szkoły, których nie zdołał odmienić ani Stalin, ani nawet Gorbaczow.

Estadi Olímpic robił wielkie wrażenie. Kiedy przechadzali się po jego terenie, Negrín zapoznał ją z lokalizacją bufetu dla uczestników konferencji, który ma stanowić wkład Prolebensklubu w organizację konferencji.

— Mam nadzieję, że zjawi się ktoś z naszej centrali w Zurychu — może

nawet sam *Herr Winckelmann* — i powita waszego przewodniczącego czy też prezydenta...

Zniecierpliwienie doktor Arendt po raz pierwszy dało o sobie znać.

— Nie mamy ani przewodniczącego, ani prezydenta. Niech pan posłucha. Nie będę mogła zarekomendować komitetowi organizacyjnemu programu, który pan proponuje. Przyjeżdżamy do Barcelony zajmować się poważnymi sprawami. Mamy na to zaledwie pięć dni, a co pan nam proponuje? Dwa przyjęcia, wycieczkę po mieście, przejażdżkę kolejką linową i jeszcze ten bufet na stadionie, że już nie wspomnę o tych wszystkich drogich posiłkach w rybnej restauracji...

— Ale za to wszystko płaci Prolebentek, przecież wie pani o tym.

— I właśnie o to mi chodzi. Planujemy osiem sesji wypełnionych intensywną pracą. Chcemy zakończyć obrady wydaniem wspólnego komunikatu. I nie mamy zamiaru dopuścić do tego, by świat zaczął nas postrzegać jako sześćdziesięcioro dziwaków objadających się za darmo...

Zamilkła. Na razie. Nie był to bowiem odpowiedni czas ani miejsce.

Wysoko nad nimi, na trybunach, Cranmer spojrział na Weisego i skinął głową. Weise wzruszył ramionami, ale się nie sprzeciwił.

Renault 21 zawiózł ich pod stację kolejki linowej, którą dotarli na sam szczyt Montjuich. Przeszli kawałek przez las (co spodobało się Arendt) i znaleźli się na stacji drugiej kolejki. Był słoneczny, gorący dzień i większość ludzi podziwiała cudowne widoki: w oddali szczyty gór, linię wybrzeża i rozciągające się w dole jedno z największych i najwspanialszych miast na świecie, zbudowane tak, że bez trudu można rozróżnić poszczególne kwartały. Jednak oprócz całego tego piękna Arendt widziała również mgłę spalin samochodowych, białe chmury pyłu unoszące się nad placami budów oraz żółtawą mgiełkę szkodliwych wyciewów, zalegającą wzdłuż wybrzeża.

W powrotnej drodze Martín z dumą pokazywał co ciekawsze obiekty i miejsca. Na prawo znajdował się olbrzymi plac budowy na terenach po wyburzonych dziewiętnastowiecznych magazynach, rozciągający się aż po zbocza Montjuich. Na skałach widniały ślady po świeżych eksplozjach. Miały tu powstać wioska olimpijska i port olimpijski. Tereny dawnej, średniowiecznej przystani, a w dziewiętnastym i dwudziestym wieku — portu, przekształcały się w olbrzymie osiedle mieszkaniowe i zespół rekreacyjny. Po zakończeniu olimpiady ponad dwa tysiące domów trafi w prywatne ręce. Już teraz rozpoczęto ich sprzedaż: za jedyne czterysta tysięcy dolarów od sztuki... O wszystkim tym Martín mówił z wielką dumą. Arendt dosyć oschle zauważyła, iż na murach dostrzegła plakaty oraz graffiti żądające zwrócenia portu ludowi.

Przejechali przez stację kolejki zlokalizowaną na samym czubku minia-

turowej wieży Eiffla, ustawionej na głównym falochronie portu. Martfn zmienił temat stwierdziwszy, iż starsza pani nie za bardzo popiera to, co tu się dzieje. Zwrócił więc jej uwagę na stojący po lewej stronie pomnik Kolumba i wysokie kominy z cegły, pozostawione jako pamiątka po wielkich zakładach tekstylnych, dzięki którym w pierwszych dwóch dziesięcioleciach dwudziestego wieku Barcelona stała się drugim co do wielkości i bogactwa miastem w Europie. Martfn opowiedział też historyjkę, mającą wystawić nie najlepsze świadectwo skuteczności Guàrdii Urbana. Otóż w prima aprilis jedna z gazet poinformowała, że w nocy terroryści wysadzili w powietrze pomnik Kolumba.

— Chyba wszyscy właściciele samochodów ruszyli, żeby to zobaczyć. W całym mieście potworzyły się gigantyczne korki. Byliśmy bezsilni... Nie mieliśmy żadnych szans.

Uwagę Julii Arendt przyciągnął brzeg morza. Z miejsca, w którym się znajdowali, widać było około czterdziestokilometrowy pas wybrzeża, ciągnący się w kierunku Francji. Rzucali się w oczy dwie rzeczy. Po pierwsze — rozległe tereny budowlane, a po drugie — rozmach, z jakim wznoszono samą wioskę olimpijską, ten zadziwiający zespół wież i zikkuratów, przejść, deptaków oraz centrów handlowych, ciągnący się pięć kilometrów na wschód i pięć na północ. Wszystko to miało być ukończone w ciągu niespełna roku. Doktor Arendt szczerze w to wątpiła. Pomimo kilku potężnych wież i setek dźwigów połyskujących w słońcu, cała budowa wydawała się w powijakach. Julia Arendt znów zaczęła się zastanawiać, czy osoby, które to budowały — nie miała bynajmniej na myśli architektów, projektantów i dyrektorów — odniosą jakiegokolwiek długofalowe korzyści z efektów swej pracy. Bo doraźne, owszem: przy wszechobecnym bezrobociu mieli pracę, i to stosunkowo dobrze płatną. Ale w jaki inny sposób mogliby z tego wszystkiego korzystać zatrudnieni tutaj Andaluzyjczycy, Marokańczycy i Afrykanie z najdalszych zakątków Sahary?

Za całym tym gigantycznym placem budowy ciągnęły się rafinerie i zakłady chemiczne. To właśnie dzięki nim Barcelona osiągnęła na nowo dobrobyt po tym, jak przemysł tekstylny przestał przynosić wielkie zyski.

Zbliżali się do drugiej wieży. Negrín chwycił doktor Arendt za łokieć — za co go znenawidziła — i wskazał na pobliskie plaże.

— Barceloneta! — wykrzyknął. — I jedno z najlepszych rybnych restauracji na świecie. Tu właśnie planujemy zabrać was na lunch w poniedziałek.

— O nie, nic z tego. Myślę, że wyrażę opinię nas wszystkich mówiąc, że wolelibyśmy coś skromniejszego.

— Ale straciecie w ten sposób wspaniałą okazję. Woda tutaj jest zatruta. W miejscu, które powinno służyć z najwspanialszych plaż w Europie, wejście do morza grozi niebezpieczeństwem. Skierujemy na was kamery. Będziecie mogli powiedzieć, co o tym myślicie.

Renault 21 czekał na nich u stóp wieży, w której znajdowała się stacja kolejki linowej w Barceloncie. Gdy się zbliżyli, kierowca stojący przy masce i rozmawiający z ulicznym patrolem — mężczyzną oraz kobietą — zgasił papierosa i zasalutował.

— Kapitanie, ci z Policia Nacional próbowali się z panem skontaktować.

— Czego chcieli?

— Inspektor Estrada prosił, abyście zajechali do niego w drodze powrotnej. Chodzi o konferencję Zielonych.

— Nie bardzo wiem, co jemu do tego? — Martín otworzył drzwi przed Arendt. — Ale w porządku. Zawieź nas na Via Laietana.

Niecały kilometr od tamtego miejsca Weise i Cranmer podążali za kelnerem do stolika w rogu tarasu przed „Casa Pez”. Taras to może zbyt wielkie słowo — było to po prostu podium z desek, odgródzone od reszty otoczenia i zapełnione plastikowymi stolikami. Przy każdym zamocowano niebiesko-biały parasol.

Przed oczami mieli piaszczystą plażę. Wypełniał ją tłum opalających się — głównie osób około trzydziestki i starszych. Prawie wszystkie kobiety występowały w kostiumach topless, przy czym ich majteczki znalazłyby bez wątpienia lepsze zastosowanie jako nić do czyszczenia zębów. Mężczyźni nosili dość skąpe slipy, głównie z połyskującej satyny. Praktycznie wszyscy byli opaleni na ciemny brąz. Niektórzy stali, inni spacerowali, jeszcze inni kłęczeli lub leżeli. Nikt nie pływał. Zdziwiło to Cranmera.

— Dlaczego? — spytał Weisego.

— Ponieważ woda jest zatruta. Jeśli się do niej wejdzie, można dostać wysypki, wrzodów i różnych parchów. — Weise wziął do ręki kartę i wręczył ją Biedermannowi. — Ja zamówię tylko lody, ale tobie radziłbym spróbować zarzuelę — to smażone kawałki ryby w pikantnym sosie.

15

Mieszcząca się przy Via Laietana siedziba Komendy Głównej Policia Nacional przeszła najgorsze oczekiwania doktor Arendt. Przede wszystkim Laietana nie miała w sobie nic z uroku Ramblas — była ruchliwą arterią, po obu stronach zabudowaną nowoczesnymi lub wzniesionymi na przełomie wieków wysokimi budynkami. Poza tym — mimo wielu zmian: liberalizacji, dość szerokiej autonomii dla Katalonii i tak dalej, i tak dalej — Policia Nacional zachowała w sobie jakąś cechę sił okupujących wrogie terytorium. Jej poprzedniczką była Policia Armada — *Los Grises* — tak zwani szarzy. O ile *Guàrdia Urbana* podlega burmistrzowi, o tyle Policia Nacional dowodzona jest z Madrytu i podlega Ministerstwu Sprawiedliwości. Chociaż zmieniły się mundury, a uprawnienia zostały znacznie ograniczone, większość wyższych oficerów Policia Nacional miała za sobą służbę w Policia Armada za czasów generała Franco. Niewielu jest wśród nich Katalończyków.

Z zewnątrz dziewiętnastowieczny budynek robił duże wrażenie, chociaż przez cały czas kłębiła się przed nim kolejka biednych, wściekłych i przerażonych ludzi. Dominowały kobiety — które przyszły tu zobaczyć się z aresztowanymi poprzedniej nocy mężami, narzeczonymi, synami — oraz afrykańscy imigranci, którzy nagle dowiedzieli się, że papiery, za jakie zapłacili ogromne pieniądze, są już nieważne.

Kiedy przeciskali się przez tę kolejkę — obraz ludzkiej niedoli — oraz gdy chwilę później wspinali się po szerokich, lecz sfatygowanych schodach, Martín wyjaśniał różnice w kompetencjach policji państwowej i municypalnej.

— Ich główne zajęcie to walka ze zorganizowaną przestępczością. My zajmujemy się mniejszymi sprawami, tym, co dzieje się na ulicach; oni z kolei są od grubych ryb. Rzadko im się udaje coś złowić.

— Wszędzie jest tak samo.

— Możliwe. Ale często mamy z nimi problemy, zwłaszcza w sprawach

narkotyków. Wypuszczają swoich agentów i nie informują nas o tym. Wyobraża pani sobie, co się później dzieje...

Stanęli przed drzwiami z matowego szkła, na których widniał napis wykonany liternictwem sprzed pół wieku: *Brigada Justical — Teniente-Jefe Juan Estrada*.

To, co doktor Arendt zobaczyła w środku, całkowicie potwierdziło jej wcześniejsze przypuszczenia: zagracone, brudne pomieszczenie, niesamowity bałagan, wewnątrz przesiąknięte smrodem taniej brandy i stęchłego tytoniu. Pod wysokim, od dawna nie mytym oknem stało duże, zniszczone biurko, a na nim telefon, komputer, interkom oraz olbrzymie sterty papierów. Drugie szklane drzwi, obok których ustawiono blaszaną szafę na akta, prowadziły do ubikacji. Jedyne przedmioty o bardziej prywatnym charakterze związane były z korydą: na ścianie kalendarz przedstawiający szarżującego byka, a na biurku pojemnik na przybory do pisania, wykonany z kopyta byka.

Sam Estrada był niski, gruby i zdemoralizowany. Od chwili gdy w roku 1960 — za czasów Franco — wstąpił do policji, jadł zbyt wiele, pił zbyt wiele, widział i czynił zbyt wiele podłych rzeczy. Odwrócił się od okna, kiedy weszli. Mruknął coś niedbale, gdy Martín przedstawił mu doktor Arendt. Grubym, lecz twardym i żółtym od nikotyny palcem (między nim a środkowym trzymał właśnie ducadosa) wskazał na leżący na biurku wydruk komputerowy.

— Masz poważny kłopot, Martín — powiedział zachrypniętym od nikotyny głosem. — Nazywa się Michaił Sasonow. Jest Ukraińcem i ma wziąć udział w konferencji, którą będziesz ochraniać. KGB dało nam znać przez Interpol, że stanowi on bardzo prawdopodobny cel ataku Wojowników Chrystusa. Dwóch goryli z KGB będzie chronić mu dupę, ale tak samo było w przypadku Kalnickiego.

Arendt, która bardzo dobrze mówiła po hiszpańsku — zresztą właśnie dlatego została delegowana przez komitet organizacyjny do ustalenia wszelkich szczegółów z władzami Barcelony — wtrąciła dość ostro:

— Zanim przejdziemy dalej, chciałabym wyjaśnić jedną rzecz. Zieloni nigdy nie pojawiają się w mediach — w telewizji ani nigdzie indziej — w otoczeniu goryli...

— Niech pani posłucha. Od olimpiady dzielą nas już tylko miesiące i dlatego nie mam zamiaru dopuścić do tego, by jakkolwiek znaczący gość tego miasta został napadnięty, nie mówiąc już o zamachu bombowym. Skoro więc komuś zagraża niebezpieczeństwo, będzie on chroniony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie dopuścimy także do tego, aby pojawił się w miejscu, gdzie Martín nie będzie w stanie zapewnić mu stuprocentowego bezpieczeństwa.

Martín, pomimo całej niechęci, jaką czuł do Estrady, musiał przyznać mu rację.

— A więc — powiedział — przede wszystkim musimy zrezygnować z co bardziej ryzykownych imprez. Na pewno skreślimy przejazdkę kolejką

linową nad starym portem, może także wjazd na Montjuich. A przynajmniej ten Sasonow nie weźmie w tym udziału.

— Dzięki Bogu! — Arendt starała się pozostać poza zasięgiem wdmuchiwanego przez Estradę dymu. — Przez cały ranek szukałam okazji do powiedzenia, że jeśli chodzi o nas, to z przyjemnością zrezygnujemy z tych wszystkich idiotycznych imprez.

Martín kontynuował:

— Poza tym wszystkie spotkania w pomieszczeniach zamkniętych będą chronione przez bardziej lub mniej widoczny kordon, odgradzający miejsca waszego przebywania od świata zewnętrznego. Kamery czy aparaty fotograficzne wcale nie muszą tego zauważyć. Korzystamy z tej metody podczas wizyt rodziny królewskiej. Sądzę też, że nie powinniśmy zapominać, iż Kalnicki omal nie wyleciał w powietrze po tym, jak dał kilka godzin wolnego swojej obstawie. Mam nadzieję, że Sasonow nie pozwoli sobie na taką nieostrożność.

— Chyba nie. Podobno nawet do kibla chodzą razem.

Arendt wyczuła, że ta celowa wulgarność wymierzona była w nią, jednak nie zareagowała.

— Dobrze, a jak z tym kościołem, restauracją rybną i stadionem? — zapytała. — Nie bardzo wyobrażam sobie dyskretne odgródenie tych miejsc. Niech pan mnie źle nie zrozumie — nie boję się, lecz po prostu nie chcę, by w telewizji pojawiły się nasze zdjęcia robione nad głowami armii uzbrojonych ludzi.

— Nad każdym miejscem będziemy zastanawiać się osobno. Dokładnie i analitycznie. Chyba pani zdaje sobie sprawę, że mamy w tym spore doświadczenie.

— W porządku. — Estrada był zadowolony, że nie spotkał się z tak wielkim oporem, jakiego się spodziewał. Nie zachwycała go perspektywa współpracy z Guárdią Urbana — która według niego nadawała się co najwyżej do przeprowadzania staruszek przez jezdnię — w powiązaniu z bandą natchnionych lewicowców. — Ale kto płaci za całą tę imprezę? Ochrona takiego spędu nie będzie zbyt tania.

— Prolebank — odpowiedział Negrín. — Lecz nasz udział w kosztach zależy od tego, czy zdołamy zapewnić sobie odpowiednią reklamę. A to oznacza publiczne wystąpienia, prezentację w mediach i tym podobne. Dlatego nie możemy się zgodzić na odwołanie tej imprezy na stadionie. Tak samo, jeśli chodzi o „Casa Pez”.

— To już wasza sprawa, nie moja. Chciałem was tylko poinformować, jaka jest stawka. Coś wypierdoli i odwołają nam igrzyska — roześmiał się gardłowo. — Chyba nikt by się nie zmartwił.

16

Mniej więcej godzinę później Weise i Cranmer wyszli z „Casa Pez” i skręcili w boczną uliczkę. Stojące tam domy liczyły sobie około dwudziestu, trzydziestu lat. Zostały wybudowane z myślą o tanich mieszkaniach dla dokerów i rybaków. Ale ryby wyzdychały, a stary port zamknięto, a właściwie przeniesiono dużo dalej. Gdyby morze oczyszczono, mogłaby tu powstać dzielnica luksusowych apartamentów. Lecz, niestety, wielkie pieniądze zainwestowano tam, gdzie woda wciąż jeszcze jest stosunkowo czysta. Dlatego mieszka tutaj już tylko niewielu dawnych lokatorów — obecnie na emeryturze lub zasiłku dla bezrobotnych — oraz imigranci z na tyle dobrymi papierami, żeby nie musieli obawiać się częstych nalotów Policia Nacional do zwalczania nielegalnego zatrudnienia. Niektóre lokale stoją puste i można je wynająć.

Po stromych, zniszczonych schodach weszli na pierwsze piętro i stanęli przed odrapanymi drzwiami, z których ktoś ukradł judasza.

— To tu — powiedział Weise, wkładając klucz do zamka.

Cranmer wszedł do środka i szybko rozejrzał się po mieszkaniu. Składało się z dwu pokoi, łazienki oraz kuchni. Pojedyncze meble — stół kuchenny, sześć twardych, wyplatanych krzeseł i metalowe łóżko — były tanie i sfatygowane. Na ścianie w pokoju wisiał kalendarz z nagimi kobietami, a w łazience — wyjęte ze środka jakiegoś magazynu — plakaty, przy których zdjęcia z „Playboya” wydają ilustracjami z książeczek dla dzieci. Wszystko wskazywało na to, że wcześniej mieszkali tu Marokańczycy.

Cranmer podszedł do okna w dużym pokoju, odchylił zasłonę i wyrzwał na ulicę. W oddali zobaczył plażę Barcelonety oraz morze. Wrócił do kuchni, gdzie oparty o zlewozmywak stał Weise.

— W porządku? — spytał grubas.

— Tak, Willi. W porządku. Trochę za blisko „Casa Pez”, gdybyśmy się na nie zdecydowali, ale... — wzruszył ramionami.

Weise pochylił się, otworzył szafkę pod zlewem, wyjął z niej duże kartonowe i wyraźnie bardzo ciężkie pudło. Postawił je na stole.

— Jest wszystko, czego chciałeś.

Na wierzchu leżały mniejsze pudełka owinięte w tłusty brązowy papier i zaklejone białymi zadrukowanymi paskami. Cranmer wyjmował jedno po drugim, uważnie przyglądając się napisom cyrylicą. Nie znał rosyjskiego, ale wcześniej wielokrotnie widział takie nalepki. Odwinął papier, zdjął kartonową pokrywkę i delikatnie wytrząsnął zawartość: niewielkie brązowe pudełko, wykonane z twardego tworzywa przypominającego bakelit. Wystawały z niego dwa cienkie druciki wchodzące do metalowej rurki o długości czterech centymetrów i średnicy jednego centymetra.

Cranmer zajął się teraz dużym kartonem. Wyjął z niego małą paczuszkę i ostrożnie odwinął ją z papieru. Zawierała cztery cylindry pasujące idealnie do metalowej rurki. Wziął bakelitowe pudełko oraz jeden z cylindrów i wyszedł do dużego pokoju. Umieścił cylinder w odpowiednim miejscu, po czym wrócił do kuchni.

W kartonie znajdowały się jeszcze dwie paczki. Z jednej z nich zdarł biały papier i wyjął prostego pilota na podczerwień — takiego samego, jak te, których używa się do sterowania odbiornikami telewizyjnymi. Upewnił się, że w środku znajdują się baterie.

— Mam nadzieję, że w detonatorze także są?

— Wygląda na to, że masz zamiar to sprawdzić — odparł Willi, oddalając się od drzwi do pokoju tak daleko, jak tylko mógł, to znaczy wchodząc do niewielkiej spiżarni. Dłonie przyłożył do uszu. — Czy nie ma niebezpieczeństwa, że to wszystko wybuchnie?

— Nie. Nie ma. Pod warunkiem że dostarczyłeś semtex tej klasy, o jaką prosiłem. Wiesz, jak to działa?

— Chyba tak.

Cranmer, wyraźnie dobrze się bawiąc, postanowił mu to jednak wytłumaczyć.

— Wewnątrz znajdują się dwie baterie typu MN1604, połączone szeregowo, co daje napięcie osiemnastu woltów. To wystarczająco dużo, aby wytworzyć iskrę. Obwód zostaje zamknięty przez niewielką kulkę rtęci. Musi ona pokonać dystans jednego cala, lecz na razie trzyma ją w miejscu niewielki kawałek plastyku. Kiedy wcisnę przycisk *on* — zrobił to, uśmiechając się — pozornie nic się nie dzieje. Lecz kawałek plastyku, o którym ci mówiłem, odsunął się na bok i otworzył drogę. Od tej chwili najmniejszy ruch spowoduje zamknięcie obwodu.

Schylił się, podniósł kawałek szarego papieru, zwinął go w kulkę i rzucił — mocno i celnie.

Błysk, huk — mniej więcej tak głośny, jak wystrzał z pistoletu — i dym.

— Wspaniale. Nie wiesz przypadkiem, jaki to ma zasięg? — wskazał na pilota.

Weise wyszedł ze spiżarni.

— Pięćdziesiąt metrów, a jeśli między nim a odbiornikiem nie znajduje się przeszkoda, to nawet do stu.

Cranmer skinął głową i jeszcze raz przeliczył osiem kilogramowych paczek z szarym semtexem.

— Jest jeszcze to.

Coś w głosie Weisego ostrzegło Cranmera przed niebezpieczeństwem. Odwrócił się w momencie, gdy rozległ się metaliczny trzask. Weise kończył właśnie składać krótki pistolet. Na półce w spiżarni leżało otwarte pudełko z nabojami.

— Willi, mam nadzieję, że wiesz, co się z tym robi.

— Wiem — spojrzał na Cranmera i roześmiał się krótko. — Jeszcze niedawno, na polecenie *Herr Herza*, często używałem czegoś takiego. Ale teraz *Herr Herz* ma dla mnie inne zadania. Tak czy owak — to, że tu z tobą jestem, zawdzięczasz właśnie temu, iż potrafię się tym posługiwać.

Rozładował broń i zaczął ją rozkładać.

— Przestraszyłem cię, prawda? Zasłużyłeś sobie. Wydurniając się z tym detonatorem napędziłeś mi niezłego strachu. *OK, Herr Biedermann*. Coś jeszcze?

— Nie, ale posłuchaj, Willi. Nigdy więcej nie rób takich numerów.

— W porządku, *Herr Biedermann*. Ale ty także ich nie rób. — Włożył rozmontowany pistolet do pudełka. — *Biedermann*. Nie mogę do ciebie mówić inaczej?

— Możesz. *Niemand*.

— *Niemand!* — Weise roześmiał się. — To przecież jeszcze gorsze. — Przeszedł na angielski: — Nikt. Nie Tom, Dick albo Harry?

Głos Cranmera był tak samo lodowaty, jak spojrzenie.

— Nie, Willi. Po prostu *Biedermann*. Albo *Niemand*.

Na nowo spakował wielki karton, tylko pilota, którego wcześniej użył, schował do kieszeni. Kiedy to robił, wymienili z Willim porozumiewawcze uśmiechy.

Następnego ranka, kwadrans po dziesiątej, Cranmer wszedł tylnym wejściem do „*Casa Pez*”. Miał przy sobie niewielki aparat fotograficzny „*Ricoh YF-20*”. Część restauracyjna — zarówno na zewnątrz, jak i na werandzie — była nieczynna, za to otwarty był bar, usytuowany między kuchnią a werandą. Cranmer wziął kanapkę oraz kawę i, siedząc na stołku, obserwował powolne przygotowania do długiej pory obiadowej. Wyjął aparat i, niczym się nie przejmując, zrobił sześć zdjęć. Starał się, by objęły w sumie całe wnętrze. Zrobił także jedno zdjęcie kuchni. Wyszedł za dziesięć jedenasta. Pięćdziesiąt metrów dalej, oparty o murek oddzielający *Passeig Maritim* od piasku plaży, stał — jak zwykle pochłaniając loda — Weise. Cranmer podszedł do niego.

— Przyszedłeś za wcześnie. Od dawna tu stoisz?

— A co to ma za znaczenie? Niedługo. — Weise wzruszył ramionami. — Wystarczy?

— Ma znaczenie. Mogę na przykład myśleć, że mnie śledzisz... Tak, wystarczy.

Ruszyli wolnym krokiem. Na piasku leżeli ci sami plażowicze, co poprzedniego dnia. Mieli tam bywać codziennie, aż do czasu gdy słońce straciło swą siłę. Pomiędzy nimi kręcił się czarny Afrykańczyk, próbując sprzedać walkmenny, figurki Afrykanek o sterczących, spiczastych piersiach oraz ręcznie tkane narzuty.

— Mogą być komplikacje. — Weise zmiażdżył papierowe opakowanie lodowego rożka. — Policja domyśla się, że Sasonow może stać się celem ataku Wojowników Chrystusa. Wzmocnią więc ochronę. Ponadto odstąpili od przejazdki kolejką linową.

— Tym bardziej więc to miejsce staje się najdogodniejsze. Jeśli nie wymyślą jakiegoś supercudu z ochroną, powinienem dać sobie radę. — Cranmer zatrzymał się, oparł dłonie o murek i spojrzał na brzeg morza z wiszącą nad nim chmurą substancji chemicznych. — A więc został tydzień.

— Osiem dni. Wyjedź gdzieś na wieś. Proszę, możesz wziąć auto — odrzekł Weise, wręczając mu kluczyki. — Mnie nie będzie potrzebne.

— Nie chce mi się nigdzie jechać. To miłe miasto.

— Jest tu zbyt gorąco — powiedział Weise przymilnie. Cranmer zdążył się już zorientować, że kiedy Weise używa takiego tonu, to nie należy mu się przeciwstawiać. — I nie można pływać, bo woda jest zatruta. A do tego ludzie już zwrócili na ciebie uwagę. Szczególnie dziewczęta. Więc baw się dobrze, byleby nie tutaj.

Cranmer zamyślił się, a po chwili rzekł:

— W porządku. Ale samochód sam wypożyczę.

— Dlaczego?

— Bo coś mi się nie podoba w wyrazie twojej twarzy, Willi. A nie mam ochoty odjeżdżać stąd autem, w którym zamontowano podsłuch.

Oddał Williemu kluczyki, odwrócił się i odszedł. Weise skrzywił się, lecz po chwili wzruszył ramionami. W końcu nie wszystko musi się człowiekowi udać.

Późnym popołudniem był z powrotem w Zurychu. Z lotniska Kloten pojechali taksówką do położonego przy Zollikerstrasse biurowca Prolebenteku. Recepcjonistka o długich nogach i okrągłym tyłeczku wyglądała jak lalka Barbie i zachowywała się mniej więcej tak samo naturalnie. Zaprowadziła go do biura *Herrn* Winkelmanna. Było to duże pomieszczenie z puszystym białym dywanem i ze ścianami imitującymi marmur. Ozdobne rośliny zostały tak podświetlone, że lśniły jadowitą zielenią i czerwienią.

Winkelmann siedział za biurkiem pokrytym miękką czarną skórą. Był to potężny człowiek, zbudowany jak czołg. Krótka ostrzyżona głowa obracała

się nad szerokimi ramionami niczym wieżyczka. Twarz miała w sobie coś z łasicy. Obok niego, na pokrytym skórą krześle, siedział Herz.

Winckelmann warknął:

— No i?

Willi Weise oblizał górną wargę i wziął głęboki oddech.

— Nic — odpowiedział. — Kompletnie nic. Nie daję się podpuścić, nie odpowiadam na pytania. Nawet nie przyjął samochodu. Dlatego uważam, że to zawodowiec. Ma doświadczenie w pracy, która wymaga zachowania tajności; zna się na materiałach wybuchowych. Niełatwo osiąść taką wiedzę. Jestem prawie pewien, że kiedyś pracował legalnie. Nie wiem — w policji, w służbach specjalnych?

— Tym bardziej chcę wiedzieć, kim jest. — Wieżyczka strzelnicza obróciła się. — Herz, czy zdajesz sobie sprawę, że mogłeś zatrudnić pieprzonego policjanta?

— Niemożliwe. Przecież załatwił Schumachera.

— Mimo wszystko chcę wiedzieć, kim jest, co wcześniej robił i o ile możemy mu ufać.

— Nie musimy mu ufać. Willi zdejmie go, gdy tylko robota zostanie wykonana.

— Willi będzie próbował, ale jeśli facet jest rzeczywiście taki dobry, może nie dać rady.

Weise ponownie nerwowo oblizał usta, ale nie odezwał się.

— Heinrich — mówił dalej Winckelmann — musisz zmusić Finchleya-Camdena, by ci powiedział, kim jest ten facet. Musimy to wiedzieć.

— Ale on mi nie powie. Nawet nie odpowiedział na mój telefon.

— W takim razie pojedziesz do Londynu i dowiesz się. Jasne?

Cranmer przez ponad pół godziny jeździł metrem, aby upewnić się, że nie ciągnie za sobą „ogona”. W końcu wysiadł na Estación de Sants. Tam wymienił trochę franków szwajcarskich, kupił bilet do Madrytu, zjechał ruchomymi schodami na peron i wszedł do pociągu ekspresowego. Za dwadzieścia piąta — w chwili gdy pociąg już ruszał — wysiadł w Saragossie. Niedaleko dworca znalazł wypożyczalnię samochodów. Wybrał najszybszy wóz, jaki mieli, to znaczy volkswagena polo. Jeszcze tylko upewnił się, że nie napotka żadnych problemów z wjazdem tym autem do Francji, i pojechał doliną rzeki Ebro, przez Huesca, aż wreszcie znalazł się w górach. Noc spędził na Sabiñánigo, w hotelu „La Pardina”. W dalszą drogę wyruszył wczesnym rankiem. Przejechał przez Portalet Pass, zostawiając charakterystyczne bliźniacze szczyty Pic du Midi d'Ossau po lewej stronie. Góra wyglądała na interesującą. Pomyślał, że może warto będzie na nią wejść.

Chwilę później wściekł się, gdyż jadące przed nim auta zwolniły nagle, bez żadnej przyczyny. Niektóre nawet zjechały z drogi, zatrzymywały się, a kierowcy i pasażerowie wysiadali, wchodzili na trawę i wspinali się na odłonięte skały. Spoglądali w niebo i coś pokazywali.

Wreszcie zobaczył, o co chodzi. Olbrzymi ptak, chyba największy, jakiego widział w życiu, krążył jakieś sto stóp nad drogą. Tak jak inni, Cranmer zatrzymał się na poboczu, stanął w trawie i czekał. Ptak przeleciał tuż nad nim: złocisty tułów, czarne skrzydła o rozstawie przynajmniej dziewięciu stóp, i długi, klinowaty, czarny ogon. Na chwilę olbrzymie cielsko przysłoniło słońce. „Jakiś orzeł — pomyślał Cranmer, po czym poprawił się: — nie byle jaki orzeł”.

Ponieważ nie śpieszył się, stał i patrzył. Po chwili, pozornie bez najmniejszego ruchu skrzydłami, ptak zaczął się wznosić, rozpoczynając długi, majestatyczny lot w kierunku skał.

Na widok jego majestatu i łatwości, z jaką panował nad otoczeniem,

Cranmer poczuł, że wypełnia go fala serdecznego uczucia: wiedział, że z tym stworzeniem może się identyfikować, zobaczył w nim samego siebie. Dopiero gdy ptak stał się zaledwie czarnym punktem na niebie, Cranmer odwrócił się, wsiadł do samochodu i odjechał.

Był to orłosep brodaty. Cranmer z pewnością nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że stworzenie, z którym się identyfikuje, należy raczej do padliżożernych niż drapieżników. W dodatku gatunek ten zanika: w południowej Europie zostało nie więcej niż pięćdziesiąt par...

W posiadłości Inger znalazł się krótko po pierwszej. Zaparkował auto przed domem, wysiadł i rozejrzał się. Wysokie wrota stodoły były otwarte, a tuż za nimi stała rzeźba przedstawiająca ponowne narodziny Cranmera. Z ognia w nowe życie... Liczyła około ośmiu stóp wysokości, ale solidna podstawa, na której się wspierała, dodawała jej kolejne dwie stopy. Korpus — wykonany z kawałków blachy w kształcie liści i płomieni — był pochylony do przodu tak, iż ogniste skrzydła zdawały się za nim płynąć. Niektóre fragmenty rzeźby były wypolerowane, inne barwione na niebiesko, z żółtymi, pomarańczowymi oraz jaskrawozielonymi smugami. Cranmer przypuszczał, że rzeźba się udała i że Inger jest z niej zadowolona. On w każdym razie był.

Gdy już obejrzał rzeźbę, zwrócił baczniejszą uwagę na otoczenie. Zdał sobie sprawę, iż coś jest nie tak. Na podwórku nie stał volkswagen Inger, a mimo to drzwi do stodoły były otwarte. Zajrzał pod kamienie na patio, gdzie zwykle leżał klucz. Nie znalazł go. Podszedł do frontowych drzwi domu i przycisnął klamkę. Ustąpiły. Spojrzał za siebie, by upewnić się, że nikt za nim nie idzie, po czym delikatnie pchnął drzwi i wszedł do środka, unosząc ciężką zasłonę.

W kuchni panował straszny bałagan. W zlewie wały się brudne szklanki i talerze, kosz na śmieci był przepełniony, a w połowie opróżniona butelka wina „Madiran” stała w czerwonej kałuży na sosnowym stole. Obok leżała do połowy zjedzona bagietka oraz puszka z sardynkami. Przy niej widelec. Jeden widelec, jedna szklanka... Jedna osoba. Jeśli tylko jedna, nie było problemu.

Poruszając się bezgłośnie, sprawdził resztę pomieszczenia. Na drzwiach prowadzących na patio, których zresztą nie zamknięto, wisiały różne kartki z notatkami Inger — listy zakupów, daty do zapamiętania i tym podobne. Na jednej z nich, złożonej na pół, widniały dwa słowa: *Herr Niemand*.

Odpiął kartkę, rozłożył i przeczytał, mając w uszach głos Inger:

Moja matka upadła i najprawdopodobniej umrze. Może minąć kilka tygodni, zanim wrócę. Proszę, zostań. Proszę, czekaj na mnie. Inger.

I to było wszystko.

Nagle usłyszał skrzyknięcie schodów. Na ułamek sekundy zamarł, niczym lis schwytyany w krąg światła, po czym szybko schował list do kieszeni.

Pamiętał, że po drugiej stronie korytarza znajduje się pokój. Ktokolwiek to był, ukrywał się właśnie tam, a teraz próbował wejść nie zauważony na górę. Z miernym skutkiem. Kolejne skrzygnięcie, tym razem dochodzące już z góry. Spojrzał na drewniany sufit, wrócił na korytarz i zaczął wspinać się po schodach. Ominął skrzyjący stopień. Gdy znalazł się na piętrze, miał dwie drogi do wyboru. Jedna prowadziła do sypialni Inger i do pokoju Laury (przedtem z niego korzystał) oraz do łazienki. Druga — przez drzwi do nie używanej części domu: trzech ciemnych, zakurzonych pokoi, położonych w amfiladzie i wypełnionych starymi, wielkimi meblami. Drzwi były otwarte, a w zamku tkwił klucz.

Cranmer zatrzymał się. Po chwili wszedł do sypialni Inger i stwierdził, że jej łóżko znajduje się w nieładzie. Zjrzał jeszcze do pokoju Laury i do łazienki, ale był prawie pewien, że nieproszony gość schronił się w nie używanej części. Pamiętał, że Inger nigdy nie zostawiała tych drzwi otwartych. Minął je, po cichu zamknął na zamek, a klucz schował do kieszeni. Przez chwilę stał, pozwalając zmysłom przywyknąć do nowych warunków.

Było ciemno, lecz niecałkowicie. Wprawdzie okna, znajdujące się po obu stronach, zaślaniały okiennice, lecz przez jedną z nich docierały pojedyncze promienie słońca, oświetlając podłogę tuż przed nim.

Oczy Cranmera szybko przyzwyczyliły się do mroku. Zauważył komodę z wysokim lustrem, krzesła i łóżko przykryte jakąś tkaniną. Czuł zapach kurzu i myszy. Gdzieś niedaleko czaił się strach.

Zakaszłał — dosyć głośno — i uderzył pięścią w drzwi. Następnie wszedł do drugiego pokoju, bardzo podobnego do pierwszego, a potem do trzeciego. Rozejrzał się — pozornie niedbale — i w promieniach przebijającego się przez okiennicę słońca zauważył jej gołe stopy. Odwrócił się, podszedł do drzwi, ponownie walnął w nie pięścią, i wreszcie wszedł do środkowego pokoju.

Chwilę później pojawiła się Laura. Miała na sobie tylko krótką koszulę nocną. Cranmer słyszał, jak dziewczyna zbliża się do zamkniętych drzwi. Nasłuchiwał i uśmiechał się. Sapnęła i — najwyraźniej przestraszona — odwróciła się: zdawała sobie sprawę, że znalazła się w pułapce, z drugiej jednak strony była przekonana, iż stało się to przez przypadek i że Cranmer szuka jej teraz gdzie indziej.

W tym momencie zobaczyła go, jak stoi w drzwiach do drugiego pokoju. Mało brakowało, by zemdląca. Wzięła jednak głęboki oddech i zapanowała nad sobą. Po dłuższej chwili szepnęła:

— Niemand...?

— Co ty tu robisz? — spytał ostro.

— Czekam na ciebie. Jestem tu od... od paru dni. Wiedziałam, że przyjedziesz.

Zaczęła powoli zdejmować koszulę, lecz kiedy ruszył w jej stronę, zamarła przerażona.

— Ukradłaś moje pieniądze.

Uniósł prawą rękę nad lewe ramię, zamierzając uderzyć kantem dłoni. Jednak w ostatniej chwili zrezygnował z ciosu, który mógłby ją zabić, i ograniczył się do uderzenia wierzchem dłoni. Laura zatoczyła się i upadła na kolana. Z rozcięcia na kości policzkowej kapiała krew.

Spojrzała mu w twarz, po czym wtuliła głowę w jego podbrzusze. Po chwili odchyliła się i rozpięła zamek jego dżinsów.

Przez mniej więcej godzinę leżał na łóżku Inger i słuchał stereofonicznego nagrania *Tutu* Milesa Davisa. Spodobało mu się to szorstkie, ultranowoczesne brzmienie, spowodowane tym, że jedynie trąbka i niektóre instrumenty perkusyjne nie przeszły przez syntezator. W tym czasie Laura pracowała na dole, sprząając cały bałagan, który zrobiła. Cranmer nie czuł się odprężony. „Baw się dobrze” — powiedział mu Willi. Z taką lalką jak Laura oraz walizką wypełnioną frankami szwajcarskimi nie musiał poprzestawać na mdłych urokach wiejskiego życia.

Usłyszał jej kroki na schodach. Weszła do pokoju i stanęła przy łóżku. Nadal miała na sobie tylko tę krótką koszulę nocną. Była chudsza niż wtedy, gdy widział ją po raz pierwszy. Wyglądała na niedożywioną. Siniec pod skaleczeniem na policzku stawał się coraz większy i mienił wszystkimi kolorami tęczy. Jednak dziewczyna była wyraźnie podniecona. Cranmer zrozumiał, że spodobało jej się to, co zaszło, i że ma ochotę na więcej.

— Skończyłam.

— Chodź tu.

Wyciągnął rękę, chwycił ją za włosy tuż nad karkiem i przyciągnął do siebie. Zapalił papierosa, zaciągnął się i przytknął żar do jej uda. Puścił. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

— Masz tu jakieś ubrania? Ale porządne, eleganckie.

— Nie.

— Więc trzeba będzie ci coś kupić. — Podwinął jej koszulę i mocno klepnął w tyłek. — Ruszaj się. Przynajmniej ubierz się w miarę normalnie. Szybko.

Prowadzącą do Biarritz drogą A 64 jechał tak szybko, jak pozwalał silnik wypożyczonego polo. Wynajął pokój w hotelu „Palais” i wysłał Laurę do miasta z dwoma tysiącami franków, żeby kupiła odpowiednie ciuchy. Po

niedługim czasie wróciła ubrana w czarną mini z odsłoniętymi plecami, czarne rajstopy, wieczorowe pantofle i elegancki płaszcz przeciwdeszczowy. Wydała tyle, że reszty prawie nie było.

— Gdzie będziemy jedli?

Zdażyła już o tym wcześniej pomyśleć.

— W „Le Jour se Léve”. To restauracja w stylu japońskim. W St Jean de Luz. Nie wiem, czy nie trzeba zamówić stolika.

Drogą A 63, prowadzącą wzdłuż wybrzeża, przejechali dwadzieścia kilometrów w dziesięć minut. Auto postawili na skraju parkingu akurat w chwili, gdy wieczorne słońce zaczynało znikać za horyzontem, nadając tafli wody w porcie rybackim blask macicy perłowej, a zwykłe butiki przemieniając w cudowną grotę Aladyna. Cranmer usiadł przy kawiarnianym stoliku i wręczył Laurze jeszcze pięćset franków.

— Kup sobie jakąś biżuterię.

Idąc wąskimi uliczkami, dotarli na główny deptak. Restauracja znajdowała się na jego końcu. Jej okna dawały widok na port rybacki i dużą przystań. Wystrój wnętrza utrzymano w stylu Dalekiego Wschodu, lecz niezbyt nachalnym. W menu proponowano na przykład surową rybę albo mięso walenia, lecz największy wybór dań oferowano z kuchni wietnamskiej oraz tajlandzkiej. Rozwieszona na ścianach reprodukcje dziewiętnastowiecznych japońskich rysunków zawierały mocne akcenty erotyczne. Kelnerzy także pochodzili ze Wschodu, głównie z Wietnamu i Kambodży.

Jeden z nich zaprowadził ich do stolika obok dużego, łukowatego okna, zajmującego jedną ścianę lokalu. Laura usiadła tak, aby cała sala widziała jej spuchnięty policzek. Obnosiła się ze swym skałeczeniem i sińcem jak z trofeum.

Na przystawkę zamówili smażone owoce morza z pikantnymi sosami. Wraz z kelnerem podeszli do wielkich akwariów po drugiej stronie stali. W jednym, blisko dna, krążyły bez celu homary — ciemnoniebieskie i koralowe; w drugim, nieco żwawiej, pływały duże, czarne, wąsate ryby.

Stali trzymając się za ręce i udając zakochanych. Laura wahała się, nie zdecydowana, na kogo wydać wyrok śmierci. Cranmer ścisnął jej dłoń coraz mocniej, aż wreszcie musiała podjąć decyzję. Skrzywiła się, z trudem chwyciła powietrze, przełknęła ślinę i wolną ręką wskazała jedną z ryb.

— Poproszę tę. Na dole, w rogu po tej stronie.

Cranmer puścił jej rękę, roześmiał się i zwrócił do kelnera.

— Największą — powiedział.

Wrócili do stolika. Podeszedł kelner, niosąc owoce morza oraz sosy o różnym stopniu pikantności. Cranmer odczekał, aż Laura usiadła, i spytał kelnera:

— Jest tu telefon?

— Oczywiście, w korytarzu przy szatni.

Dziewczyna spojrzała wyraźnie przerażona i chwyciła go za rękaw koszuli.

— Jak długo cię nie będzie?

Wzruszył ramionami.

— Dziesięć, dwadzieścia minut. Zależy. Zostań tu i jedz. I nie idź za mną.

— Czy mogłabym dostać drinka? Proszę...

— Dżin z tonikiem?

Zaskoczona wzruszyła ramionami.

— Dobrze.

— Dwa razy. A do ryby prosimy szampana.

Kelner próbował zrobić z tego wielką ceremonię:

— Szczególnie polecam...

Cranmer nie miał jednak ochoty na takie zabawy.

— Szampan. Wytrawny. Zimny. Dobrze?

Był nieobecny nie dłużej niż dziesięć minut. Powrócił w dobrym nastroju, gdyż obie rozmowy przebiegły po jego myśli. Ludzie, których potrzebował do pomocy w wykonaniu roboty w „Casa Pez”, byli już w drodze. Uniósł nietkniętą szklaneczkę, stuknął nią w niemal pustą, należąca do Laury, i rzekł:

— No to na zdrowie. Mam sześć dni. Jak myślisz, czy Inger zdąży wrócić przed moim wyjazdem?

— Niecały tydzień? To co my tu robimy, skoro mamy tak mało czasu?

— Kiedy wróci Inger?

— Nie wiem. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Jeśli się pojawi, możemy przenieść się w inne miejsce... Dobrze, zadzwonię do niej, kiedy wrócimy do domu, i dowiem się. Ale nie mówmy już o niej, proszę.

Pojawił się kelner. Najpierw podał szampana, a później rybę. Obsłużył ich sprawnie, po czym znikł. Jedli w milczeniu. Kiedy Laura zjadła do syta, odłożyła widelec i spojrzała na Cranmera. Dolna warga jej drżała.

— Zabierzesz mnie ze sobą tam, dokąd musisz jechać za sześć dni? — Starła się bardzo, by jej głos nie brzmiał błagalnie.

Cranmer spojrzał na nią i przeniósł wzrok na leżące na talerzu ości. Zamyślił się. To mogło być wcale niegłupie rozwiązanie: mieć w Barcelonie sojusznika, o którym nikt by nic nie wiedział. Obrócił rybę na drugą stronę i jadł dalej.

— Musisz mnie ze sobą wziąć. — Tym razem zabrzmiało to niemal jak skowyt.

— Może. Zobaczymy.

Kupili deski surfingowe, ręczniki i ruszyli na północ w poszukiwaniu odpowiedniej fali. N 10 prowadziła przez Les Landes, drugie co do wielkości skupiska leśne w Europie. Wokół pachniało żywicą ściekającą do niewielkich kubeczków zamocowanych na pniach wysokich sosen. Wokół jedynie drzewa,

tylko od czasu do czasu mijali kurze fermy i niewielkie wioski. W jednej z nich, o nazwie Castes, skręcił w lewo zgodnie z instrukcjami Laury, która twierdziła, że zna odpowiednie miejsce. Przejechali przez kolejną, jeszcze mniejszą, wioszczyne St Girons, gdzie w niewielkim sklepie kupili zimne białe wino, dwa dojrzałe melony i dwa kubki „Coca-Coli” z automatu. Laura wypita, Cranmer zaś wylał swoją na ziemię — zależało mu wyłącznie na kubku. Dojechali w końcu do St Girons-Plage, osady z kilkunastoma domkami kempingowymi, paroma sklepami, polem namiotowym i parkingiem. Wszystko to oddziela od morza potężna wydma, ciągnąca się od Arcachon aż do Biarritz i poprzecinana w paru miejscach rzekami. Mierzy trzydzieści do czterdziestu stóp wysokości i od pięćdziesięciu do dwustu jardów szerokości. Zostawili auto na niemal całkowicie zapełnionym parkingu. Laura rozglądała się, szukając kolorowego 2CV swego chłopaka. Wydawało się jej, że go dostrzeża, lecz nie była pewna. Krótkim deptakiem, ciągnącym się przez osiedle domków kempingowych, doszli na plażę.

Ponieważ trochę wiało i fala była zupełnie przyzwoita, na powierzchni morza uwijało się mnóstwo surferów. Zgodnie z instrukcją Laury szli dalej, i Cranmer ucieszył się, gdy wreszcie wydostali się z sierpniowego tłumu. Minęli tablice ostrzegające, że od tego miejsca plaża jest nie strzeżona i że występują tu niebezpieczne prądy, które mogą stanowić zagrożenie dla kąpieli. Poza linią tablic liczba surferów i kąpiących się wyraźnie zmalała. Większość stanowili teraz ludzie młodzi, często paradyjący zupełnie na golasa.

Zboczyli z linii mokrego piachu, po którym się posuwali, żeby nie grzęznąć, minęli pas śmierdzących smołą śmieci i wspięli się na wydme. Cranmer wypatrzył płytkie wgłębienie.

— To coś dla nas.

Rzucił na ziemię deskę i ręcznik, szybko zdjął spodnie i slipy. Kucnął i z plastikowej torby wyjął butelkę wina, otworzył korkociągiem od szczyrka i napełnił kubki po coli.

— Trzeba pić, poki zimne. Nie rozbierzesz się?

Podczas gdy zdejmowała ubranie — a poszło jej to jeszcze szybciej niż jemu — Cranmer przełamał na pół melona. Pili wino, zajadali melona i pluli dookoła pestkami. Po piersiach Laury spływał sok i wino. Nieco później Cranmer pchnął ją na plecy i przeleciał — szybko i dość brutalnie — doprowadzając jednak do gwałtownego orgazmu.

Wstał, spojrzął z góry i powiedział:

— Idę popływać. Idziesz ze mną?

Wyczuła, że nie ma ochoty na jej towarzystwo, więc pokręciła głową.

— Nie, może później.

Odwrócił się i ruszył w stronę wody. Zastanawiała się, czym zostały spowodowane ślady na jego plecach: brązowe, o ognistoczerwonych brzegach.

Zostawił deskę na brzegu poza zasięgiem fal i przez dłuższą chwilę brodził po wodzie. Czuł, jak mocne uderzenia fal przybrzeżnych atakują jego uda i brzuch. Uśmiechnął się, gdy cofająca się wielka fala niemal zwała go z nóg, wysysając piach spod stóp. Było to niebezpieczne, ale właśnie tego potrzebował. Zanurkował prosto w nadbiegającą falę, wynurzył się i silnymi ruchami krawla wypłynął poza zasięg fal przybrzeżnych, tam gdzie woda była niebieska. Pozwalał unosić się wielkim grzywom wody, by po chwili ześlizgiwać się po nich w dół... I znów do góry, i w dół... Do góry i w dół... Wreszcie zawrócił i popłynął do brzegu. Wyszedł na piasek i chwycił deskę.

Laura obserwowała go, zmuszając się do obiektywnej oceny jego umiejętności. Stwierdziła, że pływa dobrze, chociaż wyraźnie brak mu treningu.

Po chwili zdruzziło jej się patrzenie na Cranmera. Nawiedziło ją uczucie samotności, niepokoju i nudy — jej normalny nastrój, kiedy nic szczególnego się nie działo. Wiedziała, czego potrzebuje; czuła gryzącą rozpacz, a zarazem apatię na myśl, że może tego nie zdobyć.

Nagle usłyszała znajome głosy. Uniosła się na łokciach i zobaczyła ich dwóch: Siegfrieda i Kurta. Na szczęście nie było z nimi Petera. Obserwowała, jak rozkładają swoje rzeczy — ręczniki, deski i inne drobiazgi — niecałe pięćdziesiąt metrów od niej. Ukryła twarz w ramionach i zastanawiała się, czy ją zauważyli. Zresztą czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Nie.

Ponownie uniosła się na łokciach i spojrzała w kierunku morza. Cranmerowi szło teraz dużo lepiej. Nie musiał już wkładać tak wiele wysiłku w utrzymanie równowagi. „Dobry jest — pomyślała. — Jeszcze trochę i będę na co popatrzeć”. Zerknęła w bok. Kurt przyglądał się jej. Uniosł rękę, otworzył i zamknął dłoń. A więc wiedzieli, że tam jest — musieli ją zauważyć już wcześniej. Sięgnęła po spodnie Cranmera, znalazła portfel i wyjęła pięćset franków — stanowczo za mało, ale bała się zabrać więcej. Rzuciła okiem w stronę wody. Cranmer oddalał się od brzegu, a jego brązowe pośladki lśniły na tle białej piany.

Wciąż spoglądając w jego stronę, włożyła majtki, zeszła z wydmy, przeszła pięćdziesiąt metrów i stanęła nad Kurtem i Siegfriedem. Pierwszy był mocno opalonym, szczupłym blondynem, drugi zaś — znacznie grubszy i krostowaty — miał ciemniejsze włosy. Obaj byli mniej więcej jej rówieśnikami.

— Cześć, Laura. Dawno się nie widzieliśmy.

— Cześć. Nie tak znów dawno. Cztery dni.

— Pięc. Wyjechałaś w sobotę. — Siggy przejął inicjatywę, jak zwykle. — Miałaś wrócić tego samego wieczoru. Z pieniędzmi.

— Tak, ale matka wyjechała, więc tam zostałam. I tyle... Co z Peterem? Jest z wami?

— Nie — tym razem odezwał się Kurt. — Przedwczoraj pojechał do Düsseldorfu. Nieźle pływa ten facet, z którym przysłałaś. Ale to goguś. Pieprzony burżuj.

— I tłucze cię po pysku. Lubisz to, prawda? Masz jakiś szmal? Jesteśmy goli.

— Nie wygłupiaj się, uderzyłam się deską, to wszystko.

— Masz pieniądze?

— Tak.

Pokazała banknot. Siegfried próbował go pochwycić, lecz Laura zdążyła cofnąć dłoń. Znów spojrzała na morze. Cranmer był dość daleko i czekał na porządna falę.

— Macie przy sobie jakieś prochy?

Kurt wzruszył ramionami.

— Trochę. Speed.

— Dobry? Nie oszukany?

— Durophet.

— Daj za pięć setek.

Kurt spojrzał na Siegfrieda, a gdy ten skinął głową, wyjął foliowe opakowanie biało-czarnych kapsułek. Oderwał pasek z pięcioma kapsułkami. Cranmer właśnie zawrócił i szybko zbliżał się do brzegu.

— Pospiesz się, proszę. Szybko.

— Dobrze już, dobrze. — Kurt wręczył jej prochy i wziął pieniądze. — Wreszcie coś zjemy.

Zataczając się, wbiegła na wydmy i padła na ręcznik akurat w chwili, gdy Cranmer wychodził z wody. Wepchnęła pasek z kapsułkami do pantofla, rzuciła okiem, czy wszystko leży mniej więcej tak, jak przedtem, i położyła się na brzuchu. Cranmer podszedł i chwycił ręcznik. Laura odwróciła się i usiadła podciągając kolana pod brodę.

— Fajnie było? Dobrze się bawiłeś?

— Nieźle. — Podrapał się po genitaliach i między pośladkami, rozłożył ręcznik i usiadł twarzą ku niej. — Opowiedz mi o Barcelonie.

— Pod warunkiem że obiecasz, że mnie zabierzesz.

— Mów. Jest tam stara dzielnica slumsów?

— Tak, w Barrio Gótico. Mieszkałam tam. Kompletna dżungla. Nie jest tam zbyt bezpiecznie. Ale wiem, jak załatwić pokój. Trzeba tylko spytać w barze „Caracas”. — Oparła się na łokciach, rozsunęła szeroko nogi i palcami stóp zaczęła drapać go w łydki. — Weź mnie ze sobą. Pokażę ci, że są w Barcelonie rzeczy, których nie można robić nigdzie indziej.

— Naprawdę? — Spojrzał na nią, a później za siebie. — Tamci dwaj koleśie... Rozmawiałas z nimi.

Próbowała podkulić nogi, jednak Cranmer chwycił ją za kostkę i kuczawszy zmusił, by przewróciła się na brzuch.

— Tylko krzyknij, a złamię ci nogę. Gadaj, kim oni są?

— To znajomi. Mieszkałam z nimi — w jej głosie słychać było podniecenie, histerię i strach — do czasu, aż mi się znudzili.

— Co im zaniostaś?

Wzmocnił nacisk. Jęknęła — nie tylko z bólu, choć był wystarczająco mocny.

— Pieniądze.

— Ile?

— Pięćset. Z twojego portfela. Po to przyjechałam do matki cztery dni temu... oni są głodni.

— Jak cholera.

Puścił jej stopę. Uklęknął nad nią, rozsunął jej nogi i podciągnął pośladki do góry. Zawyla, kiedy wchodził w jej odbyt, na co on mocno uderzył ją w ucho. Później już tylko jęczała. Kiedy skończył i puścił ją, dziewczyna położyła się na wznak, zasłaniając ręką oczy — żeby nie raziło jej słońce i żeby nie było widać łez.

— Proszę, zabierz mnie do Barcelony. Powiedz, że mnie zabierzesz.

Teraz był już prawie pewien, że tego nie zrobi. W czasie niewiele dłuższym niż dwa dni dowiedział się o niej zbyt wiele: byłaby tylko ciężarem, a nie sojusznikiem. Spojrzał na czarne chmury, które pojawiły się na południu i wschodzie ponad odległymi górami, i zrozumiał, że nie może też jej zostawić, podobnie jak posuwająca się do przodu armia nie może zostawić na tyłach nie zdobytego miasta.

19

Stała przed wysokim lustrem w pokoju matki i przyglądała się sobie w świetle padającym spod sufitu oraz z dwóch lamp stojących na stolikach. Kąty pokoju i lustro pogrążone były w mroku, lecz środek pokoju wraz z odbiciem w lustrze tworzyły rozświetloną niszę.

Na łóżku leżały trzy pudła: jedno ozdobione falbankami — dostała je od ciotki na piętnaste urodziny — drugie z gładkiego drewna, dziewiętnastowieczne, z zameczkiem z brązu, i wreszcie trzecie — największe, wykonane ze stali obciągniętej aksamitem, z solidnym zamkiem. Zawierały mnóstwo biżuterii, prawdziwy skarb: proste złote łańcuchy, sznury pereł, z których jeden był nawet prawdziwy, diadem z piór i diamentów (nosiła go występując w roli umierającego łabędzia na przedstawieniu w szkole baletowej), naszyjniki, bransolety i pierścionki z ulubionymi kamieniami Inger — topazem i ametystem — mnóstwo innych drobiazgów, zbieranych przez matkę i córkę przez ponad dwa dziesięciolecia.

Od strony gór przybliżyła się burza. Grzmiało, stukwały krople deszczu, rynny napełniały się i opróżniały, napełniały i opróżniały. Wszystko to sprawiało, że pokój — ogrzewany podwójną spiralą elektrycznego grzejnika — stał się bardziej przytulny, tajemniczy i bogaty, w sam raz dla nałożnicy sultana, przygotowującej się do spędzenia z nim nocy.

Noc, dzień i jeszcze ta deszczowa noc doprowadzały Cranmera niemal do szału, wydobywając skrywane dotąd głęboko, wrodzone szaleństwo, które kierowało jego postępowaniem. Pił więcej niż zwykle i zmuszał ją do rzeczy, o których jedynie czytała w książkach wydanych przez Olympia Press i nie wiadomo po co trzymany przez matkę. Kiedy nadszedł zmierzch, powiedział, że wychodzi. W ten deszcz.

— Dokąd? Dlaczego? Mogę iść z tobą?

- Nie.
- Dlaczego?
- Bo chcę być sam.
- A co ja mam robić?
- Idź na górę i zrób się na bóstwo.
- Kiedy wrócisz?
- Wtedy, kiedy wrócę. Idź już, szybko.

Wyszedł frontowymi drzwiami. Czekała, że usłyszy odgłos zapalającego silnika, ale nic takiego nie nastąpiło. Weszła do swojego ciemnego pokoju i wyjrzała przez okno w jeszcze głębszą ciemność. Przez krótką chwilę zamajaczył promień latarki, oświetlając wejście do stodoły i najnowsze dzieło matki. A później już nic.

„Zrób się na bóstwo...” Przez pół godziny grzebała w ciuchach Inger, próbując znaleźć coś odpowiedniego, ale nic się nie nadawało. Może pasowały na czterdziestoletnią kobietę, która miała ochotę wyglądać jak model z początku lat siedemdziesiątych, lecz nie na nią...

Miękka jedwabna bluzka z namalowanymi wielkimi goździkami podsunęła jej pomysł: kiedy ją włożyła na siebie wraz z biżuterią, a kwiecisty wzór opiął się na jej ciele, pomyślała, że obędzie się bez ubrania — wystarczą same kosmetyki i biżuteria.

Zanim wzięła się do dzieła, zeszła na dół, w szklanym dzbanku zmieszała rum z colą w proporcjach jeden do dwóch i zabrała ze sobą na górę. Miała jeszcze trzy kapsułki duronetu — zażyła jedną.

Zużyła wszystkie cienie do powiek i wszystkie szminki. Miała teraz olbrzymie oczy elfa obwiedzone na czarno, brodawki piersi stały się środkami egzotycznych kwiatów, z pępka wypełzał wąż i sunął ku dołowi jej brzucha. Sięgnęła po biżuterię.

Mijały właśnie dwie godziny od jego wyjścia, kiedy stwierdziła, że nic lepszego już nie wymyśli. Jedyne, co jej teraz groziło, to że zleci z chmur na ziemię i dostrzeże, że uczyniła z siebie tandetną, jarmarczną błyskotkę, że podda się panice w obliczu swej samotności — tego duchowego świata, w którym zbyt często przebywała. Opróżniła już dwie trzecie dzbanka i zostały jej tylko dwie kapsułki.

Co dalej? Jej wzrok padł na stereofoniczny magnetofon matki. I nagle przyszło jej to do głowy... Przez pięć dni, które spędziła z Cranmerem, marzyła jedynie, by w jakiś sposób powiadomić matkę o tym, co robi, ale jak? List podarłaby zapewne na strzępy, zanim jeszcze doczytałaby do końca. Zresztą Laura nienawidziła pisania, wiedziała bowiem, że nie potrafi przelać na papier tego, co myśli. Twarzą w twarz? Nie, to także nie wchodziło w grę. Przez telefon? Nie, matka przerwałaby połączenie. Ale zostawić wiadomość nagrałą na taśmę? Tak, to był niezły pomysł.

Bardzo podekscytowana zaczęła przeglądać kasety schowane w szufladzie pod magnetofonem. Zawierały muzykę nagrałą wprost z radia

albo z kaset przyjaciół matki. Leonard Cohen: *I'm Your Man*. Tak, prędzej czy później włączy to i — o ironio! — usłyszysz całkiem coś innego, niż spodziewała się usłyszeć. *I'm Your Man**. O nie, wcale nim nie jest!

— Mamusiu, siedzę na twoim łóżku i mam na sobie twoją biżuterię. Dlaczego? Dlatego że zrobił to dziś ze mną już trzy razy i chcę, żeby zrobił to przynajmniej jeszcze raz. Twój wspaniały Niemand.

Wyjęła przedostatnią kapsułkę durophetu i wlała do szklanki resztę płynu z dzbanka. Bawiła się teraz wspaniale, wprost cudownie.

— A więc, mamusiu, załóżę się, że wiem o nim znacznie więcej niż ty. Myślę, że to bandzior. Wspaniały, słodki bandzior. Zepsuty tak bardzo, że ciężko to w ogóle pojąć. Jak jakiś anioł. Upadły anioł...? Ale przecież w nim nie ma nic upadłego... Ta rzeźba, którą zrobiłaś, do pewnego stopnia to wyraża, mimo że tak naprawdę nie jest warta złamanego grosza. To śmieć i złom... Zresztą nieważne, słuchaj dalej. Niemand wrócił z górą pieniędzy. Olbrzymią górą, choć trochę za małą, by starczyła na zawsze. A teraz zabiera mnie do Barcelony. Zaszyjemy się w Barrio Gótico — wiesz, tam gdzie byłam poprzednio — i kiedy załatwi już to, co ma załatwić, będziemy mieli tyle szmalu, że wystarczy nam do końca życia...

Odgłos kroków na schodach. Szybko wyłączyła magnetofon. Kiedy wszedł Cranmer, siedziała w nienaturalnej pozie, a na jej twarzy malowało się poczucie winy. Jego ubranie — cienki sweter i džinsy — pokrywała gruba warstwa błota. Włosy i twarz były brudne i mokre. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Dlaczego masz to na sobie?

— Przecież mi kazałeś. Powiedziałeś, że mam się zrobić na bóstwo. Czyż nie jestem bóstwem?

Podszedł do łóżka, zajrzał jej w oczy, chwycił w palce jeden z łańcuszków i usiadł.

— Dobra, niech tak zostanie. Co to jest?

Podniósł foliowe opakowanie, wyłamał ostatnią kapsułkę i zerknął na znajdujące się na niej małe literki.

— Gdzie byłeś? — starała się, aby w jej głosie zabrzmiała pretensja. — Jesteś całkiem mokry.

— Durophet. Speed? Skąd to masz?

— Z plaży. Od tamtych facetów. Za pieniądze...

— Które wzięłaś z mojego portfela... A więc w żadnym wypadku nie mogę cię zabrać ze sobą do Barcelony...

Odsunęła się od niego, podciągnęła kolana i ukryła się w półmroku.

— Dlaczego nie? Co takiego zrobiłam?

— ...Ani nie mogę cię zostawić. — Powąchał jej szklankę i spojrzął na

* *I'm your man* (ang.) — Jestem twym mężczyzną [przyp. tłum.].

dzbanek. — Za dużo pijesz, bierzesz prochy. Inger mówiła mi, że w Barcelonie uzależniłaś się od heroiny.

Odgłos deszczu i coraz bliższej burzy. Zadała to pytanie, chociaż znała już odpowiedź.

— Więc co ze mną zrobisz?

— Zabiję cię.

Poderwała się zreźcznie. Drzwi miała tuż obok. Miękkie łóżko utrudniło Cranmerowi powstanie, zdołał jedynie chwycić za sznury pereł i paciorków. Pękły i rozsypały się po podłodze. Pośliznął się na nich i z rozrzuconymi na boki rękami i nogami wyrzwał tyłkiem o posadzkę. Chwilę siedział starając się zapanować nad bólem. Usłyszał trzaśnięcie drzwiami.

Podniósł się i chwiejnym krokiem poszedł do kuchni. Była jaskrawo oświetlona i pusta. Przez chwilę lustrował uważnie całe pomieszczenie — szybko i metodycznie. Wśród wiszących na ścianie noży zauważył puste miejsce. Brakowało tasaka, tego samego, którego użył do walki ze szcurami.

Z kuchni prowadziło dwoje drzwi, dwie drogi na zewnątrz — jedna do małego korytarza i stamtąd do drzwi frontowych, druga zaś — prosto na patio.

Cranmer zerwał z drzwi zasłonę i owinał ją wokół lewego przedramienia. Chwycił ciężką i mocną latarkę, której używał będąc na dworze, lecz nie włączył jej. Zgasił światło w kuchni, policzył do dziesięciu — wiedział, że musi dać oczom czas na przyzwyczajenie się do nowych warunków — a następnie przeszedł przez korytarz i otworzył frontowe drzwi. Skulony, zasłaniając głowę ręką owiniętą zasłoną, wyszedł.

Nic. Zapalił latarkę i oświetlił nią wrota stodoły. Zobaczył tylko rzeźbę Inger. Skierował promień na drogę, a później na łąkę. Nic, tylko srebrny deszcz, drzewa i rzeźby. Zgasił latarkę, wszedł na patio, spod kamieni wyjął klucz, wrócił do drzwi frontowych, zamknął je, a klucz schował do kieszeni.

W tym czasie Laura, która początkowo schroniła się na patio, wróciła do kuchni i tam usłyszała szcęk przekręcanego klucza. Zrozumiała, co się stało. Wybiegła na patio trzasnąwszy drzwiami i przycisnęła się do ściany, w której znajdowało się wyjście do ogrodu.

Cranmer przeszedł przez patio i, nie zauważywszy dziewczyny, stanął przed drzwiami do kuchni. Zapalił latarkę, a ponieważ nie dojrzał żadnych mokrych śladów, zawrócił. Wtedy dostrzegł Laurę przebiegającą przez podwórze. Stanął w wyjściu i skierował promień latarki w stronę dziewczyny. Akurat znikła w drzwiach stodoły.

Spokojnie przeszedł przez podwórze i stanął w wysokich wrotach. Znow zapalił latarkę. Od razu dojrzał Laurę skuloną w kącie niedaleko wejścia.

Wszelki czar, jeśli w ogóle istniał, przysł. Wyglądała na absolutnie

bezbronną, była brudna i mokra. Ponieważ oślepiało ją światło latarki, zasłoniła oczy dłonią. Widziała jedynie silny krąg światła skierowany na nią. Ruszyła ku niemu, wciąż trzymając tasak w dłoni.

— Niemand? To tylko zabawa, prawda? Tylko zabawa...?

— Tak. Zabawa. Właśnie się skończyła.

Rzuciła się na niego i zamachnęła tasakiem, lecz trafiła w rękę owiniętą zasłoną. Cranmer zadał cios latarką, jeszcze jeden i jeszcze... Strumień światła tańczył po całej stodole; w jego zasięgu znalazły się sufit, ściany, narzędzia jej matki i rzeźba...

Kiedy było już po wszystkim, zakopał ją w grobie, który wcześniej wykopał. Niedaleko szczurów.

20

Finchley-Camden otworzył dębowe drzwi oddzielające jego gabinet od pomieszczenia spełniającego funkcję poczekalni. Herz podniósł wzrok znad egzemplarza „Country Life”, który przeglądał z rosnącym zakłopotaniem.

— Przepraszam cię, mój drogi, że musiałeś czekać tak długo. W czym mogę ci pomóc? — Finchley-Camden cofnął się, przepuścił Szwajcara i podsunął mu krzesło, sam zaś schronił się za biurkiem niczym za linią szańców.

— Może kawy? Każę Gwendolyn przynieść. — Wcisnął guzik. — Gwendolyn, kawę proszę. Dla dwóch osób. Dobrze, Heinrichu, więc w jaki sposób mogę ci pomóc? Przykro mi, że nie byłem w stanie spełnić twej ostatniej prośby, ale z tego, co przeczytałem w gazetach, wynika, że zdołałeś załatwić wszystko, co zamierzałeś. — Wydał z siebie chichot, który raczej trudno było nazwać śmiechem. — Powiedz mi, czy ten numer z Kalnickim był celowy, czy też coś wam nie wyszło?

Herz czuł się coraz bardziej zdezorientowany — to wszystko znacznie bardziej oszałamiało niż lekutra „Country Life”. Milczał, podczas gdy Gwendolyn nalewała kawę ze srebrnego dzbanka. Była ładną dziewczyną w ładnej sukience. Miała w sobie coś z tych często fotografowanych dziewczyn wędrujących po szkockich wrzosowiskach. Jednak ani ona, ani droga zastawa nie zdołały nadać kawie choćby w miarę przyzwoitego smaku.

— Masz szczęście, że udało ci się mnie zastać. Dopiero wczoraj otworzyliśmy po przerwie wakacyjnej. Wiesz, pływaliśmy trochę po Morzu Śródziemnym... Nie było nas przez trzy tygodnie.

Herz wziął głęboki oddech i odstawił filiżankę.

— Próbowałem się z tobą skontaktować. — Starał się nie uzewnętrzniać zakłopotania i oszłamienia. Chciał uzyskać informacje, po którą przyszedł. — Wiesz, twój człowiek zupełnie nieźle poradził sobie z zadaniem, ale zanim

powierzmy mu następne, znacznie trudniejsze i bardziej odpowiedzialne, chcielibyśmy dowiedzieć się, kim on jest.

Finchley-Camden nawet nie starał się ukryć zdziwienia.

— Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz, przyjacielu.

Herz postanowił, że powie mu wszystko: jak mężczyzna używający nazwiska Biedermann zadzwonił do biura AlterLog i podał się za płatnego mordercę, którego Wilczarz dla nich znalazł; jak Biedermann zażądał, aby wszystkie pieniądze trafiły bezpośrednio do niego, ponieważ to on, a nie AlterLog, miał później wyrównać rachunki z pośrednikiem. Jak...

— I uwierzyliście we wszystko, co wam powiedział? Nie sprawdziliście? — Finchley-Camden był wyraźnie oburzony takim brakiem profesjonalizmu.

— Nie mogliśmy z dwóch powodów. Biedermann zagroził mianowicie, że jeśli skontaktujemy się z tobą, uzna umowę za zerwaną. Początkowo myśleliśmy, że jest to twój sposób na zapewnienie sobie bezpieczeństwa. No, a później nie mogłem cię nigdy zastać. Dzwoniłem wielokrotnie...

— Wakacje, mój drogi, tak jak mówiłem. Otworzyliśmy interes dopiero pierwszego sierpnia, jak zawsze.

— Przez poprzednie dwa tygodnie byłeś nieosiągalny. Sekretarka ciągle informowała, że cię nie ma. A w tym czasie Biedermann dla nas pracował, i to naprawdę dobrze, z dużym profesjonalizmem. Jak już wspomniałem, mój klient uważa jednak, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej o naszym pracowniku, zanim powierzmy mu główne zadanie. Nie możemy ryzykować... Dlatego przyjechałem. Jeśli możesz mi dać gwarancję, że Biedermann nie zrobi nic głupiego, że możemy mu ufać...

— Ależ mój drogi! Nie mogę ci dać żadnej gwarancji, ponieważ nie mam zielonego pojęcia, o kim mówisz.

Słychać było tykanie zegara. Herz patrzył, nie widząc, na wiszący na ścianie obraz.

— Biedermann, kimkolwiek jest, skądś wiedział, że w tej sprawie kontaktowałem się z tobą. Skąd?

— Mój drogi, to jest właśnie pytanie, które sobie zadaje.

— Sądzę, że będzie lepiej, jeśli znajdziesz na nie odpowiedź.

— Też tak sądzę. Wygląda na to, że w naszym systemie zabezpieczenia jest cholerna luka. Trzeba będzie się tym zająć... Czy wiesz coś więcej na temat tego człowieka? Spotkałeś się z nim? Wiesz, jak wygląda?

Herz opisał Cranmera, po czym dodał:

— Jest jeszcze jedna rzecz. Facet twierdzi, że nie żyje... To znaczy — oficjalnie nie żyje... Muszę przyznać, że nam się to spodobało... Bo jeśli nawet ktoś go rozpozna, to i tak nigdzie to nie doprowadzi. Musieliśmy załatwić mu nowe dokumenty: paszport szwajcarski, prawo jazdy.

Finchley-Camden walczył ze swoją twarzą, żeby Herz nie zorientował się, iż oto wszystko stało się jasne. Herz nie był jednak głupcem: wyszedł z biura przekonany, że Finchley-Camden domyślił się, kim jest Biedermann, lecz nie chce się z tym zdradzić, dopóki nie uzyska stuprocentowej pewności.

Gdy po wzajemnych zapewnieniach, że rozwiązanie tej zagadki leży w interesie obu stron, Herz w końcu wyszedł, Finchley-Camden przemysłał raz jeszcze całą sprawę, a następnie odezwał się przez interkom:

— Gwendolyn, skontaktuj się, proszę, z Samem Dorfem i powiedz mu, że jeśli ma wolną chwilę, to zapraszam go na lunch w którejś z jego ulubionych knajpek. Jasne?

Gotowane cebule, frytki, dwa tłuste kotlety. Finchley-Camden ze zrećznością chirurga oddzielał tłuszcz od mięsa i mięso od kości.

— Sam — powiedział — *nil nisi sed bonum* i tak dalej, ale chciałbym wiedzieć, w jakich tarapatach znajdował się Tom, zanim zginął w tej katastrofie.

Sam Dorf był prawie sześćdziesięcioletnim mężczyzną o ciemnych, czasami wesołych oczach, różowych policzkach i reputacji rekina krwiopijcy. Jego Dorf and Co jako jedna z niezliczonych małych firm przetrwała wielki krach i dwie recesje.

— W wielkich, Rodericku, w naprawę wielkich. Niedługo dobraliby się mu do tyłka. Już wkrótce. — Pociągnął solidny łyk czerwonego wina.

— A Judith? Jak się im układało?

— Fatalnie. — Dorf otarł usta serwetką. Czasami kąciki jego ust unosiły się w anielskim uśmiechu, lecz teraz, gdy pomyślał o małżeństwie swej córki z siostrzeńcem Finchleya-Camdena, jego wargi zacisnęły się w cienką jasną linię. — Wydawali, to znaczy... wydawał więcej, niż zarabiał. Właśnie dlatego pojawił się na tej giełdzie. Martwiło to Judith. Ale były jeszcze inne, bardziej intymne sprawy. Cóż, w zasadzie to, co ludzie robią w łóżku, jest tylko i wyłącznie ich sprawą, ale... Judith skarżyła się czasami matce, że Tom miał dość dziwne pomysły, które jej nie odpowiadały. A w końcu nigdy nie zaliczała się do świętoszek, to znaczy, zawsze lubiła seks, pod warunkiem że nie był wyuzdany...

— Mam nadzieję, że jakoś przez to wszystko przeszła, że nie rozpacza za bardzo?

Dorf roześmiał się i przekroił jedną z cebul.

— Nie... Prawdę mówiąc, z tego, co wiem, związała się z drugim skrzypkiem z jakiegoś kwartetu. Facet jest chyba znacznie bardziej w jej typie. Odnoszę wrażenie, że zaczęło się to jeszcze przed śmiercią Toma.

— Czy on mógł o tym wiedzieć?

Dorf wzruszył ramionami.

— Może.

Finchley-Camden pomyślał, że jeśli to prawda, to kochankowie mają szczęście, że jeszcze żyją.

— A więc Tom znajdował się w strasznym bagnie, kiedy zginął?

— Tak. Wydaje mi się, że tak... W porządku, Roddy, zagrajmy w otwarte

karty. Skąd pomysł spotkania się ze mną i zafundowania mi lunchu? I po co te pytania o Toma?

— Pracowałem dla mnie, kiedy to się stało. Kilka elementów tej sprawy nie za bardzo do siebie pasuje. Jest w nich coś tajemniczego. Nie mogę wykluczyć możliwości samobójstwa.

— Uważasz, że po to, aby załatwić siebie, zabił dwadzieścia niewinnych osób? Wiesz, z Toma był niezły gagatek, Roddy. Co do tego nie ma chyba wątpliwości, ale nie był psychopata. — Odłożył sztućce i spojrzał na Finchleya-Camdena: — A może właśnie był?

21

W niedzielę, na dzień przed oficjalnym otwarciem konferencji z udziałem sześćdziesięciu trzech Zielonych z całej Europy, około godziny piętnastej na Estación de Sants panował nastrój jak podczas demonstracji proekologicznych. Wszędzie widniało mnóstwo transparentów i plakatów. Za chwilę miał przybyć Raul Singer, charyzmatyczny przywódca Tęczowej Frakcji z Frankfurtu. Komitet powitalny tworzyli: doktor Julia Arendt, Carlos Negrín oraz wysłannik burmistrza Barcelony. Oprócz nich zjawili się prawie w komplecie delegaci, którzy już zdążyli przybyć do miasta, oraz ponad setka najradykałniejszych miejscowych socjalistów, Zielonych i im podobnych. Ekipa telewizyjna, składająca się z reporterki, kamerzysty oraz operatorów dźwięku i światła, przecisnęła się do przodu przez tłum dziennikarzy. Ci z kolei próbowali odzyskać utracone pozycje.

Cranmer — ubrany w dzinsy, ciemnoniebieski sweter i trampki — jak wilk krążył po obrzeżach tłumy. Przy głównym wejściu stał Willi Weise, jak zwykle w skórzanej kurtce i koszulce z Tiną Turner. Właśnie zdierał folię z lodowego rożka.

Charyzmatyczny Singer, dbający zawsze o dobrą reklamę, odczekał na peronie, aż tłum współpasażerów wjedzie ruchomymi schodami na górę. Ani myślał bowiem dopuścić do tego, by ceremonia powitania odbyła się na tle tłumy dzieci i wśród straszliwych ilości bagażu nagromadzonego przez powracających z wakacji mieszkańców miasta.

W tym czasie przez cały ten śmietnik, na który składały się deski surfingowe i windsurfingowe, kije do golfa, a nawet lotnia — próbowało się przecisnąć dwóch mężczyzn. Niższy — o rudych włosach, w grubej kurtce i dzinsach, z małym złotym kolczykiem w lewym uchu — miał czerwone dłonie, silne i twarde jak skała, a na kłykciach tatuaż *Love and hate*. Drugi o ciemnej cerze, wskazującej na murzyńskich przodków, nosił jaskrawy kombinezon. Był wysoki, przeguby dłoni miał zaś tak chude i długie, że odnosiło się wrażenie, iż nie są w stanie utrzymać dość dużych dłoni.

Cranmer obserwował ich i przez chwilę na jego ustach pojawił się krzywy uśmiech na widok ich wahania i tego, jak się wokół rozglądali, jak ze sobą rozmawiali — ot, dwaj Brytyjczycy za granicą, na których miał czekać agent turystyczny, tylko gdzieś się, kurwa, zapodział... Tyle że ten, za kim się rozglądali, nie miał nic wspólnego z turystyką. Cranmer obszedł dookoła jakąś wyjątkowo liczną rodzinę w wielkich meksykańskich kapeluszach ze słomy i odezwał się cicho:

— Kapralu MacTaggart, starszy kapralu Smith.

Ciemniejszy zwrócił się w jego stronę, stuknął obcasami i zasalutował.

— Starszy kapral Winston Smith melduje się na rozkaz! — Po chwili opuścił rękę i dodał: — Cranmer, skurwielu, myśleliśmy, że już po panu.

Cranmer niechętnie poddawał się całej tej ceremonii powitalnej.

— OK, Winston, wystarczy. Witaj, Kevin. Dobrze wyglądasz.

Obcesowo poklepał rudego po plecach, a ten odpowiedział z silnym szkockim akcentem:

— Cieszę się, że pan żyje i czuje się dobrze.

— W porządku, panowie. Wolałbym o tym nie rozmawiać. Chodźmy. — Poprowadził ich w stronę wejścia na perony metra.

Weise skończył jeść loda i wyszedł na ulicę. Wyglądał na zadowolonego.

Chwilę później na ruchomych schodach pojawił się Raul Singer — człowiek w wieku zbliżonym do Cranmera i jego współpracowników — blondyn o długich włosach, spiętych z tyłu w kitkę, i o szeroko rozstawionych, szaroniebieskich oczach fanatyka. Ubrany był w połowy mundur wojskowy, tyle że na pagonach zamiast szarży widniał znak tęczycy. Rozległy się głośne, rytmiczne oklaski. W odpowiedzi uniósł w górę splecione ręce, a po chwili wpadł w objęcia Julii Arendt. Za nim kręciła się nieśmiało bardzo jasna i bardzo ładna blondynka o wyglądzie porcelanowej lalki, tyle że ubranej w mundur moro. Rozbłyły reflektory, a chwilę później do akcji wkroczyła telewizjka. Singer uwolnił się z uścisku Julii, lecz nadal trzymał rękę na jej ramieniu.

— Rozgryśliśmy ich, Julio. Możemy udowodnić powiązania z mafią.

— Ależ oczywiście. — Julia uśmiechnęła się. — Bez mafii cała ta historia nie byłaby kompletna.

— Ja nie żartuję.

— Wiem — odparła przeproszającym tonem.

Chwycił ją pod ramię i oboje ruszyli przez tłum, który rozstępował się przed nimi, jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

— To, o czym mówimy, to odpady. Zawsze, gdy chodziło o zorganizowanie wywożenia śmieci, zaczynała działalność mafia — czy to sycylijska, czy później camorra w Neapolu, czy wreszcie cosa nostra w Nowym Jorku. Odpady! Oni są w tym ekspertami. Najlepszymi ekspertami.

— To interesująca hipoteza.

— Julio, ja mówię o faktach, a nie o hipotezie. Czy Sasonow już jest? Trafiliśmy także na ślad ukraiński.

— Nie, przyjedzie dopiero jutro, bo coś go zatrzymało. Szczęściarz, ominie go przyjęcie u burmistrza, ale od lunchu w restauracji rybnej już się nie wywinie. Stanowczo za dużo pozostało tego typu imprez w programie, ale to jest cena, jaką się płaci za kontakty z lokalnymi politykami i kapitałem. Mam jednak nadzieję, że uporamy się z tym wszystkim do jutra wieczór i zabierzemy się za poważną pracę...

Zbliżyli się już do wyjścia, gdy pojawiła się reporterka telewizji — wysoka brunetka w czerwonej marynarce z poszerzonymi ramionami i w obcisłej spódnicy z długim rozcięciem z tyłu, ukazującym jeszcze dłuższe nogi w czarnych pończochach. Śliczna mała Niemka, którą Singer wybrał spośród towarzyszących mu Zielonych na swą partnerkę na czas konferencji, poczuła się trochę opuszczona i zaczęła rozważać, czy nie powinna się ulotnić.

— Panie Singer, doktor Arendt, prosimy o kilka słów. Co będzie głównym tematem waszej konferencji?

— Pod koniec tygodnia, kiedy uzgodnimy już wspólny komunikat, odbędzie się konferencja prasowa. — Arendt chciała iść dalej, żeby jak najszybciej usłyszeć, co Singer miał jej do powiedzenia, ten jednak nigdy nie odmawiał wywiadów, a już na pewno nie śródziemnomorskim boginkom.

— Już teraz mogę powiedzieć, że głównym tematem konferencji będą śmieci — odpady przemysłowe na wielką skalę — i sposoby, jakich się chwytają wielkie korporacje, aby obejść nowe przepisy Wspólnoty Europejskiej, dotyczące utylizacji...

Cranmer otworzył drzwi wynajętego mieszkania i wszedł jako pierwszy.

— Luksusów tu raczej nie ma. Prawdę powiedziawszy, to straszna nora, ale za to niemal idealnie położona. Znajduje się tu cały nasz sprzęt i jeśli wszystko pójdzie dobrze, spędzimy tu tylko noc.

MacTaggart i Smith weszli do środka i dokładnie obejrzeni cały lokal. Niewiele się w nim zmieniło od czasu, gdy Cranmer z Willim byli tu po raz pierwszy: przybyło trochę jedzenia, skrzynka ćwierćlitrowych butelek piwa „Mahou”, no i dwa kompletne stroje kelnerskie.

Cranmer wyjął karton spod zlewu i postawił na stole.

— Dobra, Smith, lepiej to sprawdź. Chcę mieć pewność, że wszystko jest OK. Jesteś ekspertem w tych sprawach.

Z kolorowej koperty wyrzucił plik fotografii.

— Tak wygląda otoczenie. Lokal znajduje się praktycznie na końcu ulicy. Obejrzyjcie sobie dokładnie, strzelcie po piwku, a później zajmiemy się szczegółami.

Winston Smith już po chwili otwierał drugą butelkę.

— Hiszpańskie piwo to jednak wyjątkowe siki. Prawie sama woda. Za pamięć sierżanta Jamesa Wilkinsa!

— Zgoda — odrzekł MacTaggart i też sięgnął po butelkę. — Za Jimmy'ego.

Przez chwilę wspominali czwartego członka ich zespołu do zadań specjalnych. Został zabity strzałem w głowę przez snajpera z IRA. Wspominali też, jak pomścili Jimmy'ego: wciągnęli snajpera do toalety w pubie „Duke of Wellington” w Belfaście i wyjaśnili, kim są, zanim Cranmer jednym ruchem skrzył mu kark. Za ten numer stracili szansę dalszej kariery. To była jedyna kara, jaką ponieśli.

— Sprzęt jest w porządku — powiedział Winston, wracając do tematu. — Szczególnie te detonatory na rtęć, sterowane pilotem. Sprawdzają je pan?

— Oczywiście. — Dowodem był czarny ślad na ścianie. Cranmer wskazał jedno ze zdjęć: — To, niestety, jedyna fotografia kuchni, jaką udało mi się zrobić, ale narysowałem najbardziej prawdopodobny plan pomieszczenia.

Rozwinął arkusz cienkiego papieru kreślarskiego. Winston odłożył detonatory, obszedł stół i spojrzął Cranmerowi przez ramię.

— To pan robił te zdjęcia?

— Tak.

— Ktoś musiał to widzieć. Mógł pan zostać rozpoznany.

Kevin MacTaggart zwrócił się w jego stronę.

— Ni cholery — powiedział.

— A to dlaczego?

— Ty czarny palancie — postukał pięścią po głowie Winstona — w tym orzechu jest wyłącznie mleko kokosowe.

Wściekły Winston próbował trafić Kevina w szczękę, ale ten stylowo zablokował cios.

— OK, słodziutki, więc jestem czarnym, pieprzonym ignorantem. Zresztą zawsze próbowałeś mnie o tym przekonać, ale teraz łaskawie mnie uświadom.

— Jako kogo mogą go zidentyfikować? — Kevin cofnął się i uśmiechnął. — Jako kapitana Thomasa Cranmera, dwukrotnie odznaczonego, służącego najpierw w Royal Buff Caps, a później w Special Services? Przecież kapitan Thomas Cranmer nie żyje. Nie żyje! Jasne już? Identyfikacja fałszywa. Omyłka.

Winston zamyślił się

— O Jezus! To przecież, kurwa, genialne! Do końca życia może robić, co mu się żywnie spodoba! — I zwracając się do Cranmera: — Może pan, kapitanie, robić dokładnie wszystko, na co będzie pan miał ochotę.

Cranmer zamyślił się. Od prawie dwóch miesięcy krążył po Europie jak

orłosep albo wilk. Był Niemandem, Biedermannem. To dodało mu nie tyle odwagi, bo na jej brak nigdy nie narzekał, ile pewności siebie.

— Możliwe — odparł. — Ale chwilowo jestem trochę mniej martwy niż dotąd.

— Jak to? — spytał Szkot.

— Jest dwóch facetów, którzy wiedzą, że żyję, mam się dobrze i przebywam w Barcelonie. Jeden z nich ma wyjątkowo długi język, a drugi jest złośliwym skurwysynkiem, który przez całe życie coś knuje.

Chwila niepewności, a nawet strachu, a potem śmiech — najpierw Cranmera, a później ich obu, przekonanych, że żartował.

— W porządku. Biermy się do roboty.

Od dwunastej do trzynastej przyjęcie u burmistrza. Przejazd autokarem do najslynniejszego obiektu w Barcelonie: Sagrada Familia, kościoła Świętej Rodziny. Czternasta — lunch w „Casa Pez”. Dziewiętnasta — pierwsza sesja plenarna na uniwersytecie.

Duży, nowy autokar czekał na Placu Sant Miquel przed Ratuszem. Choć przyjęcie u burmistrza było, jak na razie, pierwszym i jedynym oficjalnym punktem programu, to już wyłoniły się dwa najważniejsze tematy dyskutowane w drodze do autokaru. Ponieważ w centrum obu znalazła się osoba Raula Singera i Tęczowa Frakcja, kontrowersji było bez liku. Niektóre groziły nawet zerwaniem konferencji.

Starszawy Norweg, ubrany w sztruksy i koszulę flanelową z podwiniętymi rękawami, próbował krytykować Singera. Nie dostrzegając żadnej sprzeczności w tym, że protestując przez całe życie przeciwko kwaśnym deszczom spadającym z winy Brytyjczyków na lasy w jego kraju, sam pozostawał niepoprawnym palaczem fajki.

— Niczego nie udowodnisz, nie ujawniając, że informacje zdobyłeś nielegalnie.

— To bez znaczenia. Najwyżej jeden lub dwóch z nas trafi do pułta. To nic wielkiego...

— Dla was może nie. Jeśli macie ochotę, gnijcie sobie w więzieniu choćby do końca życia, ale ta sprawa może mieć fatalne konsekwencje dla przyszłości całego ruchu. Wyobrażasz sobie, co wypisywałaby prawicowa prasa? Wszystko obróciłoby się przeciwko nam. Już w zeszłym roku twoja Tęczowa Frakcja narobiła nam wystarczająco dużo kłopotów, gdy wysadziliście w powietrze tory przed pociągiem przewożącym odpady radioaktywne. Teraz skutki mogą być jeszcze gorsze.

— Daj spokój. Tam chodziło o coś zupełnie innego. Skurwiele próbowali nam wmówić, że stworzyliśmy zagrożenie dla życia. A przecież ostrzeżliśmy

ich wystarczająco wcześniej. Zresztą tym razem takie oskarżenie nie wchodzi w grę. Założenie podsłuchu na telefony i faksy dziesięciu skorumpowanych firm nie stanowi żadnego zagrożenia... Mam nadzieję, że nie zamierzasz palić tego świństwa w autokarze?

Norweg opróżnił fajkę, stukając nią o grubą podeszwę buta. Wszedł do autobusu za Singerem i ładną Niemką, zajął miejsce przed nimi, lecz nie usiadł. Stojąc przechylił się przez oparcie swego fotela.

— To twój punkt widzenia — powiedział — ale nie ich. A ludzie odbiorą to tak, jak oni napiszą, ludzie, których chcemy przekonać do tego, co robimy. Uwierz mi: przyznać się, że w imieniu Zielonych założyło się komuś podsłuch, to tak jakby sikać pod wiatr.

Autokar ruszył i Norweg musiał usiąść. Singer położył rękę na kolanie dziewczyny i szepnął jej do ucha:

— Wierz mi, takie stare, nudne dziadki znacznie bardziej niż Tęczowa Frakcja szkodzą naszemu wizerunkowi.

— Co znaczy „sikać pod wiatr”? — zapytała dziewczyna, również szeptem.

Miejscowy działacz, siedzący po drugiej stronie przejścia, znał odpowiedź:

— Sikać pod wiatr? To praktycznie zupełnie nieszkodliwa dla środowiska czynność. Niemniej dość głupia. A kto sikał pod wiatr?

— Wszyscy będziemy — Norweg nie dawał za wygraną — jeśli pochwalimy się światu, że do zdobycia interesujących nas informacji używamy nielegalnych środków.

Ślicznotka zaczynała rozumieć.

— Mamy tu do czynienia z różnicą płci. Anatomicznie nieuniknioną. Kobiety mówią raczej: „pluć pod wiatr”.

— Płucie, moim zdaniem, jest znacznie bardziej szkodliwe dla środowiska...

Przed kościołem oczekiwało kilka oddziałów Guàrdii Urbana, tworząc kordon oddzielający delegatów od pozostałych zwiedzających zarówno podczas wchodzenia do kościoła, jak i później, gdy kierowali się ku zachodniemu wejściu, nad którym wisiał wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa.

— Druga strona kościoła jest znacznie bardziej interesująca — zauważył jeden z miejscowych Zielonych. — Zobaczycie tam *Narodziny Chrystusa* i *Chrystusa w chwale*.

— Dlaczego kręci się tu tyle policji? — spytała ślicznotka. — Czyżby ktoś groził zamachem bombowym?

— To z powodu Sasonowa. Władze obawiają się, że może się on stać celem ataku Wojowników Chrystusa.

— Ale przecież jego tu nie ma.

— A gdzie jest?

— Prawdopodobnie dopiero wylądował. Julia Arendt pojechała po niego na lotnisko.

— W takim razie cała ta obstawa tam właśnie powinna się znajdować. Weszli do środka. Wokół wznosiły się fantastyczne ściany oraz wieżyczki, natomiast na samym środku widniał wielki, głęboki, ogrodzony dół, a w nim jakieś piekielnie hałaśliwe maszyny budowlane. Turystom wolno było chodzić jedynie pod ścianami.

Ślicznotka chwyciła Singera za ramię i spytała:

— Czego dowiedział się wasz człowiek?

— Istnieją powiązania pomiędzy dziesięcioma dużymi firmami zajmującymi się likwidacją trujących substancji a bankiem w Genui. Ten z kolei kontrolowany jest przez mafię. Co więcej, za dzierżawę dziewiczych lasów na Ukrainie płacono pieniędzmi pochodzącymi z kont założonych w tym właśnie banku. Podobnie rzecz się ma z jeziorami na Litwie. Sasonow naprowadził nas na ten trop. Udało mi się ustalić, skąd pochodziły franki szwajcarskie, które trafiły do kieszeni ukraińskiego pośrednika handlu gruntami.

Liczba policjantów, czekających na lotnisku, była znacznie większa niż w kościele. Patrole, uzbrojone w pistolety maszynowe „Beretta”, kręciły się po hali przylotów, a przewodnicy z psami urzędowali w pobliżu taśm transportujących bagaż podróży. Cały ten policyjny tłum zagęszczał się przy drzwiach do odprawy celnej i paszportowej. W samym środku zgromadzenia stali: Julia Arendt oraz kapitan Xavier Martín. W pobliżu kręciła się ekipa telewizyjna.

Reportarka obciągnęła kłapy swej czerwonej marynarki.

— Czy mamy dość czasu, żeby zrobić zapowiedź?

Operator świateł spojrzał na zegarek

— Według rozkładu samolot już wylądował. A on wyjdzie pierwszy. Ale możemy spróbować.

Cała czwórka krzątała się przez chwilę, jeszcze bardziej wchodząc w drogę policji i zdenerwowanym pasażerom.

— Gotowe?

— Jedziemy.

Reportarka chrząknęła, a następnie chwyciła mikrofon.

— Niewątpliwy gwiazdor rozpoczynającej się w dniu dzisiejszym w Barcelonie konferencji Zielonych — Michał Sasonow — przyleciał właśnie z Frankfurtu. Kiedy dwa lata temu w Kijowie zwyciężyły demokracja oraz wolny rynek, Sasonow był pracownikiem lasów państwowych na Ukrainie. Spędziwszy całe dorosłe życie na beznadziejnej walce z biurokracją — walce, której celem było ocalenie lasów na zachód od linii stepów oraz w dolinie Wołgi przed kwaśnymi deszczami i opadami radioaktywnymi — Sasonow postanowił zająć się polityką. Został wybrany członkiem Zgromadzenia Ludowego i prawie natychmiast stał się sławny, jako że pojawili się nowi wrogowie jego ukochanych lasów, jeszcze groźniejsi niż poprzedni. Stało się mianowicie jasne, że siły wolnego rynku stanowią... Cholera, zgubiłam się.

Nie miało to jednak znaczenia, gdyż policja odzyskała utracony teren w pobliżu drzwi i zmusiła kamerzystę, by się wycofał.

— Nieważne, dogramy to później. Teraz przygotuj się na jego wejście. Musisz się jakoś do niego dopchać.

Otoczony przez dwóch goryli z KGB i grupę funkcjonariuszy Guàrdii Urbana, niski, pękaty mężczyzna około pięćdziesiątki pojawił się w hali przylotów i na widok czekającego na niego tłumu uśmiechnął nieśmiało. Ubrany był w źle leżący garnitur i jaskrawozielony krawat. W jednej klapie nosił czerwony znaczek z podobizną Lenina, w drugiej — gołębia, symbol ruchu Greenpeace. Wpadł prosto w objęcia doktor Arendt.

— Michaił!

— Julia!

— Miło cię znowu widzieć! Naprawdę. Wykazujesz wyjątkową odwagę, decydując się na udział w naszej konferencji. Przepraszam cię za całą tę policję i w ogóle...

— Ależ Julio, to przecież z mojego powodu. I tak wszędzie chodzą za mną ci dwaj goryle — chwycił ją za łokieć i pochylił się w jej stronę — nawet do łazienki nie mogę pójść sam, a jeśli jest w niej za mało miejsca dla nas trzech, jak choćby w samolocie, to najpierw dokładnie sprawdzają całe pomieszczenie. W pewnych sytuacjach staje się to dla mnie bardzo kłopotliwe — w końcu, w moim wieku, człowiek musi się niekiedy pośpieszyć... A kim jest ta czarująca osoba w czerwonej marynarce? Ach, telewizja... Nie zdążyłem się jeszcze do tego wszystkiego przyzwyczaić...

— Panie Sasonow, jestem z Telewizji Katalońskiej. Czy zechciałby pan poświęcić mi chwilę?

— Oczywiście, czemu nie? Chyba się nie śpieszymy, prawda?

Martín wkroczył do akcji.

— Najwyżej dwie minuty. Proszę zrozumieć, że pańskie bezpieczeństwo zależy między innymi od tego, czy będziemy dokładnie trzymać się ustalonego planu, zwłaszcza gdy przemieszcza się pan z miejsca na miejsce. — Zwrócił się teraz do ekipy telewizyjnej: — Tylko dwie minuty. Zgoda?

Policjanci utworzyli kordon oddzielający całą grupę od zwykłych podróżnych. Kamerzysta i operatorzy dźwięku i światła szybko ustawili sprzęt i dali znak, że są gotowi.

— Panie Sasonow, czy to prawda, że przywiózł pan dowody na to, iż zachodnioeuropejskie firmy biorą w wieczystą dzierżawę tereny na Ukrainie i zamierzają wykorzystywać je jako składowiska szkodliwych odpadów przemysłowych?

— Mamy dowody, że firmy, o których właścicielach oficjalnie nic nie wiadomo, biorą w dzierżawę ziemię oraz jeziora. Mamy też dowody na to, iż tereny te wykorzystywane są jako składowiska odpadów przemysłowych. Udało nam się także ustalić, że firmy zajmujące się tego typu działalnością

są powiązane z innymi, głównie z branży chemicznej, te zaś padły ostatnio ofiarą nowych przepisów Wspólnoty Europejskiej. A w szkole nauczono mnie, iż dwa plus dwa równa się cztery.

— Panie Sasonow, pańskie zaangażowanie w tę sprawę dowodzi, iż jest pan patriotą. Czy zatem nie dziwi pana, że to właśnie pan mógłby się stać potencjalnym celem ataku nacjonalistów ukraińskich?

— Ależ skąd. Nie ma w tym absolutnie nic dziwnego. Wojownicy Chrystusa są katolickimi, neofaszystowskimi nacjonalistami, gotowymi na wszystko, byleby tylko zdobyć władzę na Ukrainie. Są gotowi nawet zaprzedać się międzynarodowym korporacjom, sprzedać siebie i kraj...

Martín zaczął dawać rozpaczliwe znaki, że czas już minął.

— Żegnaj się, musimy kończyć — odezwał się kamerzysta do reporterki.

— Dziękuję panu uprzejmie. Czy komunikat końcowy będzie zgodny z poglądami pana Sasonowa...

Lecz karawana poszła już dalej, zostawiając bezradną ekipę za sobą.

— Cholera jasna. Dokąd teraz?

Operator dźwięku zdążył już pozwijać kable.

— Barceloneta. „Casa Pez” — odparł.

W wynajętym mieszkaniu Cranmer i MacTaggart, obaj w płaszczach przeciwdeszczowych zarzuconych na stroje kelnerów, czekali na Smitha. Poprzedniej nocy, już po zamknięciu sklepów, zdali sobie sprawę, iż wazy używane w „Casa Pez” mogą okazać się za małe na ich potrzeby. Dlatego Winston, jako że trochę władał hiszpańskim, został wysłany po zakupy. Nie było go od ponad godziny. MacTaggart po raz piąty składał pistolet. Cranmer mierzył mu czas na stoperze.

— Pięć i sześć dziesiątych sekundy. Zupełnie przyzwoicie. W sam raz. Tylko nie pieprz się za długo w knajpie...

— Spokojna głowa. — MacTaggart, nie śpiesząc się, rozmontował broń.

Zadzwonił dzwonek. Tylko jeden raz. Spojrzeli po sobie z niepokojem. MacTaggart znów złożył pistolet, tym razem w cztery i trzy dziesiąte sekundy, choć nikt nie mierzył mu czasu. Ponownie odezwał się dzwonek, teraz w rytmie pierwszych taktów marsza *Colonel Bogey*.

— Głupi czarny skurwysyn.

Podszedł do drzwi, otworzył zamek i odblokował łańcuch, w chwili gdy dzwonek powtórzył ten sam rytm. Wszedł Winston Smith. Na głowie niósł wielką wazę. Parodiując krok marszowy, wymachiwał wolną prawą ręką i śpiewał:

Hitler ma tylko jedno jajo, Göring ma dwa, lecz bardzo małe. Z Himmlera taki sam jest fryc, a biedny, stary Goebbels nie ma tam nic.

MacTaggart zdjął mu z głowy wazę.

— Jest duża, ale i tak nie zmieścimy w niej całego plastyku.

— Zgadza się. Winston, wsadź pozostałe dwa kilogramy do plecaka, tego z zapasowym detonatorem. — Cranmer spojrzał na zegarek. — Zbieramy się.

Ostrożnie umieścił sześć kilo semtexu i detonator w wazie, a następnie chwycił pilota na podczerven. MacTaggart wyciągnął dłoń.

— Chyba nie ma pan nic przeciwko temu? Po prostu takie mam zasady. Ja niosę bombę, więc także ja trzymam sprzęt uruchamiający. Zgoda?

Cranmer uśmiechnął się.

— Zgoda.

A utobus zatrzymał się za volkswagenem polo niedaleko tylnego wejścia do „Casa Pez”. Policjant, który przyjechał z nimi z kościoła Świętej Rodziny, wstał i poprosił, by pozostali na swoich miejscach. Teren nie został jeszcze do końca sprawdzony — było ważne, aby ostatnie oględziny odbyły się tuż przed ich przyjazdem.

Ci, których okna wychodziły na plażę, siedzieli na miejscach, reszta zaś stała w przejściu i pochylała się nad nimi. Na opadającej w kierunku morza plaży leżeli czciciele słońca. Było ich teraz znacznie mniej, gdyż większości skończyły się już urlopy. Po lewej widniały zbiorniki z gazem, a nieco dalej kominy. Wszystko okrywała mgielka, jaką uwielbiał malować Monet w Paryżu i Londynie. Cóż, nie zdawał sobie sprawy z jej składu chemicznego... Po prawej znajdowały się restauracje rybne, z najbliższej położoną „Casa Pez”. Stoliki na tarasie ustawiono w podkowę. Na białych obrusach stały wazoniki z czerwonymi goździkami i zielonymi liśćmi hibiskusa. Na tandetnym łuku, ponad wejściem na taras, rozpięto powitalny transparent z logo Prolebenteku — w jego skromniejszej wersji niż na dworcu. Dwaj umundurowani funkcjonariusze prowadzili na smyczy tresowane psy, które właśnie obwąchiwały podłogę tarasu.

Jeden z policjantów powiedział wreszcie coś do krótkofalówki i machnął ręką w kierunku autokaru.

— Teren jest czysty — stwierdził któryś z miejscowych Zielonych. — Pod deskami nie ma plastyku.

— A przynajmniej takiego, którego nie byłyby w stanie wykryć psy — mruknął Norweg, sięgając po fajkę.

Kiedy wysiadali, oddział policji skierował się ku plaży, nadając przez megafon komunikat — zarówno po hiszpańsku, jak i po katalońsku. Większość plażowiczów posłuchała i zaczęła zbierać się do wyjścia, ale niektórzy nie mieli zamiaru ustąpić i zawzięcie wyklócali się z policjantami.

Singer zorientowawszy się, o co chodzi, gwałtownie zareagował:

— Jezu Chryste! Nie wolno im tego robić! Julia dostałaby szału, gdyby to zobaczyła!

Przeciskając się przez stojących przed nim Zielonych, ruszył biegiem ku najbardziej wojowniczo nastawionej grupie. Tuż za nim podążał miejscowy działacz oraz ślicznotka z Niemiec.

Czcielki słońca — trzy mocno już podstarzałe damy, sprawiające wrażenie niedożywionych (kuracja odchudzająca), bez biustonoszy i, praktycznie, bez majtek, opalone na ciemny orzech, z pomalowanymi ustami i paznokciami — entuzjastycznie przyjęły jego przybycie.

— Proszę im powiedzieć, że bardzo przepraszamy, ale to nie nasza wina. Niech pan to przetłumaczy — polecił Singer jednemu z policjantów.

Policjant pchnął go w kłatkę piersiową. Singer odpowiedział tym samym.

— Niech pan da im spokój. Te panie mają większe prawo być tutaj niż my. To ich plaża.

Najstarsza z trzech kobiet zacisnęła na jego ramieniu dłoń z diamentową bransoletą wokół pokrytego brązowymi plamkami przegubu.

— W pełni się z panem zgadzam, *Herrn* Singer. Rzeczywiście, mamy większe prawo tu być niż wy. — Jej niemiecki był doskonały. Do Singera zaczęło docierać, że kobieta jest Niemką. — Ale niech się pan nie martwi, przesuniemy się. Pięćdziesiąt metrów, tak? To niezbyt wielkie poświęcenie.

Do rozmowy wmieszała się druga kobieta.

— Prawdę powiedziawszy, chcieliśmy pana zobaczyć i przekonać się, czy w naturze wygląda pan równie dobrze, jak w telewizji.

— I bynajmniej nie dlatego, że zgadzamy się z pańskimi poglądami. Wcale nie — dodała trzecia.

Sześć nagich pośladek, żałośnie pomarszczonych pod brązem opalenizny i odzianych w coś, co bardziej przypominało niż dentyścyczną niż majtki, powoli odplynęło we wskazanym kierunku.

Rozległo się wycie syren. Nadjechały dwa samochody Guardii Urbana oraz czterech motocyklistów. Zatrzymali się za autokarem. Goryl z KGB wyskoczył z drugiego auta, obiegił je dokoła, zapinając po drodze marynarkę, i otworzył tylne drzwi. Najpierw ukazała się siwa głowa doktor Arendt, a następnie łysina Sasonowa. Natychmiast otoczyli ich ochroniarze. Wszyscy Zieloni — zarówno ci z plaży, jak i ci znajdujący się już na tarasie — ruszyli w ich kierunku. Rozległy się pojedyncze oklaski.

— To Julia. I Sasonow, to znaczy Michaił. — Singer zawsze starał się podkreślać swą zażyłość z najbardziej charyzmatycznymi przywódcami ruchu. — Idziemy...

Lecz ekipa telewizyjna nie miała zamiaru pozwolić mu wymknąć się. Kobieta w czerwonej marynarce jedną ręką przytrzymała go za ramię, a drugą podstawiła pod nos mikrofon, usiłując przy tym skierować jego kroki bliżej wody.

— W morzu nie można się kąpać. Grozi to wysypką, a nawet owrzodzeniami — powiedziała. — Czy zechciałby pan to skomentować, *Herrn Singer*?

Spojrzał w obiektyw cofającej się przed nim kamery. Istniało duże prawdopodobieństwo, że kamerzysta zmoczy sobie nogi i nabawi się wrzodów, lecz Singer nie miał oczywiście zamiaru odmówić komentarza.

Ślicznotka z Niemiec chwyciła za rękę miejscowego działacza:

— Ale przecież mamy jeść rybę. Nie otrujemy się?

— Ależ skąd. Tutaj morze jest martwe, ryby łowi się w odległości przynajmniej trzydziestu kilometrów stąd. A ponadto podadzą nam je dobrze ugotowane w naszym słynnym sosie zarzuela, przyprawionym owocami morza.

Owionęła ich chmura dymu z fajki.

— Krewetki najprawdopodobniej pochodzą z Norwegii — rzekł Norweg z ponurą satysfakcją.

W tym czasie na stołach pojawiała się jedzenie. Trzech kelnerów uwijało się na tarasie, rozstawiając butelki i podgrzane półmiski ze szkarłatnymi krewetkami, pomarańczowymi małżami w hebanowych skorupkach, pokrojonym w plastry *jamón serrano*, czyli wytwarzaną w górach, soloną szynką, bardzo twardą i bardzo aromatyczną, owczym serem i czterema gatunkami oliwek.

— A co się robi z muszlami? — spytał jeden Zielony drugiego.

— To Hiszpania, mój drogi, więc po prostu rzuca się je na podłogę. Prędzej czy później ktoś je posprząta.

Singer wraz z całą świtą dotarł wreszcie do ozdobionego transparentem wejścia na taras. Spojrzał na logo Prolebenteku.

— Wiecie, że ci ludzie niekoniecznie są tak kryształowo czyści, jak może się wam wydawać?

Tylko miejscowy działacz i śliczna Niemka znajdowali się na tyle blisko, by to usłyszeć.

— Czyżby? — ożywiła się ślicznotka.

— Firmy, którymi się interesowaliśmy, płacą im naprawdę poważne sumy, oczywiście tak, by wyglądało to na inwestowanie w ekologię: stypendia naukowe, fundusze na badania i tym podobne. Ale wydaje nam się, że w zamian Prolebentek robi dla nich coś więcej niż tylko poprawianie ich reputacji.

— Bardzo proszę — odezwał się miejscowy działacz — na razie ani słowa więcej na ten temat. Jeśli usłyszą, nie dadzą ci spokojnie zjeść z nami lunchu. A to byłoby naprawdę sikanie pod wiatr.

Kiedy wchodzili na taras, panował tam iście sielankowy nastrój. Jednak gwar rozmów ucichł na chwilę, gdy z oddali dobiegł stłumiony odgłos wystrzału.

- Co to było?
- Słyszeliście?
- To chyba gdzieś daleko. Tak mi się wydaje.
- Może tłumik samochodu?

Nikommu nic się nie stało, więc po chwili gwar rozmów powrócił ze zdwojoną siłą.

— Raul! — zawołała Arendt, przekrzykując hałas. — Chodź tu i poznaj Michaiła Sasonowa. Zająłem dla ciebie miejsce.

Singer wrócił do ślicznotki oraz miejscowego działacza.

— Przepraszam, ale chyba muszę was na razie opuścić.

Ślicznotka nie wyglądała na bardzo zmartwioną.

— Ależ oczywiście. Zobaczymy się później.

Singer zajął miejsce między Arendt a Sasanowem, natomiast opuszczona dwójka usiadła na jedynych wolnych miejscach, zupełnie z boku. Kelner — był teraz tylko jeden — chciał napełnić kieliszek dziewczyny, okazało się jednak, że butelka jest pusta. Sięgnął po nią, wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odezwał łamaną angielszczyzną:

— Ja pójdę. Ja zaraz wrócę.

Minął taras, następnie bar i wszedł do kuchni przez wahadłowe drzwi z niewielkim okrągłym okienkiem.

Otworzywszy je plecami — tak jak zwykle robią to kelnerzy mając zajęte obie ręce — zniknął za nimi. Zamaskowany mężczyzna w czarnej kominiarce pochwycił go, obezwładnił i odwrócił twarzą w stronę drugiego zamaskowanego mężczyzny, który trzymał na muszce czterech pozostałych kelnerów stojących pod ścianą z podniesionymi rękami. Na podłodze leżało ciało szefa kuchni z niemal odstrzeloną głową. Będąc profesjonalistą, kelner nie upuścił niesionej butelki, lecz postawił ją na stole, a następnie dołączył do swych kolegów.

Trzeci napastnik, o rudych włosach, nie nosił kominiarki. Ubrany był w strój kelnera. Kręcił się przy stojących na piecu garnkach, podnosił pokrywki i zaglądał do środka. Jak dwaj pozostali, miał na dłoniach rękawiczki chirurgiczne.

Ten, który obezwładnił prawdziwego kelnera, znów stał przy drzwiach i wyglądał przez okrągłe okienko.

— Wreszcie mamy ich wszystkich. Kurwa, Kevin, pośpiesz się z łaski swojej. Nie możemy tu spędzić całego dnia.

— Przepraszam, *Mister Cranmer*... Już... Ta będzie dobra.

Nalał zupę do wielkiej wazy, przewiesił serwetę prze ramię i ruszył w stronę drzwi.

— Dobra, Kevin. Pamiętaj — na środkowym stole.

Trzeci napastnik nie spuszczał wzroku z kelnerów, których trzymał na muszce, odezwał się:

— Masz pilota?

Mężczyzna z wagą zatrzymał się.

— Pewnie. W kieszeni.

— Więc się streszczaj.

— Kochany, za minutkę wracam. — Rudy posłał przez ramię pocałunek i wyszedł.

— Pierdolony jebus — warknął Smith, ani przez chwilę nie odrywając oczu od znajdujących się tuż przed nim pleców. Mając za szefa Cranmera, nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił.

Singer włożył do ust starannie obraną krewetkę i po chwili odezwał się:

— Przede wszystkim zależy nam na tym, aby komunikat jasno stwierdzał, że kraje Europy Zachodniej prowadzą wobec Wschodu politykę neokolonialną. Jednym z jej aspektów jest wykorzystywanie waszych terenów jako składowisk trujących odpadków.

— Ha! Cały problem w tym, że my chcemy, aby Zachód nas skolonizował — odparł Sasonow. — U nas w dalszym ciągu panuje kult „Coca-Coli”. Cóż, przez siedemdziesiąt lat wmawiano nam, że jest to coś złego... Idzie jakiś nowy kelner, nie widziałem przedtem tego rudzielca.

Nieco dalej ślicznotka z Niemiec zwróciła się do miejscowego działacza:

— Czy to zarzuela?

— Raczej nie. Nie podaje się jej w wazach.

Rudy postawił wagę na stole i szerokim gestem podniósł pokrywkę. Sześć kilogramów semtexu eksplodowało.

CZEŚĆ TRZECIA

Inger Mahler obserwowała proces umierania swej matki. Trwało to długo — prawie cały sierpień. Codziennie chodziła do szpitala, by posiedzieć przy jej łóżku. Nie było to przyjemne...

Przed wypadkiem pani Mahler mieszkała samotnie w niewielkim domku. Gdy mąż przeszedł na emeryturę, przepracowawszy całe życie jako kiepsko opłacany portrecista mieszczan w Szlezwiku oraz nauczyciel wychowania plastycznego ich dzieci w *oberschule* — nakłoniła go do kupienia tej skromnej posiadłości. Pozbawiony jakiegokolwiek interesującego zajęcia, starszy pan wkrótce zapił się na śmierć. Pani Mahler przeżyła go o dwadzieścia lat, całą swą energię zużywając na dokuczanie sąsiadom, miejscowemu pastorowi, a także — o tyle, o ile była w stanie — Inger.

Podłoga w kuchni pani Mahler wyłożona była kamiennymi płytkami, które starsza pani codziennie szorowała. Pechowego dnia na jeszcze mokrą podłogę wszedł kot. Pani Mahler — kobieta siedemdziesięciodziewięcioletnia — zerwała się, by przegonić intruza. Niestety, pośliznęła się, upadła i złamała biodro. Później wdały się komplikacje, po kilku tygodniach trzeba było ponownie składać złamane kości i pani Mahler dowiedziała się, że do końca życia będzie poruszała się jedynie na wózku, uzależniona od innych. Postanowiła więc umrzeć, co, okazuje się, nie jest wcale takie łatwe, szczególnie dla osoby, która przez siedemdziesiąt dziewięć lat żyła pełnią życia. Jednak osiągnęła swój cel, odmawiając przyjmowania pokarmu i płynów. W ostatniej godzinie życia zdołała przewrócić stojak z zawieszoną na nim kropłówką z soli fizjologicznej.

Przez ostatnie tygodnie życia matki Inger sypiała w pokoju gościnnym. Codziennie spędzała godzinę w autobusie, dowożącym ją do szpitala, i godzinę przy łóżku umierającej. Z przykrością stwierdziła, że nie ma matce do powiedzenia nic więcej niż przez minione czterdzieści lat. Nigdy nie układało się między nimi dobrze. Przez pierwsze dwadzieścia lat Inger stworzyła ze

swym słabym psychicznie, lecz kochającym życie, ojcem coś na kształt organizacji konspiracyjnej, działającej na tyle sprawnie, że praktycznie zawsze udawało im się przechytryć matkę. Po śmierci ojca i sojusznika jedyną możliwą ucieczką przed tyranią matki wydało się Inger zamażpójście. Niestety, jej mąż, a ojciec Laury, okazał się nędzną namiastką pana Mahlera. Małżeństwo skończyło się kompletną porażką.

Wieczorami Inger przeglądała szkicowniki ojca. W większości prac dostrzegało się rękę fachowca, lecz — niestety — nic ponadto. Wszystko było straszliwie banalne. Jedyne rysunki przedstawiające wiotką kobietę poruszyły w Inger jakąś tęsknotę i pragnienie, którymi tchnęły. Znalazła też szkice przedstawiające ją samą jako dziecko. Była wstrząśnięta zadziwiającym podobieństwem pomiędzy nią a jej córką w tym samym wieku.

W atmosferze samotności, nudy oraz udręczenia umysł Inger skoncentrował się na krótkim i burzliwym romansie z Cranmerem. Wiele razy przypominała sobie każdy spędzony z nim dzień i każdą noc. Podniecona jak nigdy dotąd, tęskniła za szaloną ekstazą, do której ją doprowadzał, i za władczością, z którą ją posiadał; za jego krzepkim, twardym, a zarazem delikatnym ciałem. Nie była w nim zakochana, a już na pewno nie tak, jak opisują w romansach. W rzeczywistości bała się i nienawidziła wielu jego cech: gruboskórności, skłonności do okrucieństwa, interesownej czułości, okazywanej jedynie wtedy, gdy miał nadzieję coś przez to osiągnąć. Jakby na przekór temu wszystkiemu i własnym doświadczeniom, Inger myśląc o nim — o tym, jak wyglądał, jak się poruszał, jak uprawiał miłość — stworzyła sobie obraz czegoś czystego i silnego, czegoś pierwotnego, wolnego i niezależnego od panującego porządku społecznego, który Inger uważała za obłudny i gówno wart. Taki właśnie obraz starała się uwiecznić w rzeźbie, którą zdążyła skończyć, zanim, wezwana telefonem przez lekarza matki, musiała wyjechać. I za takim obrazem tęskniła.

Nie mogąc ruszyć się z miejsca, postanowiła nie marnować czasu. Jej obsesją stało się poznanie tajemnicy otaczającej Niemanda. Ten pomysł zaświtał w jej głowie jak diabelska pokusa, groźna, a jednak pociągająca. Wiedziała, że jeśli jeszcze kiedyś spotka Niemanda, jej wiedza o przeszłości, z której się wyrwał, nada ich związkowi zupełnie nowy, przerażający wymiar. Wprawdzie przez cały czas twierdziła, iż nie interesuje jej, skąd przyszedł, ale w głębi duszy marzyła, żeby poznać prawdę i ukryć to przed nim. Dzięki temu zachowałaby pewną rezerwę i dystans nawet w chwilach największych uniesień seksualnych. W ten sposób zdobyłaby swego rodzaju władzę nad Niemandem, podobnie jak on miał nad nią.

Poznanie prawdy okazało się o wiele łatwiejsze, niż sądziła. Jeden z jej przyjaciół miał mianowicie znajomego, hamburskiego korespondenta londyńskiego „Timesa”. Ten z kolei posługiwał się komputerem połączonym z Wapping, dzięki czemu Inger mogła przeczytać wszystko, co napisano w tej gazecie na temat katastrofy w Hanowerze. A było tego znacznie więcej niż w całej niemieckiej prasie.

Wiedziała, że Niemand leciał samolotem jako obstawa. Na liście ofiar natomiast znajdowało się nazwisko kapitana Thomasa Cranmera, zatrudnionego przez emira w charakterze ochroniarza na czas krótkiej podróży do Europy. Dwa dni po katastrofie „The Times” zamieścił o nim krótką informację w rubryce zgonów. Inger dowiedziała się z niej, że po ukończeniu szkoły, synącej z surowej, niemal koszarowej dyscypliny, Cranmer wyjechał najpierw do Sandhurst, a następnie do Cambridge, gdzie przez dwa lata uczęszczał na intensywny kurs języka niemieckiego, opłacany przez Ministerstwo Obrony. Przez trzy lata przebywał w Berlinie, prawdopodobnie wykonując tajne zadania po drugiej stronie muru (tutaj korespondent czytał między wierszami). Najprawdopodobniej wstąpił tam do służb specjalnych. Podczas wojny na Falklandach przeniesiono go z Royal Buff Caps do SAS. Został odznaczony za zabicie sześciu żołnierzy argentyńskich, którzy ukryli się w szałasie pasterskim przed śnieżną burzą. Nieco później został raniony odłamkiem pocisku wystrzelonego przez własną artylerię. Pod koniec lat osiemdziesiątych przez dwa lata służył w Irlandii Północnej, po czym został przeniesiony w stan spoczynku. Korespondent przypuszczał, że bezpośrednim powodem mogło być zbyt częste posługiwanie się bronią palną, co mogło doprowadzić nawet do politycznego skandalu. Cranmer był żonaty. Nie miał dzieci. Urodzony w roku 1957, zginął w wieku trzydziestu czterech lat.

Inger nie była tym wszystkim specjalnie zdziwiona ani zdenerwowana. Jeśli cokolwiek zrobiło na niej wrażenie, to jedynie to, że wszystkie te rewelacje w ogóle jej nie poruszyły. Dziwiła się sama sobie: wszak uważała się za osobę nie znoszącą przemocy. W wieku dwudziestu paru lat wielokrotnie uczestniczyła w demonstracjach antywojennych, przeciwko niszczeniu środowiska naturalnego, łamaniu praw człowieka, nieludzkiemu wyzyskowi imigrantów. Zawsze jednak zachowywała dystans wobec organizatorów tych demonstracji i nigdy nie zapisała się do żadnej organizacji. A teraz co najwyżej się dziwiła, że wielką pasją jej życia stał się człowiek „z drugiej strony” — zawodowy żołnierz, zarabiający na życie zabijaniem ludzi.

Na pogrzebie matki nie było, oprócz Inger i grabarzy, nikogo. Bezpośrednio po tej smutnej ceremonii Inger złapała samolot do Paryża, a stamtąd do Tarbes. Po dziesięciu godzinach podróży, wypełnionych głównie fantazjowaniem na temat osoby Cranmera, dotarła do domu.

Niestety, jej kochanka nie było, a co więcej część biżuterii zniknęła. Wiele rzeczy leżało na nie swoich miejscach. Następnego dnia znalazła w korytarzu kilka pereł z brakującego naszyjnika. Dwie następne odkryła w stodole. Wcześniej, o dziesiątej rano, wysłuchiwała wiadomości od Laury, nagranej na kasecie Leonarda Cohena — *I'm Your Man*.

Słowa córki wywołały w niej burzę sprzecznych uczuć. Najpierw ogarnął ją straszny gniew (nigdy wcześniej nie przypuszczała, że w ogóle można się tak wściec), a następnie poczucie winy — zdawała sobie sprawę, że była fatalną matką, i że wszystko, co wyprawiała Laura, miało swe korzenie w zaniedbaniu, jakiego doświadczała od dnia swych narodzin. Inger nie

chciała mieć Laury i nigdy nie zdołała jej polubić. Na swój sposób kochała ją — łączyły je przecież więzi biologiczne, Laura była ciałem z jej ciała. Nie do końca Inger zdawała sobie sprawę, że stosunki między nią a córką stanowiły dokładne powielenie relacji między jej matką a nią. Jako matka, poniosła całkowitą klęskę i dobrze o tym wiedziała. Za punkt honoru postawiła więc sobie nie dopuścić do tego, by Laura stoczyła się ostatecznie.

Dlatego szesnastcie miesięcy wcześniej porzuciła pracę w Szlezwiku i poświęciła większą część wakacji na wyjazd do Barcelony, by ratować Laurę, która uzależniła się od heroiny i z braku pieniędzy zaczęła się prostytuować. Teraz, po dwóch nie przespanych nocach, Inger zdecydowała, że jedzie do Barcelony ratować córkę. W nocy, analizując nagraną przez Laurę kasetę, ułożyła najbardziej prawdopodobny scenariusz minionych wydarzeń. Oto Niemand (w dalszym ciągu tak go nazywała, choć znała już jego prawdziwe imię) potrzebował pieniędzy. Przekonał więc Laurę, by pojechała z nim do Barcelony i pomogła wejść w środowisko handlarzy narkotyków. Prawdopodobnie miał zamiar zainwestować pieniądze, które — według Laury — przywiózł ze sobą.

Inger nawet nie próbowała taić przed sobą, że chce jechać, bo liczy także na spotkanie z Niemandem. Zdawała sobie sprawę, iż między nią a córką może dojść do walki. Do walki, którą miała zamiar wygrać. Do tego wszystkiego doszło jeszcze przecucie, że córka nie żyje. Przecucie zupełnie irracjonalne, a zarazem łatwe do wytłumaczenia. Irracjonalne — gdyż nie istniały żadne uzasadniające je przesłanki; łatwe do wytłumaczenia — gdyż ciemna strona natury Inger pragnęła, by Laura nie żyła.

Kierowana gniewem, poczuciem winy, zazdrością i pożądaniem pojechała do Barcelony i pojawiła się na Plaça de Catalunya wkrótce po tym, jak w położonej dwa kilometry dalej Barcelonecie wybuchła bomba. Miała do wyboru dwie możliwości. Jak wynikało z pozostawionego przez Laurę nagrania, dziewczyna i Cranmer mogli zaszyć się w Barrio Gótico, gdzie przed rokiem Laura mieszkała. Inger mogła więc rozpocząć poszukiwania od tego miejsca. Drugie rozwiązanie to zgłoszenie na policji faktu zaginięcia córki, przebywającej najprawdopodobniej w towarzystwie przestępcy. Ze względu na wyczerpanie spowodowane dwiema nie przespanymi nocami oraz podróżą Inger wybrała łatwiejsze wyjście.

Opuściła stację metra, przeszła przez przebudowywany plac i przecięła ruchliwe skrzyżowanie, by zatrzymać się na chwilę przed „Café Zurich” i pomyśleć, jak dobrze smakowałaby kawa pita w ciepłe wrześniego słońca, a następnie szybko odrzucić pokusę. Nie przyjechała tu na wczasy.

Ruszyła dalej. Mijała stoiska z kwiatami — różami, mieczykami, ostatnimi już liliami i pierwszymi daliami oraz wieloma innymi. Na niektórych stoiskach stały klatki z ptakami... Niemożliwością jest znaleźć się na Ramblas i nie poddać się panującej tam atmosferze radości.

Numer czterdzieści trzy znajduje się jednak spory kawałek dalej, tam gdzie stoiska z kwiatami i ptactwem ustępują miejsca kioskowi z pismami

pornograficznymi, a sklepy tracą ten blask i powab, charakterystyczny dla przeciwległego końca ulicy.

Nagle — kiedy Inger zbliżała się już do posterunku policji — rozległ się straszny hałas, istna kakafonia dźwięków: najpierw niezwykle silny, wręcz ogłuszający, sygnał alarmowy, chwilę później dołączyły syreny oraz warkot silników. Z kamiennej bramy, pobłyskując niebieskimi i żółtymi światłami, wyjeżdżały motocykle i samochody. Ponad tym wszystkim unosił się z rykiem policyjny helikopter, zawieszony tuż nad platanami. Inger, przerażona, zawróciła. Weszła do najbliższej kawiarni, znalazła wolny stolik i zamówiła herbatę z cytryną.

Kiedy podszedł kelner, zapytała, czy wie, co się stało. Wzruszył ramionami i powiedział coś o jakiejś bombie na plaży w Barcelonocie. Inger nic więcej nie rozumiała, gdyż mówił stanowczo za szybko. W pewnym momencie przerwano program telewizyjny i nadano komunikat o zamachu. Inger pomyślała, że to bez sensu iść teraz na policję, gdyż i tak nikt nie będzie miał głowy, by z uwagą wysłuchać tego, co miała do powiedzenia. Odczuła coś na kształt ulgi, gdyż nękały ją wątpliwości, czy powinna mieszać w tę sprawę policję. Nigdy nie zdecydowałaby się na ten krok, gdyby stać ją było na prywatnego detektywa.

Kiedy bomba wybuchła niespodziewanie, Cranmer i Smith postąpili dokładnie z planem, tak jakby nic się nie stało. Smith rozłożył pistolet i schował go do torby. Następnie obaj ściągnęli maski i wybiegli tylnym wyjściem. Samochód, wypożyczony przez Cranmera w Saragossie, stał zaparkowany przy krawężniku. Pomknęli Carrer Sant Carles do Passeig Nacional, następnie przejechali koło starego portu, skręcili w prawo, minęli stację benzynową naprzeciwko Barceloneta Metro i zatrzymali się przed samym wejściem na stację. Cranmer wyjął z bagażnika trzy torby. Jedną niósł Smith. Weszli na stację. W niecałe trzy minuty od wybuchu siedzieli bezpiecznie w wagonie metra. Przejechali tylko jeden przystanek — na Jaume I wysiedli, ruszyli w dół Carrer Aregenteria, minęli bar „Caracas” i znaleźli się na Placu Santa María. Mijała dwunasta minuta od wybuchu, kiedy wspinali się po schodach na samą górę sześciokondygnacyjnego budynku stojącego na północno-wschodnim rogu placu.

Na górze było dwoje drzwi: jedne masywne i ciężkie, choć stare i przeżarte przez korniki, drugie zaś zbite z cienkich desek, z przyczepioną białą tabliczką z czarnym napisem — *Toalet*. Wąskie schodki, przypominające raczej drabinę, prowadziły do trzech drzwi, także z desek, które wiodły na dach. Cranmer włożył klucz do zamka masywnych drzwi, przekręcił, a następnie spojrzął na zegarek.

— Nieźle. O minutę krócej, niż zakładałem.

Winston rzucił obie torby (w jednej znajdował się pistolet) na duże, podwójne łóżko i rozejrzał się. Znajdowali się w wysokim pokoju, niegdyś zapewne pięknym, lecz teraz z ciemnym plamami, z odpadającymi od ścian tapetami, przy czym niektóre były pozrywane i walały się po podłodze. Metalowe łóżko przykrywała brudna kołdra w kolorze brunatnym. W pomieszczeniu stały ponadto dwa stoły, cztery krzesła i wielka stara szafa. W za-

słonej brudną szmatą wnęce kuchennej znajdowały się tylko: zlew, szafka i dwupalnikowa kuchenka gazowa.

Pośród trzech okien największe było środkowe, zasłonięte dwiema drewnianymi okiennicami. Cranmer otworzył oszklone drzwi na niewielki balkon i odsunął bladezielone zasłony. Pokój wypełniło światło słońca.

Niewielki plac przed domem na pierwszy rzut oka wyglądał dość zachęcająco. Teren przed kościołem wyłożony był gładkimi płytkami, przypominającymi kafelki; sam kościół, Santa María del Mar — kościół dokerów, marynarzy oraz rybaków — miał w sobie jakiś smutek wielkości. Na placu rosły trzy czy cztery niewielkie, mocno przystrzyżone drzewa. Na niektórych balkonach stały doniczki z geranium, na innych rosły jakieś pnącza. Żelazne balustrady w większości były pordzewiałe, w wielu miejscach opadał tynk, odsłaniając ciemnoczerwone cegły na ścianach. Kościół również nie znajdował się w najlepszym stanie. Naprzeciwko mieścił się bar kawowy „Nemesis”.

Cranmer usłyszał za sobą metaliczny szcęk: to Winston ponownie złożył pistolet. Odwrócił się i zobaczył wymierzoną w siebie lufę. Nie był zbyt zaskoczony.

— Wydaje mi się, że to ty go, kurwa, załatwiłeś.

— Nie.

— Rozpierdoliło go na strzępy. Istny befszytk tatarski. Czasami zachowywał się jako pieprzony idiota, ale znał się na plastyku.

— Miał pecha.

— On zbyt dobrze znał się na rzeczy, a cały sprzęt był czysty, więc to ty go załatwiłeś. Tylko, kurwa, nie wiem w jaki sposób, bo przecież to on miał przy sobie tego cholernego pilota.

— Zgadza się. W kieszeni. Może uderzył o coś po drodze? Tak, na pewno. Przechodząc przez drzwi, przytrzymał je plecami, to wtedy musiał wcisnąć ten guzik.

— Nie. Gdyby było tak, jak twierdzisz, wypieprzyłoby wcześniej i wszyscy bylibyśmy na drugim świecie.

Cranmer udał irytację.

— OK. Więc musiało się to zdarzyć w chwili, gdy podszedł do stołu. Szturchnął w coś albo ktoś szturchnął jego. A teraz odłóż tę cholerną pukawkę i zapomnij o tym. Takie rzeczy się zdarzają. — Kapitan Cranmer wydawał teraz polecenia starszemu kapralowi Smithowi. — Pod łóżkiem stoi parę piw. Bądź tak dobry, wyjmij jedno dla mnie i jedno dla siebie, i otwórz. Aha! Są tam też kanapki... A później trochę sobie pokimamy. Mamy sześć godzin...

Smith wykonał polecenie. Zresztą wszyscy zawsze wykonywali polecenia kapitana Cranmera. Coś jednak było nie w porządku, coś w tym wszystkim nie grało, tylko że starszy kapral Smith nie miał pojęcia co.

Minęła szesnasta, zanim Ramon Gómez pozwolił wreszcie wnieść czarne worki na szczątki Singera, Arendt oraz mężczyzny, który przyniósł wagę. Lekarze i sanitariusze zajmowali się tymi, którzy mieli szansę przeżyć, i tymi, którzy niedługo mieli skończyć. Dookoła rozciągnięto podwójny kordon, wyznaczony plastikową taśmą. Do wewnętrznego kręgu wstęp mieli jedynie technicy i fotografowie sądowi, odziani w maski i sterylne kombinezony. Bardzo powoli przesuwali się ku zalanemu krwią epicentrum wybuchu. Działali bez pośpiechu, za to bardzo dokładnie. Zanim skończyli pracę, napełnili kilkaset plastikowych torebek, umieszczając na każdej kartkę z dokładnymi informacjami. Torebki zawierały próbki tkanek, kości, drewniane drzazgi, szkło, porcelanę, dokumenty, porozrywane przez wybuch i poplamione krwią swych właścicieli.

Dopiero gdy technicy dotarli do epicentrum wybuchu i usunięto ostatnie, straszliwie zmasakrowane szczątki ludzkie, Gómez zdecydował się złożyć krótki raport Teniente-Jefe Juanowi Estradzie z Brigady Justicial, któremu przydzielono tę sprawę. Zebrał się w sobie i podszedł do potężnego siwego faceta. Wytrząsnął ducadosa z paczki i poczęstował Estradę — ten miał niejakie problemy z chwyceniem papierosa w grube paluchy — a następnie podał mu ogień. Dopiero wtedy sam zapalił.

Estrada kaszlnął, splunął i odezwał się ochryply głosem:

— A więc? Ile ofiar?

— Ośmiu zabitych, dwudziestu dwóch rannych. Przynajmniej trzech nie ma szans na przeżycie. No i jeszcze szef kuchni, któremu na zapleczu odstrzelili pół głowy...

— Wszystkich zidentyfikowano?

— Oprócz jednego. Tego, który przyniósł wagę z ładunkiem wybuchowym. Wydaje się pewne, że był jednym z terrorystów. Resztę już zidentyfikowano.

— Mogło być gorzej.

Spojrzeni w stronę zniszczonego tarasu, na roztrzaskaną fasadę „Casa Pez”. Gómez, wysoki brunet, ubrany był — podobnie jak jego szef — w garnitur, a nie w mundur, jednakże na pierwszy rzut oka widać było, że jest policjantem.

— Tak naprawdę, to mieliśmy kupę szczęścia — odparł.

— Tak... Nazwiska?

Gómez zająrzył do notatnika.

— Raul Singer, Niemiec, członek Tęczowej Frakcji z Frankfurtu. Znajdował się najbliżej bomby. Doktor Julia Arendt, deputowana do Parlamentu Europejskiego...

Przerwał, gdyż rozległy się syreny zbliżających się pojazdów. Tym razem zwiastowały przyjazd wielkiej czarnej limuzyny. Estrada wyprostował się i próbował coś dojrzeć ponad głowami sanitariuszy, funkcjonariuszy Guàrdii Urbana, przypadkowych gapiów oraz kręcących się w pobliżu dziennikarzy.

— Nie mów, niech zgadnę — warknął. — Czy to ten skurwysyn burmistrz?

Gómez skinął głową. Czekali w milczeniu i patrzyli, jak funkcjonariusze Guàrdii Urbana oddają honory. Następnie porozumieli się wzrokiem i wymieniili między sobą kwaśne uśmiechy na myśl o tym, że człowiek, którego szczerze obaj nienawidzili, za chwilę znajdzie się w tarapatkach.

Burmistrz Barcelony był krzepkim, trochę łysiejącym pięćdziesięciolatkiem, noszącym okulary w czarnych oprawkach. Był socjalistą i w przeszłości, jeszcze za czasów dyktatury Franco, kilka razy siedział w więzieniu. Estrada osobiście go kiedyś przesłuchiwał... Czas nie zabił głębokiego uczucia niechęci, jakie wtedy ich połączyło.

— Estrada, jeden z twoich ludzi nie chciał mnie przepuścić — odezwał się burmistrz.

— Wykonywał swoje obowiązki. — Estrada zgasił papierosa, wytrząsnął z paczki dwa następne — dla siebie i dla Gómeza — zapalił je i jednego wręczył koledze. Burmistrza nie poczęstował. — Prawdę powiedziawszy, nie powinien być w ogóle cię przepuścić. Nie bierzesz udziału w śledztwie... Więc czego chcesz?

— Chcę wiedzieć, jak, do diabła, mogliście dopuścić do czegoś takiego?

— Spytaj Martína. To on był odpowiedzialny za bezpieczeństwo tej imprezy. Ja jestem tu po to, żeby dowiedzieć się, kto to zrobił.

— To akurat już wiemy. Wojownicy Chrystusa. Przyznali się. Ich celem był Michał Sasonow... W jakim jest stanie?

Estrada wzruszył ramionami. Odpowiedzi udzielił Gómez:

— Trzymają go na oddziale intensywnej terapii. Miał na sobie kuloodporną kamizelkę. Ale nie na wiele mu się przydała... Nie ma szans na przeżycie.

— To straszne. To naprawdę straszne. Rozumiem, że wszystkie drogi wyjazdowe są zablokowane, a dworce i lotnisko pod ciągłą obserwacją? Musimy zadbać o to, by ludzie odzyskali zaufanie do sposobu, w jaki organizujemy ochronę wszelkich imprez. I to jeszcze przed rozpoczęciem igrzysk.

— To już nie mój interes. Ja łapię przestępców.

— To szaleńcy... ci Wojownicy Chrystusa.

— Nie zajmuję się wsadzaniem do więzienia jakichś nazw — Estrada nie ukrywał już irytacji — ja wsadzam tam ludzi w krwi i kości. I nie chciałbym, by mi w tym przeszkadzano. Co to jest, Gómez?

Podczas tej wymiany zdań podszedł do nich jeden z techników sądowych. W dłoni trzymał niewielką, opisaną torebkę foliową. Chciał ją już wcześniej pokazać, lecz bał się przerwać burmistrzowi, w końcu zdecydował się i, wręczając opakowanie Gómezowi, jednocześnie szepnął mu co do ucha. Ten powtórzył to głośno:

— Mamy coś. To palec.

— Tylko jeden? Żadnych rąk? Stóp?

— Na ten palec założona jest rękawiczka chirurgiczna. Prawdopodobnie jest to palec zamachowca.

Estrada chwycił torebkę i podsunął ją burmistrzowi pod sam nos.

— Ha! Więc mamy coś na początek. Człowiek. To rozumiem. Z krwi i kości. Co prawda, na razie tylko fragment, ale zawsze to coś. Gómez, weź to pod klucz i zabezpiecz...

Mniej więcej o tej samej porze, kiedy Estrada aresztował palec, Inger zebrawszy się na odwagę weszła do budynku Guàrdii Urbana. Po wyjściu z kawiarni, gdzie zostawiła nie dopitą herbatę z cytryną, najpierw udała się na cudowny Plaça del Rey. Rosną tam piękne palmy i stoją latarnie zaprojektowane przez Gaudiego. Później doszła aż do Barrio Gótico i znów wróciła na Plaça Boqueria. Robiła to wszystko po to, by odsunąć chwilę ostatecznej decyzji. Wciąż się wahała, czy powinna iść na policję. Uważała, że skoro wiele koncernów buduje swą wielkość na wyzysku siły roboczej z Trzeciego Świata, skoro robią to przy współudziale banków i rządów swych państw — to potępianie drobnych kieszonkowców czy złodziei samochodów należałoby uznać za czystą hipokryzję. Była także zdecydowaną przeciwniczką karania za najbardziej nawet wyuzdane kontakty seksualne, pod warunkiem że uczestniczą w nich osoby dorosłe i że nie są do niczego zmuszane. System prawny — który dopuszcza sprzedaż alkoholu i wyrobów tytoniowych, wsadza natomiast do więzienia handlarzy konopi indyjskich — był według Inger po prostu żaloszny. Na dodatek szczerze nienawidziła policjantów — skorumpowanych strażników skorumpowanego społeczeństwa.

Jednakże rok wcześniej, także w Barcelonie, widziała skutki zażywania heroiny. A przecież była teraz przekonana, że Niemand zabrał Laurę do Barcelony po to, by pomogła mu wejść w środowisko handlarzy narkotyków.

Kiedy wreszcie przekraczała proste bramy tworzącej wejście do budynku numer 43, jej sumienie było, przynajmniej chwilowo, uspokojone. Minęła drugie drzwi i znalazła się w przeszklonym korytarzu, którego szklana ściana wmontowana została w odrestaurowaną kolumnadę, prawie całkowicie pozbawioną ornamentów, lecz bardzo piękną i delikatną. Stanowiła jeden z boków niewielkiego, wytwornego dziedzińca. Nieco dalej korytarz rozszerzał się, tworząc prostokątne pomieszczenie, do którego schodziło się po schodkach. Stało w nim biurko dyżurnego. Wszystko tam było nowoczesne, czyste i proste. Pod ścianami ustawiono ławki dla oczekujących. Akurat nie było nikogo. Za biurkiem siedział sierżant policji w dosyć zaawansowanym wieku. Plastikowa plakietka informowała, że nazywa się Arranz.

Spojrzał na Inger sponad okularów i odsunął plik papierów, które studiował. Pomyślała, że jego wyglądu nie określiłaby wprawdzie jako ojcowski, ale niewątpliwie było w nim coś z dobrego wujka. W swym krytycyzmie uznała to oczywiście za efekt starannie wyreżyserowany. Dała się jednak zwieść i gotowa była mówić, zwierzać się, a może nawet zaufać.

— W czym mogę pani pomóc?

— Czy mówi pan po francusku?

— Tak, dość dobrze. — Jego głos był głęboki, lecz niezbyt donośny.

Inger wyjaśniła, że chce zgłosić zaginięcie córki, a on poinformował ją, że przysłała w odpowiednie miejsce. Z torby podróżnej wyciągnęła fotografię Laury siedzącej przy stole na patio w domu matki. Na blacie stały talerze i butelka.

Arranz wyjął z szuflady odpowiednie formularze, zapisał dane Inger, a następnie Laury. Spytał, dlaczego córka nazywa się Christoffersen, a ona Mahler.

— Rozwiodłam się z jej ojcem dwanaście lat temu i powróciłam do nazwiska panieńskiego... Córka może przebywać z tym mężczyzną. — Do kolorowej fotografii Laury dołączyła czarno-białe zdjęcie Niemanda stojącego na arenie i trzymającego nad głową *cocarde*. Kupiła je w redakcji „64” — gazety wydawanej w Pau. Była coraz bardziej przekonana, że to, co robi, jest słuszne.

— Córka zostawiła mi wiadomość nagraną na taśmę magnetofonową. Powiedziała, że ten człowiek to przestępca i że jada do Barcelony zarobić tyle pieniędzy, żeby starczyło im... do końca życia.

— Czy mogę zrobić kopie? — spytał Arranz, wskazując na fotografie.

— Oczywiście.

Włożył zdjęcia do kserokopiarki, zrobił kopie i sprawdził, jak wyszły.

— Jak się nazywa ten mężczyzna?

Serce Inger zatrzymało się na moment.

— Kazał się nazywać Niemand. Tylko tyle o nim wiem.

Arranz zamyślił się, stukając długopisem o biały, równy rząd swych sztucznych zębów.

— Jeśli chodzi o możliwość rozpoczęcia przez nas poszukiwań, to sprawę komplikuje fakt, że pani córka jest osobą dorosłą. A dorośli mają prawo zniknąć.

— Nie wierzę, że ona kiedykolwiek będzie dorosła.

Wzruszył ramionami, poprosił, by podpisała się na górnym formularzu. Oddzielił kopie, a od skserowanych zdjęć poobcinał nadmiar papieru, po czym spiął wszystko zszywkami. Jego ruchy były szybkie i precyzyjne. Wreszcie zaczął zadawać pytania.

— Czy pani córka brała kiedykolwiek narkotyki?

— Tak.

— Heroinę czy haszysz?

— I to, i to. A także inne. Na przykład amfetaminę.

— Barcelona to miasto dwóch H. — Pochylił się w stronę Inger. — Czy naprawdę chce pani, żebyśmy odnaleźli pani córkę?

— Oczywiście. — Jednak poczuła cień niepewności.

Mówił dalej, a w jego głosie słychać było współczucie:

— Jeśli to trafi do działu zaginionych, sprawa praktycznie przepadła.

Jeśli natomiast pod narkotyki, to papiery trafią do komputera i będziemy mieli jakieś szanse... Powiedziała mi pani wystarczająco dużo, bym miał podstawy zakwalifikować tę sprawę właśnie tak.

— Dobrze, niech pan tak zrobi.

„Czy w ten sposób dopuściłam się zdrady?”

— Jak możemy się z panią skontaktować?

— Nie wiem. Dopiero przyjechałam.

— Więc niech pani wpadnie i zostawi adres, gdy już będzie go pani znała. Życzę miłego pobytu.

Nagle jego uśmiech wydał się nieludzki, sztuczny, fałszywy. Policjant wręczył Inger żółtą kopię zeznania, na której, ku jej przerażeniu, widniał nagłówek: *Denuncio*. Podziękowała mu nieszczerze i wyszła. Na dworze zapadał zmrok. Czowała się jak Judasz w Wielką Sobotę.

26

Musiła teraz szukać córki, i to szybko, żeby odnaleźć ją, zanim zrobi to policja. Ohydna wiadomość od Laury znała już na pamięć. Zdanie po zdaniu...

Zaszyjemy się w Barrio Gótico — wiesz, tam gdzie byłam poprzednio — i kiedy załatwi już to, co ma załatwić, będziemy mieli tyle szmalu, że wystarczy nam do końca życia...

Dzielnica Barrio Gótico — platanina wiekowych ulic i alejek — położona pomiędzy starym portem a katedrą, przedzielona na pół przez Via Laietana. Część zachodnia, ograniczona ulicami Ramblas i Laietana oraz katedrą, razi krzykliwą elegancją — kiczowatym wdziękiem dzielnicy rozrywki. Jest królestwem czerwonych świateł, dobrych restauracji oraz wielu pułapek zastawionych na naiwnych turystów. Część wschodnia jest biedna, o walących się domach, ulicach wąskich i ciemnych. Właśnie we wschodniej części Barrio Gótico, w budynku położonym naprzeciwko baru „Caracas”, udało się Inger ponad rok temu odnaleźć Laurę. Dzieliła strzykawkę i łóżko z młodą Rumunką, która horror życia w kraju pod panowaniem Ceaușescu zamieniła na życie w Barcelonie — inne, ale wcale nie lepsze. Pieniądze na prochy zdobywały sprzedając się tanio handlarzom. W ten sposób udało im się nie zdrzeć z zawodowymi dziwkami.

Inger przeszła na drugą stronę Via Laietana, skierowała się w dół Carrer Argenteria i weszła do baru „Caracas”. Był niewielki i bardzo prosty: wąskie pomieszczenie z kontuarem długości najwyżej trzech metrów. Z jednej strony stały trzy stoliki i kilka krzeseł, prawie nigdy nie wykorzystywane, a z drugiej — ekspres do kawy, filiżanki, spodki, butelki oraz grill. Przed kontuarem stały trzy stołki barowe. Inger siadła na jednym z nich.

Chłopak w wieku najwyżej trzynastu lat siedział na stołku koło ekspresu i dębał wykałaczką w zębach.

— *Qué quiere?*

Fakt, iż odezwał się po kastylijsku, wskazywał na to, że mały zidentyfikował ją jako cudzoziemkę. Wszak obcokrajowcy nie zadają sobie trudu uczenia się katalońskiego.

— *Café con leche.*

Chłopiec nalał filiżankę kawy i dołął mleka.

— Czy Don Pedro nadal tu pracuje?

— Tata? Pewnie. Jest w kuchni. Czy mam go zawołać?

— Tak, proszę.

Mały postawił kawę przed Inger i przez wahadłowe drzwi wyszedł na zaplecze. Po chwili pojawił się w nich gruby, siwy mężczyzna o twarzy zaleconego alkoholika. Za nim podążał chłopiec.

— Czy pamięta mnie pan? — spytała Inger.

Wzruszył ramionami.

— Rok temu moja córka wynajmowała pokój w domu naprzeciwko. To chyba pan pośredniczył w wynajmie. Miała... kłopoty.

Położyła na ladzie zdjęcia Laury.

Don Pedro spozryzał na nie i podrapał się po pomarszczonej szyi.

— Tak, pamiętam.

— Chciałabym wiedzieć, czy tu wróciła? Może widział pan ją ostatnio?

Z pewnym zakłopotaniem wsunęła pod spodek filiżanki banknot tysięczpesetowy.

— Nie.

Inger wyjęła zdjęcie Cranmera.

— Jeśli to ten, o którym myślę — powiedział Don Pedro — to był tu wczoraj. Zamówił kanapkę i kawę. Także szukał pokoju. Ale nie mogłem mu pomóc, bo już się tym nie zajmuję.

Poczuła, że znów ogarnia ją panika połączona z rozpaczą, ale nad sobą zapanowała. Co Cranmer mógł zrobić, gdy Pedro go spławił? Prawie na pewno poszedł do innego baru. To właśnie należało uczynić, szukając pokoju w Barrio, gdzie nie ma dozorczyń, a właściciele domów są praktycznie nieuchwytni. Barmani natomiast często dysponują kluczami do pustych mieszkań albo przynajmniej wiedzą, gdzie można je znaleźć. Nie pozostało jej nic innego, jak zrobić to samo.

Niestety, ruszyła w przeciwnym kierunku, niż powinna. Z „Caracas” udała się w stronę muzeum Picassa przez labirynt uliczek na wschód od Pląca Santa María, a na zachód od Pląca Comercial. Kilka razy miała ochotę się poddać, lecz wmawiała sobie, że wycofanie się już na samym początku byłoby głupotą. Z drugiej jednak strony powtarzanie w kółko tych samych pytań i pokazywanie zdjęć coraz bardziej przypominało jej powtarzający się koszmar senny, jaki miewają pacjenci pod narkozą... Miała dość, jednak zdołała przekonać samą siebie, że gdyby wynajęła prywatnego detektywa, oczekiwałaby od niego takiego właśnie działania.

Zrobiło się już prawie ciemno, kiedy weszła do baru „Nemesis”. Nad

wysokim, wgiętym kontuarem zwisał baldachim, przed barem stały wysokie kwadratowe stołki, a w słabo oświetlonym wnętrzu — pięć lub sześć stolików z blatami pokrytymi laminatem. Za barem urzędowała niezwykle tęga kobieta w wieku około czterdziestu lat, która pomimo swej tuszy — a może właśnie ze względu na nią — bardzo starała się wyglądać elegancko: nosiła drogą czarną suknię z jedwabiu, ciemne włosy upięte w kok, podtrzymywany dużymi srebrnymi spinkami, dłonie zadbane, z niedawno lakierowanymi paznokciami. Spojrzenie miała twarde — odpowiednie do otoczenia, w którym przyszło jej prowadzić ten lokal. Przed pięciu laty jej męża zasztyletowano za to, że odmówił podania drinka pijanemu.

Inger wyjęła zdjęcie oraz banknot tysiącesetowy. Kobieta nigdy w życiu nie widziała Laury, ale za to rozpoznała Cranmera.

— Był tu. Wczoraj. Pytał, czy nie znam jakiegoś pokoju do wynajęcia.

— Tak?

— Miał wyraźnie określone wymagania. Chciał, żeby pokój był na najwyższym piętrze i bez żadnych sąsiadów.

— I?

Kobieta wskazała na domy stojące po drugiej stronie placu.

— Tamten dom na rogu. Za drzewami. Wynajął pokój na piątym piętrze. Zapłacił za miesiąc z góry. Ale nie spał tam ostatniej nocy.

Chwyciła pieniądze, otworzyła szufladę kasy i schowała banknot do środka. Spojrzała Inger prosto w oczy. Ta na moment wpadła w panikę, gdyż nie wiedziała, co robić. Dopiero po chwili zrozumiała: wyciągnęła następny banknot i położyła na ladzie.

— Czy jest tam teraz? — spytała.

— Tak, przyszedł około czternastej, może parę minut po. Nie był sam.

— Ale nie z tą dziewczyną?

— Nie, z mężczyzną. Ciemnym, ale nie czarnym. To nawet nie był Marokańczyk... Raczej jakiś amerykański mieszaniec.

— Mieli coś przy sobie?

— Jakieś torby, nic dużego.

Inger nie miała więcej pytań, zresztą i tak już niczego by się nie dowiedziała. Zamówiła kawę, choć nie miała ochoty pić, i usiadła przy stoliku, zza którego widziała wejście do tamtego domu. Wróciło uczucie paniki: co dalej robić? *Myszę, że to bandzior. Wspaniały, stodki bandzior. Mepsuty tak bardzo, że ciężko to w ogóle pojąć. Jak jakiś anioł. Upadły anioł...?*

„Tak, to możliwe — pomyślała Inger. — Ten ciemnoskóry jest zapewne taki sam... Nadal jednak nie natrafiłam na ślad Laury... Co robić? Chyba jedynie czekać... Przynajmniej on się znalazł”.

Winston nie wierzył Cranmerowi. Kiedy schodzili po schodach, znowu zaczął:

— To na pewno ty go załatwiłeś. Mnie także byś wykończył, gdyby nie to, że potrzebujesz kogoś, kto będzie osłaniał ci tyłek.

— Nie. To ja będę osłaniał ciebie. Dzięki temu osobiście odbierzesz pieniądze i będziesz miał pewność, że nie ucieknę, dopóki się nie podzielimy. Zgoda? Możesz wziąć działkę Kevina. Całą. Przypuszczam, że chciałby, aby tak się stało.

Winston stał już na samym dole słabo oświetlonych schodów. Odwrócił się, a po chwili uśmiechem dał znak, że się zgadza. W mroku załśniły jego białe zęby.

— W porządku... Ale szkoda Keva. To był kurewsko fajny kumpel, chociaż kompletnie spierdolił tę robotę. Jak ten kretyń mógł wcisnąć guzik pilota?

Wyszli na zewnątrz. Tylko jedna latarnia uliczna i czerwona poświata „Nemesis”. Cranmer zauważył grubą kobietę za barem. Zdał sobie sprawę, że zawsze ustawiała się tak, by widzieć cały plac i mieć wszystko na oku. Przeoczenie, lecz mniejsza o to. Nie miał zamiaru tu wracać.

Popelnił jednak jeszcze jeden błąd, z którego nie zdawał sobie sprawy. Weise wyznaczył na miejsce spotkania Estación Cercañas. Dotąd trzykrotnie spotykali się na dworcach — w zatłoczonych punktach, gdzie przez cały czas kręciły się tłumy ludzi, podążających gdzieś w pośpiechu i zbyt podniekcytowanych, by zwracać uwagę na innych, i gdzie Willi mógł sobie kupić loda. Nigdy nie wynikły żadne problemy, dlatego Cranmer nie wpadł na pomysł, żeby sprawdzić akurat tę stację. Zdziwił się więc, gdy już na miejscu okazało się, że przeznaczono ją do rozbiórki. Był to stary dworzec, położony tuż obok drugiego, znacznie nowocześniejszego: Estación de Francia. Przedtem wykorzystywano go jako bocznice starego portu oraz końcowy przystanek

pociągów podmiejskich. Port jednak przeniesiono bardziej na zachód, a linie podmiejskie zlikwidowano. Cały teren, łącznie ze starym fragmentem Estación de Francia, postanowiono przebudować.

Plac przed dworcem otaczała wysoka siatka, a mimo to parkowały tam dwa czy trzy samochody. Cranmer ze Smithem szli w kierunku Estación de Francia tak długo, aż zobaczyli otwór w siatce. Zastawiono go drewnianą barierką. Nie było stróża, więc przeskoczyli ponad nią. Budynek dworca pozbawiony był już szyb.

— Czy to aby na pewno tu? — spytał Smith.

— Tak, Winston, na pewno. Powiedział, że będzie na peronie pierwszym. I będzie.

Nie mieli kłopotów ze znalezieniem peronu. Ciągłe wisiała nad nimi oryginalna tablica w stylu *art nouveau*. Była jednak przekrzywiona i trzymała się tylko na jednym rogu. Resztki zasłaniającej ją kiedyś szyby leżały na ziemi. Kiedy przechodzili obok tablicy, szkło zazgrzytało im pod nogami.

Miejsce, na którym się znaleźli, sprawiało wrażenie opuszczonego. Dopiero kawałek dalej dostrzegli jakieś światła: budynek Estación de Francia. Jeszcze dalej stały ukończone lub prawie ukończone wieżowce. Niektóre przypominały rozświetlone kolumny, przy innych wciąż wznosiły się żurawie dźwigów: oznaki niewiarygodnego wręcz rozmachu budowlanego, który miał wkrótce zaatakować od wschodu Barcelonę, zmieść nie tylko ten dworzec, lecz także „Casa Pez”, by wreszcie dotrzeć do wioski olimpijskiej.

Na pierwszym planie, tuż przed nieczynnymi torami i porzuconymi kolejowymi kontenerami, płonęły ogniska. Gdy oczy przywykły nieco do mroku, Cranmer i Smith zdali sobie sprawę, że spoglądają na niewielkie „osiedle mieszkaniowe”. Jak na razie, jego mieszkańców tolerowano, gdyż tak wielki plac budowy, jak Barcelona, potrzebował każdej pary rąk, najchętniej tanich, do pracy.

Willi Weise wyszedł właśnie zza jednego z kontenerów. Ruszył po gruzach w stronę Cranmera i Smitha. W czarnej skórzanej kurtce, w równie czarnej koszulce z Tiną Turner, byłby zupełnie niewidoczny, gdyby nie jedno z ognisk, które na moment podświetliło jego sylwetkę. W dłoni trzymał nesesor. Nagle zatrzymał się w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów od Cranmera i Smitha. Dobięł ich jego głos, brzmiący jak obój, na którym próbuje grać ktoś, kto nie ma o tym zielonego pojęcia:

— Biedermann, przyprowadziłeś kogoś ze sobą. Spodziewałem się, że będziesz sam.

— Aha, Willi, tam jesteś... Znam cię już trochę i wiem, że potrafisz być niegrzeczny. Wołałem więc nie ryzykować.

— Umowa była zupełnie inna.

— Cóż, Willi, takie jest życie. — Zniżył głos do szeptu: — W porządku, Smith. Idź. Niech da ci nesesor. Weźmiesz go, przesuniesz się w prawo i wrócisz. Będę cię ubezpieczał. On o tym wie.

Kiedy Smith oddalił się jakieś dziesięć metrów, Cranmer wyjął broń i ruszył w ślad za nim. Gdy Smith znalazł się wystarczająco blisko, Weise uniósł neseser na wysokość klatki piersiowej.

— Pan Cranmer powiedział, że ma mi pan oddać ten neseser i spierdalać stąd. Jasne?

Weise wyciągnął neseser w jego kierunku i zrobił krok w lewo, by mieć na oku Cranmera.

— Willi, daj mu to.

Rozległ się metaliczny szcęk. Cranmer wiedział, co oznacza. Rzucił się w bok i padł na kolana akurat w momencie, gdy Weise oddał pierwszą serię z pistoletu maszynowego, ukrytego w neseserze. W stronę Smitha i Cranmera wystrzelił grad pocisków. Cranmer poczuł, jak jeden z nich wbija mu się w lewe ramię. Druga czerwona i gorąca igła ukuła go po wewnętrznej stronie prawego uda. Pomimo piekielnego bólu wystrzelił, załadował, wystrzelił, załadował, wystrzelił... Obaj znajdujący się przed nim mężczyźni upadli, jednak ten bardziej oddalony zdołał wstać. Zataczając się, z zaciśniętymi dłońmi na brzuchu, zaczął uciekać.

Cranmer ruszył za nim, podniósł z ziemi porzucony neseser i wyrzucił swój pistolet: „Heckler and Koch” ma może niewielki zasięg, jednak z pewnością większy niż jego dwunastka z krótką lufą. Dopadł Weisego między dwoma kontenerami i posłał mu serię.

Stał przez chwilę nad leżącym i patrzył na śmiertelnie bladą twarz, oświetloną płomieniami pobliskiego ogniska, na wąsko osadzone świńskie oczka, wyrażające teraz jedynie ból i strach, na krwawą miazgę tuż pod różowo-niebieskim napisem *Foreign Affair*.

— Nieźle ci szło, Willi.

Cranmer znał się na pistoletach maszynowych „Heckler and Koch” ukrytych w neseserach. Zostały zaprojektowane dla tajnych agentów policji niemieckiej. Serią próbną zainteresowały się brytyjskie służby specjalne. Cranmerowi polecono przetestowanie pistoletu. Wiedział więc, jak przełączać go na pojedyncze strzały. Zrobił to i — przyłożywszy wylot lufy do ucha Weisego — wystrzelił.

Przy każdym kroku czuł przeszywający ból. Po wewnętrznej stronie prawej nogi spływała krew. Doszedł do miejsca, gdzie upadł Smith, i rozejrzał się. Nikogo.

— Winston? Gdzie jesteś? Chodź tu, głupi czarny bękarcie! Nie wkurwiał mnie.

Bez odpowiedzi. Tylko spomiędzy kontenerów spoglądały nań jakieś czarne twarze: nieufne, groźne, wyczekujące. Wyczuł wrogość, odwrócił się więc i powoli odszedł.

Afrykańczyk, naprawdę czarny, podniósł z ziemi pistolet i uśmiechnął się. Był zadowolony — przynajmniej raz wyszedł na swoje.

Prawie godzinę zajęło mu dojście na Plaża Santa María. Normalnym krokiem pokonuje się ten dystans w niecałe dziesięć minut. Kiedy nie miał już innego wyjścia, udawał pijaka, który się zsiąkał i dlatego ma poplamione spodnie. Wspinaczka na piąte piętro prawie go zabiła.

Słyszała, jak szedł: powolny, nierówny krok, ciężki oddech, stękanie z bólu.

W prawej ręce niósł nesesor, który, jak później stwierdziła, był ciężki i zamknięty na solidne zamki. Lewa ręka zwisała bezwładnie, a prawa nogawka dżinsów przesiąknięta była krwią. Postawił nesesor na podłodze i próbował sięgnąć prawą ręką do lewej kieszeni. Miał w niej klucze.

— Kurwa mać, co za cholerne gówno...

Oparł się o ścianę i powoli osunął się na ziemię. Inger wyszła z ubikacji i zapaliła światło. Spojrzał na nią. Zobaczył tylko zarys sylwetki.

— Laura? O Chryste! Chyba umieram.

Przez chwilę stała jak wryta. Była pewna, że pomyślał, iż widzi ducha. Czyżby więc przeczucie jej nie myliło? Czy Laura rzeczywiście nie żyła? Naszła ją pokusa, by zejść po tych schodach i pozwolić mu umrzeć. Ale nie potrafiła tego zrobić. Nie teraz, gdy po dwudziestu czterech godzinach poszukiwań udało się jej wreszcie go odnaleźć. Wyjęła mu klucz z kieszeni i otworzyła drzwi. Zmusiła go do ostatniego wysiłku: wprowadziła do środka i pomogła położyć się na łóżku. Nie mogła znaleźć nożyczek, lecz w jednej z szuflad trafiła na ostry nóż. Rozcięła nogawkę spodni, odcięła ją całą, a następnie obmyła rany. Najgorzej wyglądała noga. Chociaż zrobił się już zakrzep, nadal sączyła się krew, szczególnie z rany wylotowej, tuż pod prawym pośladkiem. Wyglądało to przerażająco: poszarpane mięśnie sterczące na zewnątrz, jak pierzaste płatki jakiegoś egzotycznego, szkarłatnego kwiatu... Choć tętnica była nienaruszona (gdyby było inaczej, już by przecież nie żył), Inger bała się, że samo tylko wejście na piąte piętro opóźniło reakcję organizmu na uraz.

Sterylny opatrunki? Musi coś znaleźć, coś wymyślić. Nie ma sensu tamować krwotoku, jeśli i tak mogłaby się wdać gangrena. Zarówno prześcieradło, jak i poszewka na poduszce wyglądały na brudne. Po krótkim namyśle Inger doszła do wniosku, że jedyne, co może się nadać, to „Tampaxy”. Miała w torebce cztery, wszystkie „super”. Przez chwilę rozważała, czy nie włożyć jednego w ranę, jednak ostatecznie zdecydowała rozwinąć wszystkie i zrobić z nich opatrunki. W jednej z toreb znalazła jako tako czystą koszulę. Podarła ją na pasy, którymi zamocowała opatrunki. W kuchni odkryła herbatę, cukier i mleko w tubce. Przygotowała napój i zmusiła Cranmera, by wypił. Wiedziała jednak, że to stanowczo za mało.

— Pójdę poszukać apteki. Kupię porządne opatrunki, środki dezynfekujące i antybiotyki. Może także żelazo... Musiałeś stracić strasznie dużo krwi. Litr, dwa?

Przykryła go kołdrą, wzięła klucze, pieniądze i wyszła.

Znalezienie apteki nie zajęło jej dużo czasu — dopiero zbliżała się dziesiąta, a Barcelona kładzie się spać bardzo późno. Inger nie uszła więc daleko, gdy zobaczyła zielony neon czynnej apteki. Weszła do środka. Był to duży sklep z mnóstwem porcelanowych słoików i szklanych pojemników z łacińskimi napisami, rozstawionych na nowoczesnych regałach, przypominających te ze składnic księgarskich. Prowadziła go kobieta — niska, ubrana w biały, sztywny od krochmalu kombinezon i znająca się na rzeczy.

Inger opisała rany i krwotok. Farmaceutka sięgnęła po sterylne opatrunki, butelkę merkurochromu oraz kilka rolek plastra. Inger pomyślała sobie, że dobrze, iż nie znajduje się w Anglii — tamtejsi aptekarze od bardzo dawna są zwykłymi sprzedawcami i bez recepty nawet nie kiwną palcem w przypadku czegoś poważniejszego. W Hiszpanii, gdzie lekarze są piekielnie drodzy, można zaufać profesjonalizmowi oraz dyskrecji farmaceutów.

— Powinien dostać antybiotyk, i to dużą dawkę. Czy jest uczulony na penicylinę?

— O ile się orientuję, to nie.

— Czy umie pani robić zastrzyki?

— Tak.

— W tym przypadku podawanie antybiotyku doustnie nie miałyby sensu. Prawdopodobnie chory zwróciłby całą dawkę. Kurację trzeba rozpocząć tak szybko, jak to tylko możliwe. Proszę: tu są igły, kapsułki i penicylina w proszku, woda destylowana... Dawka na trzy dni. Musi pani wstrzyknąć wodę do kapsułki, mocno potrząsnąć, następnie...

— Wiem.

Jednakże farmaceutka nie dała sobie przerwać. Krok po kroku wyjaśniła Inger, co ma robić. Kiedy skończyła, spojrzała swej klientce prosto w oczy.

— Przypuszczam, że ból jest bardzo silny.

— Tak. Myślę, że tak.

— A więc proszę podać mu także to. — Tym razem otworzyła szafkę przypominającą sejf. Wyjęła z niej opakowanie z igłą oraz strzykawką. — Jedna dawka morfiny. Jutro będzie musiała pani zdać się na zwykłe środki przeciwbólowe. Igła jest jednorazowa i należy odpowiednio się jej pozbyć. Rozumie pani?

— Tak, oczywiście.

Rozumiała. Z powodu Laury.

Farmaceutka dołożyła jeszcze opakowanie zawierające proszek, który po rozpuszczeniu tworzył silny roztwór soli oraz cukru.

— Czy, poza ranami, stan jego zdrowia jest dobry?

Inger pomyślała o jego silnym, mięśniowym ciele, opalenizmie i gładkiej skórze, nie licząc oczywiście śladów po oparzeniach, które ciągle jeszcze zachowywały barwę wątroby.

— Bardzo dobry — odpowiedziała.

— W porządku. Dziś tylko to, a rano jeszcze to — sięgnęła do stoja

z kostkami rosołowymi — i odrobinę białego chleba. Jeśli wszystko będzie dobrze, na obiad może mu pani zrobić zupę z jajkiem. Ale nie z torebki. Na kolację rybę albo kurczaka. A pojutrze może już jeść, co zechce. Tylko żadnego alkoholu dziś ani jutro. Później może być, ale w małych ilościach.

— Czy mam mu podawać żelazo?

— Nie. Nie trzeba. Organizm powinien sam sobie poradzić z uzupełnieniem krwi. Niech pani zmienia opatrunki dwa razy dziennie. Gdyby, mimo wszystko, doszło do infekcji, proszę koniecznie zawieźć go do lekarza... Niezależnie od wszystkiego. W przeciwnym razie umrze.

Zapakowała wszystko do dużej torby foliowej i przyjęła kartę kredytową. Inger stanęła jeszcze w drzwiach i spytała:

— Jak pani myśli, co spowodowało te rany?

Tym razem aptekarka nie zdołała ukryć zdziwienia.

— To znaczy, że pani nie wie?

— Nie.

Starannie pomalowane brwi uniosły się, tworząc półkola.

— Z opisu pani wynika, że są to rany postrzałowe. Prawdopodobnie z broni małego kalibru — w przeciwnym wypadku stan byłby znacznie gorszy. Na razie największym zagrożeniem jest szok. Zabija równie skutecznie, jak utrata krwi albo uszkodzenie tkanek.

Inger wybiegła.

Zrobiła zastrzyk z penicyliny i morfiny, oczyściła rany, a następnie założyła porządne opatrunki. Kiedy skończyła, minęła już północ. Czowała znużenie i rozpacz. Patrząc na jego ciało, odnosiła wrażenie, że faluje ono na jakiejś łódce albo latającym dywanie. Miała ochotę położyć się obok, ale nie potrafiła się na to zdobyć — myśl o nim i o Laurze stanęła między nimi jak duch, jak zwiada, którą zobaczył. Przykryła go kołdrą i odwróciła się.

Wszystkie krzesła w pokoju były twarde. Próbowwała zasnąć siedząc na jednym z nich i kładąc głowę na rękach opartych o stół. Pozycja ta była jednak wyjątkowo niewygodna. W końcu zwinęła się na podłodze, pod głowę wsunęła swą torbę w charakterze poduszki. Wyczerpana, szybko zasnęła, jednak równie szybko się obudziła. Było jej piekielnie zimno.

W twarz gniołła ją obudowa starego magnetofonu kasetowego, który wozila ze sobą, aby zapisywać swe nowe pomysły. Usiadła, wyjęła go z torby i położyła na kolanach.

Przez brudne szyby z trudem przenikało światło zbliżającego się świtu. Na dworze ćwierkały wróble. Wcisnęła klawisz *play*.

Mamusiu, siedzę na twoim łóżku i mam na sobie twoją biżuterię. Dlaczego? Dlatego że zrobił to dziś ze mną już trzy razy i chcę, żeby zrobił to przynajmniej jeszcze raz. Twój wspaniały Niemand.

Inger zrobiła głośniej.

A więc, mamusiu, założę się, że wiem o nim znacznie więcej niż ty. Myślę, że to bandzior. Wspaniały, słodki bandzior. Zepsuty tak bardzo, że ciężko to w ogóle pojąć. Jak jakiś anioł. Upadły anioł...?

Cranmer poruszył się i jęknął. Inger zatrzymała taśmę i słuchała.

— Laura? — jego szept był strasznie ochryply.

Inger podniosła się i ukryła w mroku.

— Tak?

— Czy to Laura?

— Tak.

— A więc... To jednak to... Ja nie żyję...

Odwróciła się do okna, przerażona i zrozpaczona. Miała już pewność, że Cranmer zabił jej córkę, a przynajmniej przyczynił się do jej śmierci.

29

Ekipa telewizyjna, otoczona niewielkim tłumkiem gapiów zbierających się zawsze tam, gdzie ma pracować kamera, czekała już, gdy zajęchali pod siedzibę policji państwowej przy Via Laietana. Gómez wysiadł pierwszy i otworzył tylne drzwi dużego, nowego citroena w barwach Policia Nacional. Estrada z trudem się wygramolił i stanął na chodniku. Poprawił garnitur i głośno chrząknął. Na jego krostowatej, ziemistej twarzy odbijał się ogromny wysiłek, jaki sprawiło mu wyjście z auta. Brakowało mu tchu.

Kamerzysta wepchnął łokieć w żołądek kobiety niosącej siatki z zakupami, a operator dźwięku wystawił cylinder mikrofonu tak, by zawisł nad schodami. Estrada miał zamiar ich zignorować, ale gdy zobaczył wysoką brunetkę w czerwonej marynarce i czarnych pończochach, zatrzymał się.

— Czy może pan udzielić nam jakichś nowych informacji na temat prowadzonego śledztwa?

— O Jezu... Nie jadłem nawet śniadania.

— Czy myśli pan, że zamachowcy w dalszym ciągu przebywają w Barcelonie?

— Posiadamy ich dokładne rysopisy, wiemy, że porzucili samochód i wsiadli do metra. Nasze postępowanie opiera się na założeniu, że przestępcy zaszyli się gdzieś w mieście.

Nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej. Chociaż sprawiał mu przyjemność jej seksowny wygląd, to jednocześnie zdawał sobie sprawę, że przy tej dziwce z telewizji będzie wyglądał jak dureń.

— Kiedy macie zamiar ich aresztować?

Bezdenne głupota tego pytania kompletnie go załamała.

— Gómez, odpowiedz im coś, a później każ mi przynieść jakąś kanapkę.

Minał swój gabinet na pierwszym piętrze, nawet doń nie zaglądając. Raptem osiem czy dziewięć dni temu właśnie tam ich ostrzegali: tę całą Arendt, faceta z Prolebenschutzu i tego głupiego dupka z Guardia Urbana — ostrzegali ich, że stanie się to, co się stało.

Skierował się do wielkiego narożnego pokoju z dużym, półokrągłym oknem i dwoma mniejszymi po obu jego stronach. Na ścianie, nad wielkim stołem przykrytym zieloną tkaniną, wisiała duża kolorowa fotografia króla w mundurze generała-komendanta Policia Nacional.

Pozostałą część pomieszczenia zastawiono stolikami — stały na nich komputery, modemy i telefony — oraz krzesłami. Wezwano zespół składający się z około dwudziestu doświadczonych detektywów. Część pochodziła z Brigady Información, reszta z Brigady Judicial. Prawie wszyscy dotarli już na miejsce. W pokoju kłębił się dym z papierosów. Wszędzie wałały się plastikowe kubki po kawie oraz wydruki komputerowe.

Główny specjalista od materiałów wybuchowych z ekipy dochodzeniowej właśnie informował zebranych o tym, co udało się jego zespołowi ustalić w ciągu ostatniej nocy. Był to wysoki, trupio blady mężczyzna o zapadniętych policzkach i tak długich nadgarstkach, że nie zakrywały ich mankiety koszuli. Kiedy Estrada toczył się w stronę jedynego w pokoju fotela, by opaść nań z hukiem, wszyscy zamilkli w oczekiwaniu, aż jeden z młodszych detektywów postawi przed nim tacę z olbrzymią kanapką oraz kubek z kawą. Dopiero wtedy ekspert od materiałów wybuchowych odezwał się ponownie:

— W chwili obecnej najbardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza, że bomba została zdetonowana za pomocą nadajnika na podcierwień, takiego jak ten, który znaleźliśmy w kieszeni mężczyzny z wazą.

Sprawozdanie eksperta było suche, precyzyjne i krótkie.

— Wewnątrz wazy znajdował się detonator rtęciowy. Iskrę wytworzyła bateria w momencie, gdy obwód został zamknięty. Kiedy bomba znajduje się już na miejscu, pilot na podcierwień uwalnia kroplę rtęci, która przy najmniejszym ruchu zamyka obwód. Dopóki rtęć nie zostanie uwolniona, bomba jest stosunkowo niegroźna. To wysokiej klasy sprzęt. Używają go jedynie zawodowcy.

— A jednak jeden z nich zginął — odezwał się Estrada, przełykając jednocześnie solidny kęs kanapki. — Więc jak to jest?

— Jedyne wyjaśnienie, jakie się nasuwa, to że któryś z tych dwóch w kuchni użył drugiego pilota przedwcześnie.

— Przypadkowo?

— Możliwe.

— Ale mało prawdopodobne, zakładając, że rzeczywiście znali się na rzeczy... Tak?

Jego wzrok spoczywał teraz na atrakcyjnej kobiecie około trzydziestki. Miała ciemne włosy, spięte z tyłu dużą czarną spinką, obcisłą spódnicę, a na pagonach srebrną belkę porucznika. Za jedyny makijaż służyła jej ceglas-

toczerwona szminka, starannie nałożona na kształtne usta. W długich palcach trzymała wydruk komputerowy.

— Myślę, że powinien pan to natychmiast przeczytać.

— Jest pani z Información, tak?

— Tak. Concepción Claret z Wydziału Łączności z Zagranicą. Znam francuski, ang...

— Czytała to pani?

— Oczywiście.

— Więc słucham.

— Informacja z Narodowego Biura Identyfikacji w Londynie. Dostaliśmy to przez Interpol. Palec należał do Kevina MacTaggarta...

— To irlandzkie nazwisko, czyż nie? A IRA często używa takich bomb.

— Myślę, że to nie tak, choć nie jest wykluczone, że miał wśród przodków jakiegoś Irlandczyka.

Spojrzała ponownie na wydruk.

— Wiek — trzydzieści trzy lata; urodzony w Paisley pod Glasgow...

— Nie był więc także szaleńcem z Ukrainy. Dalej?

— Karany raz, w 1987, za włamanie z użyciem środków wybuchowych. W Londynie. Skazany na pięć lat, zwolniony warunkowo po trzech... Okres próbny miał trwać jeszcze miesiąc. Tydzień temu w MacTaggart nie zgłosił się na policję. Cieszył się dobrą opinią w wojsku. Przez pewien czas służył w Irlandii, później został przeniesiony do rezerwy...

— A więc są jednak powiązania z Irlandią.

— Tak, ale on tam reprezentował drugą stronę, wrogów IRA — porucznik Claret dała odczuć, że denerwuje ją to ciągłe przerywanie. — Właśnie dobra opinia z wojska była powodem warunkowego zwolnienia.

— Czy to koniec?

— Na razie.

— Chcę wiedzieć wszystko na jego temat. Życiorys, przebieg kariery zawodowej, powiązania i tym podobne. Skontaktuje się pani bezpośrednio ze Scotland Yardem... Procedura antyterrorystyczna. Niech im pani powie cokolwiek, byleby ruszyli tyłki i wzięli się do roboty. — Rozparł się w fotelu, spojrzał na Gómeza, eksperta od materiałów wybuchowych, detektywów: — Jakież pytania? Komentarze?

Odezwał się Gómez:

— MacTaggart mógł uczestniczyć we wcześniejszej, nie udanej próbie podłożenia ładunku w Londynie. To była robota Wojowników Chrystusa: samochód-pułapka, eksplodował za wcześnie.

— Raczej w to wątpię — ekspert był bardzo sceptycznie nastawiony do tej hipotezy. — W tamtym przypadku użyto amatorskiej bomby, która na dobrą sprawę nie miała prawa zadziałać prawidłowo. Czysta amatorszczyzna... Podobnej użyto w Lipsku. Tu zaś mamy do czynienia z bombą zrobioną profesjonalnie, która eksplodowała zbyt wcześnie, ponieważ ten, kto trzymał pilota, zbyt wcześnie wcisnął przycisk.

— Pewnie chcieli, żeby MacTaggarta rozwaliło na drobne kawałki...

— Myślę, że tak.

— ...ale one okazały się zbyt duże. — Estrada roześmiał się chrapliwie, myśląc o palcu, dzięki któremu cała sprawa ruszyła z miejsca. Po chwili spochmurniał. — Zbyt wiele spekulujemy. Za mało w tym wszystkim faktów. Dajcie mi coś prawdziwego.

Któryś z detektywów otworzył swój notes.

— Jeden z kelnerów z „Casa Pez” zna trochę angielski. Zamachowcy niewiele między sobą rozmawiali, ale według niego był to język angielski.

— Jezus Maria! Co mówili?

— Facet nie ma pojęcia. Po prostu odniósł wrażenie, że mówią po angielsku.

— I masz zamiar tak to zostawić? Dureń! — Estrada uderzył się w czoło w hiszpańskim geście rozpacz. — Znajdź kogoś, kto naprawdę zna angielski. Jest tu ktoś, kto umie mówić po angielsku? Byle dobrze.

— Porucznik Claret — odpowiedział Gómez.

Estrada wstał i rozejrzał się po pokoju. Porucznik siedziała przy swoim stanowisku pod jednym z okien, wpisując do komputera pytania i prośby skierowane do Londynu.

— *Conchee!* — ryknął, używając obiegowego skrótu, oznaczającego María de la Concepción Immaculada. Zignorowała go. — Cholera. Poruczniku Claret! Och, do diabła. — Zwrócił się znów do detektywa: — Niech pan sprowadzi tu tego kelnera i przesłucha go wspólnie z Claret. Niech ona spisze wszystko, co facet usłyszał, a jeśli rzeczywiście nic nie zrozumiał, to niech Claret zapisze każdy dźwięk, jaki zapamiętał. A później niech próbuje nadać temu znaczenie... Czy wszystko jasne?

Detektyw skinął głową.

Estrada włożył do ust resztę kanapki, popił kawą i rozejrzał się.

— W każdym razie nie jest źle, jak na początek... Zupełnie przyzwocie. Co dalej?

Winckelmann, gruby i zły, kilkakrotnie przepłynął długość swego basenu żabką w nie najlepszym wydaniu. Chwilę później osobisty służący pomógł mu wyjść i owinać się w szlafrok tak biały, jak świeży śnieg leżący na szczytach po drugiej stronie Grieffensee bądź jak przepływające nad nimi chmury. Winckelmann zdjął gumowy czepek, który służył mu za jedyne okrycie w wodzie, a następnie usiadł do śniadania przy niewielkim, specjalnie rozstawionym stoliku. Służący poprawił parasol przeciwsłoneczny. Do filiżanki nalał kawy i śmietanki.

— Co z *Herrn* Herzem? — mruknął.

— Dobrze, przyjmę go teraz. — Winckelmann ułamał kawałek bagietki, z rozkoszą wdychając zapach świeżego pieczywa, i posmarował masłem. To lubił najbardziej: przed oczami miał jeden z najpiękniejszych i najkosztowniejszych widoków na świecie — stromo opadający, zalesiony brzeg, wśród

drzew kilka willi, tak samo dobrze chronionych jak jego i co najmniej równie drogich, dalej — szafirowe jezioro, a za nim góry. Nie jest łatwo zgromadzić fortunę pozwalającą mieszkać w takim miejscu, nie opłacając przy tym od czasu do czasu ludzi, którzy by łamali prawo w naszym imieniu. Takie sprawy Winckelmann najczęściej powierzał Herzowi i jego firmie AlterLog.

Służący wprowadził gościa, podsunął krzesło, poczekał, aż usiądzie, i dopiero wtedy wyszedł.

— Jadłeś już śniadanie?

Herz skinął głową.

— A więc opowiadaj.

— Sasonow. Arendt. Singer. Troje Zielonych, którzy zbyt wiele wiedzieli na temat powiązań ukraińskich. I jeszcze dwie osoby, za którymi nie przepadacie.

— Gazety pisały o trzech innych Zielonych, wszystkich dość ważnych. I jeszcze o dwóch, którzy nie mają szans na przeżycie.

— To w prezencie. Bez dodatkowej opłaty.

— Bez dodatkowej opłaty! — Winckelmann wybuchnął gromkim, gardłowym śmiechem. — Dobrze, naprawdę dobrze! A jak poszło ostatniej nocy? Willi załatwił tego Biedermanna?

Natychmiastowa zmiana w wyrazie twarzy Herza nie pozostawiła żadnych wątpliwości. Równie gwałtowna zmiana nastąpiła w nastroju Winckelmanna.

— Co się stało?

— W wyniku eksplozji zginął tylko jeden współpracownik Biedermanna. Ten drugi, kolorowy, uciekł z Biedermannem. Willi o tym nie wiedział. Był przekonany, że będzie miał do czynienia tylko z jedną osobą.

— I...?

— Od tego czasu nie widzieliśmy Williego. Wiemy, że kiedy nastąpił wybuch, przebywał wraz z Negrfnem w biurach Prolebenteku w Barcelonie. Wysłał Negrfna po jedzenie do McDonald'sa czy czegoś takiego. Później przespał się w biurze. Negrfn obudził go o wpół do ósmej. Willi wykapał się, sprawdził neseser i o ósmej wyszedł. Negrfn zamknął biuro i wrócił do domu. Willi miał zadzwonić do mnie o dziewiątej i potwierdzić, że wszystko poszło dobrze. Nie zadzwonił.

— I co? Nic więcej?

— Nic.

Winckelmann odchylił się do tyłu i rzucił na stół pomiętą serwetę. Paznokciem małego palca wygrzebał spomiędzy zębów odrobiny bułki.

— Co się zatem stało?

— Willi dał się zabić.

— Co macie zamiar zrobić?

— Nic, czekać.

Wzrok Herza skierowany był na jezioro. Pojawiła się motorówka ciągnąca narciarza wodnego. Zostawiała za sobą biały ślad, który prawie natychmiast nikał. Willi Weise, jeden z najlepszych w swoim fachu — człowiek, który

czcił anonimowość, pracował pod trzema pseudonimami i nie posiadał stałego adresu — był właśnie takim śladem na wodzie.

— To idiotyczne — odezwał się Winckelmann.

— Biedermann nie zniknie. Skontaktuje się z nami. Za bardzo mu zależy na tych pieniądzach. Będzie chciał gwarancji bezpieczeństwa. Wtedy się nim zajmiemy.

— To bez sensu. Musicie rozegrać to mądrzej. Jeśli będziemy czekać, aż się z nami skontaktuje — zdąży wymyślić coś cwanego... Nie. Musicie go odnaleźć... Czy kontaktowałeś się z Wilczarzem?

— Tak.

— I co?

— Nie uwierzysz. I nie spodoba ci się to...

Winckelmann nie odezwał się, więc Herz mówił dalej:

— Finchley-Camden, Brytyjczyk, który to prowadzi, twierdzi, że nic nie wie o całej sprawie. Mówi, że nie spodobała mu się nasza propozycja, ale nie chcąc nas obrazić odmową, kazał swej sekretarce informować mnie, że wyjechał na wakacje. Zresztą była to prawda.

— Ale przecież Biedermann skontaktował się z tobą i powiedział, że zrobił to na polecenie Wilczarza.

— Tak.

Winckelmann zamyślił się na moment. Był wściekły i zaniepokojony, ale jego umysł pracował bardzo szybko i sprawnie.

— Albo Finchley-Camden kłamie, albo jego ochrona jest do niczego. Biedermann wiedział, że zwróciliśmy się z tą sprawą do Wilczarza... Trzecia możliwość jest taka, że to twoja ochrona nadaje się do wymiany. A więc...?

— Moja ochrona jest w porządku. Pracuję dla ciebie wystarczająco długo, byś o tym wiedział. Sam przekonałeś się o tym niejednym razem. Biedermann jest Anglikiem — co do tego nie mieliśmy z Willim wątpliwości — chociaż zna dobrze niemiecki, mówi z angielskim akcentem. Wiesz, jacy oni są, ci Brytyjczycy. Aroganckie skurwiele. Poza tym rozmawiając z Finchleyem-Camdenem, który zresztą ma tę samą cechę, odniosłem wrażenie, że w pewnym momencie zrozumiał, jak mogło do tego wszystkiego dojść.

— Ale nic nie powiedział.

— Oczywiście, że nie.

Tym razem Winckelmann zastanawiał się znacznie dłużej. Nigdy nie śpieszył się z podejmowaniem decyzji, jeżeli nie musiał. Oparł się wygodnie i zaczął delikatnie masować czoło, oczy i policzki.

Herz czekał nie odrywając wzroku od jeziora, motorówki i narciarza. Owszem, oficjalny Weise zniknął i nikomu nawet nie wpadłoby do głowy zastanawiać się, co mu się przytrafiło. Herz wiedział jednak, że cieleśnie Willi może się jeszcze pojawić, że niemal na pewno się pojawi, ale tym postanowił na razie się nie przejmować, a już na pewno nie martwić swego klienta. Winckelmann chrząknął. Herz spojrzał: Winckelmann siedział wyprostowany, wzrok miał twardy, niemal pogardliwy.

— Nie masz racji, i wiesz o tym. Nie masz racji radząc mi, bym czekał, aż Biedermann skontaktuje się z nami. Nie zrobi tego, dopóki nie będzie wiedział, że ma przewagę. Musimy go odnaleźć i dopaść, zanim przygotowuje się do spotkania z nami. Może nam w tym pomóc jedynie ten Finchley-Camden. On wie, kim naprawdę jest Biedermann, jak się nazywa i gdzie prawdopodobnie się ukrywa.

— Wątpię, by zechciał z nami współpracować.

— Zmuś go. Wiemy przecież wystarczająco dużo o jego działalności, żeby mu zaszkodzić.

— Nie chciałbym tego robić, naprawdę. Wiąże się to ze zbyt wielkim ryzykiem. Uważam, że byłby to błąd.

Winckelmann, jeśli raz podjął decyzję, nie zwykł jej zmieniać. Co więcej, sprawozdanie Herza zdenerwowało go dużo bardziej, niż po sobie pokazał. Był zaniepokojony i wściekły, że tak wiele rzeczy źle poszło: zniknięcie Weisego, ucieczka Biedermanna razem ze współnikiem i jeszcze cały ten zamęt z Wilczarzem. Tym razem nie ukrywał swego rzeczywistego nastroju. Wywrócił dzbanek z resztką kawy tak, że polała się na kolana Herza. Ten nawet nie drgnął.

— To był błąd. Nie możemy pozwolić sobie na żaden więcej. Zrób więc to, co powiedziałem.

30

Był dość wczesny ranek. Estrada pił właśnie drugą tego dnia kawę, podczas gdy w odległości około tysiąca kilometrów, w jednym z gabinetów New Scotland Yardu faks odbierał prośby Claret o szczegółowe dane na temat MacTaggarta. Nad Grieffenzee Herz sięgał właśnie po serwetkę, Cranmer zaś siedział na łóżku zupełnie nagi, nie licząc opatrunków. Lewe ramię miał przywiązane do tułowia. Inger właśnie je świeżo opatrzyła.

— A więc z nerwem wszystko w porządku?

— Chyba tak.

Inger wyszła z za przepierzenia, wycierając ręce. Jej zmęczona twarz była całkiem pozbawiona wyrazu.

— Dobrze. Miałaś szczęście. Poszarpany mięsień, pokruszona kość, chociaż chyba nie złamana... Może nie będę musiała zawozić cię do szpitala. — Usiadła na łóżku. — Oczywiście pod warunkiem, że z nogą jest wszystko w porządku. Zobaczmy. Musisz rozsunać trochę uda i — jeśli dasz radę — unieść się nieco.

Zaczęła zdejmować opatrunek. Rana wlotowa nie wyglądała już tak okropnie. Kula przeszła przez nogę nie zahaczając o kość i nie czyniąc zbyt wielkiego spustoszenia. Otwór miał nie więcej niż półtora cala średnicy. Zaczęła czyścić go wacikami i merkurochromem. Cranmer krzywił się z bólu i czasami pojękiwał. Zauważyła, jak zaciskał palce zdrowej ręki na wałku, o który był oparty. Zaciskał i puszczał, zaciskał, puszczał... Jednak nie czuła ani odrobiny współczucia. Choć wyczerpana i, przynajmniej chwilowo, wyprana z wszelkich uczuć, nie potrafiła powstrzymać się przed zadaniem pytania, które nie dawało jej ani chwili spokoju:

— Gdzie jest Laura?

— Nie wiem.

Wierzyła, że patrząc komuś prosto w oczy, można zauważyć, czy kłamie, czy też nie. Więc zrobiła to. Jednak nic nie zobaczyła. Jego oczy były zamknięte.

— Wczoraj wieczorem na mój widok byłeś przekonany, że to Laura. Czy ona tu z tobą przyjechała?

— Nie. Zostawiłem ją... u ciebie.

Przez chwilę zajmowała się opatrunkiem, następnie wstała, poszła za przepierzenie po plaster i nóż, po raz kolejny klnąc samą siebie za to, że nie kupiła w aptece nożyczek. Ucięła kilka pasków plastra i przykleiła je do ramy łóżka. Wyjęła z opakowania następnny opatrunek.

— Kiedy wróciłeś, przywiozłeś ze sobą pieniądze. Kradzione?

— Niezupełnie — w jego głosie słychać było niepokój.

Skończyła zakładać opatrunek na ranę wlotową.

— Odwróć się. Muszę zobaczyć, jak wygląda tamta rana. O Boże! Pomimo penicyliny chyba wdało się zakażenie.

Więcej wacików i merkurochromu. Tym razem jęki przechodziły niemal w krzyk.

— Ale pieniądze nie pochodzą z legalnego źródła?

Poruszył ręką, ale nie otworzył oczu. Mocno zaciskał powieki, być może z bólu.

— Skąd ty to wszystko wiesz? Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

— Poczekaj, powiem ci, jak skończę. — Nie przerywała czyszczenia rany. — Nawet gdy się zagoi, nie będziesz wyglądać ciekawie. Tak jak ta rana z przodu, pod żebrami.

— Tam był szrapnel. A to, na co patrzysz, to rana wlotowa.

Przykleiła nowy opatrunek, we wnęce kuchennej umyła wszystkie narzędzia, których używała, wróciła, przystawiła do łóżka jedno z wyplatanych, rozpadających się krzesel, wyjęła z paczki papierosa marki BN, zapaliła go i podała Cranmerowi, po czym wyjęła następnego dla siebie. Ten gatunek najbardziej przypominał jej w smaku ulubione „Gauloises Light”.

— Skąd to wszystko wiem? Powiem ci. Laura zostawiła mi to w magnetofonie w mojej sypialni. — Wyjęła z torby kasetę i rzuciła na kołdrę.

Chwycił ją. Z obwoluty wynikało, że na taśmie znajduje się *I'm Your Man* Leonarda Cohena.

— Możesz to włączyć?

— Tak.

Wyjęła magnetofon, włożyła kasetę i wcisnęła klawisz.

Mamusiu, chcę ci tylko powiedzieć, że nie zobaczysz już nigdy swego wspaniałego Niemanda. Jest już mój. Wrócił tu z górą pieniędzy. Teraz zabiera mnie do Barcelony — ma tam coś do załatwienia. Będziemy bogaci do końca życia. Będę tam jego przewodnikiem. Pokażę mu, gdzie mieszkalam...

Inger zatrzymała taśmę.

— Nie ma sensu słuchać reszty. Mówi, że jesteś przestępcą i że zarobisz tu dużo pieniędzy. No i jest jeszcze coś na mój temat. Nic miłego.

Cranmer przewrócił się z powrotem na plecy i otworzył oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie.

— Ona kłamie.

— Wiem, zawsze to robiła. Ale mów dalej.

— Wróciłem z Paryża. Z pieniędzmi. Posiadam pewne informacje. Pewni ludzie myśleli, że one umarły wraz ze mną. Są gotowi za nie płacić albo zabić z ich powodu. W Paryżu zapłacili. Tu próbowali mnie wykończyć.

Zaciągnęła się głęboko papierosem.

— To nie jest moja sprawa, chcę natomiast wiedzieć, co zrobiłeś z moją córką. Myślę, że ją zabiłeś. Wiem, że ona nie żyje.

— Wiesz?

W tym momencie rzeczywiście wiedziała, a on nie zaprzeczył. Był przekonany, że znalazła grób Laury. Lecz Inger nie była jeszcze gotowa, żeby uwierzyć w to, co wiedziała. Musiała dać mu szansę: niech się wytłumaczy, zaprzeczy czy przeprosi. Była zbyt wyczerpana, by przyjąć do wiadomości śmierć córki, śmierć, do której on niewątpliwie przyłożył rękę. Nie była w stanie uznać faktu, że ten leżący przed nią, zraniony bóg uczynił to.

— Bardzo cię boli?

— Nie tak bardzo, żebym nie mógł wytrzymać.

— Więc nie dam ci środków przeciwbólowych.

— Nie, nie trzeba.

— W takim razie powiedz mi, dlaczego zabiłeś moją córkę.

Znow zamknął oczy i położył się na boku, tyłem do Inger.

— Nie zabiłem twojej córki.

— Wiem, że ona nie żyje. Nie chcę w to uwierzyć, ale wiem.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, dotykając przedmiotów i przyglądając się panującemu bałaganowi. Pomyślała, że trzeba będzie posprzątać. Tak, będzie musiała to zrobić.

— Powiedz mi, co się zdarzyło.

— Spotkaliśmy się w twoim domu. Było... przyjemnie, przez pewien czas. Ale Laura zbyt wiele piła, brała speed... Pokłóciliśmy się. Zostawiłem ją, dałem trochę pieniędzy, nawet dość dużo. I to wszystko. Z tego co wiem, pojechała z powrotem do Biarritz.

Wiedział Laurę leżącą w strugach deszczu. Z wyjątkiem makijażu pokrywającego całe ciało oraz złotych łańcuchów i sznurów pereł była zupełnie naga. Spała mokrą ziemię na jej piersi, brzuch, łono. Gdzieś z oddali dobiegł go głos jej matki.

— Cholera, brzmi to dość prawdopodobnie. Jeśli mówisz prawdę, to ona znajdzie nas, gdy skończą się jej pieniądze.

Wiedział, że na pewien czas ma spokój: nie znalazła grobu.

— Spraw, abym w to uwierzyła — kontynuowała Inger — spraw, bym uwierzyła, że nie kłamiesz.

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. To mu wystarczyło. Zasnął.

We wtorek po południu — mniej więcej o pierwszej trzydzieści czasu hiszpańskiego i europejskiego, a dwunastej trzydzieści brytyjskiego czasu letniego — w pokoju zajmowanym przez ekipę śledczą komputery zaczęły drukować odpowiedź New Scotland Yardu. W miarę jak napływały nowe informacje, Claret odczytywała je, posługując się słownikiem. Mniej więcej kwadrans po drugiej miała gotowe sprawozdanie. Wzięła papiery i podeszła do pokrytego zielonym ryplem stołu, przy którym siedział Gómez. Pomieszczenie było teraz prawie puste: tylko trzech detektywów grało w karty. Pozostali myszkowali po ulicach w pobliżu „Casa Pez”, wypatrując osób odpowiadających rysopisom podejrzanych. Nikt nie wierzył w sens tej roboty — najprawdopodobniej zamachowcy dawno już opuścili Barcelonę i siedzieli teraz w Irlandii Północnej, w kraju Basków lub gdziekolwiek indziej. Może nawet na Ukrainie.

— Gdzie jest szef? Powinien to zobaczyć.

Gómez oderwał wzrok od wiadomości sportowych w „El Periodico”.

— W Ratuszu. Burmistrz zażądał raportu o postępach w śledztwie. Powinien niedługo wrócić. Co to jest?

— Nowe dane na temat MacTaggarta. Wyglądają interesująco.

Zadzwoił telefon na biurku. Gómez podniósł słuchawkę, a po chwili, przykrywając dłonią mikrofon, odezwał się do Claret:

— Wrócił. Powiedział, że jeśli jest coś ważnego, to natychmiast chce to wiedzieć.

— Dobrze, już idę.

Zatrzymała się przy swoim biurku, by zerknąć w kieszonkowe lusterko. Stwierdziła, że wygląda nieźle. Wyszła na korytarz i podeszła do przeszklonych drzwi. Zastukała w matową rybę, celując dokładnie w literę J w imieniu „Juan”. W odpowiedzi rozległ się wrzask:

— Wejść!

Weszła.

Górna część munduru Estrady zwisała niedbale z wieszaka umieszczonego na drzwiach szafki. Claret usłyszała dochodzący z toalety odgłos spłuczki klozetowej, a następnie wody z kranu. Zastanawiała się, czy ma usiąść na krześle ustawionym przed podniszczonym i zagraconym biurkiem. Postanowiła z tym zaczekać. Usłyszała krzyk Estrady:

— Kto tam?

— Porucznik Claret.

— *Conchee!*

Estrada pojawił się w drzwiach toalety. Był nagi od pasa w górę i właśnie wycierał się pod pachami. Tłusty, owłosiony — przedstawiał niezbyt estetyczny widok.

— Skurwiel z tego burmistrza. Zwołał konferencję prasową i zażądał, bym pojawił się w mundurze. Zmarnowałem przez niego kurewsko dużo czasu.

Rzucił ręcznik i włożył poplamioną koszulkę z „Cobim” — maskotka Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie. Usiadł w swym fotelu i wskazał Claret miejsce. Wyjął z paczki ducadosa, zapalił i odłożył na popielniczkę. Sięgnął do szuflady, wyjął szklanke oraz butelkę „Osborne Brandy”, nalał do połowy i pociągnął solidnego łyka.

— Muszę spłukać z ust smak gówna.

Rozmowa toczyła się teraz szybko. Dwoje nieprzyjaznych sobie ludzi starało się nawzajem pokonać.

— Mamy więcej danych na temat MacTaggarta.

— Czytała to pani?

— Oczywiście.

— Więc słucham.

— Dane z Hendon, z policyjnego komputera. — Założyła nogę na nogę i rozłożyła na kolanach jeden z wydruków. — MacTaggart wstąpił do wojska w wieku szesnastu lat. Został kadetem. Kiedy miał lat osiemnaście, przeniesiono go do regularnej armii, a ściślej — do Royal Buff Caps.

— Pamiętam ich. — Estrada łyknął brandy, rozparł się wygodnie i głęboko zaciągnął papierosem — Byli w Gibraltarze.

— Został przeniesiony do SAS w roku 1981 i służył na tyłach w czasie konfliktu falklandzkiego.

— Czego? — Punkt dla Estrady.

— *Las Malvinas*. — Popełniła gafę. Po prostu przeczytała to, co było na wydruku, nie tłumacząc. Zaczepnęła głęboko powietrza, próbując się uspokoić, ale jedyne, co poczuła, to smród tanich papierosów i brandy.

— Później Irlandia Północna. Przeniesiony w stan spoczynku dwa lata przed terminem. Miało to miejsce trzy lata temu.

Podniosła wzrok znad papierów.

— Chciałabym dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej. Przedwczesne przeniesienie w stan spoczynku wymaga, moim zdaniem, wyjaśnienia.

Wróciła do wydruków.

— Później został oskarżony o włamanie z użyciem materiałów wybuchowych. Wysadził sejf. Użył plastyku, prawdopodobnie ukradzionego z odkrytej przez brytyjską armię kryjóWKI IRA. To wszystko, jeśli chodzi o jego życiorys, ale jest jeszcze raport psychologa, dotyczący...

— To śmieci, a co do reszty — to tyle jest warta dla śledztwa, co pierdnięcie małpy.

Naprawdę tak myślał, czy tylko starał się jej dopiec? A może i jedno, i drugie? Claret zachowała jednak spokój:

— Myślę, że mimo wszystko powinien pan zapoznać się z raportem psychologa, a przynajmniej wysłuchać mojego streszczenia.

— Przez cały dzień nie mam nic lepszego do roboty, niż pić brandy i palić papierosy.

Tak właśnie było. Claret westchnęła, zrobiła najbardziej pozbawioną szacunku minę, na jaką umiała się zdobyć, i potrząsnęła wydrukiem.

— W szkole MacTaggart ciągle sprawiał kłopoty, aż do czasu gdy znalazł starszego chłopaka, który mu imponował i którego woli się podporządkował. Podobnie było w wojsku: usatkwował się dopiero wtedy, gdy spotkał starszego od siebie mężczyznę, którego szanował i słuchał, nie rezygnując jednocześnie ze swojej własnej osobowości.

— Tak jak mówiłem — Estrada wydał z siebie gardłowy śmiech — śmieci! Jeszcze w życiu nie czytałem raportu psychologa, w którym nie byłoby jakichś świńskich podtekstów.

Claret chwyciła wydruk w jedną rękę, a drugą przyglądała spódnicy.

— Słucham? Świńskich podtekstów?

— Starszy chłopak, starszy mężczyzna. Przecież to jasne. Facet uważa, że MacTaggart to cwel.

— Nie o to mu chodziło.

— Nie? Jak pani sobie życzy. Czy to już wszystko?

Zawahała się. Nie miała obowiązku tłumaczyć Estradzie, jak doniosłe przekazała mu informacje. Zaczęła zbierać się do wyjścia.

— Tak — odparła. W jej tonie zabrzmiało ostrzeżenie.

Estrada przypomniał sobie, że zlecił jej jeszcze coś.

— A jak z tym kelnerem, który zna angielski? — Pochylił się do przodu i oparł łokcie o biurko. — Pewnie w ogóle nic nie rozumiał, prawda? Tak... To wystarczy.

Claret miała już tego dość. Zawróciła, podeszła do biurka i pochyliła się nad Estradą. Jej twarz była tak czysta, jak oblicze Ateny patrzącej na pijanego Sylena.

— Niech pan posłucha, *Señor*. Nie należy do moich obowiązków wysłuchiwanie tego wszystkiego. Myślę, że to, na co trafiłam, może mieć duże znaczenie. Więc albo będzie pan słuchał, albo wpiszę to do komputera, aby mieć dowód. A kiedy okaże się, że to ja mam rację, będę o tym pamiętała. OK?

Zapadła kompletna cisza, a po chwili Estrada zerwał się z miejsca,

odpychając gwałtownie fotel. Jego przekrwione oczy były wściekłe. Bardzo wściekłe.

— Gdybym usłyszał coś takiego od faceta, dałbym mu po mordzie, a później... wysłuchał. Więc niech pani mówi.

— W porządku. — Opanowała oddech i miała nadzieję, że rumieniec, który czuła na szyi, nie rzuci się w oczy. Usiadła i zaczęła mówić nie patrząc na wydruk: — MacTaggart bezbłędnie wykonywał rozkazy osób, które nauczył się szanować. W „Casa Pez” w pewnym momencie stanął na baczność, jak żołnierz, i zwracając się do wyższego mężczyzny powiedział coś, co brzmiało jak: „*Mister Cramer*”.

— I co to, kurwa, ma niby znaczyć?

Claret odpowiedziała powoli, jak mówi się do dziecka:

— Myślę, że to znaczy, iż w przeszłości tym starszym mężczyzną, którego rozkazy MacTaggart wykonywał bez mrugnięcia okiem, był jego dowódca.

Byla mniej więcej za kwadrans trzecia. Pokój rozświetlały promienie słońca, dzięki czemu wydawał się trochę cieplejszy i mniej ponury. Był też znacznie czystszy, gdyż Inger zdążyła już posprzątać walające się strzępy tapet oraz zamieść pokruszony gips i śmieci. Otworzyła drzwi prowadzące na mikroskopijny balkon i ustawiła krzesło tak, by dwie jego nogi znalazły się na zewnątrz. Usiadła i spojrzała w dół, na niewielki plac. O tej porze dnia wyglądał mniej obskurnie. Miał nawet pewien urok. Z sąsiedniego balkonu zwiślała kaskada szkarłatnych kwiatów, wydzielających w słońcu migdałowy zapach. Z miejsca, w którym siedziała, Inger widziała fasadę kościoła. Na poprzecznej belce nad drzwiami po zachodniej stronie znajdowała się zabawna romańska figurka Matki Boskiej, niemal prymitywna. Ilekroć Inger na nią spoglądała, tylekroć czuła, że robi się jej weselej.

Przechyliła krzesło do tyłu i oparła głowę o drewnianą futrynę drzwi. Zamknęła oczy, zwróciła twarz ku słońcu. Spod zamkniętych powiek pobiegł do mózgu ciepły, łagodny cynobrowy impuls. Szeroko rozłożyła uda i położyła na nich dłonie. Ptasi śpiew kołysał jej duszę. Nie zdawała sobie sprawy, że dobiega z klatki, bo gdyby o tym wiedziała, nie cieszyłby jej tak bardzo. Migdałowy zapach napełnił jej nozdrza i po chwili zasnęła.

Obudził ją jego krzyk, brzmiały jak ostrzeżenie. Otworzyła oczy, wyprostowała się i obejrzała za siebie.

— Co się dzieje?

Odwróciła się ku niej. Dostrzegła, że ma czerwoną twarz, prawdopodobnie z powodu gorączki. Długimi palcami Inger rozmasowała sobie zdętwiałą szyję. W tym momencie Cranmer otworzył oczy — najpierw wyrzała z nich pustka, później nieufność, w końcu ten dziwny, ponury uśmiech.

— Muszę się wysikać.

— Dasz radę? Mogę... mogę załatwić to tak, żebyś nie musiał wstawać...

— Dam. Tylko podaj mi rękę.

Wstała, podeszła do łóżka i stanęła nad nim. Opuścił nogi na podłogę, chwilę odczekał, po czym wyciągnął dłoń, zagryzł wargi i powoli podniósł się. Chwyliła go pod łokcie — nie wymagało to wielkiego wysiłku, gdyż Cranmer potrzebował jej tylko po to, aby utrzymać równowagę.

Miał wzwód; wilgotna różowatość przebijała spod napletka. Ten widok natychmiast ją pokonał. Kompletnie zmiękła...

— Poczekaj. Zarzuc na siebie kołdrę. Masz gorączkę, nie możesz się przeziębic.

Otuliła mu ramiona. Kołdra była duża, bladoczerwona, lecz niezbyt gruba. Wyglądał w niej jak w opończy. Inger przypomniała sobie niemiecki renesansowy obraz *Naigrwanie się z Chrystusa*. Cranmer wsparł się na jej ramieniu i zaczęli krok po kroku posuwać się ku drzwiom.

— Nie jest tak źle. Nie tak źle, jak myślałem.

Inger sięgnęła do klamki, lecz on ubiegł ją: przekreślił gałkę i skrzywił się.

— Zamykaj na zatrask, zawsze zamykaj na zatrask. Inaczej łatwo od zewnątrz otworzyć. Jest jeszcze zasuw.

Zirytowała ją ta prośba narzucenia władzy.

Stała przy drzwiach, czekając aż Cranmer się załatwi. Kiedy wyszedł, spuściła po nim wodę. Zauważyła, że erekcja minęła.

— Dobrze. A teraz z powrotem do łóżka. Przypuszczam, że masz gorączkę, najprawdopodobniej z powodu zakażenia.

— Nie.

— Proszę.

— Nie. Po prostu rozgrzałem się pod tym świństwem. Okno. Chciałbym usiąść w oknie. Przy stole. Mam dosyć łóżka.

— Jak chcesz.

Wzruszyła ramionami, puściła go, poszła przodem i ustawiła drugie krzesło tak, aby mógł usiąść przy solidnym stole, twarzą do niej. Sama jednak nie usiadła, lecz stała ściskając oparcie krzesła. Była poruszona, głęboko poruszona widokiem jego erekcji, nagością jego nóg. Pożądanie jak katalizator wyzwoliło w niej nagłą, gwałtowną i bezradną wściekłość.

— Chcę wiedzieć wszystko. O tobie i Laurze.

Był wyraźnie zaskoczony. Ciemne brwi uniosły się w wyrazie zdziwienia.

— Dlaczego? Po co?

— Nie rozumiesz, jak bardzo mnie zraniłeś? Nienawidziłam cię, gdy wyjechałeś tak nagle, bez uprzedzenia. Wiedziałam jednak, że wrócisz. Wiedziałam, że tobie także było dobrze ze mną. I później, kiedy wróciłam... mając nadzieję, że tam cię zastanę... a znalazłam tę kasetę od tej cholernej małej dziwki... O Boże! Co się, do cholery, stało? Była tam, kiedy przyjechałeś?

— Tak. — Był teraz sprężony, zacisnął pięści, gotów uderzyć, gdyby się na niego rzuciła.

— Ile czasu minęło, zanim... zanim zaczęliście się pieprzyć? — Celowo

się raniła i zmuszała do wyobrażania najbardziej ohydnych rzeczy po to, aby prawda, którą chciała poznać, nie była jej w stanie zaskoczyć ani wzburzyć. — Dziesięć minut? Pięć? I gdzie? Na moim łóżku? Na naszym...?

Na zewnątrz, po drugiej stronie placu, coś zagrzrzało. Inger spojrzała w tamtym kierunku... Ubrana w czarną suknię starsza kobieta, niska i krępa, z siwymi włosami upiętymi w kok, o twarzy brązowej i pomarszczonej jak orzech, pochylała się nad metalową miską i wyżywała pranie. Gniew Inger wypalił się w jednej chwili. Drżąc na całym ciele, odwróciła się, sięgnęła po papierosa i szybko wypaliła niemal do połowy.

— Czytałeś mój list? Ten, który zostawiłam w domu?

— Tak.

— Więc wiesz, dlaczego wyjechałam.

— Twoja matka... była chora?

— Moja matka umarła. — Inger wypuściła w stronę słońca chmurę niebieskoszarego dymu.

— Przykro mi, naprawdę.

— Mówisz tak, bo musisz, bo zawsze się tak mówi. Ale nie trzeba. Była stara i nieszczęśliwa. Dlaczego? Bo nie miała już nic, dla czego warto żyć. Jej życie straciło sens. W przeciwieństwie do tamtej kobiety nie miała już dla kogo robić prania. Umarłaby całe lata temu, gdyby tylko mogła.

— Każdy może.

— Pod warunkiem że się nie boi.

Ponieważ czuł, że Inger chce, aby ta rozmowa trwała, szukał w myślach stosownych w takiej sytuacji słów.

— Mimo wszystko, musi ci jej brakować.

— W pewnym sensie tak. Została dziura, jak po wyrwanym zębie... Ale po zębie, który bolał.

Odwróciła się, oparła głowę o futrynę i spojrzała na niego. Ręce trzymała skrzyżowane na piersiach, a pomiędzy palcami prawej dłoni, na której połyskiwał pierścionek z ametystem, nadal tkwił papieros. Miała na sobie brązowo-czarną bluzkę w pomarańczowe kwiaty, ciemną wełnianą spódnicę sięgającą nieco poniżej kolan i plecione sandały.

— Wiesz, co potrafia zrobić z dzieckiem rodzice?

Jego twarz spochmurniała. Inger widziała, jak twardnieją mu ścięgna na policzkach i mięśnie szyi.

— Tak, widać, że wiesz. — Zaciągnęła się głęboko. Jej głos był teraz wyższy, a słowa płynęły dużo szybciej. — W taki albo inny sposób zgnoją cię. We mnie matka wzbudziła poczucie winy. Byłam winna od momentu, kiedy się urodziłam. Winna, że matka musiała w nocy wstawać, winna, bo zasikałam świeżo założoną pieluchę, winna, bo rosły mi zęby, winna, bo chciałam mieć rzeczy, na które oni — przynajmniej tak twierdzili — nie mogli sobie pozwolić, bo miałem potrzeby, z którymi nie potrafili sobie poradzić... Winna, ponieważ wyszłam za męża, później winna, bo się rozwiodłam, winna, bo ją zaniedbywałam... Wszystko, za co powinnam być

matce wdzięczna, zostało przytłumione tą winą, podobnie jak każdy powód, dla którego mogłabym rozpacząć, że umarła. No i oczywiście czuję się winna, bo w ogóle nie rozpaczam... A najgorsze jest to, że identyczny scenariusz powtórzyłam z własną córką.

Zgasiła papierosa o poczerniałą cegłę i chciała wyrzucić peta na zewnątrz, jednak zreflektowała się i wrzuciła go do worka z zużytymi opatrunkami i strzykawkami.

— Nie przyjechałam, żeby znaleźć ciebie. Przyjechałam po Laurę. Kiedy tu była poprzednio, zaczęła ćpać twarde narkotyki i wkrótce sprzedawała się za grosze podrzędnym handlarzom, byleby tylko mieć na następną działkę. Na tej taśmie mówi, że jedzie z tobą do Barcelony, że masz tu zarobić kupę pieniędzy i że jesteś przestępcą. Tak więc zakładałam, że chciałeś ją wykorzystać jako kontakt z tutejszym światkiem handlarzy narkotyków... Wejść w to środowisko z jej pomocą...

— Ona tu nie przyjechała. Nie widziałem jej od czasu, gdy... gdy wyjechała z twojego domu.

— To ty tak mówisz. Jeśli to prawda, powinnam wrócić do domu i czekać, aż przyjedzie, lub szukać jej w tamtych okolicach... Zrobiłam dla ciebie wszystko, co mogłam i co chciałam. Teraz nadszedł czas, abym spłaciła Laurze chociaż część długu, jaki wobec niej zaciągnęłam.

Spojrzał na nią i nagle uwierzył, że naprawdę ma zamiar wyjechać.

— Ciągłe się nią przejmujesz. Po co? Zapomnij o niej. Ona cię przecież nie potrzebuje.

— Dlatego że nie żyje, czy tak? Dlatego że ją zabiłeś?

— Nie. — Był teraz wściekły, ale okazywał to w nieco teatralny sposób: — Dlatego że jest cholerną dziwką. Małą, wredną kurewką, niewartą tego, by poświęcać jej czas, a tym bardziej aby się o nią martwić.

— Czyżby? — zadrwiła Inger. — A ty skąd niby tyle o niej wiesz? Ile czasu z nią spędziłeś? Dwa, trzy dni? Z pewnością dobrze ją poznałeś w te całe trzy dni.

— Owszem. Wystarczająco dobrze.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. W obojgu walczyły sprzeczne uczucia.

— Tak czy owak, jestem jej potrzebna. Wyjeżdżam. Przedtem pójde kupić ci trochę jedzenia.

W powietrzu zawisł jednakże wielki znak zapytania: wskazówka, że gdyby poprosił, może by została.

— Mogłabyś przynajmniej podać mi papierosa, zanim wyjedziesz.

— Och, przepraszam — zdobyła się na śmiech. — Nie pomyślałam o tym. To nieładnie z mojej strony.

Przypaliła papierosa i podała mu. Chwycił ją za nadgarstek, ale delikatnie, i przytrzymał, zmuszając, by zbliżyła twarz do jego twarzy.

— Czy moglibyśmy zjeść jakiś przyzwoity obiad, zanim wyjedziesz? Na przykład rybę. A do niej wino. Tak jak wtedy u ciebie...?

Znowu straciła oddech. W oczach pojawiły się łzy.

— Niemand, ty naprawdę jesteś strasznym skurwielem, ale najwyższej klasy. Najwyższej klasy skurwielem.

Puścił ją. Pokręciła się przez chwilę po pokoju, wzięła pieniądze, torbę, rozczesła włosy i spięła je z tyłu. Cranmer obserwował ją bez słowa.

— Wychodzę. Czy mam wziąć klucze?

— Nie. Zostaw. Tylko zatrzasknij drzwi. Wpuszczę cię, jak wrócisz.

Stał przy oknie i patrzył na plac tak długo, aż przeszła na drugą stronę. Pięć minut później — tyle wystarczyło, żeby się upewnić, że Inger nie wróci po zapomniany drobiazg (na przykład pieniądze, kartę kredytową, cokolwiek) — podszedł do drzwi i starannie je zamknął. Następnie wyjął z szafy nesesor „Heckler and Koch” i zaczął sprawdzać. Znajdowały się w nim dwa zapasowe magazynki. Jeden z nich Cranmer umieścił zamiast całkowicie opróżnionego przez Weisego. Kiedy skończył, siedział przez chwilę zadowolony, że pamiętał o wszystkim, co należało wiedzieć, aby uruchomić tę zabójczą maszynę. Odłożył nesesor, zmieniając uprzednio kombinację w zamkach szyfrowych, które służyły jako zabezpieczenie — pistolet nie miał prawa wystrzelić, jeżeli nie zostały ustawione na odpowiednich numerach.

Wykonując wszystkie te czynności, uśmiechał się do siebie na wspomnienie historii tej broni. Zaprojektowano ją dla tajnych agentów policji niemieckiej, jednak po artykule w „Der Spiegel” oraz po licznych protestach lewaków i liberałów — wycofano. A wiadomo, że producent nie może ponieść strat — więc broń musi być sprzedana. Skoro nie kupi jej policja, na pewno uczyni to druga strona.

33

Inger zrobiła sobie piętnastominutowy spacer po *barrio* — przeszła przez Via Laietana, doszła do Pląca del Rey, a później aż do Ramblas. Następnie ruszyła w stronę targowiska. Było to jedno z jej ulubionych miejsc w Barcelonie — duży hangar z czarnej stali oraz szkła, zaprojektowany z elegancją bliższą raczej modernizmowi aniżeli dziewiętnastemu stuleciu, z którego w rzeczywistości pochodził. Znajdowały się w nim setki stoisk i sklepików, gdzie można było kupić praktycznie wszystkie artykuły spożywcze osiągalne w Katalonii, a może nawet w całej Hiszpanii. Na dodatek towary eksponowano z takim wyczuciem i smakiem, że naprawdę trudno było oderwać od nich wzrok.

Wielu stoisk jeszcze nie otwarto po przerwie obiadowej, ale i tak wybór był wyjątkowy. Przed szaleństwem zakupów powstrzymywała Inger jedynie myśl, że potrzebuje produktów wyłącznie dla dwojga osób i tylko na dwa posiłki — kolację i śniadanie — oraz że od domu dzieli ją dobre piętnaście minut drogi.

Niemniej i tak nieźle zaszalała. Kupiła aromatyczną górską szynkę w plasterkach, gotowane homary, butelkę szampana „Cordoniu Cava”, a także dobrą brandy, chleb i wszystko, czego potrzeba do klasycznej hiszpańskiej sałatki, a więc: sałatę, cebulę, ogórki, pomidory, olej, cytrynę oraz czarne i zielone oliwki z beczek — tłuste, jędrne i pachnące czosnkiem.

Gdy znalazła się z powrotem na Ramblas i właśnie zmierzała ku najbliższemu skrzyżowaniu, by najkrótszą drogą dostać się na drugą stronę Barrio Gótico, usłyszała nagle głos:

— *Frau Mahler.*

Na moment stanęło jej serce. Odwróciła się i zobaczyła sierżanta Arranza.

Minęła chwila, zanim go poznała. Miał na sobie kurtkę z podpinką i džinsy — nieco za ciasne — strój nie za bardzo pasujący do mężczyzny po pięćdziesiątce. Prawdopodobnie w ogóle by go nie rozpoznała, gdyby nie to, że rozmawiał z patrolcem policyjnym — kobietą i mężczyzną — z Guàrdii Urbana. Oboje nosili takie same mundury jak on, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w budynku pod numerem 43.

— Miała pani przyjść i podać nam swój tutejszy adres... A gdybyśmy tak odnaleźli pani córkę?

— Rzeczywiście, powinnam była... — Najpierw poczuła zakłopotanie, a później złość. Zawsze reagowała złością na widok policjanta.

— Co pani powinna była, pani Mahler?

— Podać wam swój adres i...

— Czy odnalazła pani tego mężczyznę, z którym, według pani, przebywała córka?

— Tak, odnalazłam go. Powiedział, że Laura w ogóle nie przyjechała do Barcelony.

— Więc po co jej szukamy?

Wzruszyła ramionami i skierowała się w dół Ramblas. Arranz obserwowal ją przez chwilę, a później ruszył w ślad za nią. Kiedy skręciła w Carrer de Ferran, zastanawiał się przez moment, czy powinien ją śledzić, czy też nie. W końcu doszedł do wniosku, że nie: ta sprawa tylko z pozoru wydała mu się podejrzana, a nie miał żadnych konkretnych dowodów, że coś jest nie w porządku, a poza tym dopiero co zszedł ze służby po bardzo ciężkim dyżurze. Aby jednak mieć czyste sumienie, poszedł na kompromis: wrócił jeszcze na chwilę na Ramblas 43.

Martin siedział za biurkiem oświetlonym pojedynczą lampą. W jednej dłoni trzymał długopis, a w drugiej butelkę napoju „Fanta”. Z wyraźnym trudem przebijał się przez papierkową robotę, której dostarczył mu wybuch bomby w „Casa Pez”.

— Andreu, w czym mogę ci pomóc? Myślałem, że poszedłeś już do domu.

— Masz wolną chwilę?

— Każdy pretekst jest dobry, aby choć na moment oderwać się od tego główna.

— Mogę skorzystać z komputera?

— Baw się dobrze.

Arranz obszedł biurko, pochylił się ponad ramieniem Martina i wprowadził kod wejściowy.

— Wstukałem to wczoraj — wyjaśnił. — Niemka zgłosiła zaginięcie córki. Była bardzo zdenerwowana. Powiedziała, że córka, eksheroistka, przyjechała tu ze swym facetem, prawdopodobnie przestępcą, i że mają zamiar zarobić kupę pieniędzy. Spytałem, czy nie będzie miała nic przeciwko

temu, jeśli podłączę tę sprawę pod narkotyki. Wiesz — w dziale osób zaginionych nie miałyby żadnych szans. Rozumiesz, o co chodzi?

— Nie jestem idiotą.

— Każdy, kto tu pracuje, jest idiotą. Dziś wieczorem spotkałem ją na ulicy. Robiła zakupy. Spytałem, czy odnalazła córkę. Była wyraźnie zmieszana i nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu odpowiedziała, że spotkała faceta, z którym rzekomo miała być jej córka, i że on jej powiedział, iż dziewczyna w ogóle nie przyjechała do Barcelony... Ta kobieta nie tylko była zmieszana. Ona się bała. Mnie. I rozmowy ze mną.

Martín odchylił się do tyłu i łyknął fantę z butelki.

— Co proponujesz?

— Sam nie wiem. — Arranz przeszedł na drugą stronę biurka i siadł na krześle. — To może mieć coś wspólnego z narkotykami. Może kobieta stara się kryć córkę? Może sama współpracuje z tym człowiekiem i nie chce, żeby wchodziła się w to córka...? Skąd mogę wiedzieć? — roześmiał się. — Po prostu coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Głównie to, że nie chciała nam podać swego adresu. Coś w tym musi być. Moim zdaniem sprawa pozostaje dla nas nadal aktualna, mimo że zaginiona nie jest już zaginioną. Może byłoby dobrze się zorientować, gdzie zatrzymała się ta Niemka. Wraciała z hali targowej, a więc — wbrew temu, co początkowo twierdziła — nie zamieszkała w hotelu.

— Mogłeś ją śledzić.

— Daj spokój, Xavier. Zauważyłaby mnie. Poza tym — jestem po służbie.

— W porządku — powiedział Martín i uśmiechnął się — sporządzą notatkę ze zdjęciem dla patroli. Coś jeszcze?

— Nie. Chyba nie... Uciekam. Baw się dobrze. Masz fajne papierki do uporządkowania.

— Sływaj, Andreu.

Skończył zajmować się neserem oraz jego śmiertelnością zawartością i schował go do szafy, wyjął zaś torbę, odłożoną tam po akcji w „Casa Pez”, i wyciągnął z niej miniaturowy magnetofon kupiony w Zurychu jako część aparatury podsłuchowej. Teraz, kiedy sama pluskwa została odłączona, magnetofon mógł służyć jako odtwarzacz. Cranmer zapalił papierosa i rozpoczął przesłuchiwanie taśmy.

Najpierw odgłosy wybieranego numeru. Następnie głos kobiety:

Rezydencja Herrn Winckelmanna.

Później jego własna odpowiedź:

Chciałbym rozmawiać z Herrn Winckelmannem.

Pan Winckelmann pojechał już do biura. Czy coś przekazać?

Wcisnął *stop*, a następnie zaczął nagrywać. Mówił bardzo cichym szeptem, z ustami blisko maleńkiego mikrofonu:

— *Herr Herz*, po tym, co pan przed chwilą usłyszał, staje się chyba dla pana jasne, że wiem, kto zapłacił mi za pierwsze zabójstwo, dokonane na pańskie zlecenie, i kto pozostaje mi dłużny sześćset tysięcy franków szwajcarskich za robotę w „Casa Pez”. Myślę także, że doceni pan, a także *Herr Winckelmann*, fakt, że moja wiedza daje mi bardzo znaczącą przewagę w grze, jaką prowadzimy...

Mówił jeszcze przez pewien czas, często zatrzymując i cofając taśmę, poprawiając i nagrywając od nowa. Dopiero gdy usłyszał kroki Inger i pukanie do drzwi, wcisnął klawisz *stop*.

— To ja, Inger.

Podszedł do drzwi i otworzył. Weszła objuczona zakupami.

— Czy mi się zdawało, że coś mówiłeś? A może ktoś tu jest?

— Nie, to tylko to. — Wskazał na magnetofon. — Nagrywam wiadomość dla ludzi, którzy próbowali mnie zastrzelić. Chciałbym, abyś jutro zaniosiła ją do pewnego biura w Barcelonie. Dobrze? To żadne ryzyko. Po prostu zostawisz przesyłkę w recepcji.

Przerwał i patrzył na jej plecy, gdy wypakowywała zakupy. Było ich sporo — dobry znak.

— Oczywiście, jeżeli zostaniesz do jutra...

— Może... Zobaczę.

Napełniła niewielki zlew wodą, wrzuciła sałatę, ogórki i pomidory.

— Miałas rację — mówił dalej spokojnym głosem. — Rzeczywiście powinnaś wrócić do siebie albo nawet pojechać do Biarritz. Jestem pewien, że Laura tam jest. Ale proszę, zostań do jutra. Ona przeżyje bez ciebie ten jeden dzień. A jutro po południu powinienem być w stanie sam się sobą zająć.

Odwróciła się. Jej twarz znowu była blada, a duże ciemne oczy podkrążone.

— A więc jednak. W końcu próbujesz mnie przekonać, że to, co mówiłeś, jest prawdą. Próbujesz pomóc mi uwierzyć, że Laura żyje.

— Tak.

— Mówiłeś jednak inne rzeczy, z których jasno wynikało, iż ona nie żyje. I że to ty ją załatwiłeś.

— Byłem w szoku i poważnie ranny. Dobrze o tym wiesz. Miałem halucynacje. — Pochylił się do przodu, podkurczył kolana i oparł na nich ręce. — Słuchaj, kupiłaś tyle dobrego jedzenia. Czy nie możemy na kilka godzin zapomnieć o niej? Chociaż na kilka godzin.

Wyjęła ze zlewozmywaka sałatę, oderwała zewnętrzne liście oraz głąb, i zaczęła ją rwać. (Sałaty nie należy nigdy kroić, gdyż od kontaktu ze stałą robi się gorzka.) Nie odwracając się, spytała:

— Czy próbujesz powiedzieć, że mnie potrzebujesz?

— Może... Takie słowa nie przychodzą mi łatwo.

Pracowała dalej, nie odzywając się przez dobre pięć minut. Na drewnianej desce, którą dokładnie wyszorowała poprzedniego dnia, kroїła

pomidory, cebulę i ogórki. Wrzucała to wszystko do dużego, głębokiego talerza, który znalazła na półkach pod zlewem. Wreszcie dodała oliwki i szczyptę soli. Spojrzała na homary. Natychmiast powróciło zmęczenie. I głód.

„Później” — pomyślała i przypomniała sobie o szynce. Pokroiła cienko chleb i ułożyła go na talerzu razem z szynką i pozostałymi oliwkami. Talerz postawiła na niewielkiej szafce przy łóżku.

— Zakąska... Napiłabym się czegoś. Mamy butelkę „Cava” — to kataloński szampan, równie dobry jak francuski — i brandy. Co wolisz?

— Brandy. Szampana zostawmy do homarów. Tylko dla mnie proszę dużo wody.

Zmieszała brandy z wodą sodową — dla siebie i dla niego — a następnie przysiadła na łóżku w sporej odległości od mężczyzny. Sięgnęła po chleb i szynkę, i zrobiła kanapki — najpierw dla Cranmera, później dla siebie. Po wypiciu pierwszego łyku poczuła się znacznie lepiej. Przypomniała sobie, że ma nad Cranmerem dość znaczną przewagę, o której on nie wiedział. Czuła się silna, jakkolwiek obawiała się jego wściekłości, gdyby przypadkiem poznał prawdę.

— Zabijasz ludzi — powiedziała nagle.

— Dlaczego tak uważasz?

Natychmiast pojawiła się wściekłość. Inger miała jednak przygotowaną odpowiedź:

— Ludzie, do których inni strzelają, ludzie z blizną po odłamku bomby (miała na myśli jego bliznę pod żebrami, o której twierdził, iż powstała od szrapnela, Inger zaś wiedziała, że jest to pamiątka po konflikcie falklandzkim, podczas którego Cranmer zabił sześciu młodych mężczyzn, a właściwie chłopców, ukrywających się w szałasie pasterskim) to zazwyczaj ludzie, którzy sami strzelają do innych bądź podkładają bomby.

Wyprostował się i obrócił tak, by jego twarz znalazła się w cieniu. Miał teraz lodowate oczy i głos.

— Wiesz na mój temat więcej, niż sądziłem. Zajmowałeś się moją przeszłością...

„Czy posunęłam się za daleko?”

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Sama zaczęłaś. Mogłaś dowiedzieć się, kim jestem, a właściwie, kim byłem. Szczegółowe informacje o tamtej katastrofie znalazły się w wielu gazetach. Wiedziałaś, że należałem do obstawy, a to dość, by poznać moje nazwisko.

„Tak, posunęłam się za daleko. Za wcześniej”. Opróżniła szklanek prawie do dna, a następnie, przechyliwszy głowę, skłamała bez zająknięcia:

— Ale nie zrobiłam tego.

— Dlaczego? Ja bym zrobił. Większość ludzi także.

— Znasz mnie już chyba na tyle dobrze, by znać odpowiedź. Kiedy

wszedłeś w moje życie, byłeś człowiekiem bez przeszłości. — Jej głos był teraz spokojny. Mówiła powoli i bardzo wyraźnie, starannie dobierając słowa. — To mi odpowiadało. Nie miałeś żony, dzieci, żadnych zobowiązań ani problemów rodzinnych...

Wyciągnęła ku niemu dłoń, delikatnie dotknęła kolana, pogładziła łydkę i szybko zmieniła temat rozmowy.

— Żałuję, że powiedziałam ci tak dużo o sobie.

— Dlaczego?

— Bo jeśli się kogoś dobrze pozna, to zaczyna się oczekiwać od niego znacznie więcej.

— Niczego od ciebie nie oczekuję.

— Owszem, oczekujesz. Oczekujesz pomocy. I ufasz mi. Dlaczego?

Wstała i sięgnęła po jego szklanke. Dopił i podał jej. Podeszła do stołu i chwyciła butelkę.

— Muszę. Nie mam nikogo innego.

Ręka, w której trzymała butelkę, zawisła w powietrzu.

Cranmer mówił dalej, wyraźnie się śpiesząc:

— Jest tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy pojawiłem się w twoim samochodzie... Sposób, w jaki się wówczas zachowywałaś, powiedział mi wiele o tobie. O tym, jaka jesteś.

— Nie krzyczałam ani nie wezwałam policji. Nie zawiozłam cię do szpitala, ponieważ tego nie chciałam. Czy o to chodzi?

— Tak. Mało kto tak by postąpił. Niewiele jest osób podobnych do ciebie.

Na jej twarzy wreszcie pojawił się uśmiech. Wręczyła mu szklanke i odpowiedziała:

— Rzeczywiście niewiele, ale zawsze się rozpoznajemy. Jesteśmy jak rodzina, jak tajne stowarzyszenie, jak sprzysiężenie samotników. — Wróciła do stołu i z dużą wprawą zaczęła dzielić homara. — Nigdy nie sprawiamy sobie zawodu. Konwenanse budzą w nas wstręt, nienawidzimy hipokryzji, prawa, systemów prawnych i tym podobnych.

— To pachnie mafią.

— Nie. Mafia znajduje się poza społeczeństwem i poza prawem, ale wykorzystuje i jedno, i drugie. My to wszystko po prostu ignorujemy, udajemy, że nie istnieje, i pomagamy sobie nawzajem, kiedy któreś z nas ma z tego powodu kłopoty. Nie wtrącamy się w cudze sprawy, ale jeśli ktoś potrzebuje naszej pomocy, zawsze może na nią liczyć. Ty potrzebowałeś.

— Nadal potrzebuje.

Znów się odwróciła.

— Myślałam, że jesteś taki sam, że jesteś jednym z nas. Ale tak nie jest.

— Nie?

— Nie! Co nie oznacza, że nie możemy razem zjeść i że ci nie pomogę. Jedzenie gotowe. Otwórz szampana, dobrze?

Wręczyła mu butelkę.

— A kiedy już się najemy i odrobinę napijemy, położę się z tobą do łóżka i trochę pośpię, bo jestem bardzo, ale to bardzo zmęczona. A potem będziemy się kochać. Dziwi cię to? Że po tym wszystkim — po twoim nagłym wyjeździe, sprawie z Laurą, po tym, jak podejrzewałam cię, iż ją zamordowałeś — mam ochotę kochać się z tobą? Tak, mam. Bo było nam wtedy dobrze. I teraz może być. Niech więc cię to nie dziwi.

34

Mówiłem ci, prawda? Że miała na policzku wielki pieprzyk?

— Mówiłeś.

— I że była gruba. Bardzo gruba?

— Też mówiłeś.

Późny wieczór. Na zewnątrz, na Via Laietana, już zapłonęły latarnie. Barcelona ożywia się: w barach coraz więcej ludzi, tu i ówdzie zamyka się sklepy, a przed dyskotekami i lokalami zapalają się kolorowe światła, mrugają i wirują neony. Zbliżając się do najważniejszego punktu swej opowieści, Estrada przestał wreszcie huśtać się na krześle. Claret oderwała na moment wzrok od ekranu swego komputera, skrzywiła się z obrzydzenia i wróciła do pracy, starając się nie słyszeć tych okropności, o jakich znów opowiadał jej tymczasowy szef.

— ...Ale na pewno nie mówiłem ci, że następne dziesięć minut spędziłem na masowaniu drugiego olbrzymiego pieprzyka, znajdującego się na jej brzuchu. Byłem przekonany, że to jej cyc! — Ryknął gromkim śmiechem, usłużnie zawtórowali mu Gómez oraz dwóch innych detektywów siedzących wraz z nim pod wielkim portretem króla. — OK. Wystarczy. Wracamy do tego pieprzonego gówna... Chodź tu, *Conchee*. Opowiedz nam, jakie nowe rewelacje sprzedali ci zboczeńcy z Interpolu.

Wstała, wygładziła spódnice, pochwyciła plastikową teczkę i ruszyła w ich stronę najbardziej naturalnym krokiem, na jaki mogła się zdobyć. Nie było to łatwe, jeśli nosiło się ledwo sięgającą połowy uda spódnice od munduru — która opinała jej płaski brzuch — oraz podkreślające długość i kształtność ud czarne pończochy. Sądząc po wyrazie twarzy i błysku w oczach większości mężczyzn, z którymi pracowała, strój ten musiał zaprojektować albo jakiś męski szowinista, albo burdelmama. Siadła na najbardziej oddalonym od Estrady krześle. Kaszlnęła, ale nie z emocji, lecz dlatego, że przez te parę dni biernego palenia nabawiła się bólu gardła.

— Na podstawie informacji, które posiadamy, trudno wnioskować, czy Interpol wierzy, że eksplozja w „Casa Pez” stanowiła jeden z serii zamachów, czy też nie. Ciężko także powiedzieć, z jakimi wcześniejszymi morderstwami, firmowanymi przez Wojowników Chrystusa, należy kojarzyć tę sprawę. Nazwą tą posłużyła się po raz pierwszy grupa dokonująca zamachów na ukraińskich artystów podróżujących po Europie na koszt Ministerstwa Kultury ZSRR. Jej największym wyczynem było zastrzelenie z broni maszynowej — na stopniach Royal Festival Hall w Londynie — członków kwartetu smyczkowego z Kijowa. Z tego, co wiemy, wynika, iż wszyscy członkowie tamtej grupy albo nie żyją, albo przebywają w najlepiej strzeżonych brytyjskich więzieniach. Wydaje się więc pewne, że nie mają nic wspólnego z późniejszymi użytkownikami tej nazwy.

Przerwała na moment, gdyż jeden z młodszych detektywów zaproponował jej papierosa. Pokręciła przecząco głową. Facet zaczerwienił się i przez następne pięć minut oglądał swoje paznokcie.

— Trzy lata temu nastąpiła kolejna seria zamachów, tym razem na podróżujących po świecie urzędników państwowych, pochodzących z Ukrainy, a także na Rosjan piastujących ważne stanowiska na Ukrainie. Zanim zamordowano Schumachera, dokonano czterech innych prób zamachów. Ostatnia z nich miała miejsce sześć miesięcy przed śmiercią Schumachera i skończyła się śmiercią zamachowca. Rozerwała go bomba, którą próbował podłożyć pod samochód niedoszłej ofiary.

— Dobra. — Estrada głośno chrząknęła. Z miejsca, w którym siedział, widział jedynie białą koszulę Claret i dwa czarne epolety ze srebrną belką porucznika. Dzięki temu mógł niemal wcale nie myśleć o jej kolanach i skrzyżowanych nogach w kostkach. — Czy oprócz tego, że ktoś — bardzo prawdopodobne, że zwykły wariat — podaje się za przedstawiciela Wojowników Chrystusa, istnieją inne podstawy, by twierdzić, że wybuch w „Casa Pez” jest jednym z serii?

— Według Interpolu, istnieją. Po pierwsze — świadczą o tym personalia ofiar, a po drugie — sam sposób dokonania zamachu, jego skuteczność i temu podobne. Jeśli chodzi o ofiary, sprawa jest chyba oczywista. Arnold Kagan, który miał stać się ofiarą zamachu przed siedzioma miesiącami, próbuje stworzyć w Kijowie filię swego komputerowego imperium, którego centrala mieści się w Wielkiej Brytanii. Jest znany z umiarkowanych poglądów, a tacy ludzie są zazwyczaj bardzo niewygodni dla ekstremistów. Kalnicki z kolei to szef brygady antyterrorystycznej w Kijowie — tutaj motywy wydają się oczywiste. Przypadek Schumachera jest zupełnie inny. Człowiek ten osobiście doprowadził do skazania piętnastu ukraińskich narodowych socjalistów. Pięciu z nich aresztowano w Rosji i powieszono. W roku 1980 Schumacher stwierdził, że zrobił już wystarczająco dużo, i wycofał się z życia publicznego. Przestał zatem komukolwiek zagrażać. Tak więc, najbardziej prawdopodobnym motywem jego zabójstwa jest zemsta. W świetle tych faktów także Sasonow wydaje się pasować do tej serii. Podobnie jak Kagan reprezentował umiar-

kowe poglądy. Istnieją także pewne przypuszczenia, na razie niewiele więcej warte niż plotka, że właśnie w Barcelonie Sasonow miał ujawnić fakty świadczące o tym, że ukraińscy nacjonaliści chcą wydzierżawić ziemie zachodnim firmom, zajmującym się utylizacją odpadów przemysłowych. To wszystko wydaje się dość logiczne.

— Ale nie ze wszystkimi przypuszczeniami pani się zgadza?

— Rzeczywiście. Te morderstwa bardzo się między sobą różnią. Według Interpolu, wspólną ich cechą jest partactwo. Charakteryzowało ono całą drugą serię, aż do próby zamachu na Kagana, kiedy to terrorysta sam wyleciał w powietrze. Specjaliści z Interpolu twierdzą, że ta cecha charakteryzuje również późniejsze zamachy, że Kalnicki ocalał, ponieważ bombę podłożono nie w tej sali, w której należało, że również tutaj, w „Casa Pez”, jeden z zamachowców zginął.

— Nic takiego się nie zdarzyło w przypadku zabójstwa Schumachera.

— Rzeczywiście nie. Interpol jednak sugeruje, iż robota została wykonana przez jakiegoś zbira-szaleńca, bo morderca miał w gruncie rzeczy małe szanse ująć nie zauważony. To w końcu bardzo popularne miejsce. Jeśli tak, to i w tym przypadku mielibyśmy do czynienia z partactwem.

— Dobrze już, *Conchee*. A teraz bez owijania w bawełnę. Coś się pani w tym nie podoba. Ale musi pani przedstawić dobre argumenty. Bo inaczej — jeśli stwierdzą, że kwestionuje pani moje umiejętności — już następnego ranka będzie pani kierowała ruchem na jakimś skrzyżowaniu. — (Estrada pomyślał, że wolałby raczej zobaczyć ją robiącą striptiz w którymś z nocnych klubów w Barrio. — Sądzi więc pani — kontynuował — że Interpol się myli i że nie chodzi o serię?

— Nie, tego nie twierdzą, chociaż istnieją poważne poszlaki, że to mogła nie być seria. Po pierwsze, z serii należy wykluczyć próbę zabójstwa Kagana. Doszło do niej sześć miesięcy temu, a wasz specjalista od materiałów wybuchowych stwierdził, że nie widzi żadnych podobieństw. Co jeszcze sugeruje, iż nie jest to seria? Mamy przypadek morderstwa w biały dzień z użyciem broni palnej. Mamy morderstwo popełnione gołymi rękami, wyjątkowo brutalne, a zarazem profesjonalne. Ofiarą padła osoba umiejąca się bronić. I zaraz mamy zamach z użyciem takiej samej bomby, jak w przypadku Kagana. Tym razem wszystko poszło tak, jak miało pójść, tyle że ładunek podłożono nie w tym pomieszczeniu, co trzeba. No i wreszcie zamach w „Casa Pez” — zupełnie inna bomba, sprzęt wysokiej klasy, i do tego użyty w profesjonalny sposób.

— Ale zginął jeden z zamachowców. — Gómez choć raz poczuł się wystarczająco pewnie, by odważyć się wtrącić.

— Sam szef sugerował dzisiaj rano, że mogło to być działanie celowe. Tak czy owak, mamy cztery przypadki, a właściwie trzy, jeżeli sprawę nadinspektora Wrighta oraz Kalnickiego potraktujemy — a to chyba nie wzbudzi żadnych kontrowersji — jako jedną. W każdej użyto innej metody

zabójstwa, innego sprzętu. Jedyne, co je łączy, to pochodzenie ofiar — oczywiście z wyjątkiem Wrighta — oraz to, że za każdym razem ktoś telefonował do środków masowego przekazu i przyznawał się do zamachu.

— I mógł to być jakiś wariat.

— Tak.

— A więc, to nie seria? Powinniśmy szukać gangu, który wysadził „Casa Pez” i zapomnieć o pozostałych sprawach?

— Nie, tego nie powiedziałam.

— Cholera, *Conchee*, więc co, do kurwy nędzy, chce pani powiedzieć? — w głosie Estrady nie brzmiała wściekłość. Przeciwnie, był strasznie znudzony, na dowód czego głośno ziewnął. Claret zrobiła się czerwona, jednak zdołała zapanować nad sobą. Estrada westchnął. — Poruczniku Mario de la Concepción Immaculada Claret y Gasset, czy zechce nas pani oświecić?

— Przepraszam, *Señor*, jeżeli przeze mnie nie może pan się udać na niewątpliwie zasłużony odpoczynek — dała do zrozumienia, że ma na myśli raczej jego przejście na emeryturę niż pójście do łóżka — ale chciałabym, aby mimo wszystko wysłuchał mnie pan do końca.

— Niech się pani nie krępuje. — Zgniół w wielkiej dłoni pustą paczkę po ducadosach. — Gómez, masz jakieś papierosy?

— Cechą, mogącą łączyć wszystkie te sprawy, nie jest partactwo, lecz profesjonalizm głównego wykonawcy. Partactwo mogło stanowić celową zasłonę, jednak ten człowiek to zawodowiec. Umie zabijać na wiele sposobów. Zawsze udaje mu się zbiec. Natomiast jego ofiary, z wyjątkiem Kalnickiego, zawsze umierają. Ten człowiek strzela, zabija gołymi rękami, używa różnych bomb. Teraz, jeśli nie ma pan, *Señor*, nic przeciwko temu, przejdę do charakterystyki przestępcy.

— Cholera.

— Moim zdaniem, poszukiwany przez nas osobnik to człowiek wszechstronnie przeszkolony w sztuce zabijania. Oznacza to, iż najprawdopodobniej szkolono go legalnie — bądź to w wojsku, bądź w policji — albo też że osoba, która go przygotowywała do tej profesji, sama brała udział w takim szkoleniu. Oznacza to także, iż nasz terrorysta zabijał już wcześniej. Powinniśmy zdobyć z całej Europy dane na temat podobnych przestępstw. Mamy przecież takie możliwości, prawda?

Estrada wspominał wszystkie trudy długiego dnia i na myśl o takiej robocie ukrył twarz w dłoniach.

— MacTaggart był profesjonalnym zabójcą, przeszkolonym przez armię brytyjską — odezwał się w końcu. — Wcześniej sugerowała pani natomiast, że szefem gangu mógł być jego dowódca z armii. Czy pani przypadkiem nie buduje następnej hipotezy dla poparcia poprzedniej?

Była zdziwiona i zaskoczona. Po pierwsze, bo oskarżył ją o coś, co należałoby nazwać niedojrzałą czy nawet amatorską manipulacją faktami i argumentami; po drugie, bo okazał się na tyle inteligentny, żeby dostrzec taką ewentualność; po trzecie wreszcie, bo było to zupełnie możliwe.

Prawdopodobnie wyczuł jej zażenowanie.

— Tak czy owak, *Conchee*, jeśli nawet ma pani rację, to jedno wydaje się pewne. Jeżeli facet jest takim profesjonalistą, to już dawno spierdolił z Barcelony. W takim przypadku jutro będziemy mogli zamknąć kramik i iść do domu. Otworzymy wszystkie okna i powiemy całemu światu, że terroryści nawiali do Belfastu, Bilbao albo innego raję dla bandziorów. Oczywiście, Gómez nie pójdzie do domu — uda się do małej Japonki, którą posuwa, gdy tylko jego cholerna praca mu na to pozwala. Prawda, Gómez? Nazywamy ją Suzie Nissan. Powiedz no mi, Gómez, czy prawdą jest, co opowiadali mi, kiedy byłem mały — to znaczy, że kobitki ze Wschodu mają to w poprzek?

Zjedli większość homarów i sałaty, wypili całą butelkę szampana i jeszcze trochę brandy. Kiedy kończyli, Inger niemal zasypiała na krześle. Na dworze panował już mrok. Zaprowadziła Cranmera do ubikacji, a później zgasiła gołą żarówkę zwisającą smętnie na długim kablu, zrzuciła ubranie i wśliznęła się pod kołdrę. Przez chwilę jej dłoń błędziła po klatce piersiowej Cranmera, brzuchu, owłosieniu łonowym, wreszcie zajęła się jego członkiem i jądrami. Wkrótce Inger spała z głową na jego ramieniu.

Odczekawszy chwilę, Cranmer uwolnił się spod ciężaru jej ciała i także zasnął. Jednakże jego sen był znacznie płytszy niż jej.

Zachodzący księżyc wypełnił pokój swym srebrzystym światłem, wyczarowując z kurzu oraz nędzy, jaka tam panowała, wspomnienie średnio-wiecznej wspaniałości. Inger powoli budziła się. Ze zdziwieniem stwierdziła, że Cranmer także nie śpi. Leżał na plecach, z głową opartą na wałku. Przysunęła się do niego, kładąc głowę na dłoni. Cranmer położył się na boku, twarzą w jej stronę. Przez dłuższą chwilę dłoń Inger pieściła skórę jego twarzy, usta, szyję.

— Któregoś dnia dowiem się, kim jesteś naprawdę. Kim jesteś, nie — kim byłeś.

Roześmiał się, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

— Wiesz znacznie więcej, niż mówisz. Jestem tego pewien. W każdym razie wiesz wystarczająco dużo.

— Wcale nie. Ty zawsze coś ukrywasz. Nigdy nie odsłaniasz swego wnętrza, swych uczuć... Dlaczego?

Przez chwilę milczał. Wreszcie odezwał się cicho, jakby mówił do siebie:

— Od katastrofy, od momentu gdy odszedłem ze świata żywych, nikt nie może mnie zobaczyć ani zranić. To tak jakby ludzie, patrząc na mnie, mogli zobaczyć jedynie swoje własne odbicia. To mi odpowiada. I nie chcę tego zmieniać.

— Jak Perseusz. Miał hełm, dzięki któremu był niewidoczny, skrzydlate sandały, dzięki którym mógł dotrzeć wszędzie, i lustrzaną tarczę.

Odwróciła ku sobie twarz Cranmera, aby widzieć jego oczy. W silnym świetle księżycy zobaczyła własne odbicie w jego wielkich źrenicach.

— Nie widzę cię, tylko wymyślam. A to, co wymyślam, jest takie jak chcę, żeby było. — Roześmiała się cicho i położyła na plecach, sięgając po jego dłoń. — Andromeda wymyśliła półboga, aby pokonać potwora. Ja także potrzebowałam półboga.

— Ale ja nie zauważyłam żadnego potwora.

— Było ich kilka.

— Tak?

— Oczywiście. Mój średni wiek i strach, że moje pożądanie nie porwie już nikogo oprócz mnie, że będzie istniał jedynie jako mój samotny sekret; strach, że mój talent to tylko mit; strach, że jestem jedyną osobą na świecie, która nie rozumie, że to mit. Choć więc Niemand, którego wymyśliłam, był strasznym skurwielem, potrafił zaspokoić mnie w łóżku, a w dodatku, dzięki niemu, stworzyłam rzeźbę swego życia.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie odgłosami budzącego się miasta.

— Niemand, co by się stało, gdybyś utracił dary, które Perseusz otrzymał, gdyby ci je nagle odebrano: niewidzialność i tarczę, w której można się co najwyżej przejrzeć...?

— Upadłbym... Spadłbym na ziemię jak Ikar, którego skrzydła nagle ogarnął płomień.

Inger wyczuła jego zakłopotanie. Sama czuła się podobnie — z powodu kłamstwa — wiedziała jednak, że gdyby powiedziała, iż zna jego imię, zraniłaby go, a w tym momencie absolutnie nie chciała ranić. Usiadła nad nim okrakiem, uważając, by nie dotknąć ran. Z jej ramion zwisała kołdra, tworząc coś na kształt namiotu. Spuściła głowę. Jej długie włosy opadły na ciało Cranmera. Delikatnie całowała bandażę, najpierw na ramieniu, a później na udzie.

— Gdyby do tego doszło, stałbyś się widzialny i łatwo przysłoby cię pokonać.

— Był ktoś, kto znał moje imię, i nie wiem, co się z nim stało.

— Mój najdroższy biedaku... Dla mnie i tak jesteś półbogiem.

Całowała teraz jego tors, brzuch, wreszcie delikatnie chwyciła w usta członek. Praktycznie żadnej reakcji. Penis nie zesztyniał. Po chwili Inger zrezygnowała. Usiadła. Na ramionach ciągle miała kołdrę, która jednak nie przykrywała już Cranmera. Całe podniecenie minęło, powrócił martwy nastrój przygnębienia.

— Ona tu jest. Leży w tym łóżku między tobą a mną. Co takiego potrafiła, czego ja nie umiem? — Jej głos był teraz wysoki z wściekłości, niemal piskliwy. — Do jakich świństw była zdolna?

Zamknął oczy. Inger pomyślała, że naszły go wspomnienia. Po chwili uniósł się i wsparł na łokciach. Głowę oparł o metalowe pręty łóżka. Jego ciemne oczy błyszczały jak górski kryształ w świetle księżyca. Inger odwróciła się, jednak nie potrafiła zmienić tematu.

— Domyślam się. Pozwalała się poniżać, zadawać sobie ból. A to cię bierze, tak? Wtedy także zadawałeś mi ból. Niewielki, lecz wystarczająco dolegliwy. Czy teraz też tego chcesz? Czy to ci pomoże? Czy to ci go podniesie? Twierdziła, że robiłeś to z nią trzy razy w ciągu jednego dnia...

— Och, daj spokój — zareagował wreszcie, kręcąc głową z irytacją. — Opowiada kłamstwa i oboje dobrze o tym wiemy. Trzydzieści godzin temu zostałem postrzelony. Dwukrotnie. Może byś to wzięła pod uwagę, zamiast obwiniać Laure.

— Wiem, że to z powodu Laury.

Wstała z łóżka, zabierając kołdrę. Podeszła do stołu — na blacie nadal leżały resztki posiłku — usiadła na krześle, rozejrzała się za papierosami, chwyciła paczkę, zrezygnowała i rzuciła nią z furją.

— Może to dlatego, że ją zabiłeś. Może nie potrafisz kochać się z matką dziewczyny, którą zamordowałeś. A może to był wypadek? Takie rzeczy zdarzają się, gdy ludzie wymyślają w łóżku głupie zabawy.

— Nie, to nie tak.

Owinęła się kołdrą, zdusiła w sobie płacz i chęć wykrzyknięcia mu prosto w twarz jego imienia, prawdziwego imienia, i zażądania prawdy. Całej prawdy. Podjęła decyzję, wiedząc, że popełnia błąd, ale nie potrafiła sobie tego odmówić. Odezwała się cicho i spokojnie:

— Nie mów. Jeszcze nie. Proszę. Nie chcę tego, bo wiem, że jeśli mi to powiesz, nastąpi koniec... wszystkiego.

Odwróciła twarz ku oknu i spoglądała na błędny księżyc, poprzecinany antenami telewizyjnymi i niskący za rzędem rozsypujących się kominów.

— Zimno mi — mruknął Cranmer. — Chciałbym się przykryć.

— Czy mogę się położyć z tobą?

— Oczywiście.

Wróciła do łóżka, a on przytulił ją delikatnie i tak czule, jak tylko potrafił.

— Będę jutro potrzebował twojej pomocy. Bardzo...

— Nie wyrządę nikomu krzywdy ani tobie w tym nie pomogę.

— Nie, nie o to chodzi. To zupełnie inna sprawa.

Świt i słońce wznoszące się powoli nad morzem. Nowoczesne drapacze chmur, zbudowane w Parque del Mar, rzuciły cienie na wciąż nie uprzątnięte gruzy i piach. Przebłyskujące spomiędzy nich słońce od czasu do czasu odbijało się w przedniej szybie wozu patrolowego Guàrdii Urbana. Właśnie zjechał on z gotowej już drogi na trakt, gdzie dawniej przebiegała linia kolejowa. Z trudem przecisnął się pomiędzy śpiącymi ludźmi i trzema czarnymi jak noc Murzynami, którzy beznamiętnie go obserwowali.

Jeden z nich lepił w dłoniach placki z ciasta, jego towarzysz kładł je na pokrywie beczki, pod którą płonął niewielki ogień. Po chwili placki były obracane na drugą stronę, a po upieczeniu przekładane na plastikowy talerz, który wraz z kubkiem kawy z aluminiowego czajnika zaniósł do pobliskiego kontenera trzeci Afrykanin.

We wnętrzu, na starej kanapie wyjętej z jakiegoś porzuconego seata, spoczywał Winston Smith. Przykryty był kocem w kolorowe pasy. W kącie leżał ich cały stos. Gdy Afrykanie przez dłuższy czas nie mogli znaleźć pracy,

sprzedawali ją ludziom na plażach. Winston przekręcił się, skrzywił z bólu i sięgnął po jedzenie, uważając, by plecy, pokryte ropiejącymi ranami postrzałowymi, nie dotknęły niczego twardszego od powietrza.

— Dzięki, kolego. Nie rozumiesz ani słowa z tego, co mówię, ale i tak fajny z ciebie gość.

Samochód patrolowy zatrzymał się — w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od trzech czarnoskórych — przy czymś, co wyglądało na stertę brudnych szmat. Policjanci wysiedli i zbliżyli się do zwłok Weisego. Po chwili jeden z nich — potężny facet o czerwonej twarzy, z pistoletem i pałą przy pasku, ubrany w świeżą koszulę — podszedł do kontenera, spojrzął na trzy pozbawione wyrazu czarne twarze i spytał:

— Który z was widział, co się stało?

Nie odpowiedzieli, więc kopnięciem przewrócił beczkę, rozsypując wokół popiół, płonące drewno i placki.

— Pieprzone brudne gnojki.

Wrócił do martwego ciała.

— Nie ma połowy głowy — odezwał się drugi policjant — ale zanim dobrały się do niego szczury, został załatwiony strzałami z pistoletu.

— To musi być morderstwo. Połączę się z koleśkami z Via Laietana.

— Na pewno się ucieszą. Chyba będzie lepiej, jeśli poczekamy, aż przyjadą.

Strząsnął popiół z papierosa i oparł się o samochód, podczas gdy jego towarzysz sięgnął po słuchawkę radiotelefonu.

Dla pracowników Wydziału Informacyjnego w budynku przy Via Laietana, zajmowanym przez Policia Nacional, nie ma żadnego znaczenia, czy jest akurat dzień, czy też noc. Wydział mieści się bowiem w piwnicy, w dużym pomieszczeniu z wiecznie zepsutą wentylacją i nędznie wytłumionym, co stanowi dość istotny mankament, zważywszy na fakt, że pod budynkiem przebiega linia metra, a za ścianą znajduje się areszt. Siedzą w nim — w dziewięćdziesięciu procentach słusznie — pijacy, drobni złodzieje, handlarze narkotyków, nielegalni imigranci oraz nie zarejestrowane prostytutki. Sami zatrzymani mają jednak z reguły odmienne zdanie na ten temat i wyrażają swój sprzeciw w jedyny dostępny im sposób, mianowicie krzykiem, a raczej dzikimi wrzaskami.

Niemniej jednak Wydział Informacji funkcjonuje, a nagrodą dla pracujących w nim ludzi jest świadomość, że dzięki dostępowi do najnowocześniejszego sprzętu są w stanie w ciągu paru sekund wykonać robotę, która kilku innym funkcjonariuszom zajęłaby przynajmniej parę dni. Mogą to robić dzięki podłączeniu ich komputerów IBM do sieci łączącej komputery policyjne zarówno w Hiszpanii, jak i w całej Europie. Nie trzeba dodawać, że te nowoczesne urządzenia zamontowano w Barcelonie nie dlatego, że szefostwo w Madrycie i ojcowie miasta tak bardzo pragnęli, aby tutejsza policja stała się chlubą całej Hiszpanii, lecz ze względu na olimpiadę i ewentualne zagrożenia w postaci, na przykład, jakiegoś nowego Czarnego Września. A wówczas konieczne byłyby wszelkie dostępne środki, aby opanować sytuację.

Godzinę po znalezieniu ciała Weisego detektyw z Wydziału Zabójstw wszedł do zadymionego pomieszczenia, minął sześć stanowisk wyposażonych w monitory, klawiaturę, faksy, modemy oraz telefony, i rozglądał się za dziewczyną, do której zwykle zwracał się z takimi sprawami. Niestety, była akurat bardzo zajęta. Na ekranie jej komputera pojawiały się coraz to nowe

dane, a drukarka przez cały czas wypluwała papier. Detektyw stał za plecami dziewczyny wystarczająco długo, aby zobaczyć, że informacje napływały z Francji i dotyczyły jakiegoś morderstwa sprzed sześciu tygodni, dokonanego w pobliżu granicy niemieckiej: w toalecie przydrożnego zajazdu znaleziono ciało Anglika ze skrzyżnym karkiem.

Detektyw ruszył dalej. Wybrał starszą kobietę, która akurat robiła na drutach kolorowy sweter z wizerunkiem Cobiego. Podszedł i położył przed nią na stoliku europaszport.

— Niech pani będzie taka miła i sprawdzi dla mnie parę drobiazgów.

Odłożyła robótkę i spojrzała na paszport. Wystawiono go w Monachium na nazwisko Willi Weise.

— Niech pani sprawdzi w Monachium, czy ten dokument jest prawdziwy, a później w rejestrze gości hotelowych, czy ktoś o tym nazwisku meldował się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wyniki proszę przesłać do pokoju 303.

— Może pan poczekać — odparła kobieta, wprowadzając jednocześnie dane. — To nie potrwa długo.

Kiedy na ekranie zaczęły pojawiać się dane, pochyliła się w stronę siedzącego przy sąsiednim stanowisku mężczyzny.

— Willi Weise, europaszport numer 683079992, RFN. Sprawdź w rejestrze gości hotelowych z ostatnich czternastu dni.

Oparła się wygodnie. Detektyw poczęstował ją papierosem, jednak odmówiła.

— Wolalabym colę. Dietetyczną.

Podszedł do automatu stojącego przy drzwiach, przez które wszedł, wrzucił dwie monety i wcisnął odpowiednie guziki. Wyskoczyły dwa plastikowe kubki, z których jeden został napełniony colą, a drugi fantą.

— Wygląda to interesująco — powiedziała kobieta, sięgając jednocześnie po druty. Detektyw pomyślał, że z całą pewnością stać ją na kupno maszyny dziewiarskiej, skoncentrował się jednak na ekranie.

Dane przekazywano po niemiecku, jednak nie trzeba było być poliglotą, żeby zrozumieć:

Europaszport numer 683079992, nazwisko Willi Weise, nieważny. Szczegóły poniżej.

Teraz zwrócił się do niego mężczyzna ze stanowiska obok:

— Willi Weise zameldował się w hotelu „Bristol” na Travessera de Gracia w piątek, trzydziestego sierpnia, korzystając z paszportu, który okazuje się fałszywy... Chwila... Jest jeszcze coś... Rezerwacji dokonano w imieniu Prolebenteku. A ten jest powiązany ze sprawą „Casa Pez”. To ich powinno zainteresować.

Wielki citroen z napisem *Policia Nacional* z wyciem syreny jechał w górę Passeig de Gracia, mijając po drodze bajeczną Casa Milà z jej obszernymi balkonami, przepastnymi niszami i wnękami. Urodzony w Madrycie Estrada nie zwracał sobie głowy tak mało znaczącymi szczegółami, uważając je za

jeszcze jeden przejaw totalnego wariactwa Katalończyków. Na desce rozdzielczej zapaliła się lampka i Gómez, siedzący na przednim siedzeniu, sięgnął po słuchawkę radiotelefonu.

— Na litość boską! Wyłącz to wyjące cholerstwo — warknął Estrada na kierowcę. — Przecież on nie usłyszy ani słowa.

Sam jednak gadał dalej, w zasadzie sam do siebie, chociaż obok siedział Claret.

— Skurwysyństwo. Że też musieli odkryć związek pomiędzy Prolebens-tektem a tym sztywnym. Jak on się nazywał?

— Weise. Willi Weise.

Estrada wytrząsała z paczki ducadosa, na co Claret skrzywiła się z obrzydzeniem.

— Gdyby do dzisiejszego wieczora nic się nie wydarzyło, miałem zamiar zwinąć majdan, przekazać sprawę Madrytowi i iść do domu. Dobra, co tam nowego?

Gómez odłożył słuchawkę radiotelefonu.

— Wstępne wyniki oględzin zwłok — odpowiedział. — Podejrzewają, że postrzał w pachwinę pochodzi z tej samej broni, z której strzelano w „Casa Pez” do szefa kuchni. W każdym razie nic — jak dotąd — nie wskazuje, że tak nie jest.

— A facet, który strzelał, a także ten pistolet znajdują się nadal w Barcelonie. Dlaczego, do kurwy nędzy, stoimy?

— Korek. To normalne na Plaça Joan-Carles. — Odpowiedź kierowcy była lakoniczna.

— To włącz ten cholerny sygnał, ale tylko na czas przejazdu.

Z wyciem syreny przejechali przez zatłoczone skrzyżowanie, po czym kierowca ją wyłączył. Estrada zwrócił się do Claret:

— Czy dowiedziała się pani czegoś nowego od Angoli na temat oficerów, którzy byli dowódcami MacTaggarta?

Spojrzała w jego stronę. Jej brązowe oczy wpatrywały się w jego niebieskie.

— Nie ujawniają nazwisk oficerów, którzy służyli w jednostkach specjalnych, chociaż nalegałam, że chodzi o antyterroryzm i takie tam rzeczy... Poinformowali mnie tylko, że jeden z nich jest wiceministrem w rządzie Majora, drugi mnichem buddyjskim, a trzeci nie żyje.

— A nie mówiłem, że raporty psychologów można o kant dupy rozbić — triumfował Estrada. — Podobnie jak całą tę charakterystykę sprawcy, czym wczoraj łaskawa pani zawracała nam głowę. Czy to już wszystko?

Samochód zatrzymał się na chodniku przed wejściem do hotelu średniej wielkości i takiejż klasy. Wszyscy oprócz kierowcy wysiedli i ruszyli za Estradą.

— Numer pokoju? — warknął Estrada.

— Siedemset siedem. Siódme piętro.

— Winda?

— Po prawej.

Gdy weszli do windy, Claret odezwała się:

— Ale ja na tym nie poprzestałam. Zwróciłam się do nich ponownie.

— Po co? — Estrada zdeptał niedopałek papierosa i zamierzał sięgnąć po następnego, lecz jego płuca, najwyraźniej przeciążone, zaprotestowały, więc dał sobie spokój.

— ...Żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o oficerze, który nie żyje. Wytłumaczyłam im, że skoro umarł, to nie ma sensu ukrywać jego nazwiska.

— Ma już pani odpowiedź?

— Jeszcze nie.

Winda zatrzymała się. Wyszli i ruszyli korytarzem. Nagle Estrada stanął jak wryty.

— Musieli pomyśleć, że pani zwariowała. Na kogo się pani powołała?

— Jak to na kogo? — Kąciki jej ust wyraźnie się uniosły. — Na pana, oczywiście.

— O Jezuu. A więc myślą, że to ja jestem wariat.

Weszli do pokoju siedemset siedem. Był to zwykły pokój o średnim standardzie. Siedział w nim jakiś młody detektyw i oglądał film pornograficzny. Wyłączył fonię i wstał. Był bardzo wysoki. Tak wysoki, że pokój wydał się nagle dużo mniejszy.

— A więc, co tu mamy?

— Nic.

— Co znaczy nic? Przecież to pokój Weisego, zgadza się? Zarezerwował go dla niego Prolebentek. Tak?

— Tak.

— Więc?

— Facet wyszedł rano tego samego dnia, kiedy wybuchła bomba. W tej chwili mieszka tu jakiś katolicki ksiądz z Irlandii. I wcale nie jest zachwycony faktem, że siedzę tu i czekam na was.

— Ha? — Wzrok Estrady przykuła rudowłosa piękność na ekranie. Miała na sobie podwiązki, czarne pończochy i nic więcej. Ocierała się łonem o łono potężnego, całkiem nagiego Murzyna. — Wyłącz to cholerstwo. Więc gdzie jest bagaż Weisego? Jego karty kredytowe, dokumenty, pieniądze?

— Nie wiem.

— Więc co ja tu, do cholery, robię?

— Kiedy dostaliśmy ten adres, przysłał mnie pan tu i kazał na siebie czekać.

Estrada musiał zapanować nad paroma odruchami naraz — natury psychologicznej i fizjologicznej.

— Dobrze już, dobrze. Co więc się stało z gratami Weisego?

— Wczoraj zgłosił się po nie jakiś facet. Z podpisu wynika, że był to niejaki C. Negrín. Zapłacił kartą American Express należącą do Prolebenteku. Ten Negrín jest szefem tutejszego oddziału firmy.

— Wspaniale! Cudownie! — Estrada uszczypał młodego detektywa

w policzek. — A więc jednak udało ci się czegoś dowiedzieć. Muszę się wysrać.

Wyminął go i wcisnął się do łazienki, w której mieściła się również toaleta. Pozostali oczekiwali w pokoju, udając, że nic nie słyszą. Wreszcie rozległ się kojący uszy odgłos spłuczki klozetowej. Estrada wyszedł i uśmiechnął się.

— Od razu lepiej. A teraz niech mnie ktoś zawiezie na Via Laietana, zanim popełnię następną zbrodnię.

Siedząc w samochodzie, Gómez odwrócił się do Estrady.

— Wsiądę na Passeig de Gracia. Przejdę się do Prolebenteku i zorientuję, co da się z nich wycisnąć na temat Weisego.

Estrada zamknął oczy i zaciągnął się papierosem. Na jego przedwcześnie postarzałej twarzy pojawił się uśmiech. Nieważne, jaki był stan jego zdrowia i umysłu. Jedno było pewne: Gómez nie dorósł jeszcze do tego, by go zastąpić.

— Nie. Nie będziemy tacy głupi. Trzeba założyć tam punkt obserwacyjny, żeby zorientować się, kto wchodzi i wychodzi... To możesz załatwić od ręki przez radiotelefon. Dowiedzmy się o nich tyle, ile tylko się da, zanim ich zaalarmujemy... Czy to krople deszczu na szybie? Lato się skończyło.

Będąc już w biurze, wyjął butelkę „Osborne” i napełnił szklanki. Gómez swojej nawet nie tknął. Kiedy Estrada przeginał, nie miał zamiaru mu towarzyszyć. Rzeczywiście, szykował się, by przejąć jego stołek. Estrada wypił pierwszą szklankę i natychmiast nalał sobie następną.

— Założyłbym im podsłuch, gdybym tylko mógł. Ale na to potrzebna jest zgoda władz. Pierdolone przepisy. Dawniej zakładało się podsłuch każdemu, jeśli wiedziało się, że jest bandziorem, a jak ktoś nie chciał zeznawać, to tłukło się go po mordzie tak długo, aż zechciał. Kto tam? Wejść!

Weszła Claret.

— Co jest?

— Mam odpowiedź z Londynu. Ten martwy oficer, który był dowódcą MacTaggarta w Irlandii, nazywał się Thomas Cranmer. Zginął sześć tygodni temu w katastrofie lotniczej pod Hanowerem. — Nie dała sobie przerwać, mówiła dalej: — W „Casa Pez” MacTaggart zasalutował przed swym szefem i, według kelnera, odezwał się do niego per „Mister Cramer”.

Estrada zamyślił się.

— Ślicznie. Tylko że ten gnojek nie żyje. To musi być przypadkowy zbieg okoliczności. Daj sobie z tym spokój, *Conchee*. Lepiej dowiedz się, ile możesz, o powiązaniach firmy, która nazywa się Prolebentek. Skontaktuj się z Interpolem w Zurychu. A o tym Cranmerze po prostu zapomnij. Jasne?

Salon wystawowy oraz biura katalońskiego oddziału Prolebens (Zurych) mieściły się na Gran Via, stanowiącej odcinek Ramblas de Catalunya, w samym sercu *Ensanche*, zbudowanego przez Cerde, wielkiego architekta schyłku dziewiętnastego wieku. Otoczył on Starówkę siecią alei, parków oraz ulic. Rozwiązanie to zostało później zastosowane w setkach innych miast na świecie. Teren ten stanowi centrum handlowe Barcelony — z luksusowymi sklepami, hotelami, szpitalami, uczelniami, wspaniałymi restauracjami i kawiarniami oraz skwerami, a przede wszystkim z biurami i salonami wystawowymi.

Logo PLT ze skromnym, choć eleganckim rysunkiem słońca tworzyło kwadratową, rzucającą się w oczy płaszczyznę ponad wielkim, lśniącem w oknie ekranem, na którym do znudzenia ukazywała się wciąż ta sama informacja: że Prolebens zarabia wielkie pieniądze, przetwarzając ogromne ilości odpadów przemysłowych oraz likwidując je z gwarancją stu-procentowego bezpieczeństwa. Wewnątrz salonu porozwieszano najróżniejsze plakaty, wśród nich i ten z okazji Międzynarodowej Konferencji Zielonych, będący powieloną miniaturą transparentu, jaki wisiał na Estació de Sants. Właśnie ścigała go ze ściany, stojąc na małej drabince, wyjątkowo seksowna recepcjonistka. Nieraz siedział na biurku dziewczyny i przyglądał się jej.

Za jego plecami maszerował Herz — w tę i z powrotem. Sala była bardzo wysoka, niemal na dwa piętra. Tylną ścianę, udrapowaną szkarłatną tkaniną z pluszu, dyskretnie podświetlały reflektory punktowe. Lśniące schody prowadziły łukiem na ogrodzony chromowaną barierką podest, na którym widniało dwoje drzwi obitych czarną skórą. Na dole, ustawione przodem w kierunku schodów, stało niskie biurko z blatem z ciemnego szkła, a na nim telefony i trochę papierów. Za biurkiem ustawiono krzesło z chromowanych rurek, obciążone czarną skórą. Obok stały podobne w stylu fotele i popielniczki. Duże kolorowe fotografie, foldery, plany i rysunki, a także broszury —

wszystko starannie posegregowane — zajmowały resztę pomieszczenia. Podtekst był oczywisty: Prolebenschutz oczyszcza planetę i zmienia śmietniko w rezerwy przyrody. Herz podszedł do wielkiego okna i wyjrzał na ulicę.

— Mógłbyś przestać gapić się na moje nogi? Do licha, dopiero w piątek to wieszalam...

Dziewczyna opuściła ręce. Jej spódnica zaraz podłużyła się mniej więcej o cal, więc Negrín, zamiast nogom, zaczął przyglądać się jej umalowanej twarzy.

— Impreza odwołana — powiedział.

— Wiem. Ale dlaczego?

— Przez tę bombę.

— Ale przecież nie zabiła ich wszystkich, prawda? Myślałam...

Herz, wciąż stojąc przy oknie, spojrzał przez ramię i odezwał się:

— Podjeżdża jakaś taksówka. To chyba on. Tak, na pewno.

Negrín podszedł do drzwi i otworzył je przed Finchleyem-Camdenem. Anglik miał na sobie garnitur z cienkiego tweedu oraz lekki płaszcz z tkaniny burberry. W dłoni trzymał melonik, w którym zawsze chodził na wyścigi. Całkowicie zignorował Negrína, witając się tylko z Herzem.

— Nie byłem pewien, czy tu można parkować, więc zostawiłem auto w hotelu i wzięłem taksówkę. Nie spóźniłem się?

— Proszę do mojego biura... — odezwał się stojący z tyłu Negrín.

— Sam porozmawiam z pułkownikiem — odrzekł Herz obcesowo.

Negrín, zmrożony, stał i patrzył, jak tamci wspinają się po schodach. Recepcjonistka uśmiechnęła się słodko i rzekła: — Możesz mi pomóc.

Herz podszedł prosto do wielkiego biurka i — świadomie tworząc nastrój konfrontacji — wsparł się o nie.

— A więc kim jest Biedermann? Przypuszczam, że od naszego ostatniego spotkania udało ci się dowiedzieć, kim on naprawdę jest. Zgadza się?

— Drogi przyjacielu... — Finchley-Camden rozejrzał się dokoła, a następnie podszedł do okna. Przez chwilę zachowywał się tak, jakby chciał pokazać, że własne paznokcie wydają mu się bardziej interesujące niż Herz.

— Kim jest Biedermann? — ton Herza był teraz wręcz wrogi. — Mamy prawo to wiedzieć.

Rad, że jego paznokciom nic nie brakuje, Finchley-Camden ponownie rozejrzał się i przyglądał siwe włosy.

— Przypuszczam, że chodzi o Toma Cranmera, mojego siostrzeńca. W lipcu, kiedy telefonowałeś po raz drugi, był akurat w moim biurze. Pamiętasz — dzwoniłem wtedy pod twój prywatny numer.

— To było nieostrożne. — Herz odczuł ulgę, przede wszystkim dlatego, że Finchley-Camden wreszcie pękł i że okazało się, iż cały ten bajzel rozpoczął się w biurze Wilczarza, a nie w AlterLog. — Łatwo można się wyćwiczyć w odczytywaniu wykręcanego numeru z dźwięku sygnału. Sam to potrafię.

— Tak, oczywiście... Będę to miał na uwadze, jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi telefonować w twoim towarzystwie... On był moim siostrzeńcem, ufałem jego dyskrecji. Czasu przeszłego używam dlatego, że on nie żyje. Zginął w katastrofie lotniczej pod Hanowerem. Został oficjalnie uznany za zmarłego.

— Ach tak... Zaczynam rozumieć. — Herz usiadł w fotelu Negrina, oparł łokcie o biurko i zaczął stukać ściśniętymi kciukami o zęby. — W Paryżu Biedermann powiedział Williemu, że oficjalnie nie żyje. Czy Cranmer znał niemiecki?

— Bardzo dobrze. Został wysłany do Cambridge na specjalny kurs, opłacony przez Ministerstwo Obrony. Jest jeszcze jeden drobiazg. W samolocie oficjalnie znajdowało się dwadzieścia jeden osób. Znalaziono dwadzieścia jeden ciał. Niektóre z nich były tak zmasakrowane, że stuprocentowa identyfikacja stała się niemożliwa. Ale tak się składa, że ja wiem, iż na pokładzie samolotu w rzeczywistości były dwadzieścia dwie osoby, włączając w to Toma.

— A więc wiemy, kim jest Biedermann. Gdzie można go znaleźć?

— To nie będzie łatwe. Próbowaliście go zabić. Nic głupszego nie mogliście wymyślić. Tom potrafi się bronić.

— Willi nie był amatorem.

— Widocznie, w porównaniu z Tomem, był. Zresztą to teraz nieważne. Tom z całą pewnością będzie chciał dostać swoje pieniądze. I albo was załatwi, zanim wy zdążycie go zlikwidować, albo wyciśnie z was gwarancję bezpieczeństwa. Kiedy już wypłynie na powierzchnię, postaramy się coś wymyślić.

— A więc zgadzasz się, że należy coś z nim zrobić?

— Oczywiście. Stworzył poważne zagrożenie dla moich przedsięwzięć, a na to nie mogę pozwolić. Tak więc kara musi być jak najsurowsza. *Pour encourager les autres*. Mam nadzieję, przyjacielu, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, abyśmy się tu więcej nie spotykali. Po drugiej stronie ulicy, na podwójnej żółtej linii stoi zaparkowany samochód. Kiedy zaś tu wchodziłem, dwóch chłopczków z drogowki minęło go i nawet nie zwróciło uwagi siedzącym w środku facetom..

Tego samego dnia, krótko przed południem, Inger weszła na pocztę przy Via Laietana. Wewnątrz wielkiego neogotyckiego budynku z dużymi ozdobnymi wieżyczkami zaczęła się zastanawiać, do którego z wielu okienek powinna podejść, lecz gdy spojrzała w kierunku jednej z nisz, wszystko się wyjaśniło. Mieściły się w niej rzędy skrytek zamkniętych od zewnątrz, a dostępnych od środka, od strony personelu. Było ich grubo ponad tysiąc. Urzędnik za ladą powiedział Inger, że wynajęcie skrytki kosztuje pięćset pięćdziesiąt peset. Wpisał jej nazwisko do specjalnego zeszytu, zainkasował pieniądze i wręczył dwa klucze wraz z numerem 649. Otworzyła małe

prostokątne drzwiczki, włożyła do środka kopertę zawierającą mikrokasete, zamknęła skrytkę i schowała klucze do kieszeni.

Następnie złapała metro do Urquinaona i zrobiła sobie krótki spacer na Plaça de Catalunya, gdzie mieścił się oddział jej banku — Deutsche Bank. Podeszła do najbliższego wolnego urzędnika, pulchnego mężczyzny w okularach z czarnymi oprawkami i w ciemnym garniturze na tyle eleganckim, że nie powstydziliby się go nawet szanujący się minister szanującego się rządu. Inger przedstawiła się jako posiadaczka rachunku w oddziale w Szwajcarii i powiedziała, że chce rozmawiać z dyrektorem oddziału.

Urzędnik skontaktował się telefonicznie z szefem, po czym poinformował ją, że będzie musiała poczekać około dwudziestu minut. Podsunął jej wygodne krzesło i wręczył jakiś błyszczący folder. Inger przekartkowała broszurkę, praktycznie nie zwracając uwagi na treść: z całą pewnością reklamowała ona jakieś dodatkowe usługi, mające pomóc gościom oraz sportowcom podczas zbliżającej się olimpiady.

Po pewnym czasie została poprowadzona przez dobrze zabezpieczone drzwi, przeszła przez wykrywacz metali, potem przez kolejne drzwi, aż wreszcie dotarła do gabinetu dyrektora.

Señor Prat był Katalończykiem, jednak doskonale władał niemieckim. Miał około pięćdziesięciu lat, ubrany był przynajmniej tak elegancko, jak premier i nosił niemieckie okulary o lekko fiołkowych szklach. Kiedy zaświeciło w nie słońce, okazało się, że są to lustrzanki: Inger widziała dwa jaskrawe prostokąty zamiast oczu.

— W czym mogę pani pomóc, *Frau Mahler*?

Wyjaśniła mu. Oczekiwała, że na jej konto w Szwajcarii wpłynie duża kwota, sześćset tysięcy franków szwajcarskich, prawdopodobnie tego samego popołudnia, a najpóźniej następnego ranka. Chciała, aby bank, a dokładnie oddział, którego *Señor Prat* był dyrektorem, zakupił dla niej euroobligacje na okaziciela za sumę pięciuset dziewięćdziesięciu tysięcy franków. Nieważne jakie, pod warunkiem że nie będą nic niewartymi papierami. Chciałaby odebrać je przed godziną drugą następnego dnia. Wtedy dostarczy również czek na odpowiednią sumę.

— Czy istnieje możliwość załatwienia tej sprawy w taki właśnie sposób?

— Tak, oczywiście, ale to bardzo niezwykła prośba. I, prawdę mówiąc, nie polecam takiego rozwiązania.

— Dlaczego?

— Droga *Frau Mahler*, euroobligacje są płynnym instrumentem finansowym, podobnie jak gotówka. Jeżeli ktoś wyrwie pani torebkę, gdy będzie pani wychodziła z banku...

Zdenerwował ją tym. Inger nienawidziła banków prawie tak samo jak policjantów. Miały nadopiekuńczych pracowników, pobierały straszny haracz od każdej najdrobniejszej usługi, a do tego mieszały się w nie swoje sprawy.

— Skoro to możliwe, niech pan tak to załatwi.

Wyjął formularz.

— Oprócz czeku, który chce pani przynieść w dniu jutrzejszym, będzie jeszcze potrzebna pisemna instrukcja dla oddziału w Szlezwiku. Wyślę ją do nich faksem i jeśli zgodzą się spieniężyć pani czek, będziemy mogli dostarczyć pani obligacje.

W końcu załatwienie wszystkiego okazało się znacznie prostsze, niż Inger przypuszczała. Poszła teraz Ramblas de Cataluña do biur Prolebensbureau.

Gómez miał sporo kłopotów z wynegocjowaniem odpowiedniego pomieszczenia na stanowisko obserwacyjne w bloku naprzeciwko Prolebensbureau. Ze względu na rosnące tu wysokie drzewa musiało się ono znajdować na najwyższym piętrze. Niska kobietka, ciemnowłosa i wyjątkowo energiczna, która prowadziła agencję literacką zajmującą całe to piętro, koniecznie chciała otrzymać zapewnienie, którego nie mógł jej dać, a mianowicie, że wszystko, co będzie robił, mieści się w granicach prawa, oraz że otrzymał uprawnienia do zajęcia gabinetu należącego do jej rudowłosej koleżanki. Groziła, że skontaktuje się ze swoim adwokatem, i chciała rozmawiać z samym Estradą. Na szczęście udało mu się temu zapobiec — zdawał sobie sprawę, że szef swoim chamskim zachowaniem wywołałby dalsze komplikacje.

Tak więc w chwili gdy przed budynkiem pojawiła się Inger, jedynie dwóch detektywów, siedzących w nieprawidłowo zaparkowanym samochodzie, obserwowało, co się dzieje. Jeden akurat poszedł kupić sobie beefburgera, drugi zaś, wysoki, siedział na miejscu kierowcy i przeglądał jakieś ostre piśmiotwo pornograficzne, prezentujące nietypowe pozycje.

Jego towarzysz wrócił z zakupów, wsiadł do auta, otworzył poliestrowe pudełko i zaczął jeść.

— Kim jest nowy gość? — spytał.

— Jaki gość?

— Kobieta. Przed chwilą tam weszła.

— O kurwa. — Wysoki odłożył „świertszcza”. — Jak wygląda? Nie mamy żadnych instrukcji, jak postępować w przypadku kobiet, z wyjątkiem tej panny z dużym cycem, a ona właśnie siedzi sobie za biurkiem.

— Sam zobacz, jak wygląda. Właśnie wychodzi.

Starszy wytarł keczup spływający po brodzie i oblażł palec. Obaj obserwowali, jak Inger zmierza w stronę Plaça de Catalunya.

— Jak myślisz?

— Przypadkowa. Dajmy sobie spokój.

Dośćwornie kilka chwil później z budynku wyszła recepcjonistka — w lekkim płaszczu i z torebką w ręku. Wywiesiła na drzwiach tabliczkę *Nieczynne* i zamknęła drzwi na zamek.

Detektyw siedzący na miejscu pasażera spojrział na zegarek.

— To jeszcze nie pora lunchu. Pójdę za nią. No to na razie...

Włożył do połowy zjedzonego beefburgera do pudełka, wysiadł i, pochylając się w stronę kolegi, powiedział:

— Nie zeżryj mi tego. Jak wrócę, mogę być głodny.
Jednak kierowca wrócił już do lektury pisemka.

Inger przeszła przez plac, rozglądając się w poszukiwaniu baru, najchętniej zaś lokalu sprzedającego coś mniej prozaicznego niż hamburgery albo hot-dogi. Przez chwilę zatrzymała się przy straganach z książkami. Jej oko przyciągnął album poświęcony współczesnej rzeźbie. Zastanawiała się, czy zawiera jakieś jej prace. Niestety, wszystkie egzemplarze były nie odpakowane z zabezpieczającej je folii. Ruszyła dalej, w stronę budek z kwiatami i ptactwem. Wiał chłodny wiatr od morza. Zrobiło jej się zimno i zaczęła żałować, że nie wzięła swetra lub kurtki. Przyspieszyła kroku. W tym momencie została zidentyfikowana przez patrolujących ulicę funkcjonariuszy Guàrdii Urbana, którzy natychmiast ruszyli za nią.

Na rogu, przy hotelu „Monte Carlo”, Inger skręciła w lewo, w wąską, lecz elegancką Carrer Portaferrissa, znalazła porządną piekarnię i kupiła w niej *empanadillas* nadziewane tuńczykiem w sosie własnym. Policjanci zatrzymali się w pobliżu, chcąc usprawiedliwić swój postój, wylegitymowali dwóch chłopaków grających „w nogę” puszką po coca-coli. Inger wyszła ze sklepu. Policjanci ruszyli za nią z udaną obojętnością. Jeden z chłopaków krzyknął za nimi:

— Dlaczego śledzicie tę panią?

Był jednak Katalończykiem, więc Inger go nie zrozumiała.

Weszła w wąską uliczkę, biegnącą po zachodniej stronie katedry, i zatrzymała się, aby przez chwilę posłuchać grajków, wykonujących Mozarta na flecie i gitarze, oraz wręczyć im parę groszy. Poszła dalej i znalazła się na terenie przyklasztornym, położonym od południowej strony katedry. Na środku mieścił się dość tajemniczy ogród tropikalny z palmami oraz dzikimi gęśmi, które — podobnie jak gęsi na Kapitolu w Rzymie albo kruki w londyńskiej Tower — wydają się obdarzone jakąś magiczną mocą. Gruby mężczyzna próbował karmić je chlebem. Drugi patrol Guàrdii Urbana podszedł do Inger ze starannie wystudiowaną obojętnością.

— Dzień dobry, *Señora*. — Mężczyzna zasalutował. — Czy ma pani przy sobie paszport albo jakikolwiek inny dokument tożsamości?

— Tak, oczywiście. Moment. — Po chwili poszukiwań wyjęła paszport. — Jeśli pan sobie życzy, mam jeszcze europaszport.

— Tak, poproszę.

— Czy coś nie w porządku?

— Nie, ależ skąd — tym razem odezwała się policjantka, szeroko się uśmiechając. — Po prostu rutynowa kontrola. Pani od dawna w Barcelonie?

— Nie... nie. Od trzech czy czterech dni.

Policjant podał policjantce dokumenty Inger. Ta spisała numery oraz inne dane.

— Jest pani turystką, tak?

— Tak.

Policjantka spojrzała znad swego notesu. Przez cały czas się uśmiechała.

— A gdzie się pani zatrzymała, pani Mahler?

Inger wzięła głęboki oddech i przygryzła wargę.

— „Monte Carlo”. W hotelu „Monte Carlo”.

— Dziękujemy. To wszystko. Życzymy pani przyjemnego pobytu w Barcelonie. Do widzenia.

Zasalutowali i odeszli w kierunku, z którego nadeszła Inger. Ona zaś odczekała, aż znaleźli się poza terenem klasztoru, i ruszyła w przeciwną stronę.

Grubas zrezygnował z prób karmienia równie grubych jak on gęsi i podążył w ślad za nią. Dotarł na Placą Santa Marfa, przez cały czas utrzymując dystans około dziesięciu metrów. Zobaczył, jak Inger znika w bramie naprzeciwko baru. Wszedł więc do baru, usiadł na stołku przy kontuarze i zwrócił się do barmanki:

— Poproszę kawę z mlekiem i ciastko *maritoni*.

Zaparzyła kawę i postawiła przed nim.

— Dawno pana nie widziałam, sierżancie.

— Może będzie pani miała okazję znów się do mnie przyzwyczać.

Barmanka nic nie odpowiedziała. Czekwała na pytanie, które musiało paść.

— Niemka. W wieku około czterdziestu lat. Wciąż atrakcyjna. Przed chwilą weszła do bramy naprzeciwko. Mieszka tam? — Położył na ladzie banknot tysiącpesetowy.

— Przyjechała w poniedziałek.

— Sama?

— Nie. Mieszka tam z facetem, ale on w ogóle nie wychodzi z domu.

Zajmują pokój na samej górze.

— Niech mi pani o nich opowie. Wszystko. Cokolwiek.

Byla trzynasta trzydzieści. Małeńkie szpulki magnetofonu zaczęły się obracać. W elegancko umeblowanym pokoju rozbrzmiał głos Cranmera. Na podłodze leżał puszysty różowy dywan, w oknach wisiały ciężkie zasłony w nieco jaśniejszym odcieniu, a niemal na środku stał duży, niski, okrągły stół z marmurowym blatem, na nim zaś dzbanek z kawą, cukier oraz filiżanka na spodeczku — wszystko z inicjałami *HR, Barcelona*. Miniaturowy odtwarzacz wyglądał w tym otoczeniu jak z innej bajki, jak przybysz z przyszłości. Recepcjonistkę z Prolebenteku posłano po niego z hotelu „Ritz” taksówką do El Corte Inglés. Potem Herz zatelefonował do Negrina i kazał mu zamknąć biuro. On i recepcjonistka mieli natychmiast wyjechać na wakacje, najlepiej za granicę.

Herz przesłuchał taśmę — zajęło mu to mniej niż pięć minut — a następnie zatelefonował w dwa miejsca. Najpierw do Zurychu, a później do hotelu „Diplomatic”, znajdującego się zaledwie trzy przecznice dalej.

— Finchley-Camden? Twój siostrzeniec skontaktował się z nami. Zostawił nagraną wiadomość w biurach Prolebenteku. Mam ją tutaj. Myślę, że powinieneś zjawić się i posłuchać, co ma do powiedzenia.

Dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Finchley-Camden.

— Pogoda zdecydowanie się popsuka — zauważył, zdejmując płaszcz burberry. Wskazał głową odtwarzacz: — To ta wiadomość?

— Tak.

Finchley-Camden usiadł na brzegu krzesła, skłonił na bok głowę i wsunął długie palce dłoni między kolana.

— Ładna zabawka. Działa?

— Oczywiście.

Herz wcisnął klawisz. Rozległ się pisk szybkiego przewijania na podsluchu, a po chwili głos Cranmera:

...doceni pan, a także Herr Winckelmann, fakt, iż ta moja wiedza daje mi bardzo znaczącą przewagę w grze, jaką prowadzimy...

— Chwileczkę. — Finchley-Camden uniósł palec i Herz wyłączył silnik. — Chcę usłyszeć wszystko. Od samego początku.

— Są tam trzy zdania, w których Cranmer wyjaśnia, dlaczego jest przekonany, że zapłacimy. Nie mają one żadnego związku z resztą.

— Pozwolisz, że sam to ocenię.

— W żadnym wypadku. Ja oraz osoby, z którymi współpracuję, już i tak stanowczo za bardzo odsłoniiliśmy się w tej sprawie. Czy chcesz słuchać dalej?

Nie czekając na odpowiedź, wcisnął klawisz *start*. Ponownie rozległ się głos Cranmera:

W chwili gdy słucha pan tej kasety, druga, zawierająca dokładne informacje na temat wybuchu w „Casa Pez”, znajduje się w skrzynce na jednej z poczty w Barcelonie. Jutro, to jest w czwartek, koperta z kluczem do tej skrzynki oraz z wszelkimi niezbędnymi danymi zostanie wysłana do ekipy dochodzeniowej, zajmującej się sprawą „Casa Pez”. Trafi tam najpóźniej w piątek rano. Jeśli chce pan otrzymać drugi klucz przed piątkiem, aby otworzyć skrytkę, zanim zrobi to policja, musi pan przelać natychmiast sześćset tysięcy franków...

Finchley-Camden kiwnął głową z wyrazem podziwu na twarzy.

...które jest mi pan winien, na konto numer 04932021 w oddziale Deutsche Bank w Szwajcarii. Wtedy pieniądze te zostaną przebrane na inne konto, w innym banku. Jeśli wszystko przebiegnie bez przeszkód, zadzwonię do pana pod numer biura Prolebensbanku przy Ramblas de Catalunya i poinformuję, w jaki sposób zdobędzie pan klucz oraz gdzie znajduje się skrytka. Takie są warunki. Zegar ruszył i jedynym sposobem, w jaki może go pan zatrzymać, jest zrobienie tego, co kazałem.

Herz zatrzymał magnetofon.

— I to wszystko. Na taśmie nie ma nic więcej. Przesłuchałem ją całą.

— Genialne. Sprytny bękart z tego mojego siostrzeńca. Czy istnieje jakaś możliwość wydostania klucza z poczty?

— Przez włamanie? Przekupienie urzędnika? Prawdopodobnie tak, ale wymagałoby to czasu i starannych przygotowań, a nie wiemy nawet, na której poczcie szukać... Mamy za mało czasu.

— On wie, co robi. Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny będziecie zbyt zajęci załatwianiem tego, co wam polecił, aby zdobyć się na jakąkolwiek akcję przeciwko niemu.

— „Będziecie”? Co masz na myśli, mówiąc „będziecie”?

— W porządku, będziemy. Tak czy owak, jeżeli planujesz przelać te pieniądze, to lepiej zacznij już działać.

— Już zacząłem. Czy to wszystko, co masz mi do zaproponowania?

— W tej chwili, tak.

— Odtwarzacz został dostarczony przez kobietę. Wysoką brunetkę, mniej więcej czterdziestoletnią. Atrakcyjną. Czy to ci coś mówi?

— Nie. Absolutnie nic. Miło usłyszeć, że Tom ma nową kobietę. Nigdy zresztą nie sprawiało mu problemów znalezienie sobie jakiegoś „towaru” do łóżka, mimo że traktował kobiety jak przedmioty.

Irytacja, jaką Anglik zawsze wzbudzał w Herzu, tym razem zmieniła się we wściekłość.

— Miło? W tej całej sprawie nie ma nic miłego! Nie masz żadnych propozycji?

— Drogi przyjacielu, całkowicie się z tobą zgadzam. Sprawa jest naprawdę bardzo nieprzyjemna, a Tom posunął się stanowczo za daleko. Dlatego nie czuję dla niego żadnego współczucia i w pełni popieram najbardziej radykalne środki, po które sięgnąłeś. Jednak w tej chwili nie widzę możliwości zrobienia niczego sensownego, co zmieniłoby sytuację na naszą korzyść. Jutro, kiedy ponownie się z nami skontaktuje, może będziemy w stanie coś wykombinować. Ale, jak na razie, trzymaj nas za krótkie kręczone.

Herz nie miał zielonego pojęcia, czym są „krótkie kręczone”, ale czuł, że palnąłby głupstwo, pytając.

Za kwadrans piąta. Pomieszczenie zajmowane przez ekipę pracującą nad sprawą „Casa Pez”. Porucznik Claret obserwowała przez wielkie okno coraz ruchliwszą ulicę. Trochę padało, więc było na niej kolorowo od jaskrawych parasoli oraz różnobarwnych płaszczy przeciwdeszczowych. Claret przygryzła wargę, westchnęła i zaczęła nerwowo stukać wypielegnowanymi paznokciami w biurko. Była zmęczona i zniechęcona. Żadna depresja nie może równać się tej, jaka ogarnia osoby przeświadczone o swej absolutnej racji i nie mogące o niej przekonać przełożonych, zwłaszcza gdy ci są durnymi męskimi szowinistami i do tego rozpustnymi pijakami. Claret miała pod ręką trzy strony wydruku komputerowego oraz dwie faksu, zawierające informacje o działalności kapitana Thomasa Cranmera podczas służby w Royal Buff Caps. W Berlinie wykonywał jakieś tajne zadania po wschodniej stronie muru. Bardzo dobrze znał niemiecki, którego nauczył się podczas specjalnego, superintensywnego i opłacanego przez wojsko kursu w Cambridge. Później przeniesiono go do SAS. Był na Falklandach i w Irlandii Północnej. Potem przeniesiony został w stan spoczynku. Wreszcie krótka i burzliwa kariera na Giełdzie Metali Kolorowych. O tym, jak się skończyła, informowało następne osiem stron, będących w zasadzie aktem oskarżenia, sporządzonym przez londyński Wydział Policji do Spraw Oszustw. Oskarżenie nie zostało wniesione tylko dlatego, że Thomas Cranmer został wcześniej uznany za zmarłego.

Z głębokim niesmakiem rozejrzała się po pomieszczeniu. Nad wszystkim zalegała kompletna gnuśność, jakby otulając niematerialną powłoką dym

tytoniowy, papier oraz puste poliestrowe kubki, walające się dosłownie wszędzie. Przy dużym stole Gómez czytał jakieś czasopismo sportowe; młody detektyw, zwolniony chwilowo z obowiązku obserwowania biurowca Prolebens-tek, tkwił po uszy w swym „świerszczyku”; trzech innych grało w karty. Wszyscy trwali w zupełnej apatii. Maszynki nie pracowały.

Wróciła do stosu wydruków leżących na drugim końcu biurka i zaczęła wertować papiery. Zawierały szczegółowe informacje o nie wyjaśnionych morderstwach, które mogły mieć coś wspólnego z serią poprzedzającą wybuch w „Casa Pez” i, być może, z zabójstwem Williego Weisego. Dwadzieścia pięć spraw z całej Europy. Najnowsza została przekazana z Paryża i dotyczyła młodej dziewczyny załuczanej na śmierć jakimś tępym narzędziem, najprawdopodobniej ciężką latarką, i zakopanej w ogrodzie wiejskiego domu w Pirenejach. Policja pilnie poszukiwała Niemki o nazwisku Inger Mahler — właścicielki domu i najprawdopodobniej matki ofiary...

Wszedł Estrada w mokrym płaszczu przeciwdeszczowym i z kanapką w ręce. Młody detektyw próbował ukryć swe pisemko, jednak Estrada dostrzegł je, pochwyił i spojrzął na serię zdjęć.

— To niemożliwe. Próbowałem. Żeby odwalić taki numer, któryś z nich musiałby mieć fiuta z gumy. Przynieś mi kawę. — Podeszedł do stołu, pożarł resztę kanapki, usiadł na krześle, wyjął papierosa i poczekał, aż Gómez mu go przypali. — Więc co nowego?

— Burmistrz żąda pisemnego podania przyczyn, dla których w „Casa Pez” zawiodły środki bezpieczeństwa.

— Pytałem, co nowego?

Podeszedł młody detektyw z kawą.

— Pedro? Daj no to pisemko! Wróciłeś znowu do szkoły, a ja jestem nauczycielem. Konfiskuję je. Bądź więc grzecznym chłopcem i przynieś mi tego „świerszczyka”, a nie powiem mamusi, że cię przyłapałem na oglądaniu takich świństw.

Młody posłusznie wykonał polecenie. Trzymając pisemko w ręce, Estrada spojrzął w stronę Claret.

— *Conchee*, a co u ciebie? Masz jakieś nowe pomysły? Cholera, zapomniałem, że ona nie lubi, jak ją nazywać *Conchee*. Poruczniku Claret?

Zazgrzytała zębami, podniosła się, wzięła papiery dotyczące Cranmera i podeszła do szefa.

— Mów.

Przyszło jej nagle do głowy, że może Estrada po prostu nie umie czytać. Odsunęła jednak tę myśl.

— Thomas Cranmer. W 1982 zabił sześciu Argentyńczyków, którzy ukryli się w szałasie pasterskim. Chociaż otrzymał za to medal, jeden z członków Parlamentu zakwestionował konieczność tej masakry. Później Cranmer służył w formacjach specjalnych w Irlandii, gdzie był odpowiedzialny za wysadzenie samochodu, którym jechali terroryści IRA. Pracował wtedy

z Kevinem MacTaggartem oraz jeszcze jednym mężczyzną o nazwisku Winston Smith. W 1988 został przeniesiony w stan spoczynku, ponieważ zabił Irlandczyka należącego do IRA, łamiąc mu kręgosłup. Rzecz w tym, że działał na własną rękę. Pomagał mu MacTaggart. W lipcu miał właśnie zostać wydany nakaz aresztowania Cranmera, kiedy... Ale pan mnie nie słucha.

— Rzeczywiście, *Conchee*, nie słucham.

— Dlaczego?

— Dobrze wiesz dlaczego. — Odwrócił kartkę czasopisma i pochylił się w stronę Gómeza: — No, to jest przynajmniej możliwe. Kiedy stacjonowałem w Bilbao, poznałem tam pewną dziewczynę, która wyginała się jak człowiek guma... Poruczniku Claret, stukanie obcasem na dowód zniecierpliwienia jest cholernie bliskie zakwalifikowaniu pod nieodpowiednie zachowanie wobec przełożonego. Czy czytała pani raport dotyczący katastrofy pod Hanowerem?

— Tak.

— Ja także. Ha! To cię zdziwiło, *Conchee*, prawda? Na pokładzie znajdowało się dwadzieścia jeden osób. I znaleziono dwadzieścia jeden ciał. Czy też raczej taką ilość tkanek, które pozwalały odtworzyć tę liczbę. A nie ma żadnych wątpliwości, że ten Cranmer znajdował się na pokładzie.

— Nie wszystkie ciała udało się zidentyfikować — to była bomba fosforowa...

— Eksperci uznali jednak za niemożliwe, aby ktokolwiek przeżył tę katastrofę.

— Prawie za niemożliwe. Tak przynajmniej napisano w raporcie, który czytałem.

— Och, odpięrz się, *Conchee*. Ten facet *N i e ż y j e*.

Wróciła do swego biurka.

W pokoju znów zapanowała ta sama apatia. Po krótkiej przerwie, w czasie której nasłuchiwali, czy nie wydarzy się coś ważnego, gracze powrócili do swych kart, a Gómeż do lektury gazety. Estrada siedział rozwalony na krześle, z wyciągniętymi do przodu nogami, z grubymi rękami opartymi o poręczę i z głową niemal zatopioną w tłustym karku, niczym zaatakowany żółw. Po chwili zaczął mówić — niby sam do siebie, jednak wyraźnie oczekując, iż zostanie wysłuchany:

— A więc czego nie mamy? Po pierwsze — żadnych poszlak wskazujących, że bandyci w dalszym ciągu przebywają w Barcelonie. Po drugie — żadnych dowodów, że rzeczywiście są Wojownikami Chrystusa, oczywiście oprócz faktu, że się za takowych podają. W gruncie rzeczy wydaje się zupełnie prawdopodobne, iż żadni Wojownicy Chrystusa w ogóle nie istnieją. Jednak Sasonow był z pochodzenia Ukraińcem i naraził się nacjonalistom uważając, iż Ukraina powinna pozostać częścią ZSRR. To proste, stanowczo zbyt proste, ale bardzo logiczne. Wszystko wydaje się prowadzić nas w kierunku tej hipotezy. Chyba więc powinniśmy zamknąć ten kram i rozejść

się do domów. Zebraliśmy wiele materiałów, które mogą okazać się przydatne w przyszłości, znamy też nazwisko jednego z terrorystów. Tak więc nie zmarnowaliśmy czasu. I zanim *Conchee* znów zacznie snuć swoje wywody, chcę jeszcze powiedzieć, że New Scotland Yard może nas w każdej chwili poinformować, iż MacTaggart dysponował dużą sumą w rublach bądź też że jego dziewczyna była ukraińską uciekinierką. Przecież w Londynie istnieje spora grupa takich osób. W takim więc wypadku niezrozumiałe chyba dla nikogo próby powiązania MacTaggarta z tamtym sztywnym okażą się tak idiotyczne, jak są w rzeczywistości.

Wyprostował się i podniósł rękę. Gómez wręczył mu następnego ducadosa i usłużnie podał ogień. Grubas zaciągnął się głęboko, po czym chrząknął. W drugim końcu pokoju, wpatrzona w okno, z zacisniętymi pięściami, siedziała Claret. Przygryzała dolną wargę i przekonywała samą siebie, że nie wolno jej się rozpłakać. Nie mogła przecież sprawić takiej satysfakcji temu tłustemu wieprzowi.

— A więc dlaczego tego nie robimy? To znaczy, dlaczego nie zamykamy tego kramu i nie rozchodzimy się do domów? Ano dlatego, że jacyś nielegalni imigranci, zamieszkujący w kontenerze, wskazali patrolowi tych dupków z *Guardii Urbana* jakieś rozkładające się zwłoki, które stanowiły zagrożenie dla zdrowia. Z kolei ci z Wydziału Zabójstw stwierdzili, że facet miał lewe papiery, a na dodatek, że Prolebentek — ta sama firma, która zorganizowała imprezę w „Casa Pez” — zarezerwował dla niego pokój w hotelu. Wygląda to dość podejrzanie, tym bardziej że szef tutejszego oddziału Prolebenteku, niejaki Negrín, zapłacił rachunek sztywnego i zabrał z hotelu jego rzeczy. Co więcej, nasz sztywny został załatwiony pociskiem z *parabellum*, kaliber 9 milimetrów, z bardzo małej odległości. Strzelano najprawdopodobniej z pistoletu MP5, firmy „Heckler and Koch”. Znalezione jeszcze trzy kule oraz ślady krwi nie należące do denata. Wszystko to wydaje się bardzo interesujące. Tyle że, jak na razie, niewiele możemy zrobić. Negrín wyjechał na wakacje do Korfu, a portierka leci jutro do Tunisu... Czy mamy jakieś nowe dane dotyczące Prolebenteku? Czy przyszła już odpowiedź? Poruczniku Claret, mówię do pani.

— Nie.

— Aha. Więc na razie możemy się zająć jedynie Heinrichem Herzem, przebywającym w „Ritzu”, oraz Finchleyem-Camdenem, mieszkającym w hotelu „Diplomatic”... Tak, *Conchee*, co znowu?

— Kim jest ten Finchley-Camden?

Estrada westchnął, obrzucił ją szyderczym spojrzeniem, ale odpowiedział:

— Mniej więcej za kwadrans pierwsza recepcjonistka z Prolebenteku zgłosiła się u Herza w hotelu „Ritz”. Następnie pojechała taksówką do *Corte Inglés*, gdzie kupiła mikroodtwarzacz „Sony”, który zawiozła z powrotem do „Ritza”. Później pojechała do domu. Mniej więcej za kwadrans druga Herza

odwiedził Anglik, który zatrzymał się w hotelu „Diplomatic”. Właśnie ten Anglik nazywa się Finchley-Camden. Jasne?

W głowie Claret nagle wszystko się rozjaśniło. Zanim się jednak odezwała, jeszcze raz sprawdziła. Na jej biurku, pośród papierów dotyczących Cranmera, leżała przefaksowana fotokopia nekrologu z „The Times”. Jeden z urzędników New Scotland Yardu, zamiast przepisywać dane Cranmera, po prostu przesłał jej ten papier, który zaczynał się następująco: *Cranmer, Thomas Roderick, syn George'a Allena Cranmera (zm. w 1976) oraz Anne Mary, z domu Finchley-Camden...*

Pod wieczór niebo trochę się przejaśniło i nawet na chwilę pojawiło się słońce. Po drugiej stronie starego portu członkowie ekipy dochodzeniowej, którzy przeczesywali teren wokół miejsca, gdzie znaleziono ciało Weisego, właśnie pakowali swój sprzęt. Obserwował ich Winston Smith. Gdy odjechali, założył z trudem swą kuloodporną kamizelkę, płacząc i przeklinając, gdy strupy oraz rany ropiejące na ciele zetknęły się ze strzępami celulozy i nylonu, które wcześniej uratowały mu życie. Przyglądało mu się z obojętnymi minami trzech Afrykańczyków. Takie zdarzenia nie były niczym nadzwyczajnym dla tych ludzi, żyjących jakby w otchłani — między prawem a bezprawiem — w konfrontacji z policyjnymi oddziałami do ścigania nielegalnych imigrantów, a z drugiej strony — z bandziorami, którzy wymuszali haracz albo sprzedawali prawo do pracy na wielkich budowach. Za nimi już gromadziły się znacznie groźniejsze siły: zorganizowane grupy przestępcze i syndykaty narkotykowe szukające współpracowników gotowych na duże ryzyko za małe pieniądze. Funkcjonariusze wydziałów do walki z narkotykami — zarówno z policji państwowej, jak i municypalnej — tłukły wszystkich, winnych i niewinnych, bezskutecznie starając się zorientować, kto jest kim.

Strzelanina nie należy tu wprawdzie do zjawisk codziennych, niemniej zdarza się znacznie częściej niż wypadki drogowe w życiu zwykłego obywatela.

Afrykańczycy byli wyraźnie zadowoleni, że nieznajomy zbiera się do drogi. Co prawda, pomogli mu, ale dobrze wiedzieli, że może na nich sprowadzić kłopoty.

Smith wyczołgał się z kontenera i z ulgą stwierdzili, że jego nogi, choć wydają się jak z gumy, będą w stanie go unieść. Podniósł dłoń w geście pożegnania.

— Fajni z was faceci. Na razie. Trzymajcie się.

W odpowiedzi jeden z Murzynów również uniósł rękę. Winston odwrócił się i ruszył w kierunku nieczynnego peronu i starej stacji, oddalonej o jakieś sto metrów. Przed nim rozciągała się zryta ziemia, za nim — lśniące słupy światła wielkiej budowy, która w ciągu najbliższych sześciu miesięcy miała dotrzeć tu i zmienić te ugory w centra handlowe ze szkła i betonu, w biura i deptaki z bajecznymi fontannami.

Na nieczynnym dworcu znalazł płaski metalowy pręt, którego miał zamiar użyć jako łomu. Wkrótce znalazł się niecałe sto metrów od stacji benzynowej, przy której Cranmer zostawił samochód. Ostatnie promienie słońca podświetlały pomnik Kolumba: prawą ręką odkrywca wskazywał na dopiero co podbity przez siebie Zachód. To właśnie tu, w Barcelonie, na Placu del Rey, przed czterystu dziewięćdziesięciu dziewięciu laty zdawał sprawę katolickim monarchom. Winston także obrał swój własny kurs i ruszył w stronę niewielkiego mieszkania, wynajętego dla Cranmera przez Weisego.

Wejście po schodach okazało się strasznym problemem. Smith pocił się, miał zawroty głowy, gorączkę w wyniku zakażenia ran, nudności oraz zadyszkę. Starczyło mu jednak sił na wyłamanie zamka i wejście do mieszkania. Odnalazł wyłącznik światła. Podeszedł do stołu. Nagle dostał gwałtownego ataku kaszlu. Splunął flegmą do zlewu. Zauważył w niej ślady krwi, ale już nie jaskrawoczerwone, lecz brązowawe.

Rozejrzał się. W mieszkaniu zostało na szczęście coś do jedzenia — pół bułki francuskiej oraz twarda, sucha kiełbasa. Były też mysie odchody. Pod stołem nadal stała skrzynka z ćwierćlitrowymi butelkami piwa. Sześć było pełnych. No i była też szafka pod zlewem.

Otworzył ją. Mały plecak znajdował się tam, gdzie go zostawił. Podniósł go. Przestraszona mysz skuliła się w rogu szafki.

— Cześć, mysza. Nie bój się, nic ci nie zrobię. Zostańmy kumplami. Wiesz, o co mi chodzi? — „Cholera, chyba zacznę wariować. Gadam do jakiegoś pieprzonego gryzonia” — pomyślał.

Krzywiąc się z bólu postawił plecak na stole. Wyjął dwa kilogramy semtexu, który nie zmieścił się do wazy, oraz zapasowy detonator. Zadowolony, otworzył butelkę piwa „Mahou”.

— Zdrowie, Kev — powiedział. — O nic się nie martw.

Wracając zobaczyła, że Cranmer stoi w samych slipach przy otwartym oknie i gimnastykuje się, oczywiście o tyle, o ile pozwalały mu rany. Nagle ogarnął ją gniew na niego — rezultat całodziennego napięcia. Niemal wszystko, co wydarzyło się tego ranka, napawało ją wstrętem: ta oficjalna rozmowa w banku, formularze, które musiała wypełnić, przekazywanie jakiejś przesyłki, o której nie miała zielonego pojęcia, wreszcie fakt, że Cranmer wmieszał ją w swoje podejrzone interesy. Jedynie sposób, w jaki rozmówiła się z dyrektorem banku, sprawił jej satysfakcję.

Podczas gdy jedli *empanadillas* oraz resztki sałaty z poprzedniego wieczoru, Inger zdawała Cranmerowi dokładną relację z tego, co się wydarzyło. Kiedy doszła do wizyty w Prolebenteku, Cranmer przerwał jej:

— Czy dziewczyna na pewno powiedziała, że Herz jest w Barcelonie?

— Tak. Myślę, że tak. — Próbowała przypomnieć sobie, co dokładnie powiedziała recepcjonistka. — Mówiła, że nie może mi podać adresu, lecz zadba o to, by *Herrn* Herzowi natychmiast dostarczone kasety. To chyba musi oznaczać, że on tu jest, prawda?

— Tak, chyba tak. — Cranmer wyglądał na zadowolonego z siebie. — Byłem przekonany, że zjawi się tu w poszukiwaniu Williego.

— Kogo?

— Nieważne, faceta, który do mnie strzelał.

Znowu poczuła ciężar zamętu i rozpacz.

— Nie powiesz mi nic więcej, prawda?

— Prawda. Wygląda więc na to, że wszystko poszło według planu.

Żadnych kłopotów.

— Żadnych, niemal do samego końca.

— Co się stało?

— Koło katedry zatrzymał mnie patrol policji. Mężczyzna i kobieta.

— Dlaczego? — Z wrażenia uderzył widelcem o stół. — Czego chcieli?

— Nie mam pojęcia. Twierdzili, że to rutynowa kontrola. Sprawdzili mój paszport i pytali, od jak dawna tu jestem.

Wstał i chwycił ręcznik.

— Co powiedziałaś?

— Że od czterech czy pięciu dni. Pytali też, gdzie się zatrzymałam.

Stał za nią, skręcając ręcznik w dłoniach.

— Tak. To oczywiste. Co odpowiedziałaś?

— Powiedziałam im, że w hotelu „Monte Carlo”. Akurat go minęłam. —

Odwróciła się w jego stronę. — Nazwa utkwiała mi w pamięci.

— Kurwa!

Nagle puścili mu nerwy, jak zepsuta sprężyna. Uderzył Inger ręcznikiem w twarz. Odskoczyła wywracając krzesło i stół. Oczy jej załśniły. Była wściekła.

— Nigdy więcej tego nie rób, bo cię zabiję!

— To ja cię zabiję, jeśli spróbujesz.

Uderzył ponownie i jeszcze raz, drugi, trzeci... Inger cofała się, zasłaniając twarz rękami, aż stanęła pod ścianą. Cranmer odrzucił ręcznik, skoczył w jej stronę, pochwycił za nadgarstki i przycisnął do ściany. Inger odrzuciła głowę do tyłu. Policzki miała czerwone od uderzeń.

— O tak, to potrafisz. — Ironia zabrzmiała jak zbyt mocno naciągnięta struna skrzypiec. — W zabijaniu jesteś dobry, prawda?

— O co ci, do diabła, chodzi?

— Jesteś zabójcą. — Coś w jego spojrzeniu powstrzymało ją. —

W każdym razie lubisz zadawać ból... A Laura lubiła być bita. Powiedz mi jedno: zabiłeś ją?

— Lubiała być bita.

— Nie musiałeś jej zabijać.

Tym razem krzyknął, rozciągając jednak starannie poszczególne słowa:

— Nie zabiłem jej!

Struna pękła. Inger nie potrafiła się wściekać.

— Och, Niemand, spraw, bym mogła w to uwierzyć.

Przycisnął brzuch do jej brzucha, a ona poczuła ciepło, siłę i napór jego ciała. Oparła głowę na jego ramieniu. Kiedy poczuł jej gorące łzy, ta siła zaczęła narastać.

— Och, tak, tak, tak — błagała, drżąc na całym ciele. — Weź mnie, proszę, weź.

Słońce, podświetlające statwę Kolumba, świeciło też na Inger oraz mężczyznę, znów przemienionego z Thomasa Cranmera, przestępcy, w Niemanda, którego przywiozła do swej posiadłości. Ciepło promieni przedłużało stan przyjemnego omdlenia — rozkosz może słabszą od tej, jakiej przed chwilą doznała, lecz znacznie głębszą. Inger siedziała na łóżku oparta plecami o metalową ramę, z podkurczonymi nogami i stopami rozstawionymi na zewnątrz. Wyglądała jak kopenhaska Syrenka. Przed nią leżał Cranmer — z głową na jej łonie, z przekręconą na bok dolną połową ciała i podkurczonymi nogami. Inger zauważyła, że przez opatrunek na udzie przesiąka krew, pomyślała, że trzeba założyć nowy. Przy całym jej romantyzmie i spontaniczności i pomimo oczekiwanej już od bardzo dawna odprężenia, jakie teraz odczuwała, przez cały czas dochodziła do głosu ta bardziej ironiczna i złośliwa cząstka jej natury, pytając: „Wenus i Adonis? Jak ci się wydaje, kim jesteś? Co ci się roi?”

— Od samego początku ceniłam tajemniczość, jaka cię otacza. To było wspaniałe — spotkać mężczyznę, który nie przyniósł ze sobą żadnej przeszłości.

Wiedziała, że to kłamstwo, ale było jej z nim wygodnie. Zmieniła nieco pozycję, gdyż zaczynał jej drętwieć pośladek, i wyciągnęła długie białe ramię po szklanek wypelnioną wodą i resztką brandy.

Trochę później, gdy słońce zniknęło za horyzontem, a wraz z nim odprężenie, powrócił niepokój.

— Milion marek, prawie milion, to góra pieniędzy. Więcej niż potrzebujesz. Więcej niż potrzebuje ktokolwiek...

— Są mi je winni. Taka była umowa. Zrobiłem, co do mnie należało, teraz ich kolej.

— Normalnie powiedziałabym: w porządku, jeśli rzeczywiście tak uważasz, to nie ma sprawy. Ale kiedy w grę wchodzi tak duża suma, i to

wyłącznie dla ciebie, dla nikogo więcej, muszę stwierdzić, iż jest to chciwość. Mówienie zaś o długach, honorze i powinności, kiedy motywem jest chciwość, pachnie mi stylem mafii... Robi się zimno. Słońce już zaszło...

Rozpoznał ślepy zaułek — wejście do niego byłoby głupotą.

— Myślę, że kiedy będzie już po wszystkim, powinniśmy na jakiś czas przestać się spotykać — powiedział.

— Tak, może nawet na zawsze. — Pozwoliła sobie na cichy, smutny uśmiech. — Lecz mnie na zawsze pozostanie najlepsza rzeźba, jaką w życiu stworzyłam, i będzie mi o tobie przypominała.

— Nie jest na sprzedaż?

— Nie. Chyba że zagrozi mi głód albo ty zechcesz wydać na nią część swego miliona.

— Może...

W pokoju było teraz prawie ciemno.

— Pocałuj mnie, Niemand.

Lecz on nigdy tego nie robił. Teraz także nie.

Słońce powędrowało na drugą stronę placu, przeświecało spomiędzy grubych, niskich wież Santa María del Mar, rzucało złocisty blask na omszałe dachówki i las anten telewizyjnych. Na ulicy tęga barmanka polewała wodą z węża płytki chodnikowe, które przez najbliższe kilka godzin miały pozostawać w cieniu. Zdążyła już obsłużyć swych pierwszych klientów: sporą liczbę handlarzy powracających z towarem z giełdy, listonosza, kilku kierowców autobusów oraz pracowników metra. Zamawiali głównie kawę, kanapki, brandy i anyżówkę. Zwykle po tym wczesnym porannym najeździe następowało parę godzin całkowitego zastoju, aż mniej więcej do jedenastej, kiedy to pojawiali się pierwsi turyści — głównie pary z plecakami i z przewodnikami w rękach.

Kiedy w drzwiach lokalu stanął Winston Smith, natychmiast poczuła do niego niechęć. Nie ufała kolorowym, nawet tak jasnym, jak on. Choć na pierwszy rzut oka jego dres wydawał się modny i niezbyt tani, to przecież kiedy zerknęła na jego plecy, przekonała się, iż jej obawy nie były bezpodstawne — wiedziała, jak wyglądają ślady po kulach. Poszła jednak za nim i stanęła za ladą. Zrobiła to, gdyż w środku siedział inny klient, chudy facet, o którym wiedziała, że jest tajniakiem z Wydziału Narkotyków w Guàrdii Urbana. Wydało jej się, że jego obecność może mieć związek z kolorowym.

Winston, posługując się łamanym hiszpańskim, zamówił kawę i tosta. Zapłacił, jak robią to Anglicy, to znaczy natychmiast po tym, jak został obsłużony, i usiadł najdalej jak mógł od policjanta.

O dziewiątej pojawił się gruby tajniak i zastąpił chudego.

O dziesiątej Cranmer i Inger ukazali się w bramie naprzeciwno. Cranmer

niósł neseser. Nie spojrzawszy nawet w stronę kawiarni, weszli w Carrer Argenteria. Na ich widok gruby policjant wstał i ruszył do wyjścia.

— Zapłacę później.

Barmanka wzruszyła ramionami. Sprzątnęła po nim filiżankę i talerzyk z nie dojedzonym ciastkiem. Wyczuła i usłyszała ruch za plecami. Odwróciła się i zobaczyła, że kolorowy także wstał. Serce ścisnął jej strach, zdała sobie bowiem sprawę, że ochrona policyjna zniknęła. Jednak wzrok ciemnoskórego utkwiony był w bramie naprzeciwko. Na jego twarzy odbijały się poznanie i determinacja. Zarzucił plecak na ramię i ruszył w stronę wyjścia.

O dziesiątej w pomieszczeniu zajmowanym przez ekipę dochodzeniową kłębił się tłum detektywów oraz funkcjonariuszy mundurowych. Było ich około pięćdziesięciu — więcej nie udało się ściągnąć. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów: płynu po goleniu, wody kolońskiej, potu i dymu tytoniowego. Zasłony w pobliżu stołu zaciągnięto, a na ekranie wyświetlano jakiś czarno-biały zdjęcie. Widniała na nim podobizna Cranmera stojącego przed Pałacem Buckingham w wyjściowym mundurze i prezentującego otrzymany chwilę wcześniej Wojskowy Krzyż Zasługi. Obok ekranu stał Gómez, który właśnie kończył odprawę. Koło niego, w wielkim fotelu, siedział Estrada, trzymając nogi na stole.

— Kiedyś wreszcie wyjdzie ze swej kryjówki. Będzie chciał kupić coś do jedzenia albo bilet lotniczy, a może wsiądzie do metra. Waszym zadaniem jest zobaczyć go i rozpoznać. Kiedy to nastąpi, zachowacie się zgodnie z procedurą przewidzianą na wypadek kontaktu z terrorystą. Podacie wiadomość przez radiotelefon i pójdziecie za nim. Pamiętajcie, że nie wolno wam podejmować próby aresztowania, chyba że będziecie całkowicie przekonani, iż bez tego zgubicie go. Jeśli już zdecydujecie się na aresztowanie, to musicie go zastrzelić, zanim on zastrzeli was. Jest uzbrojony w pistolet maszynowy „Heckler and Koch”, najprawdopodobniej ukryty w teczce lub neseserze. Ponadto ma jeszcze inną broń, chyba pistolet pneumatyczny. To na razie wszystko.

Wyłączył projektor. Odprawa dobiegła końca. Natychmiast zrobił się straszny gwar. Claret przecisnęła się przez tłum, trzymając w ręce jakiś wydruk.

— Mów — warknął Estrada.

— Z Interpolu. Z oddziału w Lyons.

— O Jezu! Dłużej nie mogli?

— Prawdopodobnie siły policyjne z Niemiec i Szwajcarii — głównie ze Szwajcarii — nie chciały tego ujawnić. W każdym razie, opierając się na

informacjach przedstawionych przez Tęczową Frakcję — radykalną organizację Zielonych, której członkowie, aby zdobyć interesujące ich dane, gotowi są łamać...

— Terroryści w białych zbrojach. Czerwone skurwiele. Mów dalej.

— ...łamać prawo — oraz ulegając naciskom Komisji Europejskiej, Bonn stara się o przeprowadzenie międzynarodowego dochodzenia, mającego wyjaśnić szczegóły działalności Prolebenteku. Przypuszcza się, że Prolebentek zamieszany jest w wielomiliardową aferę dotyczącą omijania bądź łamania przepisów określających zasady usuwania i niszczenia trujących odpadów przemysłowych...

— Stara się? Co znaczy „stara się”?

— Firma Prolebentek zarejestrowana jest w Szwajcarii i jej centrala znajduje się właśnie tam. Natomiast policja szwajcarska nie zgadza się na uczestnictwo w śledztwie, dopóki brakuje oczywistych dowodów. Z kolei prawnicy Prolebenteku umiejętnie podważają zasadność zarzutów wysuwanych przez Tęczową Frakcję.

— Więc po co mi o tym mówisz?

— Ponieważ dwie ofiary wybuchu w „Casa Pez” należały do Tęczowej Frakcji. — Claret nie starała się ukryć zniecierpliwienia. „Czy ten tłusty wieprz zapomniał, po co kazano mi przyjrzeć się działalności centrali Prolebenteku?” — Uważam, że będzie to wystarczająco przekonujący argument w rozmowie z sędzią na temat założenia podsłuchu w biurach tej firmy.

— Przecież on powie, że głównym celem był Sasonow, i że to wszystko robota ukraińskich nacjonalistów.

— Możliwe, ale w mieście przebywają obecnie dwie osoby, o których wiemy, że utrzymują kontakty z Prolebentekiem. Jedna to Heinrich Herz, prowadzący dość podejrzaną agencję o nazwie AlterLog, druga zaś to Finchley-Camden, który zatrudniał Cranmera, na dodatek jest jego wujem. A przecież mamy teraz praktycznie sto procent pewności, że ten wybuch to robota Cranmera. To chyba wystarczy, prawda?

— Tak. Gómez, jak się nazywa ten sędzia, który tak nienawidzi Angoli, ten, którego kuzyn jest generałem armii argentyńskiej?

— To sędzia Jaime Ibañez.

— Tak, ten sam. Zadzwoni do niego i powiedz, że wpadniemy z wnioskiem o nakaz założenia podsłuchu. Chodź, *Conchee*, pojedziesz z nami. Powiesz mu, jakie silne związki ma ta firma z Wielką Brytanią.

Cranmer i Inger poszli prosto do Urzędu Telekomunikacyjnego na Plaça de Cataluña, gdzie w sporej sali ustawiono osiem budek telefonicznych. Naprzeciwko nich, za kontuarem, siedzą urzędnicy, którzy przydzielają kabiny, kontrolują czas rozmów i pobierają należność. Jest to znacznie wygodniejsze niż telefonowanie z budki ulicznej i grzebanie po kieszeniach w poszukiwaniu odpowiednich monet. Kiedy Inger i Cranmer weszli do

urzędu, tylko jedna osoba — jakaś Marokanka — oczekiwała na wolny aparat. Miała ziemistą, niezdrową cerę i krzaczaste brwi, złożone nad nosem tuż poniżej linii czoła i okalającej głowę białej chusty. Za nimi stanął gruby mężczyzna. Po chwili oczekiwania zapalił cygaro o wyjątkowo ohydny zapachu.

Zaskrzypiały drzwi jednej z kabin. Rozległ się głos urzędnika:

— Kabina numer trzy.

Marokanka weszła do środka.

Cranmer był wyraźnie zdenerwowany.

— Nie niecierpliw się tak. Jest dopiero dziesiąta. Mamy mnóstwo czasu.

— Wiem, przepraszam. Po prostu wkurza mnie, że ktoś tu pali jakieś straszne świństwo, tak jakby nie widział zakazu.

Otworzyły się następne drzwi.

— Kabina pierwsza.

Inger i Cranmer ruszyli w jej stronę. Speszyl się nieco, stwierdziwszy, że konstrukcja kabiny nie pozwala wejść obojgu do środka. Cranmer pozostał więc na zewnątrz, oparty o lekko uchylone drzwi, aby słyszeć przebieg rozmowy. Grubas, obecnie pierwszy w kolejce, znalazł się teraz blisko Cranmera. Ten pochylił się ku niemu i stuknął w ramię. Przez moment grubas wyglądał na przerażonego. Nieświadomie sięgnął prawą ręką do lewej pachy i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Cranmer wskazuje na znak zakazujący palenia. Wzruszył ramionami, rzucił cygaro na ziemię i przydeptał obcasem. Cranmer patrzył, jak grubas wyciera chusteczką nagle spoconą twarz. Słyszał, że Inger rozmawia w kabinie po niemiecku, i zastanawiał się, czy tamten rozumie.

— Właśnie próbuję to panu wytłumaczyć. Sprzedałem swój dom we Francji, razem z rzeźbami... Tak, Szwajcarowi o nazwisku Herz. Tak. Moje rzeźby bardzo mu się podobają. Tak. Za sześćset tysięcy franków szwajcarskich. Och? Naprawdę? Chwileczkę... Proszę zaczekać. — Szerzej otworzyła drzwi: — Mówi, że przelew dokonano w markach niemieckich. Sześćset sześćdziesiąt tysięcy i trochę... trochę setek. Czy robi ci to różnicę?

— Nie. Może być.

Jeśli ten grubas był człowiekiem Herza, to na pewno znał niemiecki. A Herz był na tyle cwany, by domyślić się, że mogą telefonować za granicę.

— Kabina siódma! — zawołał urzędnik.

Przez moment grubas zeszytniał, ale po ułamku sekundy zrobił zrezygnowaną minę i wszedł do kabiny siódmej. Zdjął słuchawkę i nie spuszczać wzroku z Inger i Cranmera wystukał pierwszy lepszy numer. Po chwili Inger wyszła z kabiny i chwyciła Cranmera za ramię.

— Wszystko w porządku. Dostali papiery. Przekażą tutejszemu bankowi polecenie honorowania moich czeków. Gnojek robił sporo problemów, mimo że jestem klientką jego firmy od dobrych dwudziestu lat.

Podeszła do lady. Urzędnik zażądał dziewięciuset sześćdziesięciu peset. Resztę z tysiąca wrzuciła do skarbonki przeznaczonej na cele charytatywne.

— W porządku?

— Tak — odpowiedział. Jednak grubas przez cały czas nie dawał mu spokoju.

Podobnie zresztą jak i on nie dawał spokoju grubasowi, który odczekał, aż wyszli na ulicę, a wtedy wyskoczył z kabiny i rzucił się ku wyjściu.

— Halo! Pan nie zapłacił! — krzyknął urzędnik, sięgając do przycisku alarmowego.

— Ale ja z nikim nie rozmawiałem.

— Owszem, wybrał pan numer w Seulu, w Korei. I ktoś podniósł słuchawkę.

— Cholera!

Rzucił na ladę swoją legitymację, po czym pobiegł do wyjścia. Upewniwszy się, że jego współpracownik ruszył za obiektem, wrócił, by uregulować rachunek. Miał naprawdę wiele szczęścia: i to zarówno później, gdy wylizał się z postrzałowych ran brzucha, jak i teraz, że nie poszedł za Cranmerem, bo gdyby to zrobił i został zauważony w ciągu najbliższej godziny, bez wątpienia już by nie żył.

Mniej więcej o tej samej porze Winston Smith stanął przed drzwiami wynajmowanego przez Cranmera pokoju. Próbował je otworzyć łomem, jednak, choć przeżarte przez korniki, okazały się zbyt solidne. Każdy nowy właściciel odnawiał ten budynek, ale nikt nie wyrzucał czegoś, co jeszcze nadawało się do użytku. Łom złamał się, a drzwi nie puściły. Smith rozejrzał się i ruszył po schodach w kierunku innych drzwi, zbitych z desek, a właściwie nie tyle drzwi, ile rodzaju luku czy też kłapy. Otworzył je i wystawił głowę na zewnątrz. Zobaczył niezbyt stromy dach, kominy, rynny, a w oddali — z jednej strony morze, a z drugiej góry.

Estrada dostał pozwolenie na założenie podsłuchu. Wraz z Claret i Gómezem jechał teraz do agencji literackiej, mieszczącej się naprzeciwko wciąż zamkniętego biura Prolebenteku. Z przeciwnego kierunku nadjeżdżali funkcjonariusze Wydziału Inwigilacji, wioząc swój skomplikowany sprzęt. A mimo to Estrada nie był zadowolony.

— Do dupy, *Conchee*. Wierzę ci teraz, tyle że ten cały Cranmer wyparował. Pewnie już od dawna nie ma go w Barcelonie. Po co miałby tu siedzieć? W Prolebenteku od dwudziestu czterech godzin także nic się nie wydarzyło. Gdy Finchley-Camden i Herz opuszczą miasto, zwiniemy cały ten kram i przekażemy sprawę Madrytowi. A na razie postarajmy się, żeby dzień minął nam przynajmniej w miarę wesoło.

Miał ochotę położyć rękę na jej kolanie, ale dał sobie spokój.

— Cholera, *Conchee*, co z tobą? Masz jakieś pomysły? Hej, poruczniku Claret?

— Mówiłem już panu, szefie, że uważam, że Cranmer w dalszym ciągu przebywa w Barcelonie. I że prawdopodobnie to on zabił Weisego. Mogło pójść o pieniądze albo coś w tym rodzaju. Możliwe, że zaszył się w jakiejś dziurze. Przecież znaleziono ślady krwi nie należącej do Weisego... Moim zdaniem, Finchley-Camden nie pojawiłby się w Barcelonie, gdyby Cranmera tu nie było. Dlatego powinniśmy skorzystać z pomocy Guàrdii Urbana. Jeśli następnych parę setek ludzi zacznie się rozglądać, to istnieją poważne szanse...

— Daj spokój, *Conchee*. Przecież to kompletne dupki. Gdyby go zobaczyli, to albo podeszliby do niego i powiedzieli: „Dzień dobry panu. Czy jest pan kapitanem Thomasem Cranmerem, tym słynnym mordercą?“, na co on odstrzeliłby im głowy i jaja, albo wstrzymaliby ruch, żeby ułatwić mu przejście przez ulicę. W tym są naprawdę dobrzy i tylko do tego przygotowani.

Obserwował, jak mijali kolejne przecznice, i cieszył się na samą myśl o tym, jak machnie nakazem przed nosami kobiet z agencji literackiej (oczywiście już dawno zdecydował, że są lesbijkami). Lecz nie potrafił pozbýt się poczucia poniesionej porażki.

— Dałaś nam nazwisko: Cranmer. Ale nazwisko to nazwisko, to tylko nazwisko. A nazwiska nie da rady zaaresztować. Owszem, jest ono przydatne, jest potrzebne. I będę z ciebie dumny, gdy podejdziesz do faceta i powiem: „*Mister Thomas Cranmer*, aresztuję pana pod zarzutem wielokrotnego morderstwa i informuję, że jeśli tylko spróbuje pan ucieczki, zastrzelę pana z największą przyjemnością”. Tylko gdzie jest ten facet? Gdzie on się, do kurwy nędzy, zaszył? Czy to już tu?

Przez następne cztery godziny nic interesującego się nie wydarzyło. Cranmer stwierdził, że chce zostać na powietrzu, najchętniej wśród drzew. Kręcili się (a przynajmniej robił to Cranmer) po wspaniałym Parque de la Ciutadella. Po stosunkowo pogodnym poranku zaczęło się chmurzyć, a temperatura spadła. Inger skorzystała z możliwości odwiedzenia Museum d'Art Modern, w którym eksponowano znacznie mniej sztuki nowoczesnej, niż wynikałoby to z nazwy. Zdecydowanie przeważała sztuka modernistyczna. Tylko w dwóch galeriach można było obejrzeć współczesne malarstwo i rzeźbę katalońską.

W tym czasie Estrada i Policia Nacional zajęli już biura agencji literackiej, a telefony Prolebensklubu znalazły się na podsłuchu. Około pierwszej gruby mężczyzna zastąpił swego współpracownika z Guàrdii Urbana, śledzącego Cranmera. Dwadzieścia po pierwszej Cranmer i Inger wrócili z parku na Plaża de Catalunya i około wpół do drugiej zajęli miejsca przy stoliku w „Café Zurich”. Cranmer z przyjemnością usiadł, gdyż noga dawała mu się we znaki tak bardzo, że aż kulał.

„Café Zurich” usytuowana jest na samym rogu, mając za sąsiedztwo po

jednej stronie park (wtedy wciąż jeszcze odgradzony parkanem z desek) oraz wspaniałe fontanny centralnego placu Barcelony, po przeciwnej zaś — ulicę Rambla. Wyjątkowo elegancki taras jest jednym z takich miejsc, które istnieją w każdym wielkim mieście, a gdzie spotyka się towarzystwo z całego świata — gwiazdy filmowe ze swymi reżyserami, idole rocka z najnowszymi narzeczonymi...

Wnętrze lokalu jest dość skromne, choć także eleganckie; ściany pomalowane na biało, a stoły i krzesła ciemne, prawie czarne. Nad barem wisi duży zegar z rzymskimi cyframi na tarczy.

Inger i Cranmer usiedli wewnątrz i zamówili kawę dla niego oraz wodę mineralną dla niej. Kiedy dłuższa wskazówka zegara znalazła się na ósemce, Cranmer kiwnął głową. Inger ścisnęła mu dłoń, wstała i wyszła. Kiedy już była za drzwiami, Cranmer poprosił o rachunek.

Inger przystanąła na chodniku przy czteropasmowej i bardzo zatłoczonej jezdni Carrer de Pelai i czekała, aż policjant gwizdkiem wstrzyma ruch i, machając rękami jak wiatrak, da przechodniom znak, że mogą przechodzić. Grubas, kryjący się za zielonym kioskiem z gazetami, stojącym na rogu ulicy, zdał sobie sprawę, że potrzebne mu będą posiłki. Korzystając z krótkofalówki, połączył się z centralą. Jeszcze mruzczał coś do mikrofonu, gdy zobaczył, że kobieta wchodzi do budynku Deutsche Bank.

Wewnątrz od razu została rozpoznana przez urzędnika w „ministerialnym” garniturze. Miał już przygotowaną na kartce papieru informację, że euroobligacje łącznie z prowizją będą ją kosztowały sześćset pięćdziesiąt siedem tysięcy marek. Wziął od niej czek wraz z europaszportem i zaniósł na zaplecze, prawdopodobnie do *Señora Prata*. Minęło pięć minut. Tym razem Inger nie usiadła.

Urzędnik wrócił z grubą, solidną kopertą, z której wyjął plik papierów. Były to obligacje wyemitowane przez Bayerische Bundesrepublik w celu sfinansowania budowy zapory przy hydroelektrowni w Alpach Bawarskich. Ich wartość nominalna wynosiła pięćset pięćdziesiąt tysięcy marek. Urzędnik wytłumaczył Inger, od czego zależy zmiana wartości obligacji, a także wiele innych rzeczy, których, nawet gdyby bardzo się starała, i tak nie potrafiłaby zrozumieć. Kiedy skończył swój wykład słowami: „Tylko proszę jak najszybciej umieścić obligacje w bezpiecznym miejscu”, Inger niemal wpadła w panikę. Zebrała się jednak w sobie, zmusiła do uśmiechu, wrzuciła kopertę na samo dno torby i wyszła.

Z samochodu „Renault 19”, należącego do Guàrdii Urbana, zobaczyli ją kapitan Martín oraz sierżant Arranz. Nagły podmuch wiatru zakotyssał czubkami drzew i na ulicę spadły pierwsze krople deszczu. Bukiniści zaczęli szybko przykrywać swój towar folią.

Stojący na rogu wielki zegar cyfrowy, reklamujący napój „Seven-Up”, wskazał pierwszą czterdzieści dziewięć i spadek temperatury powietrza z dwudziestu czterech do dwudziestu dwóch stopni. Cranmer wyszedł z „Café Zurich”, trzymając w ręku neseser. Chudy detektyw z Guàrdii Urbana, który

stał pod markizą i czytał gazetę, ruszył za nim. Cranmer nie uszedł daleko — przy następnej przeczniczy skręcił do pierwszej wolnej budki telefonicznej, znajdującej się przy wejściu na stację metra. Stał w niej i czekał. Była dokładnie pierwsza pięćdziesiąt trzy.

W tym samym czasie Martín i Arranz wysiedli z samochodu, przeszli przez ulicę i weszli do banku.

Pięć przecznic dalej, w górę Ramblas de Cataluña, Finchley-Camden przeszedł na drugą stronę alei. Poły płaszcz powiewały mu na wietrze, prawą dłonią przytrzymał melonik. Herz już czekał. Właśnie otwierał kluczem drzwi do salonu wystawowego Prolebenteku.

— Jesteśmy za wcześnie — powiedział Herz.

— To dobrze — odrzekł Finchley-Camden wchodząc do środka. — On jest punktualny.

Pojawienie się Herza i Finchleya-Camdena wywołało w budynku na przeciwko wybuch euforii. Natychmiast zniknęło znużenie. Aparatura pod-słuchowa działała, wideo także, widzieli więc i słyszeli wszystko, co działo się w salonie wystawowym. A więc jednak! Po czterech godzinach oczekiwania, podczas którego Estrada spalił całą paczkę ducadosów, a Claret przeczytała w całości jeden z leżących na biurku agencji maszynopisów, coś się wreszcie wydarzyło.

Tymczasem w banku sprawy toczyły się znacznie mniej korzystnie. Jak to zwykle bywa tuż przed zamknięciem, stała tam dość długa kolejka. Co prawda klienci, respektując mundur Martína, przepuścili go bez sprzeciwu, urzędnik natomiast okazał się znacznie mniej chętny do współpracy.

Starając się przyciągnąć uwagę urzędnika w okularach z czarnymi oprawkami, Martín pochylił się nad ladą.

— Z dyrektorem proszę. Szybko. To bardzo pilne.

Urzędnik nawet nie spojrzął znad klawiatury kalkulatora. Skończył obliczenia i dopiero wtedy zwrócił się do siedzącej obok dziewczyny:

— Lola, zobacz, czy *Señor Prat* jest wolny.

— Nieważne, czy jest wolny, czy zajęty. Proszę go natychmiast poprosić.

— Czy mógłbym zobaczyć pańską legitymację?

Martín sięgnął do kieszeni koszuli. Był czerwony z wściekłości. Powiedział do dziewczyny:

— Niech pani sprowadzi szefa w tym czasie, gdy ten dupek będzie oglądał moją legitymację.

Urzędnik nadal nie widział powodu, dla którego miałby się śpieszyć. Nie wstając, sięgnął po legitymację i długo ją oglądał. Wreszcie wręczył ją Loli.

— Weź ją do *Señora Prata* i spytaj, czy będzie miał chwilę, by spotkać się z kapitanem Martínem. — Spojrzał na policjanta i posłał w jego stronę

pojednawczy uśmiech: — Często zdarzają się napady na banki, dokonywane przez bandytów przebranych za policjantów.

Martín posłał mu kwaśne spojrzenie i odwrócił się do Arranza, który przez krótkofalówkę utrzymywał kontakt z ulicą.

— Co się dzieje?

— Przeszła na drugą stronę Carrer de Pelai. Chyba idzie do „Café Zurich”.

— A facet?

— Z tego co wiem, ciągle znajduje się w budce telefonicznej przy Cataluña Metro. Nie zgłoszono żadnej zmiany.

Z biura wyszedł potężny mężczyzna w lustrzanych okularach, w których odbijały się zapalone lampy. Uśmiechał się jowialnie, choć widać było, że jest zaniepokojony.

— Kapitan Martín? Dzień dobry. Moje nazwisko Prat. Jestem dyrektorem tego banku. Czym mogę panu służyć?

Wyciągnął dłoń z paczką papierosów w stronę policjantów. Martín odmówił i był wyraźnie niezadowolony, że Arranz się poczęstował.

— Ma pan klientkę o nazwisku Mahler. Inger Mahler. Niemkę. Podejrzewamy ją o handel narkotykami. Dlatego zwracamy się o ujawnienie wszelkich transakcji mogących wskazywać na jej ewentualny udział w tym procederze.

— Co mianowicie chciałby pan o niej wiedzieć?

— Na litość boską, człowieku! — Cierpliwość Martina powoli się kończyła. — Chcę wiedzieć, czy przeprowadziła jakieś transakcje, które mogłyby wskazywać na to, że zajmuje się handlem narkotykami.

— O ile wiem, nic takiego nie miało miejsca.

Lola kaszlnęła.

— Przepraszam, *Señor*.

— Tak? — tym razem Prat był zdenerwowany. Poufna instrukcja z centrali nakazywała pracownikom dokładne sprawdzenie zasadności każdego żądania ujawnienia szczegółów operacji dokonywanych przez klientów, nawet jeśli pretekstem do takiego żądania było podejrzenie o handel narkotykami.

— Właśnie przed chwilą Inger Mahler zakupiła euroobligacje o wartości sześciuset pięćdziesięciu tysięcy marek...

— Ile to będzie w pesetach?

Urzędnik przeliczył szybko na kalkulatorze.

— Osiemdziesiąt jeden milionów pięćset cztery tysiące.

— Cholera! — Martín zwrócił się do Arranza: — Niech ich zwiną. Natychmiast.

40

Herz stał za biurkiem nieobecnej recepcjonistki, trzymając dłoń na słuchawce telefonu. Finchley-Camden, lekko przygarbiony, czytał ulotkę informująca, jak olbrzymia ilość skoncentrowanych kwaśnych odpadów została z powodzeniem unieszkodliwiona od czasu, gdy sześć działających dotąd osobno firm zjednoczyło swe wysiłki pod przewodnictwem Prolebenteku. Elektryczny zegar wskazywał punkt drugą. Zadzwoił telefon. Dłoń Herza zacisnęła się na słuchawce.

— *Herr Herz?*

— *Herr Biedermann?*

Na górze, w biurze rudowłosej właścicielki połowy agencji literackiej, Estrada zaklął:

— Kurwa! To nie Cranmer.

— Cii... — syknęła Claret.

Rozmowa telefoniczna trwała dalej.

— Wszystko powiem tylko raz. Później żadnych pytań. Jasne?

— Słucham.

— Zna pan kościół Sagrada Familia? Ten projektowany przez Gaudiego...

— Słyszałem o nim, ale nigdy tam nie byłem.

— A więc będzie pan musiał słuchać bardzo uważnie. Kiedy minie pan kołowrotki przy wejściu, pójdzie pan dalej, aż do miejsca gdzie sprzedają kartki pocztowe, foldery i tym podobne. Stamtąd dojdzie pan aż do samego kościoła. Tylną ścianę tworzą dwie wieże połączone kamiennymi galeriami. W każdej z wież znajduje się spiralna klatka schodowa. Jest również winda. Pójdzie pan do góry prawą klatką, minie dwa nie oszklone okna i wejdzie na galerię. Na kamiennym parapecie pierwszego okna znajdzie pan klucz, którego pan szuka.

— *Herr Biedermann? Czy pan tam będzie?*

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki, a po sekundzie jeszcze jeden, zupełnie inny trzask.

Herz zbladł.

— Słyszałeś to?

— Tak. Myślę, że lepiej się pośpieszmy.

Finchley-Camden chwycił Herza za łokieć i pchnął w kierunku wyjścia. Kiedy znaleźli się na ulicy, Herz zamknął drzwi i powiedział:

— Podłuch.

Tymczasem na górze Estrada kłął:

— *Coño. Hostia.* Wykryli nas. — Zwrócił się do techników: — Co wy za gówna używacie, do kurwy nędzy?!

— Przechodzą przez ulicę. — Claret przez cały czas stała przy oknie. — Anglik ma samochód w hotelu „Diplomatic”.

— Dobra. — Estrada zdołał się opanować. — Skąd telefonował ten facet?

— Z budki telefonicznej — odparł jeden z techników. — W mieście, gdzieś niedaleko.

— A więc nie z tego kościoła?

— Żeby mieć pewność, musiałbym dokładnie przeanalizować taśmę. Ale wydaje mi się, że nie.

— Dobrze. Ruszamy. Przypuszczam, że tym, który dzwonił, był Cranmer, nieważne, jakie nazwisko sobie wybrał... Jedziemy najszybciej, jak się da. Musimy tam dotrzeć przed nimi. Znamy adres, więc nie musimy ich śledzić. Ale na wszelki wypadek niech jakiś nie oznakowany samochód jedzie za nimi. Słuchaj, Gómez, zadbaj o to, by każdy, kto bierze udział w tej akcji, wiedział, co ma robić. Cranmer wspomniał o kluczu. I ja chcę ten klucz dostać. Ale z tego okna ma go zabrać Herz. I ma z nim dotrzeć do drzwi, które ten klucz otwiera. Dopiero wtedy mu go zabierzecie. Jasne? — Zwrócił się do Claret: — Tylko ty w tym towarzystwie potrafisz myśleć. Jak uważasz, czy Cranmer tam będzie?

— Chyba tak.

Zwrócił się do Gómeza:

— Jeśli tam będzie, chcę go żywego. Chcę ich wszystkich żywych. Powoli, delikatnie, ostrożnie... dorwiemy ich wszystkich. Jasne? Wpuścimy ich do kościoła i dopiero wtedy zaczniemy działać. Ale gdyby wyglądało na to, że Cranmer zechce znów zabijać, wtedy my go zabijemy. Zrozumiano? Zabijemy.

Po zachodniej stronie Plaça de Catalunya Cranmer odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki na deszcz. Inger ruszyła w jego kierunku, po drodze wyciągając z torby kopertę z euroobligacjami. Nagle owładnął ją tak silny niepokój, że omal nie zemdląta. To stanie się właśnie teraz. Za chwilę. Weźmie od niej kopertę, powie, co przydarzyło się Laurze, i odejdzie. Taka była umowa. Już za chwilę zniknie na zawsze z jej życia, a ona będzie próbowała uporządkować ten bałagan, który po sobie zostawił. Jeśli cokolwiek

pozostanie jeszcze do porządkowania... Wiedziała, że nawet nie pocałuje jej na do widzenia — po prostu weźmie kopertę i odejdzie.

W momencie gdy Cranmer sięgał po kopertę, podszedł do nich gruby detektyw, ubezpieczony przez dwóch mundurowych funkcjonariuszy Guàrdii Urbana, i wyciągnął legitymację.

— Inger Mahler, pani oraz pani towarzysz pójdziecie ze mną...

Cranmer uniósł neser i posłał krótką serię w stronę grubego. Neser zadrżał w jego dłoniach, tak jak wcześniej w dłoniach Weisego. To jednak nie był najwygodniejszy sposób trzymania pistoletu maszynowego. Grubas upadł, chwytając się za brzuch i wyjąc z bólu jak pies. Jeden z gwardzystów obrócił się wokół własnej osi, jakby jakiś olbrzym poklepał go po ramieniu. Drugi wyciągnął pistolet, lecz nie odważył się strzelać, ponieważ na ulicy kłębił się tłum. Cranmer zniknął na stacji metra. Cataluña to ruchliwa stacja — szczególnie o drugiej po południu, gdy cała Barcelona jedzie do domu na obiad, więc pojedynczy funkcjonariusz nie miał żadnych szans na złapanie Cranmera.

Tymczasem wycie syren i pisk opon obwieściły przyjazd Martína. Inger, której twarz przypominała białą maskę, straciła z siebie rękę policjanta i trwała nieruchomo przy budce telefonicznej.

— Niemand, nie powinienes być tego robić! — krzyknęła. — Nie miałeś prawa!

U jej stóp podfrwały w powietrzu obligacje. Powiał wiatr i część z nich wpadła pod koła przejeżdżających samochodów.

Od tego momentu Inger nie powiedziała ani słowa przez najbliższą godzinę.

Martín wysłuchał raportu funkcjonariusza, który próbował gonić Cranmera. Arranz natychmiast rozesał rysopis Cranmera oraz instrukcję postępowania: kulejący mężczyzna, ten sam, którego już kiedyś szukali w związku ze sprawą Inger Mahler, ukrywa się w metrze. Jest niebezpieczny. W neserze, który ze sobą nosi, ma broń maszynową. Wszyscy funkcjonariusze powinni jak najszybciej udać się do najbliższej stacji metra i uważnie obserwować wyjście...

Na czas wypadów na kontynent Finchley-Camden trzymał w Calais prywatnego astona martina z 1970 roku. Pytany, dlaczego wybrał akurat taki środek lokomocji, odpowiadał, że w samochodzie wygodniej przewozić pistolet, a w jego zawodzie nigdy nie wiadomo, kiedy takowy może być potrzebny.

Gdy wyjechali z parkingu pod hotelem „Diplomatic” na Carrer D’Arago, Herz polecił Finchleyowi-Camdenowi skręcić w lewo.

— A teraz prosto. Musimy minąć jedenaście przecznic. Jak myślisz, kto założył ten cholerny podsłuch? Twój siostrzeniec?

— To niewykлучzone, chociaż bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że to robota tego twojego faceta, Winckelmanna. Wygląda mi na niezłego skurwysyna.

— A więc nie policja?

— Miejmy nadzieję, że nie. Jeśli nie uda nam się zdobyć klucza, to i bez tego będziemy mieli sporo kłopotów z szanownymi organami ścigania.

Jadąc szeroką arterią, Finchley-Camden wykazywał się sporymi umiejętnościami. Musiał jednak polegać na Herzu jako pilocie. Na dodatek popularne korki były większe niż zwykle, na co nie bez wpływu pozostawał fakt, że pięć przecznicy dalej pojawiły się nagle wozy policyjne oraz karetki pogotowia. Finchley-Camden zmienił pas, chcąc objechać autobus, jednak natychmiast został przyblokowany przez pojazdy oczekujące na możliwość skrętu w prawo. Przycisnął więc klakson, wystawił rękę i wcisnął się z powrotem na pas, z którego przed momentem zjechał.

— No, jakoś poszło...

Jednakże Herz myślał tylko o tym, co miało nastąpić.

— Skoro kazał mi tam przyjść, to znaczy, że chce mnie zabić.

— Tak, bo ty próbowałeś zabić jego. Więc teraz pragnie nie tylko dostać swoje pieniądze, lecz także zapewnić sobie stuprocentowe bezpieczeństwo. Cwany bękart z tego mojego siostrzeńca.

— Nie jestem w zbyt wygodnym położeniu.

— Mam nadzieję, że umiesz się bronić.

— Tak, rzeczywiście, ale ten twój siostrzeniec ma spore doświadczenie w zabijaniu.

— To prawda, jest dobry. Ty jednak będziesz miał mnie za plecami. — Finchley-Camden roześmiał się. — A nawet lepiej: to on będzie miał mnie za plecami, a tego się z całą pewnością nie spodziewa. To będzie dla niego spore zaskoczenie.

— Czy mogę na tobie polegać?

— Z całą pewnością tak. Mówiłem ci już, że smarkacz naraził mnie na spore kłopoty. Muszę więc mieć stuprocentową pewność, iż nigdy więcej tego nie zrobi.

— Nie przeszkadza ci to, że jest twoim siostrzeńcem?

— I tak, i nie. Znów ten przeklęty autobus siedzi mi na zadku. Wyraźnie nie spodobał mu się tamten manewr ze zmianą pasa... O czym to ja mówiłem? Aha, biedny Tom... Ponieważ sprawę trzeba załatwić, uważam, że to ja powinienem się tym zająć. I to porządnie. Przynajmniej tyle mu się ode mnie należy. Kiedyś miałem psa, irlandzkiego wilczarza... Wspaniałe bydlę. Ale dostał raka mózgu i zrobił się niebezpieczny. Spuszczony z uwięzi atakował wszystko, co się rusza. Nie mogłem wezwać weterynarza — uważałem, że sam muszę załatwić tę sprawę... Podobnie i tym razem, gdy chodzi o Toma... A teraz posłuchaj. Mówił, że jest tam winda...

Kościół Sagrada Familia znajduje się wprawdzie poza właściwym obszarem *Ensanche* Cerdy, niemniej jednak jeszcze w obrębie ulic ograniczających ten kompleks. Od wschodu tworzą go: Plaża dela Sagrada Familia, sam budynek kościoła oraz Plaża de Gaudi. Trochę bardziej na północ mieszczą

się: punkt sprzedaży biletów oraz przejścia wyposażone w kołowrotki. Po ich minięciu wchodzi się na kamienną ścieżkę prowadzącą do głównego wejścia do kościoła. Kiedy rozgrywały się opisywane wydarzenia, na terenie kościoła trwały poważne prace budowlane.

W 1926 roku Gaudi — projektant i budowniczy, człowiek dość już wtedy stary — wpadł pod tramwaj, zanim zakończono budowę. Od tej chwili prace wykończeniowe strasznie się ślimaczyły i ciągnęły przez długie lata. Co więcej, Gaudi pozostawił po sobie nie tylko szczegółowe plany, lecz także polecenia, aby budowę kontynuowały następne pokolenia — tak jak w średniowieczu — i aby każde z nich wniosło od siebie nowy, nawiązujący do ducha wieku element.

Lecz w roku 1991 wydawało się, że następne wieki już nie nadejdą. Barcelona zdecydowała się więc zakończyć budowę przed igrzyskami — albo przed apokalipsą — w zależności od tego, co nastąpiłoby wcześniej. Skutek był taki, że we wrześniu 1991 roku teren kościoła stanowił jeden wielki plac budowy.

O drugiej siedemnaście Cranmer wyłonił się z metra i został zauważony przez funkcjonariusza Guàrdii Urbana, który zameldowawszy o tym Martínowi, ruszył za nim, starając się, by „obiekt” go nie spostrzegł. Obaj weszli na teren kościoła.

Następni zjawili się funkcjonariusze Policia Nacional w dwóch nie oznaczonych samochodach. Wreszcie podjechał aston martin. Finchley-Camden miał trochę problemów z zaparkowaniem, ponieważ nie chciał łamać przepisów. Dopiero po chwili znalazł podziemny parking przy następnej przecznicy. Kupili z Herzem bilety wstępu i ruszyli w stronę kościoła. Weszli wejściem od strony zachodniej i znaleźli się w zadaszonym pomieszczeniu, gdzie wisały oprawione plany Gaudiego.

Estrada, Gómez oraz dwaj umundurowani funkcjonariusze obserwowali ich z bezpiecznej odległości. Kiedy podejrzani przeszli przez kołowrotki, z zaparkowanych w bocznej uliczce autobusów wysiedli policjanci. Wszystko szło sprawnie i szybko, bez wycia syren i migających kogutów. Funkcjonariusze starali się zmieszać z tłumem zwiedzających, jednak żaden nie wysunął się przed Estradę i Gómeza. Ci zaś nie spuszczały z oka Herza i Finchleya-Camdena. Coraz mocniej padało.

Ostatni pojawili się Martín i Arranz. Stojący w wejściu przy kołowrotkach funkcjonariusz Policia Nacional wpuścił ich bez chwili namysłu — w końcu nosili mundury Guàrdii Urbana. Kiedy jednak chwilę później nadjechał pełen autobus gwardzistów, niezwłocznie zawiadomił o tym Estradę. Ten, używając języka, jakiego można się było po nim spodziewać, kazał podwładnemu trzymać tych nieudolnych dupków jak najdalej od kościoła.

— A właściwie to skąd, do ciężkiej cholery, oni się tu wzięli?

Finchley-Camden wraz z Herzem przeszli do nawy głównej, a ściślej mówiąc: do nawy głównej w budowie. W tej chwili była ona w dużo większym stopniu zabudowana niż kiedykolwiek — zarysy strzelistego

wachlarza zasłaniały już spory kawałek nieba. Za to ściana zachodnia w niczym nie przypominała ściany. Tak miało pozostać aż do momentu, gdy wnętrze zostanie wykończony, gdyż wtedy wjeżdżały do kościoła maszyny i wtedy wwożono ogromne ilości materiałów budowlanych. Wzdłuż wewnętrznych ścian rozstawiono wysokie rusztowania, podłoga zaś przypominała księżycowy krajobraz, zryty głębokimi wykopami pod mające utrzymać kolejne cztery pinakle kolumny, a także pod wielką, centralnie usytuowaną wieżę. Wszędzie zalegały góry piasku, wałły się betoniarki, stopy worków z cementem, kamienie i tym podobne. Przy jednym z wykopów stała koparka „JCB”.

Finchley-Camden i Herz przeszli na wschodnią stronę kościoła. Wszystko wyglądało tutaj tak, jak opisał Cranmer. Pośrodku ściany widniały okna. Niektóre z nich, jako jedyne w całym kościele, miały ustawione szyby. Po bokach znajdowały się dwie wieże, we wnętrzu których umieszczono spiralne schody, eleganckie, lecz wąskie, prowadzące na kolejne piętra galerii. Zwiedzający mogą wspiąć się po nich do góry, jednak zdecydowana większość woli wjechać windą umieszczoną po lewej stronie. Finchley-Camden zakładał, że jego siostrzeniec przyczaił się gdzieś po prawej stronie i czeka na Herza. Dotknął róna swego brązowego melonika i, kryjąc się za maszynami przed wzrokiem Cranmera, ruszył w kierunku windy. Herz dał mu cztery minuty, po czym wszedł do południowej wieży i zaczął piąć się w górę.

Do tego czasu liczba turystów kręcących się po kościele znacznie zmalała. Od dobrych paru minut nikogo nowego nie wpuszczano, a spora część zwiedzających zdążyła już opuścić kościół. Herz spotkał po drodze tylko dwóch plecakowiczów, przeklinających wąskie schody — ich plecaki wciąż obijały się o ściany. Ponad sobą miał teraz jedynie białe kamienne stopnie, przytwierdzone do zewnętrznej ściany i od środka nie chronione nawet barierką. Gdy spojrział w górę, zobaczył niemal idealną spiralę, zbiegającą się gdzieś wysoko w jeden punkt. Najbardziej martwiło go, że nie może się zorientować, czy ktoś znajduje się ponad nim. Zrozumiał, że właśnie dlatego Cranmer wybrał wieżę na miejsce decydującego pojedynku.

Wreszcie dojrzał zejście na niewielką galerię. Zgodnie ze słowami Cranmera, pomiędzy smukłymi kolumnami — tworzącymi ramy dla nie oszklonych okien — znajdował się niski kamienny parapet. Herz natychmiast spostrzegł leżący na nim klucz oraz stojący na ziemi nesesor Weisego. Dobrze wiedział, co w nim jest. Nic z tego nie rozumiał. Po chwili sięgnął po nesesor i w tym samym momencie wyczuł raczej, niż usłyszał, obecność Cranmera za plecami. Za to dobrze usłyszał głos Finchleya-Camdena, wzmocniony akustyką kamiennych ścian:

— Tom, wolałbym, żebyś tego nie robił.

Herz odwrócił się i zobaczył, jak Cranmer opuszcza dłoń, którą zamierzał zadać śmiertelny cios. Jego twarz była przerażająca i bardziej przypomina teraz oblicze Meduzy niż tego, kto spojrział jej w oczy. Herz zrobił krok

i zobaczył Finchleya-Camdena kucającego w wąskim otworze i trzymającego w wyciągniętej ręce rewolwer „Smith and Wesson”.

— Tom, zachowałeś się bardzo źle i zrobiłeś wiele głupich i niebezpiecznych rzeczy. Ale nie wszystko stracone. Jeśli spokojnie pójdziesz z nami, z pewnością znajdziemy jakieś rozwiązanie...

Herz widział zmianę, jaka nastąpiła w wyrazie twarzy Cranmera. Niestety, nie mógł jej dostrzec Finchley-Camden. Cranmer odwrócił się błyskawicznie, chwytając jednocześnie Herza i zasłaniając się nim jak tarczą. Finchley-Camden strzelił, trafiając Herza w bok. Z nadludzkim wysiłkiem Cranmer przesunął się w stronę nesesera, przez cały czas używając rannego jak tarczy. Finchley-Camden strzelił ponownie, lecz kula odbiła się od ściany. Cranmer uwolnił się od bezwładnego ciała i zaczął uciekać. Starszy Anglik porwał klucz z parapetu i ruszył w górę tą samą drogą, którą przyszedł.

Tymczasem na dole Estrada i Gómez ciągle nie zdawali sobie sprawy z obecności Martina i Arranza — rozdzielała ich potężna, trzymetrowa góra cementu. Wszyscy czterej usłyszeli strzały, mimo że wokół pracowały maszyny budowlane. Kiedy Cranmer ukazał się w wejściu, Arranz wyciągnął swego browninga, przykucnął i wycelował. Martín ruszył w stronę Cranmera, aby go aresztować. W tym samym momencie rza góry cementu wybiegł Gómez i wszedł pomiędzy Cranmera a Arranza. Cranmer przeskoczył przez barierkę, wybiegł na dwór i oddał ostatnią serię w kierunku kabiny koparki „JCB”. Wskoczył do środka i wyrzucił na ziemię konającego kierowcę. Wciskając gaz do końca, aż z rury wydechowej wydostały się czarne chmury spalin, obrócił pojazd, uniósł łyżkę koparki i walnął nią w barierę oddzielającą plac od ulicy. Następnie objechał zachodni kraniec kościoła i rąbnął w autokar wypełniony japońskimi turystami. Stamtąd widział już wejście do metra. Teraz musiał jedynie rzucić się w przerażony, spanikowany tłum... I zrobił to.

Tymczasem w kościele doszło do konfrontacji Estrady z Martinem. Ten drugi klęczał nad Arranzem, który obficie krwawił.

— Co wy sobie, do kurwy nędzy, wyobrażacie?! Bawicie się w kowboi i Indian?!

— Estrada, ty skurwysynu! Jeżeli on umrze... ty będziesz temu winien!

— Posłuchaj! Ten facet przeżyje. Przeżyje i aż do emerytury będzie przeprowadzał starszki przez ulicę, bo tylko do tego się nadaje. — Zwrócił się teraz do Gómeza, który wybiegł z wieży: — Macie ich? Byli tam jeszcze?

— Tylko Herza. Jest ciężko ranny, ale jeszcze żyje. To będzie piekielna robota — znieść go stamtąd. I ani śladu klucza.

— Cholera! Na dodatek przez tych pieprzonych dupków zwał nam uzbrojony bandzior. — Nagle jego twarz zrobiła się stara i zmęczona. — Więc co robimy?

Martin wyprostował się i podszedł bliżej.

— To znaczy, że nie wiecie, gdzie on mieszka? I z kim?

— A wy? — Estrada spojrzał Martinowi w oczy i zobaczył drwiący półuśmiech. — Cholera. Wiecie.

W tym samym momencie z windy wysiadł Finchley-Camden. Nie musiał iść przez cały kościół. Wystarczyło przejść pod wschodnimi łukami, pokrytymi płaskorzeźbami przedstawiającymi narodziny Chrystusa, i wyjść na Plac de Gaudi. Spokojnie, jak na angielskiego dżentelmena przystało, odszedł przez nikogo nie zauważony.

41

Winston poczuł ulgę, kiedy usłyszał najpierw kroki na schodach, a następnie odgłos przekręcanego klucza. Zdobył się na jeszcze jeden konieczny wysiłek: skierował pilota na podczerwień, którego znalazł w szafie pośród rzeczy Cranmera, w stronę okna, wcisnął przycisk, a następnie — w ostatniej chwili — schował urządzenie pod leżący na łóżku wałek tapicerski. Drzwi, których nie dał rady pokonać, otworzyły się.

— *Mister Cranmer!* — próbował krzyknąć.

— *Smith!* Co ty tu, do diabła, robisz? I jak się tu...? Aha.

Zobaczył sporą dziurę w suficie. Z jej postrzępionych brzegów zwisały połamane deski. Poniżej otworu stał stolik, na którym Inger trzymała swoje kosmetyki, a na podłodze leżało połamane krzesło. Wszędzie wałał się pokruszony tynk. Do wnętrza wpadał deszcz, tworząc coraz większą kałużę.

— ...Przez dach. I zrobisz sobie przy okazji krzywdę.

— Ale wszedłem — jęknął Winston, krzywiąc się z bólu. — A krzywdę zrobiłem sobie, próbując się stąd wydostać. Chyba mam złamaną nogę.

— Tak się kończą głupie zabawy. — Cranmer nieufnie przyglądał się Smithowi i zastanawiał, czy facet ma broń. Pomyślał, że pewnie tak.

— Po co przyszedłeś?

— Zabić cię, *Sir*.

— To możesz się zapisać do klubu. Chyba pół miasta do niego należy.

Trzymając nesesor w pogotowiu (magazynek był pusty, ale Smith przecież o tym nie wiedział), Cranmer pokuśtykał w stronę łóżka. Rana w udzie otworzyła się, bardzo bolała i krwawiła. Winston leżał rozciągnięty w poprzek łóżka. Jego noga rzeczywiście była złamana. Nienaturalna pozycja stopy nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości. Biedny dupek zdążył się już

posikać, co wskazywało, że wdarł się do mieszkania sporo czasu temu. Nigdzie nie było śladu broni. Cranmer znalazł paczkę papierosów i zapalniczkę, należące do Inger. Zapalił dwa — jednego podał Winstonowi.

— Dłaczego, Smith? Dłaczego chcesz mnie zabić?

— Zabiłeś Keva. A później wystawiłeś mnie.

— To nie było tak.

— Było, Cranmer. To oczywiste. Wiedzieliśmy, kim jesteś, wiedzieliśmy, że żyjesz. Potrzebowałeś nas, ale gdy zrobiliśmy swoje, najpierw zabiłeś Keva, a później wystawiłeś mnie. Na dodatek strzeliłeś mi w plecy... Wiem, jak zabiłeś Keva. Tym. — Wyjął pilota. — Miałeś dwa. To była kurewska sztuczka. Dobrze zaplanowana. Więc przyszedłem cię zabić.

Cranmer skrzywił się i wszedł za kuchenną zasłonę. Trzymając papierosa w ustach i zaciskając powieki, aby ochronić oczy przed dymem, nalał wody do garnka i podpałił gaz. Zaciągnął się głęboko, odwrócił w stronę Winstona i powiedział:

— Przykro mi, że tak myślisz... Robię kawę, napijesz się?

Położył papierosa na spodku i wyjął z szafki pod zlewem dwa kubki. Ruszył w stronę stojącego pod oknem stołu.

Winston jęknął, zamknął oczy i wymamrotał:

— Wolałbym herbatę, jeśli masz.

— Chyba mamy. — Wciąż trzymając w dłoniach kubki, wrócił do wnęki kuchennej. — Przynajmniej w torebkach.

— Mamy? Mówisz o tej kobiecie, z którą cię widziałem? — Winston wyraźnie chciał, aby rozmowa trwała.

— Aha, więc śledziłeś mnie. Tak, mówię o niej.

— Czy ona tu wróci?

— Być może — odpowiedział, a po chwili, na dźwięk zbliżających się syren policyjnych, dodał: — A z drugiej strony to zupełnie możliwe, że mnie wystawiła.

Obszedł stół i stanął przy oknie. Na plac wjeżdżały wozy policyjne. Po chwili przy każdej bramie stał przynajmniej jeden. Migły niebieskie światła.

— Cholera, chyba naprawdę mnie wystawiła. No, czas na herbatę. Miałeś rację, lepsza będzie herbata.

Na dole funkcjonariusze Guàrdii Urbana, ubrani w niebieskie kurtki przeciwdeszczowe, stawiali bariery zamykające dla ruchu ulice dochodzące do placu. W tym samym czasie policjanci w czarnych nieprzemakalnych kombinezonach ustawiali się za zaparkowanymi samochodami, biorąc za cel swych szybkostrzelnych karabinów potrójne okno pokoju zajmowanego przez Cranmera oraz bramę domu. Niemal na wprost bramy inni policjanci ustawili potężny reflektor i pociągnęli do niego kabel aż z najbliższego sklepu —

małej nory, w której sprzedawano mleko, jajka oraz zwiędłe warzywa, kupione za bezcen na targu. Nadjechały jeszcze dwa samochody — jeden z Guàrdii Urbana, a drugi z Policia Nacional. Estrada, Gómez oraz Claret podeszli do Martín'a i paru umundurowanych gwardzistów. Pomiedzy nimi stała Inger. Po jej twarzy płynęły strugi deszczu, ubranie miała przesiąknięte wodą. Nie przyjęła jednak płaszcz, który próbowała zarzucić jej na ramiona jedna z policjantek. Wzrok utkwiała w oknie na najwyższym piętrze. Żaluzje były zaciągnięte. Inger pomyślała, że chociaż jest dopiero trzecia, wewnątrz musi być prawie zupełnie ciemno.

Jeden z policjantów zbliżył się do Estrady.

— Jest w środku, na sto procent. Kobieta z tamtego baru widziała, jak wchodził.

— Aha. Jak go stamtąd wykurzymy? Martín? Czy ta kobieta zechce z nami współpracować?

— Nie.

— Tak długo, jak facet ma tę spluwę, nikt nie da rady się do niego zbliżyć. — Wytrząsnął z paczki ducadosa i starał się osłonić go przed deszczem. Gómez próbował mu go przypalić, lecz nie dał rady. — Cholera, nieważne... Słucham — czy są jakieś propozycje?

— Ta kobieta z pewnością mogłaby go przekonać, aby wyszedł.

— Nie chce współpracować. — Martín uważał, że nie ma o czym rozmawiać, i nie starał się tego ukryć. — Od momentu kiedy ją aresztowaliśmy, nie powiedziała ani słowa.

— Może ja z nią porozmawiam? — zapytała Claret.

— Jak kobieta z kobietą? — zaśmiał się Estrada. — W porządku, spróbuj.

— Nie, nie jak kobieta z kobietą. Ktoś mówił, że ona nazywa się Mahler. Ingrid Mahler. Niemka. Zgadza się?

Cranmer kręcił się po pokoju, w którym panowała prawie całkowita ciemność. Z południa nadciągały coraz cięższe, granatowe chmury. Na łóżku papieros Winstona tlił się, lecz pozostawał nieruchomy. Cranmer mruczał do siebie:

— Co my tu mamy, Smith? Plecak? Ja już go kiedyś widziałem... Cholera, tak! W mieszkaniu, które wynajął dla nas Willi. Co w nim było? Plastyk, Smith. I... zostały dwa kilogramy! Jezu, Smith, ty naprawdę byłeś królem skurwysynów robiących wredne sztuczki! Kurwa!

Nagle pokój wypełnił się światłem reflektora, przenikającym przez szpary w żaluzjach. Winston nie zareagował. Jego głowa spoczywała na poduszce w pozycji równie nienaturalnej jak stopa. Zar niedopałka dochodził mu już do palców.

— Czas się stąd zabierać.

Cranmer przywykł już do światła, jednak ciągle trzymał się z dala od okna. Rozejrzył się i jeszcze raz zastanowił nad sytuacją. Doszedł do wniosku,

że Smith ustawił krzesło na stole i chciał z niego dosięgnąć belek w suficie. Prawdopodobnie przewróciło się, gdy spróbował podskoczyć.

— Głupi palancie, nic dziwnego, że złamałeś nogę... Ale co ty właściwie chciałeś zrobić? Albo co zrobiłeś? Przecież połamałeś się, próbując stąd wyjść. A więc zrobiłeś to, co zamierzałeś. Podłożyłeś gdzieś tę cholerną bombę. No to rzeczywiście trzeba stąd jak najszybciej sziprać.

Zaczął starannie przygotowywać się do wyjścia. Najpierw wymontował pistolet „Heckler and Koch” z nesesera, zastąpił zużyty magazynek trzecim, i zarazem ostatnim, i zawiesił broń na ramieniu. Później obejrzał dokładnie krzesło, a kiedy się upewnił, że Smith nie przykleił do niego bomby, podniósł je i już miał postawić na stole, gdy uświadomił sobie, że stołu jeszcze nie sprawdził. Zrobił to i dopiero wtedy postawił na nim krzesło. Wspiął się do góry, wyciągnął ręce, uchwycił się belki i podciągnął. Jednak drewno i zaprawa nie wytrzymały. Spadł — najpierw na stół, a później na podłogę. Osypał go tynk. Zmarł w bezruchu, czekając na eksplozję, która jednak nie nastąpiła.

— Chryste. Nic dziwnego, że się połamałeś, Smith.

Podszedł do stołu stojącego przy oknie i właśnie miał go sprawdzić, kiedy zacharczał głośnik.

Inger patrzyła prosto w oświetlone potężnym reflektorem okno. Wydawało jej się, że jest martwa, nic nie czuje, nic ją nie obchodzi. Ale tych ludzi nienawidziła. A najbardziej kobiety, która powiedziała jej o tym, o czym sama wiedziała od dawna; jeszcze chciała, żeby Inger z nim porozmawiała. Przez dłuższą chwilę szukała odpowiednich słów, takich jakich od niej oczekiwali.

— Niemand? Jesteś tam jeszcze? Proszę cię, wysłuchaj mnie. Dość już tego zabijania. Zabiłeś zbyt wielu ludzi... A teraz oni ciebie zabijają, jeżeli się nie poddasz... Proszę cię, to się musi wreszcie skończyć.

Słyszała swój głos, zniekształcony i nienaturalnie wzmocniony, brzmiący jakoś obco, gdy rozchodził się po całym placu i odbijał od fasady kościoła z jego prymitywną figurką Madonny nad wejściem.

— Nigdy o nic cię nie prosiłam, Niemand, a to oznacza, że jesteś mi... coś winien. Nie wiem, czy ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, ale... proszę cię, dosyć już tego zabijania.

Słyszała w swym głosie rozpacz. Dobrze jednak wiedziała, że nie mogło to wywrzeć na nim żadnego wrażenia. Stojąca obok kobieta dotknęła jej ramienia, jakby przypominając, o czym jej przed chwilą powiedziała. Inger spojrzała w ciemne oczy policjantki i załkała.

— Powiedzieli mi o niej. Znaleźli jej ciało... W ogrodzie... Laura... — Za iosta się płaczem, jednak wzięła głęboki oddech i jakoś nad sobą zapanowała. Postanowiła spróbować jeszcze raz.

Tymczasem na górze Cranmer warknął coś i, nie chcąc dalej słuchać ani patrzeć, odwrócił się tyłem do okna.

— Tom? Czy ludzie, którzy cię kochają, mówią do ciebie Tom?

— Suka.

Chwycił za blat stołu i szarpnął.

Żaluzje i szkło rozprysły się, a płonące ciało Cranmera z rozrzuconymi nogami i ramionami wyleciało oknem, ciągnąc za sobą smugę ognia. Gdyby nie to, że leciał teraz tyłem, ta scena byłaby wierną repliką jego skoku z samolotu, rzeźby Inger i upadku Ikara.

EPILOG

Winckelmann stał przy dużej ciemnej szybie w oknie swego biura i spoglądał na ciągnącą się czarnaścicę pieter niżej Zollikerstrasse. Powoli zapadał zmrok i ulica wyludniała się. Pracownicy biur i sklepów śpiesznie podążali ku przystankom, a mieszkańcy okolicznych domów wyprowadzali na spacer psy lub robili ostatnie zakupy w kioskach i piekarniach.

Zacisnął olbrzymią pięść i poczuł, jak krawędzie maleńkiej plastikowej mikrokasety uginają się pod jego palcami. Targała nim wściekłość, ale starał się jej nie okazywać.

Za jego plecami Finchley-Camden, rozparty wygodnie w czarnym skórzanym fotelu, założył nogę na nogę i powiedział:

— To oczywiście tylko kopia.

Winckelmann nie był już w stanie zapanować nad ogarniającą go furia. Jeszcze mocniej zacisnął pięść i kasetka pękła. Jej resztki spadły na puszysty biały dywan.

— Oczywiście.

Otworzył dłoń i spojrzał na płynącą krew. Wyjął z kieszeni białą chustkę do nosa i przyłożył do rany.

— Nie mogłem sobie pozwolić na zbędne ryzyko — kontynuował Finchley-Camden.

— Wymienił pan dość okazałą sumę, która miałaby stanowić cenę za... ten przedmiot. Rozumiem jednak, iż przyszedł mi pan sprzedać nie tylko nagranie, ale również pańską dyskrecję.

— Zgadza się — ton Anglika był tak łagodny, jak jego uśmiech — i muszę tu zaznaczyć, że negocjacje dotyczące ceny w ogóle nie wchodzi w grę.

Pośród ludzi spacerujących z psami Winckelmann wypatrzył dziwkę, z której usług czasami korzystał, szczególnie w te wieczory, kiedy sprawy nie

układały się zbyt pomyślnie. Była to wysoka Nigeryjka, ładna, choć niezbyt oryginalna. Miała na sobie lekki jedwabny płaszcz w kolorze ciemnoczerwonym, który znakomicie kontrastował z jej błyszczącymi kruczoczarnymi włosami. Prowadziła potężnego rottweilera w kagańcu. Dla stałych klientów wykonywała z nim specjalny numer.

Winckelmann przyglądał się jej przez dłuższy czas, jednak po chwili skoncentrował się na najważniejszej teraz sprawie.

— Czy przyjmie pan udziały w Prolebenteku?

— Tak, myślę, że tak. Muszę jednak dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej firmy i zdobyć pewność, że nic jej nie zagraża... Że to, czego dokonał mój siostrzeniec, przyniosło oczekiwane efekty.

— Współpracujemy, oczywiście nieoficjalnie, z wielkimi firmami mającymi problemy z przepisami Wspólnoty Europejskiej w kwestii utylizacji odpadów przemysłowych. Wywozimy odpady tych firm za granicę, głównie na tereny byłego Związku Radzieckiego.

Na dole pies zrobił potężną kupę na chodnik. Winckelmann tłumaczył dalej:

— Zawarliśmy umowy, także tajne, z siedmioma byłymi republikami. Obecnie negocjujemy następne. Cała działalność potrwa, co prawda, nie dłużej niż cztery, pięć lat, ale dzięki naszemu doświadczeniu mamy nadzieję osiągnąć przez ten czas bardzo wysokie zyski...

Finchley-Camden musiał przyznać, że sprawa miała ręce i nogi, i chyba warto było zaryzykować. Postanowił więc przyjąć ofertę, tym bardziej że dzięki temu rysowały się szanse na polepszenie stosunków z Winckelmannem.

— Dobrze — powiedział. — Niech tak będzie. A więc akcje o wartości sześciuset tysięcy franków według ich dzisiejszego kursu. Zgoda?

Winckelmann odczekał, aż piękna Nigeryjka, posługując się łopatką i podręcznym wiaderkiem, zrobiła z odchodami psa to, czego wymagało od niej szwajcarskie prawo. Pomyślał, że na odpadach zawsze można zarobić. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu na dokonanie drobnych manipulacji cenami akcji. Odwrócił się od okna i powiedział:

— Wydaje się, że minie trochę czasu, zanim biedny Heinrich wróci do pracy, a AlterLog znowu normalnie funkcjonować. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wykorzystać paru możliwości, jakie ta sytuacja otwiera przed panem...

To był dobry dzień dla Finchleya-Camdena... Tylko szkoda nieszczęsnego Toma.